

Jo  
Beverley

*Sekrety  
nocy*

# Rozdział I

*Północne Yorkshire, Anglia, sierpień 1762*

**G**rzeszyć, to było takie proste. Czyż nie nazywali flirtu „pogonią za przyjemnościami życia”?

Rosamunde Overton siedziała w kołyszącej się, dudniącej karecie, zachowując równą odległość od wszystkich szklanych szyb. Uciekała do domu, tchórzliwie, a jednak ocaliła swoją cnotę.

Okien w karocach bała się od wypadku, w którym pokaleczyła sobie twarz, ale nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo zaczęła się lękać innych rzeczy. Człowiek przykuty do łóżka traci siłę w nogach. Ona zaś, po ośmiu latach pobytu w Wensleydale, utraciła wszelką śmiałość w kontaktach z obcymi.

Zwłaszcza gdy z nimi grzeszyła.

Siedząc głęboko na kanapie, spoglądała na krajobraz, który jakby odzwierciedlał jej nastrój. Nad porośniętymi krzakami pastwiskami dla owiec wisały posępne chmury, pozostałość burzy, która spowolniła jej podróż. Karmazynowa poświata zapowiadała koniec dnia, na niebie widniał już blady księżyc. Wokół panowała nijaka szarość, w której Rosamunde zanurzyła się wraz ze swoimi myślami.

Grzech wydawał się bardzo naturalną rzeczą, gdy planowały go wspólnie z Dianą. Jej mąż, jej dom i wszyscy z Wenscote pragnęli dziecka, lecz mąż nie mógł go jej dać. A więc, nałożywszy maskę, oddała

się anonimowym uciechom maskarady w Harrogate. Tak jak obiecała Diana, znaleźli się mężczyźni gotowi z nią zgrzeszyć. Ale tylko zainteresowani, bowiem żaden tego nie zrobił, nie pomógł począć dziecka, skoro nie mógł się przekonać, kim ona jest.

Zamknęła oczy. A przecież wszystko powinno było pójść tak gładko!

No więc zamiast zachęcić któregoś z nich, śmigąła od jednego do drugiego, szukając nerwowo kandydata, który najbardziej się jej spodoba. Czegóż ona, na litość Boską, oczekiwała?

Że spotka pięknego księcia?

Szykownego lowelasa?

Szlachetnego rycerza?

Z każdą mijającą minutą zaczęła zdawać sobie sprawę, że tacy wymarzeni kochankowie nie istnieją, i już wtedy dobrze poznała niedostatki prawdziwych mężczyzn. Grube brzuchy, zepsute zęby, lubieżny wzrok, śliniące się wargi, brudne ręce, kołkowate kolana...

Nawet po wypiciu kilku kieliszków wina straciła w końcu cały zapał i uciekła. O pierwszym brzasku, gdy Diana jeszcze spała, kazała zawieźć się kareta z powrotem ku dolinom, ku bezpiecznemu azyłowi w Wenscote.

Wenscote - schronienie, na które nie zasługiwała, gdyż nie chciała go ocalić. Jeśli nie będzie miała potomka, kiedyś posiadłość stanie się własnością Edwarda Overtona, bratanka jej męża. A Edward natychmiast przekaże majątek swojej surowej, religijnej sekcje.

Jej mąż nie odznaczał się dobrym zdrowiem, więc niepowodzenie Rosamunde mogło jeszcze bardziej przyspieszyć jego śmierć. Mogło zabić tego pełnego dobroci człowieka, który kiedyś przyjął pod swoje

skrzydła zranioną szesnastolatkę. Doktor Wallach mówił, że obawa jeszcze bardziej pogarszała stan fizyczny Digby'ego, wywołując także coraz częstsze zawroty głowy.

A wszystko powinno było pójść tak gładko!

Oczami rozmarzonej wyobraźni ujrzała, jak szczęśliwy Digby patrzy na swego potomka, który rośnie na dziedzica. Być może gdyby miał dziecko, poddałby się zaleceniom lekarza, zaczął spożywać proste dania, ograniczył mocne trunki. Poczuła w oczach Izy, łzy nostalgii. Jednakże kluczem nie były tęskne marzenia, ale grzech i jego konsekwencje, a ona znowu poniosła sromotną porażkę...

Wyrывая się z tych beznadziejnych myśli, opuściła szybę w oknie.

- Stój!

- Mam się zatrzymać, milady? - zapytał stangret.

- Tak, stój! Natychmiast.

Kareta zahamowała gwałtownie i zastygła pochyłona pod pewnym kątem, aż śpiąca naprzeciwko służąca niemal wpadła całym ciężarem ciała na swoją panią. Rosamunde przytrzymała Millie i pomogła jej zająć miejsce obok siebie.

- Czy coś się stało, milady? - spytał Garforth.

- Zdawało mi się, że widziałam coś na skraju drogi. Może to leżał jakiś człowiek. Wyślij Toma, niech zobaczy.

Powóz zakołysał się, gdyż młody stajenny zeskoczył na ziemię. Rosamunde wychyliła się przez okno, patrząc za nim.

- Jeszcze kawałek dalej, Tom. Nie, jeszcze dalej. Obok tych krzewów.

- A niech to... - Stajenny dotarł do niewielkiego zagłębienia i przykucnął. Po chwili uniósł głowę. - Jakiś mężczyzna, panie Garforth.

Rosamunde otworzyła drzwi, zakasała nieco spódnice i wyskoczyła na drogę.

- Nie żyje? - zawołała, podbiegając bliżej.

- Raczej zalany w trupa, milady. Ale co on robi na takim odludziu...

Zajrzała do bagnistego zagłębienia.

- Tym sposobem niedługo znajdzie tu śmierć. Możesz go podnieść?

Tom wsunął swe wielkie dłonie pod pachy leżącego i pociągnął. Był duży i silny, ale z trudem wyostał na drogę nieprzytomnego, który był przemoczony do suchej nitki i strasznie ciężki. Rosamunde przyklękła obok mężczyzny, od którego biła woń mokrej wełny i ginu.

Skrzywiła się, sięgając do chłodnego nadgarstka, by sprawdzić puls. Żył jeszcze. Było już dość ciemno, więc po omacku szukała na ciele mężczyzny jakichś ran czy obrażeń, jednak bez skutku. Tak jak powiedział Tom, ów człowiek był pijany w trupa, chociaż znajdowali się wiele mil od najbliższego zajazdu.

- Co z nim zrobimy, milady? - spytał Tom.

- Oczywiście, zabierzemy go z nami.

- Chyba nie bardzo uchodzi. Nie wiadomo, kto to taki. Na pewno nie z tych okolic.

Co oznaczało, że zapewne przyszedł prosto z piekła. Rosamunde spojrzała Tomowi w oczy.

- A czyż myśmy jacyś księża czy lewici, aby obojętnie przejść drugą stroną drogi? Czy nie jesteśmy Samarytanami? Powiedz Garforthowi, żeby cofnął tu powóz.

Kręcąc głową, stajenny ruszył truchtem, żeby wykonać polecenie. Mimo że odniosła się do Biblii, Tom na pewno spyta starszego stangreta o jej szalone zachowanie. A przecież nie było ono szalone. Nie mogła pozostawić tego człowieka, nawet jeśli był tu

obcy i pijany. Noce bywały zimne nawet w lecie, a leżąc zupełnie przemoczony w błocie, mógłby nie przeżyć.

Gdy karoca, okrutnie skrzypiąc, zaczęła się cofać wbrew woli koni, zmuszonych do tego nietypowego manewru, Rosamunde przyglądała się w bladym świetle leżącemu niczym żywej biblijnej przypowieści. Czy podobnie jak ludzie wędrujący do Jerycha, mógł on być porzuconą ofiarą rzezimieszków?

Mało prawdopodobne. Nawet w półmroku widać by było sińce lub krew. Nie. Z całą pewnością był to jakiś nieszczęśnik, który po prostu za dużo wypił.

Jednakże nie mógł być włóczęgą, mimo szczeciny na twarzy i roznoszącego się wokół alkoholowego odor. Przesunęła palcami po jego solidnie uszytych bryczesach i kubraku. Porządne ubranie, zdobione skromnymi frędzlami i kościanymi guzikami. Miał gładką kamizelkę i prostą apaszkę pod szyją. Świadczyło to o tym, że jest statecznym człowiekiem, posiadającym stałe zajęcie i obowiązki.

To ją zastanowiło. Z doświadczeń Rosamunde wynikało, że pijacy wywodzili się raczej z najniższych i najwyższych warstw społecznych, nie zaś spośród ciężko pracujących przedstawicieli klasy średniej, którą znała najlepiej.

Mężczyzna na nogach miał buty do konnej jazdy. Być może to stanowiło jakąś wskazówkę: spadł z siodła.

- Bardzo tajemniczy z ciebie jegomość - mruknęła, ostrożnie sprawdzając zawartość jego kieszeni. Szczególnie niezręcznie było jej wsunąć dłoń w kieszenie obcisłych spodni. Niechcący dotknęła przez materiał zwiotczałej męskości.

Jednak w kieszeniach znalazła jedynie gładką chusteczkę. Może został ograbiony albo przepił wszyst-

ko do ostatniego pensa? Chusteczką delikatnie otarła mu błoto z twarzy.

Gdy karetą podjechała już całkiem blisko, na leżącego padło migoczące światło latarni.

O Boże.

Pomimo kilkudniowego zarostu, zadrapań i niewielkiego siniaka na policzku, bez wątpienia był to ukochany jakiejś kobiety. Twarz nie wydawała się piękna, ale z pewnością była przystojna, o regularnych rysach, które nawet teraz wyraźnie świadczyły o tym, że mężczyzna znacznie częściej się uśmiecha, niż w niezadowoleniu marszczy brwi.

Rosamunde bardzo delikatnie ujęła dłonią jego policzek. Cieszyło ją, że będzie mogła zwrócić tego dżentelmena ludziom, do których się uśmiechał. Miała tylko nadzieję, że to przykre doświadczenie czegoś go nauczy. Nie miałby szansy przeżyć, gdyby złapał zapalenie płuc.

- Szybciej, Garforth!

- Staram się, milady.

Widziała wyraźnie, że stangret cieszy się z jej dobrego uczynku tak samo jak Tom. Czy oni naprawdę zostawiliby go tutaj na pewną śmierć?

Gdy powóz w końcu zajął właściwą pozycję, Garforth uwiązał lejce, pozostawiając konie bez nadzoru, aby pomóc wciągnąć mężczyznę do środka. Co nie było proste, bo nieprzytomny osobnik był wysoki i dobrze zbudowany. Jednak szamotanina obudziła Millie, co samo w sobie graniczyło z cudem. Pokojówka wydała okrzyk zdumienia i po chwili wyjęła koce przeznaczone na podróż w chłodne dni, którymi owinęła mężczyznę.

- Inaczej pobrudziłby siedzenia, milady - wyjaśniła.

Rosamunde kazała posadzić go na swojej kanapie, sama zaś usiadła obok, aby mógł leżeć górną połową

ciała na jej kolanach. Tym sposobem mogła go trzymać, aby nie spadł. Wydała cichy okrzyk, gdy dotknęła dłonią jego lodowatej szyi.

- Czy gdzieś w pobliżu możemy otrzymać pomoc?

- Następne takie miejsce po drodze to Arradale, milady - rzekł Garforth - ale to już tylko pięć mil od domu.

- Zatrzymasz się tam. - Dokładniej otuliła mężczyznę kocem. - Każda godzina może się liczyć. Stań koło „wdówki”.

W Arradale House mieszkała jej kuzynka, Diana, Hrabina Arradale, osoba niezwykła, jedyna w swoim rodzaju. Domek wdowy był niemalże miejscem ich zabaw, dokąd wciąż jeździły, żeby odpocząć i pobawić się przez dzień lub dwa jak małe dziewczynki. Zawsze był gotowy na ich przyjazd.

Garforth dotknął trójgraniastego kapelusza i po chwili kareta, skrzypiąc, ruszyła w drogę. Gdyby jechali szybciej, nieprzytomny mężczyzna prędzej znalazłby się w ciepłym miejscu, lecz ze względu na całą sytuację Rosamunde nie mogła nalegać, aby woźnica popędzał konie. Tak samo jak wcześniej nie była w stanie zmusić się do seksu z jakimś zamaskowanym osobnikiem. Mówiła sobie, że może znowu spróbować zgrzeszyć, że następnym razem nie będzie już w takim szoku i że to zrobi. Jednak teraz musiała się zastanowić, czy pewne obawy nigdy nie dadzą się odsunąć samą li tylko siłą woli.

Nie myśląc już dłużej o swojej porażce, skoncentrowała się na czymś, czego była w stanie dokonać. Znowu położyła dłoń na chłodnej szyi mężczyzny. Wyczuła puls, ale bardzo słaby. Ludzie jednak umierają z zimna.

- Co myślisz, Millie?



Służąca siedziała z ramionami skrzyżowanymi na obfitych piersiach.

- Myślę, że to jakiś łotrzyk, milady. Lepiej trzymać się z daleka, gdy minie mu to zamroczenie.

- A jeśli mu nie minie? Czy umrze?

Tak naprawdę Millie nie miała serca z kamienia, po prostu była zła z powodu tej chaotycznej podróży, nocnej jazdy, podczas gdy o wiele przyjemniej czułaby się w jakimś przytulnym zajeździe. Pochyliła się, aby lepiej widzieć.

- Na moje oko wydaje się raczej silny i zdrowy, milady. Pewnie przeżyje, chyba że złapie gorączkę płucną.

Rosamunde mocniej przytrzymała leżącego. Był obcym mężczyzną, zapewne utracjuszem i nicponiem, ale to ona go znalazła, więc teraz dopilnuje, aby bezpiecznie dotarł do miejsca, gdzie otrzyma pomoc.

Musiała w końcu zrobić coś jak należy.

Zdawało się, że minęła cała wieczność, nim karetka wjechała w alejkę prowadzącą do domku wdowy. Rosamunde nie miała wątpliwości, że tętno mężczyzny jest coraz słabsze. Wysunęła się spod niego, a gdy powóz w końcu stanął, zeskoczyła na ziemię i pobiegła do drzwi, w które zaczęła z całej siły łomotać kołatką. W środku nie paliło się żadne światło, ale wiedziała, że dozorczy i inna służba na pewno są w swoich pomieszczeniach.

Drzwi otworzyła wychudła pani Yockenthwait, wpatrując się podejrzliwie w ciemność.

- Ojej, Lady Overton!

- Mamy w karocy rannego. Czy pan Yockenthwait może nam pomóc wnieść go do środka?

Już po chwili owinięty w koce mężczyzna został zanieiony do domu.

- Do kuchni - rzuciła szorstko gospodyni. - Żeby mi tu podłogi nie zabrudził.

Tom i żylasty pan Yockenthwait zadźwigali nieprzytomnego do wyłożonej kamiennymi płytami kuchni ogrzanej ciepłem z paleniska, zaraz jednak wyszli, by pomóc Garforthowi oporządzić konie.

- Zostanie pani na noc, milady - stwierdziła pani Yockenthwait. - Już za późno na podróżowanie.

- Jedziemy z Harrogate, a ten deszcz zamienił drogi w prawdziwe grzęzawisko. Zatrzymaliśmy się, aby zabrać tego nieszczęśnika, który leżał po prostu na gołej ziemi. - Rosamunde usłyszała we własnym głosie nutę paniki, więc zamilkła na chwilę, by zaczerpnąć powietrza. - Musimy zdjąć z niego ubranie.

- To się rozumie. - Kobieta zakasała rękawy. - Chodź tu, Millie.

Służąca zdążyła już usadowić się na krześle, ale w każdej chwili była gotowa wstać.

- Odpocznij, Millie - rzekła Rosamunde. - Ja to zrobię.

Pani Yockenthwait spojrzała na nią z dezaprobatą, pewnie dlatego, że tak dogadzała Millie Igby albo też z powodu wyrażenia gotowości, by zajmować się nagim mężczyzną.

- Jestem zamężną kobietą, pani Yockenthwait - powiedziała dobitnie Rosamunde. Miała nadzieję, że nikt nie domyślił się, iż w ciągu ośmiu lat małżeństwa nigdy nie widziała męskiego ciała. - Poza tym, czy nie ma pani swoich własnych służących do pomocy, gdy córki powychodziły już za mąż?

- Jesse chodzi spać z kurami, milady. Sama tego wymagam, bo również z kurami musi wstać. A my sami już prawie gotowaliśmy się do łóżek.

A żyjący w bojaźni Bożej ludzie nie podróżują po zachodzie słońca. To było zupełnie oczywiste.

Rosamunde zdjęła rękawiczki, kapelusz i pelerynę, ignorując gderanie gospodyni, któremu zresztą nigdy nie towarzyszyły złośliwości. Ponieważ w kuchni nie było nikogo obcego, a w każdym razie przytomnego obcego, zdjęła koronkowy czepek z falbanami, zakrywający jej policzki. Przesunęła palcem po bliźnie aż do kącika prawego oka. Co by się stało, gdyby on teraz się obudził i ujrzał jej pochyloną postać?

Przywróciła się do porządku i przyklękła, by pomóc gospodyni rozwinąć koce. Pani Yockenthwait, jako silniejsza, uniosła leżącego, zaś Rosamunde z trudem zaczęła zdejmować z niego przemoczone ubranie - kaftan, kamizelkę, apaszkę i koszulę.

Zmęczyła się trochę, zgrzała, ale mężczyzna wciąż leżał zeszywniały z przechłodzenia. Razem z panią Yockenthwait roztarły mu ciało ciepłymi, szorstkimi rękami i z ulgą ujrzały, jak zadrżał i zadzwonił zębami.

- To chyba dobrze, prawda? - spytała.

- Tak, ale musimy naprawdę go rozgrzać. Przyniosę suche koce i gorące cegły.

Już po chwili, gdy górna połowa jego ciała była starannie otulona, szczykanie zębów ustało. Rosamunde chwyciła ręcznik i wysuszyła mu brązowe włosy.

Potem zabrały się za dolną część ciała.

Z wielkim trudem zdejmowały mu buty. Obawiała się, że zwichną lub nawet złamią mu kostki, lecz zadanie trzeba było wykonać. Gdy w końcu zrzuciły buty na wyłożoną płytami podłogę, aby obciekły z wody, odziane w pończochy stopy nie wydawały się zdeformowane. Wtedy bardzo szybko zdjęły zeń resztę ubrania. Chociaż Rosamunde starała się nie patrzeć na jego krocze, mimowolnie rzuciła szybkie spojrzenie w tamtym kierunku.

Ten twardy członek, który zawsze zadawał ból, teraz wyglądał raczej przyjemnie, leżąc miękko na owłosionym udzie...

Szybko odwróciła wzrok w nadziei, że pani Yockenthwait uzna jej zaczerwienione policzki za rezultat wysiłku. Ponownie obie szybko zaczęły suszyć leżącego, zaś Rosamunde celowo zajęła się jego stopami i łydkami, czując dziwną przyjemność, wywołaną kontaktem z tym pięknym ciałem. Nigdy nie sądziła, że męskie ciało może być tak artystycznie wyrzeźbione, chociaż właściwie powinna się była tego spodziewać, obejrawszy liczne tego przykłady w dziełach sztuki.

Kiedy go odwróciły na brzuch, aby wysuszyć plecy, pomyślała, że mogłaby służyć jako model dla obrazów, które wisały w Arradale House. W domu nie mieli takich dzieł sztuki. Digby wolał konie, pejzaże i portrety rodzinne. Zlecił wędrownemu artyście, by namalował im wspólny małżeński portret, oczywiście ukazujący Rosamunde od dobrej, nieoszczędzonej bliźnią strony.

Owijając nogi mężczyzny kocami, westchnęła boleśnie. Czy chciałaby uwiecznić dla potomności wady swej urody? Nie, lecz w pewien sposób pragnęła być widziana taką, jaką jest naprawdę.

Odsunęła na bok te głupie myśli i pomogła gospodyni odwrócić leżącego z powrotem na plecy.

- Drży coraz mniej - powiedziała - ale to pewnie dlatego, że mu ciepłej.

- Tak, dobrze mu zrobi gorący napój. - Pani Yockenthwait próbowała napoić go herbatą, jednak większość płynu spłynęła mu po podbródku.

Rosamunde poruszyła się z niepokojem. Kiedyś słyszała, jak ktoś położył się nago obok wyziębionej osoby, aby ją ogrzać swoim ciałem. Wyobraziła sobie reakcję pani Yockenthwait na taką propozycję.

Tłumiąc uśmiech, odgarnęła mu włosy z czoła. W ciepłe emanującym od ognia, wyschły już, zwijając się w śliczne, rudobrazowe loczki. Jego czysta już twarz była tak piękna, jak sobie wcześniej wyobrażała, nawet z tym siniakiem i zarostem. Nie mogła dopuścić, aby umarł. Jeśli zajdzie taka potrzeba, naprawdę była gotowa rozebrać się do naga i przytulić do niego pod grubymi kocami.

Przesuwając palce na jego szyję, z ulgą stwierdziła, że jest cieplejsza, a puls wyraźnie silniejszy.

Dotyk Rosamunde był delikatny, badawczy, zaś pani Yockenthwait energicznie wsunęła spracowaną rękę pod koc i położyła na jego piersi.

- Już mu lepiej - rzekła po chwili. - Czasami mocny trunek dobrze ich konserwuje. - Wstała. - Przyniosę pani herbatę, milady.

Rosamunde także uniosła się z klęczek. Jak na warunki życia na wsi, było już bardzo późno. Millie zaczęła pochrapywać.

Biorąc herbatę od gospodyni, Rosamunde powiedziała:

- Millie i ja będziemy spały tam gdzie zawsze, ale potrzebne będzie również łóżko dla niego. - Spojrzała na leżącą przy ogniu, owiniętą w koce postać. - Jak długo jeszcze pozostanie nieprzytomny?

- Zapewne prześpi całą noc, milady. Chce pani umieścić go w sypialni?

Rosamunde aż podskoczyła. Zdała sobie sprawę, że włóczęgom zwykle nie zapewnia się aż tak komfortowych warunków. Znowu na niego popatrzyła. Był ładny, lecz w żaden sposób nie świadczyło to o jego statusie. Mógł się okazać brutalnym, podłym człowiekiem. Jednak miał w sobie coś, co przeczyło tym czarnym myślom - i nie była to wyłącznie ta stworzona do uśmiechu twarz.

Po chwili zrozumiała, że to pozytywne wrażenie wywołują jego dłonie. Teraz leżały ukryte pod kocami, lecz przypomniała sobie, że wcale nie są szorstkie. Paznokcie były równo przycięte i zadbane. No i był czysty. Oczywiście, ubrudził się bardzo błotem, leżąc w grzędawisku, lecz gdy wyruszał w podróż, był na pewno czysty i schludny, jak przystało na porządnego człowieka.

- W sypialni - powiedziała z naciskiem. - Zaopiekujemy się nim razem z Millie. Nie chcę cię obarczać dodatkową pracą.

- Razem z nią? - Pani Yockenthwait rzuciła kąśliwe spojrzenie w kierunku chrapiącej pokojówki.

- To nie jej wina. Po prostu męczy się szybko. [ marznie, nawet jeśli dobrze owinie się szalem.

- Tak, jej matka była taka sama. Lecz wobec tego ona nie jest dla pani zbyt użyteczna.

- Musi dla kogoś pracować, a ja nie mam zbyt wygórowanych potrzeb.

Gospodyni wzruszyła ramionami.

- Zostawmy go tutaj, milady. Na podłodze przy palenisku będzie mu dobrze i ciepło.

- Podczas gdy na górze są wolne łóżka? To nie po chrześcijańsku.

Rosamunde wiedziała, że jej upór może się wydawać dziwny, ale zaczynała rozumieć jego źródło. Mężczyzna musiał być wysokiego stanu, co do tego nie miała wątpliwości, więc nie byłoby niestosowne położyć go na piętrze. Poza tym, należał do niej. Był jej żyjącą przypowieścią. Tu, na dole, znajdowałby się poza jej zasięgiem, zredukowany do poziomu służby. A na górze będzie pod jej opieką, przynajmniej przez jakiś czas.

- Może on nienawykły do dobrego łóżka - powiedziała gospodyni z uporem właściwym rodowitym mieszkańcom Yorkshire.

Ale Rosamunde również pochodziła z tego samego hrabstwa.

- W takim razie tym bardziej będzie mu tam lepiej, prawda?

Pani Yockenthwait pokręciła głową.

- Zawsze miała pani zbyt miękkie serce, Rosie Ellington. - Powiedziała to jednak z uśmiechem.

Użycie familiarnego imienia z dzieciństwa także miało w sobie dawkę ciepła.

Kiedyś razem z Dianą szalały po całej okolicy, często popadając w przeróżne tarapaty. Okoliczni mieszkańcy przywykli do tego, że od czasu do czasu musieli je podnosić i otrzepywać, a niekiedy - gdy narażały się na niebezpieczeństwo - również odwozić do domu, aby zostały ukarane.

Dinah i Rosie znowu miały kłopoty. Tyle że Dinah była w Harrogate, niewątpliwie umywając ręce od tchórzliwej kuzynki.

Do kuchni weszli mężczyźni, którym pani Yockenthwait podała herbatę i zimny pieróg. Także Rosamunde posiliła się tą prostą strawą. Gdy jedli, pani Yockenthwait zdjęła ze ściany podłużne naczynie.

- Przygotuję łożka.

Rosamunde aż podskoczyła.

- Ja to zrobię, pani Yockenthwait. Millie mi pomoże. - Potrząsała służącą, aż ta w końcu przebudziła się z głośnym chrapnięciem,

- Zasnęłam, milady?

- Tylko na chwilę. Ale teraz musisz mi pomóc przygotować łożka na noc. Pani Yockenthwait ma swoje zajęcia.

- To dobrze. - Millie przeciągnęła się, wyginając zastałe plecy. - Przygotuję więcej gorących cegieł.

Millie nalegała, że sama zanieśie ciężki podgrzewacz na górę. Rosamunde poszła za nią, aby dopil-

nować, czy za bardzo go nie przechyli. Najpierw weszły do sypialni, którą Rosamunde zawsze dzieliła z Dianą. Chciała pozwolić, aby Millie wykonała całą pracę, ale powolne, niemal ślimacze tempo służącej wyprowadziło ją z równowagi, więc sama chwyciła rączkę naczynia.

- Idź i powiedz Tomowi, żeby wniósł na górę nasze bagaże i wszystko przygotował. Ja zajmę się łózkami.

Millie kiwnęła głową i odeszła.

Rosamunde przesuwawała podgrzewacz po łóżku. Cieszyła się, że jest lato, bo powietrze nie było zbyt chłodne ani przesycone wilgocią. Z pomocą kilku gorących cegieł mężczyzna na pewno będzie miał ciepło.

Potem rozgrzała łóżko Millie w najmniejszym pokoju. Biedaczka miała ogromne kłopoty z ogrzaniem się w nocy, mimo że zawsze spała otulona w kilka warstw okrycia.

Zostawiwszy podgrzewacz w łóżku przeznaczonym dla mężczyzny, zbiegła pośpiesznie na dół. Nie wiedziała, czy powinna wysłać umyślnego do Wenscote, aby zawiadomić Digby'ego, gdzie przebywa. Jednakże planowała zostać w Harrogate przez dwa tygodnie, więc mąż i tak nie oczekiwał jej powrotu. Poza tym była już zbyt późna pora.

U podnóża schodów zatrzymała się i zrozumiała, że wcale nie ma ochoty wysłać wiadomości. Gdyby to uczyniła, Digby wysłałby służących do pomocy, a oni odebraliby jej nieznanego...

Pokręciła głową. Uważała go za kogoś więcej niż tylko pijanego, który leżał w rowie. Mówi się, że szata świadczy o człowieku - gdy jej bohater został odarty ze swego prostego ubrania, sprawiało ono wrażenie wykwintnego.

Romantyczne bzdury! W jej wyobraźni rude loki i przystojna twarz mężczyzny przybierały rysy su-



perbohatera, będącego połączeniem Herkulesa, Horacego i Rolanda! Szlachetnego błędnego rycerza...

Znieruchomiła.

Błędny rycerz?

Kogoś takiego szukała w czasie maskarady.

Więc po co czekać na następny bal?

Pomysł był tak niezwykły, że aż bała się o nim pomyśleć na zimno. Lecz nie dawał jej spokoju i powoli przybierał coraz wyraźniejszy kształt - niczym para z ust, osadzająca się zimą na oknie, tworząca lodową koronkę.

W końcu musiała przecież coś przedsięwziąć. Doktor Wallace ostrzegwał, że Digby może umrzeć w każdej chwili. Zresztą sama o tym wiedziała, obserwując jego trudności z oddychaniem.

W każdej chwili.

A wtedy Wenscote stanie się własnością Edwarda i sekty Nowe Państwo.

W czasie ostatniej podróży razem z Dianą odwiedziły majątek, który został już przejęty przez sektę. Odkryły, że krążące opowieści są prawdziwe. A prawda okazała się jeszcze gorsza, niż pierwotnie sądziła. Członkowie Nowego Państwa George'a Cottera musieli wyrzec się wszystkich przyjemności doczesnego życia i poświęcić się pracy oraz modlitwie, zaś wszelkie naruszenia tych zasad były karane. Słyszała, że jeśli rodzice niedostatecznie surowo karali dzieci - na przykład dziewczynkę za zdjęcie czepka albo chłopca za zdjęcie kołnierza - wtedy „święci” sekty Cotterite brali sprawy w swoje ręce i lała się krew.

Rosamunde widziała dzieci z sekty chowane w głębokim ukryciu, zmuszane do noszenia obcisłych

ubrań nawet w gorące dni. Wyglądały tak, jakby bały się oddychać z lęku przed karą. Jediną ucieczką dla biednych, uwięzionych w potrzasku ludzi był wyjazd - pozostawienie ziemi, na której ich rodziny żyły od wielu pokoleń i stuleci.

Nie mogła dopuścić, aby to samo stało się z Wenscote, zwłaszcza że nie groziło jej bezpośrednio niebezpieczeństwo. Jako wdowa miałaaby swobodę, aby wyjechać, podczas gdy służba, a szczególnie mieszkańcy, byliby usidleni. Miała środki, aby zapewnić wszystkim bezpieczeństwo, a jednak poniosła fiasko. Teraz otrzymała drugą szansę.

Mężczyzna. Obcy, który niebawem odjedzie w swoją stronę.

Musiała przynajmniej spróbować! W przeciwnym razie nie będzie mogła żyć w zgodzie ze sobą. Choć na samą myśl czuła, jak wstrząsa nią dreszcz, przyjęła to do wiadomości jako fakt. Więc... zrobi to! Jedyne problemy stanowiły kwestie praktyczne.

Na przykład, jak nakłonić go do współpracy.

Zgodnie z powszechnie panującą opinią, większość mężczyzn, zwłaszcza młodych, szuka każdej sposobności, by wcisnąć się między kobiecie uda. W rzeczy samej, najczęściej trzeba było oganiać się przed nimi, zaś niektórzy uciekali się do przeróżnych sztuczek, a nawet porwania, aby tylko zaspokoić swe rozpustne żądze. Każda młoda kobieta wiedziała, że przebywanie na osobności z mężczyzną na pewno doprowadzi do niktzemności i nabrzmiałego brzucha.

I tego właśnie pragnęła. To będzie równie łatwe jak zbieranie dojrzałych malin. A mimo wszystko nie mogła pozbyć się wątpliwości...

- Milady?

Rosamunde aż podskoczyła na dźwięk głosu gospodyni. Stała tam już wystarczająco długo, by znaleźć pościel i przygotować, a nawet ogrzać łóżka. Pewna, że ten niecny plan widać wyraźnie po jej minie, weszła zwawo do kuchni i kazała mężczyznom zanieść na piętro jej potencjalnego partnera w grzechu.

**P**obiegła przodem, aby jeszcze trochę podgrzać łóżko. Nie byłoby dobrze, gdyby dostał gorączki. Pozwoliła, aby mężczyźni delikatnie zsunęli z niego okrycie pod pościelą, lecz natychmiast też obłożyła go rozgrzаныmi cegłami i starannie otuliła.

- Czy pan go zna, panie Yockenthwait? - spytała. Aby wszystko się udało, mężczyzna musiał być obcym, kimś, kto nigdy więcej nie zawita w te strony.

Seth Yockenthwait pokręcił głową.

- On nie jest stąd, milady. Taki przystojniak na pewno rzuciłby się w oczy.

Rosamunde zerknęła na leżącego i zrozumiała, że Seth ma rację. Poprzednio oceniała każdą część przybysza z osobna, teraz zdała sobie sprawę, że wszystko doskonale się komponuje. Szczególnie zwróciła uwagę na kształt złożonych w naturalnym uśmiechu ust.

Jakby stworzonych do całowania.

Cofnęła się o krok. O, nie! Jedną rzeczą to być gotową na poświęcenie, ale zupełnie inną pałac żądać słodkich pocałunków, niczym swawolna mleczarka! To było zupełnie nie na miejscu...

Przyłapała się na myśli: Nie wywiniesz się w ten sposób. Zrobisz to, dziewczyno, nawet jeśli to szlachetny rycerz!

Na te zwariowane refleksje aż zachciało jej się śmiać. Wyszła z pokoju. Nikt nie może podejrzewać, że osobiście interesuje się tym mężczyzną.

- Nic o nim nie wiemy - powiedziała tak obojętnie, jak tylko umiała. - Może się okazać, że to najgorszy szubrawiec, a ja nie chciałabym narażać nikogo z tu obecnych na niebezpieczeństwo. - Zamknęła drzwi na klucz, który szybko schowała do kieszeni. - I już. Nie ma powodu do obaw, panie Yockenthwait.

- Tak jest, milady - odpowiedział w sposób typowy dla mieszkańca Yorkshire, gdzie mężczyźni uważają kobiety za głupie. Jednak był zbyt inteligentny, aby wyraźnie dać to do zrozumienia.

Niemal drżąc z nerwów, Rosamunde patrzyła, jak mężczyźni schodzą na dół, potem pozwoliła Millie, by wyszykowała ją do snu. Odesłała służącą do jej pokoju i czekała. Gdy nabrała pewności, że wszyscy udali się już na spoczynek, głęboko zaczerpnęła powietrza...

I zawahała się.

Nie mogła tego zrobić. Naprawdę nie mogła!

Głupia gąsko, przecież to zupełnie niezobowiązujące. Po prostu idziesz, żeby sprawdzić, jak się miewa twój pacjent.

Mimo to, dopiero po pełnym kwadransie - co stwierdziła, słuchając kurantów zegara - odważyła się ruszyć z miejsca. Zmusiła się, by wyjść na korytarz i podejść do jego drzwi. Nie wzięła świecy, gdyż mężczyzna mógł nie spać, a przecież nie wolno mu było jej zobaczyć. Jak najciszej przekreśliła klucz w zamku i wśliznęła się do pogrążonego w ciemności pokoju, zamknęła za sobą drzwi i zamarła, ze wszystkich sił przywierając do nich plecami.

Nie usłyszała i nie zobaczyła żadnego ruchu, który sugerowałby, że mężczyzna nie śpi.

Czując się jak złodziej, podkrađła się do okna, aby rozsunąć nieco zasłony i wpuścić do wnętrza trochę księżycowego światła.

Mężczyzna musiał wcześniej obrócić się na łóżku. To chyba dobry znak. Lecz gdy go dotknęła, aby sprawdzić puls i temperaturę, ani drgnął. Był ciepły, lecz nie gorący, więc rokował duże nadzieje na przeżycie.

Co teraz?

Przysunęła krzesło do łóżka i usiadła, spoglądając na ocienioną postać i utwierdzając się w powziętym wcześniej postanowieniu.

Wenscote znalazło się w ogromnym niebezpieczeństwie. Wszystko wyglądało dobrze do wiosny, gdyż wtedy dziedzicem nie był Edward, lecz inny bratanek Digby'ego, William. William, równie serdeczny i dobry jak Digby, przejąłby Wenscote i za dbał o majątek w taki sam sposób. Jednak William Overton nagle zmarł, być może dlatego, że tak bardzo przypominał Digby'ego. W gospodzie koło Filey zjadł obfity posiłek, dużo popił i dostał ataku, pozostawiając Edwarda jako dziedzica Wenscote. Edward, urodzony i wychowany w Yorku, poświęcił się Nowemu Państwu.

Los Williama podzielał na Digby'ego jak ostrzeżenie. Próbował zmienić tryb życia na bardziej umiarkowany, jednak wciąż zażywał doczesnych przyjemności. Przyjmował Edwarda Overtona, który pouczał go na temat wyższości prostego jedzenia i picia, więc ze zwykłej, wywołanej irytacją przekory dogadzał sobie, jak tylko mógł.

No i była jeszcze spóźniona tęsknota za potomkiem.

Digby raczej nigdy nie interesował się sprawami małżeńskimi, a ostatnimi laty ta kwestia zupełnie przestała go zajmować. Jednak myśl o Edwardzie sprawiła, że podjął kilka prób w tym kierunku. Rosamunde poczuła, jak się rumieni na wspomnienie tamtych nieudanych podchodów. Biedny Digby.

Właśnie wtedy zaczął ją naprowadzać w tym kierunku.

- Jesteś młodą kobietą, skarbie. To zupełnie naturalne, że podobają ci się przystojni młodzieńcy.

Albo:

- Może Bóg zlituje się nad starym grzesznikiem i dokona cudu.

Rosamunde z krzywym uśmiechem pomyślała o owym cudzie. Fantastycznie było wyobrazić sobie, że ten oto mężczyzna jest zesłany od Pana Boga. Na pewno na tę drogę w nocy przywiodło go jakieś szaleństwo, zaś to, co ona zamierzała uczynić, było grzechem, bez względu na szlachetny cel.

Czy cel uświęca środki?

Była przekonana, że tak właśnie jest.

Lecz nagle dostrzegła nową przeszkodę.

Maskarada wydawała się atrakcyjna, gdyż Rosamunde mogła pozostać tajemnicą nawet dla swego kochanka. Miało to kolosalne znaczenie, zwłaszcza gdy w grę wchodził tytuł do dziedziczenia. Kiedy ten oto mężczyzna odjedzie, będzie przecież pamiętał, gdzie był, bez trudu też się dowie, z kim miał okoliczność.

Oparła podbródek na dłoni i zastanowiła się. Szkoda, że nie ma tu Diany, która mogłaby coś doradzić. Była znacznie lepszą intrygantką. Ciekawe, na jaki pomysł by wpadła?

Fałszywe nazwisko! I fałszywa nazwa posiadłości. To byłoby dość proste, gdyby zamknęła go w pokoju i nie dopuszczała doń Yockenthwaitów. Zresztą ma-

łomówni małżonkowie zapewne dotrzymaliby tajemnicy, gdyby ich o to poprosiła. Także Millie wykonałyby każde polecenie. Tylko jakie nazwisko wybrać? Musi być takie, aby mężczyzna nie wpadł na jej trop, a jednocześnie takie, by nie zaszkodziło niczyjej reputacji. Ze szczyptą szelmowskiego humoru wybrała „Gillsett”, należące do ekscentrycznych, podstarzałych sióstr, które prowadziły gospodarstwo w odległym Arkengarthdale. Ktokolwiek by jej tam szukał, trafi w ślepą uliczkę.

To załatwiało kwestię pełnej nieświadomości miejsca, w którym przebywał. Oczywiście znowu spije go do nieprzytomności.

Poczuła się znacznie pewniej. Wszystko wydało się jasne i proste. Takie właśnie miało być. Gdy mężczyzna znajdzie się daleko stąd, nie będzie jej szukał. Świat jest pełen mężczyzn ignorujących kobiety, z którymi się przespali, i uciekających od dzieci, które spłodzili. Nie przypominała sobie nawet jednego przypadku, gdy ktoś usiłował odszukać swe nieślubne dziecko.

Nerwowo potarła dłońmi uda. Tak więc wszystko sprowadzało się do tego, by zmusić go do zrobienia tej jednej, potrzebnej rzeczy. Nie powinno być z tym kłopotu. Przecież mężczyźni są jak byki, ogniste ogiery. Gdy mają sposobność zbliżenia z samicą, zawsze z tego korzystają.

Jeśli zbudzi się i znajdzie w swoim łóżku kobietę...

Serce Rosamunde zaczęło bić coraz mocniej. Przełknęła ślinę, aby zwilżyć wyschnięte gardło. Czy naprawdę była w stanie to zrobić?

Musi.

Już więcej nie stchórzy.

Zasunęła zasłony, zdjęła szlafrok i drżącymi dłońmi ułożyła go starannie na oparciu krzesła. Zamarła



na chwilę, po czym wśliznęła się pod pościel i położyła na krawędzi wygrzanego łóżka.

Było jej za gorąco, więc odsunęła jedną z owiniętych w materiał cegieł. Próbowwała ułożyć się wygodniej. Była przyzwyczajona do spania z kimś w jednym łóżku, gdyż tak właśnie było od dnia jej ślubu, lecz ten mężczyzna leżał na samym środku.

Przysunęła się doń tak blisko, jak tylko śmiała...

O Boże! Zupełnie zapomniała, że on jest nagi. Nie powinno to stanowić żadnej różnicy, lecz leżenie obok nagiego mężczyzny wydało się jej czymś wyjątkowo niegodziwym.

Nie, to nie tak.

Przecież starała się dokonać aktu cudzołóstwa.

To właśnie było niegodziwe.

Próbowwała przygotować się psychicznie do tego aktu. Nie mogła w ostatniej chwili spanikować!

Sprawa była prosta. On podciągnie do góry jej nocną koszulę, położy się na Rosamunde i spróbuje w nią wejść. Gdy mu się to uda, zacznie wykonywać posuwiste ruchy biodrami do przodu i do tyłu, w końcu zaleje ją swoim nasieniem, a potem wróci na swoje miejsce i szybko zaśnie. Być może nawet zapomni, co się wydarzyło.

A ona musi jedynie pozwolić, by to wszystko zrobił.

Odetchnęła głęboko kilka razy, aby się nieco uspokoić. Powtarzała sobie na okrągło, że da radę. Pozwoli mu. Po chwili, aby jeszcze ułatwić sprawę, podciągnęła sobie koszulę aż po pas. Gdy nic więcej się nie działo, zbliżyła się do mężczyzny jeszcze bardziej, dotykając nagim udem jego nogi.

Po chwili zaśmiała się cicho z samej siebie.

Czy oczekiwała, że on obudzi się z pijackiego odrętwienia, jakby ktoś podsunął mu pod nos trzeźwiące sole? Ależ z niej idiotka! Przecież on był wciąż

pijany w trupa. Raczej nie ogarnie go lubieżna żądza, dopóki nie odzyska przytomności.

Zamrugła, by odgonić cisnące się do oczu łzy, wynikłe po części z rozbawienia i żalu; pomyślała, że w zaistniałej sytuacji wróci, aby przespać tę noc we własnym łóżku.

Jednak została.

Zostać było jej łatwiej, gdy wróciło znajome uczucie bliskości rozgrzanego ciała. Bóg jeden wiedział, kiedy mężczyzna się obudzi. Może dopiero jutro po południu, a może za kilka godzin. Musiała być przy nim, gdy odzyska przytomność.

Z pełną świadomością, że zachowuje się dziwnie, Rosamunde przysunęła się bliżej do pogrążonego we śnie, upadłego rycerza, niczego niepodejrzewającego kochanka, zesłanego z nieba zbawcy. Jego ciepło i cichy oddech utuliły ją do snu.

\*

Ciemność.

Ból.

Agonia!

Uniósł dłonie, by przytrzymać pękającą głowę, i zdziwił się, że wcale nie nabrzmiwa i nie kurczy się z każdym jego oddechem.

Do licha, gdzież to on się znajduje?

Co się stało z jego głową?

Gdy rozchylił nieco powieki, niczego nie ujrzał.

Ślepy! Czyżby ośleplł?

W tej chwili jego przerażone oczy pochwyciły nieco jaśniejszy odcień ciemności. To na pewno rozstęp między grubymi zasłonami, ukazujący fragment panującej na zewnątrz nocy. Boże, spraw, aby to było prawdą.

Ból w brzuchu. Skurcze. Nie tak silne jak w głowie, ale dokuczliwe. Modlił się, żeby nie wymiotować. Gdyby do tego doszło, zapewne zadławiłby się, bo na pewno nie udałoby mu się poruszyć głową.

Leżąc w zupełnym bezruchu, zaczął spostrzegać inne rzeczy. Był w jakimś łóżku. Całkiem wygodnym łóżku.

Był nagi. A przecież ciężko chorego na pewno nie rozebraliby do naga.

I ktoś z nim był.

Leżeli w niewielkim odstępnie, lecz słyszał równomierny, senny oddech. Kobieta? To wyjaśniałoby jego brak ubrania, ale...

Do diabła, co on nabroił?

Tu obok mógł być mężczyzna, może towarzysz podróży albo kompan od butelki. Zaryzykował ruch, wyciągając badawczo rękę.

Z pewnością to kobieta. Poczował delikatny aromat kwiatów, który podziałał na jego instynkty. Miała na sobie nocną koszulę. Dziwne. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek zabawiał się z kobietą, pozostawiając ją w koszuli.

Może to wyjątkowo skromna osoba, ale takie również nie były w jego typie.

Kim była?

Nie miał pojęcia.

Nawet nie wiedział, kim mogłaby być.

Ale wpadka.

Chyba musiał wypić całą beczkę trunku, skoro nie pamiętał tej kobiety. Co powie jej rano?

No i gdzie się tak mocno upił? Powinien to wiedzieć. Powinien pamiętać, jak zaczął pić. Szukał w myślach jakiegoś miejsca, nazwy, obrazu...

I opadł w przerażającą próżnię. Zamiast pamięci miał w głowie całkowitą pustkę.

Spanikowany, trzymał się faktu, którego był całkowicie pewien. Nie pił ponad miarę. Nie upił się tak naprawdę od czasu wielkiej wyprawy do Italii. Miał wtedy szesnaście lat i doszedł do wniosku, że skutki tamtego przepicia wyleczyły go z nadmiernego spożywania trunków raz na zawsze.

Czy teraz także był w Italii? Spity przednim winem w jakimś weneckim pałacu?

Nie. Od tamtej pory minęło wiele lat.

Teraz był w Anglii.

Tak, na pewno w Anglii i na pewno był już dorosłym mężczyzną. Przesunął dłonią po podbródku, czując wyraźnie wykształconą, męską szczękę i szorstki zarost. Przypomniawszy sobie, że niedawno obchodził dwudzieste dziewiąte urodziny.

Dlaczego niektórych rzeczy był pewien, a innych nie? Wiedział, że jest w Anglii, lecz nie kojarzył miejsca. Wiedział, ile ma lat, ale miał w pamięci dziesięcioletnią lukę. Wieczne potępienie! Zaczął kręcić głową, lecz po chwili przestał, sycząc z bólu. Miał wrażenie, że mózg mu się zagotował, wyjąłowił, że między nim a fragmentami przeszłego życia zawisły grube zasłony.

Co pamiętał?

Pożegnanie z rodziną w Londynie.

Miał rodzinę - braci i siostry. Widział nawet twarze, lecz gdy próbował przywołać imiona, nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Elf? Jasny Bright Elf? Grzeszny Sin Elf... ?

Nie mógł tego znieść. Próbował usiąść, lecz zamarł, przeszyty ostrym bólem. O Boże. Boże...

Powoli złożył pulsującą głowę na poduszce i leżał bez ruchu. Z każdym oddechem czuł, jakby coś rozsadzało go od środka. Może był ciężko chory. Lecz w takim razie, kimże była ta kobieta w jego łóżku? Opiekunką?

Wątpliwe.

Kim więc była?

Kim był on sam?

To proste pytanie pojawiło się nagle i natychmiast uderzyło w pustkę, aż cały zamarł z przerażenia. Przerażenia wywołanego faktem, że szukając odpowiedzi, zagłębiał się w czarną otchłań, gdzie w ogóle nie istniał. Poszukał czegoś realnego. Czegokolwiek. Jej bawełnianej koszuli.

- O, obudziłeś się.

Kobieta poruszyła się i ujęła w dłoń jego drżącą rękę. Ścisnęła ją mocno, niemalże płacząc z wdzięczności.

- Gdzie ja jestem? - szepnął w obawie, że głośniejszy dźwięk sprawi mu cierpienie.

Cisza. Czyżby ta kobieta istniała w jego wyobraźni? Mocniej ścisnęła jej dłoń...

Syknęła.

- W Gillsett. Proszę. To boli.

Natychmiast zwolnił uścisk.

- Przepraszam. Ja... nic nie widzę.

Drugą ręką przesunęła po jego czole, a delikatny dotyk wydał mu się cudowny i znajomy. Czy to jego żona? Z pewnością pamiętałby, gdyby był żonaty. Ciepły głos, delikatna, troskliwa dłoń... znał to z przeszłości. To była pokrzepiająca myśl.

Ale nie. Ten delikatny dotyk przypominał mu matkę, która od wielu lat nie żyła. Jej łagodny głos przynosił mu ulgę, gdy nocami trawiła go gorączka. Jednak mówiła po francusku. Czy on jest Francuzem...?

Nie, z pewnością nie.

- Po prostu jest ciemno, sir - powiedziała kobieta, bez cienia wątpliwości po angielsku. - Jest środek nocy.

Robił z siebie kompletnego głupca. Oto leżał sobie u boku nierządnicy, zapewne w jakimś przydroż-

nym zajeździe, cierpiąc na ogromny, pijacki ból głowy, a zachowywał się tak, jakby goniły go demony. Jednak ból był prawdziwy, podobnie jak rewolucja w żołądku.

- Chyba za dużo wypięłem.

- Nic pan nie pamięta?

Niech to diabli. Czy mógł uniknąć przyznania się, że nie pamiętał ani jej, ani wesołych igraszek w łóżku, które bez wątpienia były ich udziałem?

- Przepraszam. Głowa mi pęka...

- Wszystko będzie dobrze. - Znowu dotknęła go troskliwie. Przesunęła chłodne dłonie po jego rękach, delikatnie pogładziła po głowie. Efekt był niszczycielski. - Niech pan spróbuje zasnąć. Rano będzie lepiej.

- Obiecujesz? - Znalazł w sobie dość humoru, by wypowiedzieć ten komentarz, który wydał mu się bardzo na miejscu. Nagle poczuł drapanie w gardle i mdłości, więc odsunął się gwałtownie od dziewczyny. - Zaraz się porzygam! - wykrztusił.

Walczył przez chwilę, a ona jakimś cudem szybko obeszła łóżko i już stała przy jego głowie z nocnikiem w ręku. Zdążyła na czas, gdy żołądek wygrał bitwę z jego wolą. Przynajmniej te silne, palące torsje zabrały ze sobą część bólu. Kiedy znowu opadł na poduszkę, przeszywające jego czaszkę sztylety znikły, a pozostały jedynie tępe, pulsujące uderzenia młotka.

Okropna woń wypełniła pokój. Była to chyba najbardziej wstydliva sytuacja w całym jego życiu.

- Ja... bardzo przepraszam...

- Wszystko dobrze.

Aż jęknął, słysząc lekkie rozbawienie w jej głosie. Musi mieć z niego niezłą zabawę. Z pewnością poprzedniego wieczoru zachowywał się z pełną ogłada,

gdy wabił ją do swego łóża, a teraz wyglądał jak ciężko chore, bezradne dziecko.

Wilgotna ściereczka otarła mu twarz. Po chwili dziewczyna uniosła lekko jego głowę i przystawiła do warg chłodne szkło kielicha.

- Jeszcze - powiedział, opróżniwszy naczynie.

Usłyszał brzęk i obiecująco brzmiące bulgotanie. Był jej wdzięczny, że robiła wszystko w ciemności, bo nie mógł znieść nawet myśli o jaskrawym świetle. Po chwili przyniosła kielich pełen wody, którą wypił i z ulgą spoczął na poduszkach.

Puchowych poduszkach.

Przecież w przydrożnych zajazdach nie ma takich.

- Gdzie ja jestem? - spytał ponownie.

Chyba już mu odpowiedziała, ale zapomniał.

- W Gillsett.

To nie brzmiało jak nazwa oberży. Bardziej jak rezydencja. Gospodarstwo. Może nawet dom dżentelmena...

- Jak pan się nazywa, sir? Czy mamy kogoś zawiadomić?

Przynajmniej nie musiał jej mówić, że tego nie pamięta. Znowu poczuł, że zapada się w pustkę nieistnienia.

## Rozdział III

)

**R**osamunde wyprostowała się, kręcąc głową. Planowała sobie występna, cudzołożną akcję, a tymczasem skończyła z nocnikiem pełnym śmierdzącego obrzydlistwa. Być może jej nudne życie nie było wynikiem przypadku, lecz po prostu przeznaczeniem!

Przynajmniej poradziła sobie z kłamstwem dotyczącym miejsca, gdzie się znajdował.

Nigdy nie umiała przekonująco kłamać. Nienawidziła oszustwa, a jej zająknięcia i wynikające z poczucia winy rumieńce raz po raz wpędzały ją i Dianę w kłopoty. Jednak dziś wypowiedziała kłamstwo spokojnym głosem, zaś ciemność ukryła czerwone policzki. Może więc mimo wszystko uda się jej zrealizować swój plan.

Lecz nie od razu.

Plan musi poczekać do czasu, aż mężczyzna odzyska przytomność, więc tymczasem mogła wrócić do domowych obowiązków. Otworzyła okno, by wpuścić do środka nieco świeżego powietrza, nałożyła szlafrok i wyniosła cuchnące naczynie. Nie mogła zostawić go, aby śmierdziało w korytarzu, wzięła więc mały kaganek i po cichu zeszła na dół, wysta-



wiając w końcu naczynie na zewnątrz, tuż za tylnymi drzwiami.

Wróciła do swojego pokoju, zabrała czysty nocnik spod swojego łóżka i postawiła go u boku leżącego. Czy powinna tu zostać na wypadek, gdyby znowu miał torsje? Nie, nie zostanie. Drań aż rozchorował się z przepicia, więc może rzygać bez jej pomocy! Zdegustowana wsunęła się do swojego łóżka, które zdążyło już ostygnąć i teraz było nieprzyjemnie zimne. Jednak po chwili znowu poczuła się jak pośmiewisko. Jak mogła przypuszczać, że chory do nieprzytomności mężczyzna obudzi się wyleczony i gotowy do amorów?

Co za niedorzeczność.

Jednak bardzo pragnęła, aby to właśnie się stało. Wtedy byłoby po wszystkim.

Obróciła się, ubijając dłonią poduszkę, ogarnięta jakimś nieokreślonym rozżaleniem...

I wtedy przypomniała sobie. Wcześniej myślała o swoim nudnym życiu. Zwykle nie nachodziły jej takie myśli. Miała cudowne życie. Troskliwego męża. Wygodny dom i dochodowy majątek, który dawał zatrudnienie wielu ludziom. Miała kochającą rodzinę i dobrych przyjaciół. Wypadek mógł sprawić, że zostałaby samotna na całe życie, ale Digby ocalił ją swoją propozycją małżeństwa.

Czymże jednak była samotność? Nawet osoba, która mieszkała w jakiejś społeczności, mogła zostać uznana za samotnika, gdyby tę społeczność opuściła. Gdyby Rosamunde ją opuściła. Gdyby się bała. Niedawna wyprawa do Harrogate była jej pierwszym wyjazdem z Wensleydale od ośmiu lat.

A więc? Obróciła się i znowu uderzyła pięścią poduszkę. Wielu ludzi z ukontentowaniem mieszkało przy dobrym domu. W Wensleydale byli tacy, którzy

w życiu nie wybrali się nawet do Richmond! Ale Rosamunde nie czuła się szczęśliwa, żyjąc w taki sposób, natomiast czuła się odgradzona od świata z powodu swojej twarzy.

Przesunęła palcem po bliznach z prawej strony oka. To nie one stanowiły problem, lecz długa blizna na policzku, przez którą chowała się przed ludźmi, chociaż rodzina i Diana powtarzali, że nie jest taka straszna.

Jednak nawet Digby wołał siadać po jej lewej stronie.

Kochany Digby. Jako przyjaciela jej ojca i „przyzywanego” wujka kochała go całe swoje życie. Lecz coraz częściej zdawała sobie sprawę, że nie kocha go tak, jak żona powinna kochać męża. Nie wiedziała tego w wieku szesnastu lat, nie miała pojęcia, jak źle będzie reagować na sytuacje, gdy on zechce domagać się swoich męzkowskich praw. Nie było to aż takie straszne, po prostu ona i sir Digby Overton nie byli stworzeni, by robić razem takie rzeczy.

Doznała ulgi, gdy te małżeńskie akty ustały i znowu oboje mogli czuć się ze sobą naprawdę dobrze.

Aż do teraz.

Teraz musiała urodzić dziecko. Była to winna Digby'emu, Wenscote, wszystkim, którzy byli dla niej tacy dobrzy przez ostatnie osiem lat. Wstydziła się do tego przyznać, ale pragnęła Wenscote dla siebie. Nie mając dziecka, musiałyby opuścić majątek po śmierci męża. Porzucić swoje sanktuarium. Zostawić miejsce, gdzie miała władzę i obowiązki.

Digby był dobrym gospodarzem, lecz nie lubił zmian. To z inicjatywy Rosamunde założyli hodowlę owiec i zaczęli siać oziminę. Uporządkowała zajęcia gospodarskie - wyrób serów, przędzenie i tkanie - dbając o to, by każdy zatrudniony otrzymywał godziwe wynagrodzenie. Ponadto zajęła się swoją praw-

dziwą pasją - hodowlą koni. Wszystko to wynikało z nudy, lecz miała świadomość, że przypadkiem nadała swemu życiu nowy cel. Gdzie znajdzie podobne warunki, jeśli straci Wenscote? W niektórych kręgach uważano za wręcz niestosowne, by kobieta bezpośrednio zajmowała się hodowlą zwierząt.

Tak się sprawy miały. Nie była męczennicą, lecz działała w obronie własnych interesów. Oczywiście, jeśli zrealizuje swój plan, skorzysta na tym wielu ludzi, ale w głębi duszy wiedziała, że jej postępowanie podyktowane jest egoizmem.

Niech tak będzie. Miała wystarczający powód i sposobność.

Prawdziwy ogier, stwierdziła w myślach. Była nawykła do oceniania tryków i ogierów, zaś ten tutaj był ładny i zdrowy. Czego więcej oczekiwać? Czy nadal mogła mieć nadzieję na spotkanie księcia z bajki na białym koniu? Książę z bajki na pewno oznaczałby kłopoty. Zaś ten pijany nicpoń zrobi swoje, jak Samuel - jej najlepszy tryk, po czym nie namyślając się, pójdzie do kolejnej owieczki.

Odwróciła się na plecy z ciężkim westchnieniem, żałując, że liczne problemy nie dają jej zasnąć. Nawet ona wiedziała, że młodzi mężczyźni nie rzucają się na każdą kobietę, którą napotykają na swojej drodze. To byłoby dobre! Zdusiła śmiech na myśl o wiejskim kermaszu, a nawet o kościele w niedzielę, gdzie wszyscy mężczyźni zachowywaliby się jak Samuel na łące pełnej płodnych owieczek. Ale to wcale nie było śmieszne. Musiała coś wymyślić. Czy powinna ubrać się prowokująco? Czy może być nago? Czy ona pierwsza powinna go dotknąć? Pocałować?

Jakże żałowała, że nie ma z nią Diany. Chociaż niezamężna, spotykała się z mnóstwem mężczyzn, z wieloma flirtowała. Wspominała nawet o książkach

opisujących intymne sprawy. Ona z pewnością wiedziałyby, jak zachęcić mężczyznę.

Nawet gdyby musiała pojechać do Arradale i przetrząsnąć całą bibliotekę w poszukiwaniu tych tajemniczych książek, nie zawaha się!

\*

Strach.

Leżał nieruchomo w ciemności, wspominając pośpnie, jak przez mgłę, stojących nad nim wrogów.

Cisza.

Obrzydliwa woń.

Wymiociny.

Niech to diabli! Przypomniał sobie żenujące sceny sprzed kilku godzin. Skompromitował się całkowicie w obecności kobiety.

Czy ona była prawdziwa?

Ostrożnie wyciągnął rękę i stwierdził, że jest sam. Bogu dzięki. Jednak to mu się przyśniło. Ale nadal czuł w ustach przykry smak, pamiętał diabelnie dobrze łagodny, ciepły głos.

Poczuł chłodny powiew i odwrócił głowę. O wiele mniej obolałą głowę. Zastłony poruszały się w ciemności, wpuszczając nieco światła z zewnątrz. Ktoś otworzył okno, aby odświeżyć powietrze.

Więc... kim ona była? I gdzie on się znajdował?

Chyba gdzieś na wsi. Mówiły mu o tym powietrze i cisza.

Kobieta wymieniła nazwę miejsca, ale i to mu umknęło. Gill-cośtam? Gillshaw?

Paliła go potrzeba wiedzy dającej poczucie bezpieczeństwa. Mimo że leżał wygodnie, otulony ciszą, trawił go lęk wywołany świadomością czającego się w cieniu niebezpieczeństwa.

Czy to było prawdziwe?

Nie wiedział.

Podobnie jak wciąż nie wiedział, kim jest. To wydawało się niedorzeczne, więc szukał gorączkowo w zakamarkach pamięci swojej tożsamości.

Odnalazł jedynie podobne do snu wspomnienia, których jednak uchwycił się jak ostatniej deski ratunku.

Jechał wiejską drogą w piękny, letni dzień.

Kiedy?

Stary kamienny dom, porośnięty bluszczem.

Gdzie?

Ptaki śpiewające pośród drzew. Niebieski płaszcz, poplamiony dotykiem o świeżą farbę.

Kołysał się w eleganckiej, solidnej karecie, przeglądając jakieś papiery. Zatrzymał się na tej myśli. Wskazywało to na pracowitego, sumiennego człowieka. Poczował, że to jest jego prawdziwy wizerunek, a nie pijak, który wylądował w łóżu jakiejsz nierządniczy...

Srebrny talerz na bogato zastawionym stole, lśniący w blasku świecy...

Oddychał szybko, usiłując przerwać tę szaleńczą walkę, by pozszywać skrawki w jakąś całość. Odczuwał niedającą się wyjaśnić pewność, że owe strzępy nie były ze sobą nijak związane.

Kim jest?

Jak się nazywa?

Nagle kurtyna odsunęła się i pojawiło się jego imię - jak psotne dziecko, które mówiło „Czy to mnie szukałeś?”.

Brand Malloren.

Jęknął z ogromną ulgą.

Nazywa się Brand Malloren.

Oswoił się z tą myślą, która przywołała wirujące niczym wstążki na wietrze szczegóły. Nazywał się Brand Malloren, był trzecim synem markiza Rothga-

ra. Starego markiza. Teraz najstarszy brat nosił rodowy tytuł.

Tamta suta kolacja była ostatnim posiłkiem, jaki spożył w Malloren House w Londynie przed podróżą na północ. Wstażki układały się w kompletny obraz, a on chciwie łapał każdy szczegół, szukając czegoś o sobie.

Widział zastawiony stół tak wyraźnie, jakby przy nim siedział. Srebrne półmiski pełne wykwinnych dań, wszystko spowite ciepłym światłem świec, chociaż przez okna wdzierał się jeszcze blask kończącego się, letniego dnia. Jego najstarszy brat, markiz, siedział u szczytu stołu, Cyn i jego żona, Chastity, po jego bokach, zaś Elf naprzeciwko. To był „elf”, o którym myślał już wcześniej. Jego siostra, Elfred. Sin to był Cyn, a Bright to Bright - Arcenbryght, drugi brat.

Jak dawno temu to było? Czy żona Bryghta urodziła dziecko? Czy wszystko poszło dobrze? Była trochę zbyt drobną kobietą, aby łatwo rodzić...

Usiłował przypomnieć sobie coś więcej, lecz wszystko między tamtą miłą kolacją a zaciemnionym pomieszczeniem, w którym się teraz znajdował, było jak niezapisana karta, zupełnie jak gdyby ten czas nigdy nie istniał.

Pamiętał jednak, że rozmawiali przy stole o wyjeździe na północ.

Czy teraz był na północy? Przypomniał sobie, że usłyszał nutę północnego akcentu w głosie kobiety, która jednak mówiła jak prawdziwa dama. Tak więc zapewne znajdował się w Yorkshire albo Northumberland. Ale gdzie? I kim była jego opiekunka? I co, do licha, mu się stało?

Zmusił się, aby usiąść i po chwili stwierdził, że ból w głowie da się jakoś wytrzymać. Masując sobie czoło, borykał się z myślą, że upił się do nieprzytomności.

Skoro nie mógł pokonać ciemności, która spowijała jego umysł, to przynajmniej był w stanie rozproszyc mrok panujący dookoła. Po omacku znalazł stół i poszukał świecy oraz pudełka z hubką i krzesiwem, które powinny się tam znajdować. Bez rezultatu. Sięgnął dalej i poczuł, o mgnienie oka za późno, jak jego dłoń ociera się o chłodne szkło. Zaklął, gdy naczynie spadło i roztrzaskało się na podłodze.

Wodził palcami po gładkim blacie, szukając czegoś innego, czegoś, co mógł wykorzystać jako broń. Po chwili uchyliły się drzwi i stanęła w nich blada postać, podświetlona od tyłu nikłym blaskiem dobiegającym z korytarza.

- Czy pan nie śpi?

Usłyszawszy znajomy, delikatny głos, niemal zaklął z ulgą.

Skąd u niego tyle panicznego strachu? Co cię z nim stało?

- Proszę pana?

Podeszła bliżej. Zrozumiał, że nie odpowiedział na jej pytanie.

- Nie, nie śpię. Nie podchodź. Na podłodze jest szkło, po prawej stronie łóżka.

Stanęła, ledwie widział jej szarą postać, gdyż zamknęła za sobą drzwi. Tłumiąc jęk, przypomniał sobie dotychczasowe wydarzenia. Najpierw zwymiotował. A teraz stworzył niebezpieczny bałagan. Najlepiej będzie, jeśli wyczołga się stąd jak najszybciej i nigdy nie wróci.

- Znowu panu niedobrze? - spytała. - Tutaj jest nocnik.

Pomyślał o tym i z ulgą stwierdził, że jest w stanie wydusić z siebie:

- Nie. Muszę ci bardzo podziękować za opiekę.

- To żaden kłopot. Szukał pan czegoś?

Swojej pamięci. Ale tego nie mógł jej powiedzieć.

- Jakiegoś światła.

- Jest środek nocy.

Jak miał jej wyjaśnić, że nagle odczuł lęk przed ciemnością?

- Przepraszam, że cię obudziłem. - Żałował, że nie pamięta jej imienia, nie pamięta, kim są dla siebie. W ogóle nic nie pamięta.

Zbliżyła się, podchodząc do łóżka z lewej strony. Patrzył, jak wyciąga bladą niczym u ducha rękę, aby położyć mu ją na czole, i przypomniał sobie jej miły dotyk.

- Czuję się dużo lepiej - powiedział.

Gładka dłoń. Dłoń damy, chociaż i wiele nierządnic miało delikatne ręce.

- Z pewnością gorączka już minęła.

- Mówiłaś, że jak nazywa się to miejsce?

- Gillsett.

Gillsett. Powtórzył tę nazwę w myślach, aby tym razem jej nie zapomnieć.

- A gdzie jest Gillsett?

- W Arkengarthdale.

To jedna z dalej położonych dolin Yorkshire. Kraina owiec. Dziwne, że pamiętał geografię i sposób uprawy ziemi, a nie wiedział, gdzie i dlaczego przebywał w ostatnim czasie. Nie wiadomo dlaczego, był jednak pewien, że nie miał do załatwienia w Arkengarthdale żadnej sprawy.

Musiał zadać oczywiste pytanie.

-A ty jesteś... ?

- Panna Gillsett.

A więc z pewnością przyśniło mu się, że miał w łóżku tę opanowaną, dobrze ułożoną damę. Panna Gillsett z Gillsett była niewątpliwie kobietą o dobrym sercu, w sensownym wieku i cnotliwą. Pewnie



by zemdłała, gdyby dowiedziała się, że wyobrażał ją sobie w swoim łóżku.

- A czy pan przypomniał sobie swoje nazwisko, sir? - spytała.

Wolał tego nie mówić, bo czuł się zażenowany, a poza tym nie lubił, jak ludzie się do niego przymi-  
lają. Nie miał jednak wyboru.

- Malloren. - Gdy nie zareagowała, uspokoił się nieco i dodał także imię. - Brand Malloren.

- Czy ma pan rodzinę albo przyjaciół, którzy mogą się o pana niepokoić?

W zasadzie nazywał się lord Brand Malloren, ale nie miał nic przeciwko temu, aby w tej wstydlivej sytuacji uważano go za prostego człowieka. Jednakże pytanie było samo w sobie interesujące. Gdyby rodzina wiedziała, że jest chory, z pewnością by się martwiła. Jednak przebywała daleko, zaś on towarzyszące mu osoby zostawił w Thirsk. Jeśli dopisze mu szczęście, ani rodzina, ani pracownicy nie dowiedzą się o tej żenującej przygodzie.

- Nie. Podróżuję samotnie w interesach.

I nagle rozwarła się kolejna zasłona. Przypomniał sobie niektóre sprawy. Wizytował majątki brata w Anglii. Sprawdzał rachunki i dbałość o ziemię. Spierał się z konserwatywnymi najemcami o zmiany. Sprawdzał programy hodowli i zbiory z eksperymentalnych upraw. Przypomniał sobie także, że często pozostawiał pracownikom rutynowe sprawy, a sam bez ostrzeżenia odwiedzał podejrzane lub szczególnie interesujące miejsca. Na myśl o tym poczuł ostry ból, jakby nadwreżył świeżą bliznę...

- Prowadzi pan interesy w tych stronach, panie Malloren? - Głos przerwał tok jego myśli, zanim zdołał zrozumieć, jaka była przyczyna tego bólu i dlaczego ta sprawa miała znaczenie.

- To przekleństwo! - Stłumił złość. - Przepraszam. Nerwy mnie ponoszą. Rzecz w tym, miła damo, że mam mętlik w głowie i nie pamiętam o sobie tyle, by stworzyć z tego jakąś sensowną opowieść. Co się ze mną stało?

- Nie wiem. Znalazłam pana nieprzytomnego przy drodze, na zupełnym odludziu. Był pan przemoczony do suchej nitki, a zbliżała się noc.

Wcale nie to się spodziewał usłyszeć.

- Przy drodze... w Arkengarthdale?

Wiedział o tych stronach dostatecznie dużo, aby wyrobić sobie pewien obraz. Zbocza pełne owiec, bagniste wrzosowiska. Porozrzucane tu i tam gospodarstwa, niewielki ruch na drogach.

- Wobec tego składam najszczerze podziękowanie za uratowanie mi życia, panno Gillsett. I jeszcze raz przepraszam za sprawiony kłopot.

Rosamunde stała, spoglądając na ledwie widoczną w ciemności postać. Diana zawsze twierdziła, że za bardzo kochała szczerość. Taka była prawda. Mogła jakiś czas grać komedię, ale potem prawda wychodziła z niej jak woda z kipiącego garnka. Podobnie stało się teraz.

Czy można było zrobić tę rzecz, przynajmniej częściowo opierając się na prawdzie?

- Naprawdę jest pan szczerze wdzięczny, panie Malloren? - usłyszała swój głos. Splotła mocno dłonie, poczuła łomotanie serca.

- Klnę się na mój honor.

Przełknęła ślinę.

- Czy wobec tego wyświadczyłby mi pan w zamian drobną przysługę?

Zawahał się przez ułamek sekundy.

- Jakże mógłbym odmówić?

- Może pan - zapewniła go. - Nie chcę, aby czuł się pan zobligowany, jeśli to się okaże dla pana niemożliwe.

- Więc powiedz mi, czego chcesz?

Niemalże wyrzuciła z siebie: „dziecka”. Chciała mówić prawdę, jednak zostało w niej na tyle rozsądku, żeby nie wypowiedzieć tego na głos.

A więc co powiedzieć?

Diana mówiła, że niektóre kobiety chcą mężczyzn dla nich samych. Dla samego aktu.

Ale jak można to było ubrać w słowa?

- Chcę... - Przychodziły jej na myśl jedynie owce.  
- Chcę zostać pokryta - wykrztusiła, po czym przerażona zakryła sobie dłonią usta. - Przepraszam. Pan z pewnością nie...

- Nie widzę przeciwwskazań - odparł dziwnie spokojnie. - Muszę jednak zwrócić uwagę, że może mieć to pewne implikacje, szczególnie dla niezamężnej kobiety.

Po chwili zastanowienia powiedziała:

- Nie jestem niezamężna.

- Aha. Więc jednak nie panna Gissett.

- Nie.

- Wdowa?

- Nie. - Prawda wypłynęła z niej, zanim zdołała ją zatrzymać.

- A więc zaniedbujący małżonek.

Zawahała się. Przecież na wiele sposobów Digby był najśłodszy, najlepszy z ludzi. Jednak dobrze wiedziała, co mężczyzna miał na myśli.

- Tak - powiedziała cicho, wciąż zakrywając dłonią usta.

Nagle zrozumiała, jak to musi wyglądać w jego oczach, i poczuła, że oblewa się gorącym rumieńcem. Na pewno sprawia wrażenie kobiety głodnej

cielesnych uciech, tak zdesperowanej, że gotowa jest złożyć propozycję obcemu mężczyźnie, którego znalazła pijanego na skraju drogi!

W tej chwili była gotowa uciec, ale przypomniała sobie, że taka przecież jest prawda. Zresztą, jakie miało znaczenie, co on o tym sądzi? I tak nigdy więcej się nie spotkają.

Milczał. Zapewne myślał sobie dokładnie to, co przypuszczała.

- Więc? - ponagliła go chropowatym głosem.

- Teraz? To niemożliwe. - Mruknął pod nosem coś, czego nie zrozumiała. I dobrze. Zepsuła wszystko dokumentnie.

- Byłaś dla mnie bardzo dobra - powiedział w taki sposób, jakby ważył każde słowo. - W zamian za to chętnie odwzajemnię twoją dobroć, droga damo. Ale wciąż głowa boli mnie jak diabli, mózg mi się gotuje, więc jeśli spróbuję się poruszyć, pewnie znowu zupełnie stracę pamięć.

Było oczywiste, że wciąż jest słaby i źle się czuje. Rosamunde miała ochotę wczołgać się pod łóżko w nadziei, że mieszka pod nim potwór, który chętnie ją pożre. Jednocześnie pragnęła, aby cała sprawa odbyła się i zakończyła jak najszybciej. Wtedy mogłaby nazajutrz wyprawić go z domu i na zawsze wyrzucić ze swojego życia.

Jednak to, czego pragnęła, nie miało znaczenia, podobnie jak jej zażenowanie i ogólnie negatywny stosunek do całego zdarzenia. Chciała jedynie, aby było już po wszystkim i aby pozostała w nadziei, że zostało poczęte dziecko. Wyszło wszakże na to, że zanim zostanie nierządnicą, będzie musiała wypełnić do końca rolę opiekunki.

- Jeśli boli pana głowa - powiedziała tak chłodno, jak tylko umiała - może chciałby pan proszek?

- Nie mogę ręczyć, że mój żołądek to wytrzyma, ale chętnie spróbuję.

Miał taki spokój w głosie. Czy nie był do głębi szokowany tym, co usłyszał?

Bo ona była.

- Wobec tego zaraz wrócę.

Kiedy wyszła, Brand położył się na poduszce i jęknął, jednak nie do końca z bólu. Do licha! Ale jakże mógł odmówić? Nie był nieprzywykły do sfrustrowanych żon, a gdy podobały mu się poza łóżkiem, to gotów był dawać im przyjemność także w łóżku, ale w tym wypadku...

Nawet nie wiedział, jak ona wygląda. Nie miało to wielkiego znaczenia, ale odczuwał w związku z tym pewien dyskomfort. No cóż, zanim nabierze sił na tyle, aby ją zaspokoić, światło dnia rozwieje tę tajemnicę. Nie było też istotne, że wcale jej nie zna. Bo i nie mógł szczerze powiedzieć, że dobrze znał wszystkie kobiety, z którymi spał. A o tej kobiecie wiedział jedynie tyle, że jest opiekuńcza.

Ze smutnym uśmiechem musiał stwierdzić, że najbardziej niepokoi go własna słabość. Nie przywykł zajmować się uwodzicielskimi kobietami w sytuacji, gdy leżał nagi, chory i cierpiący na zaburzenia pamięci.

Usłyszał, jak wraca, i obserwował jej mglistą postać, która po omacku sunęła przez pokój. Zapewne w jej pokoju było widno, więc teraz z trudem widziała w ciemności. Dlaczego więc nie przyniosła świecy ze sobą? Czy miała coś do ukrycia?

- Proszę - powiedziała, sapiąc cicho.

Ich dłonie spotkały się, gdy brał od niej szklanekę. Drgnęła. Po chwili jeszcze raz zamieszała łyżką zawartość naczynia.

- Jest gorzkie, ale działa. Proszę wypić do końca.

Posłuchał i niemal się zakrztusił, czując obrzydliwy smak.

- Zgroza!

- Nie wróci się?

Leżał nieruchomo.

- Mój żołądek właśnie rozpoczął ze mną polemikę w tej kwestii. Co to takiego?

- Głównie kora wierzbowa.

- Chyba jednak nocnik nie będzie potrzebny - rzekł po chwili. Chciał, żeby już sobie poszła. - Nie musisz stać nade mną.

Cofnęła się o kilka kroków.

- Dobrze. A więc, do jutra?

Zdusił jęk.

- Poproszę jedynie o śniadanie i szczotkę do zębów, a potem będę do twojej dyspozycji, droga pani.

Wyszła. Przestraszył się, że niezbyt dobrze dobrał ton swojej ostatniej wypowiedzi, ale co tam, do diabła, przecież prawie umarł, mózg miał jakby przekreślony przez wyżymaczkę, a w dodatku połknął coś, co smakowało jak śmiertelna trucizna.

Co ona sobie myślała? Że z niego jest jakaś machina do uprawiania seksu?

Zasnął i przyśniła mu się jakaś wychudła wiedźma. Przekręcała ogromny klucz, którego ruch powodował, że jego penis stopniowo powstawał i rozrastał się do przerażających rozmiarów.

## Rozdział IV

**R**osamunde zawsze budziła się wcześnie, i tym razem było podobnie, nawet po tej najbardziej niezwyklej i poruszającej nocy jej życia. Jednak dziś brakowało zwykłego entuzjazmu do nowego dnia. Zakrywszy dłońmi twarz, zastanawiała się, jakim sposobem zdobyła się na to, by wyrazić słowami swoją potrzebę w taki sposób.

Niech Bóg ma ją w opiece.

I tak musiała to jeszcze zrobić, chociaż cała odwaga opuściła ją z nastaniem dnia.

Wstała z łóżka i odciągnęła zasłony, nieco ożywiona pierwszym brzaskiem niosącego nadzieję, letniego poranka. Ptaszki śpiewały na całe gardło. Dobiegające z daleka odgłosy powiedziały jej, że Yockenthwaitowie już wstali.

Powiedział, że chce śniadanie i szczotkę do zębów. Oblała się rumieńcem na wspomnienie tonu jego głosu. Zażądała tej usługi jako płatności! Gdyby jakiś mężczyzna zaproponował jej podobne rozwiązanie, miałyby ochotę go zabić, nawet gdyby wcześniej ocalił jej życie.

Ale dla mężczyzn to było co innego.

Czyż nie?

Wyprostowawszy się, wzięła głęboki haust świeżego powietrza. Oczywiście, że tak. Często płacili za to, co ona proponowała obcemu mężczyźnie.

Ubrała się w najprostsza suknię, z jedną halką i lekkim gorsetem pod spodem. Gdy zostały jej do zapięcia już tylko haftki, poszła obudzić Millie.

Służąca otworzyła ciężkie powieki.

- Co się... ? To milady? Która godzina?

- Jeszcze wcześniej, ale muszę się z tobą rozmówić, Millie. Zapnij mi haftki.

Służąca uniosła się, poprawiła wielki czepek, który w nocy zsunął się jej z czubka głowy, i zabrała się do dzieła.

- Tak, milady? Czy chodzi o tego mężczyznę? Pogorszyło mu się?

- Nie pogorszyło. Posłuchaj. Powiedziałam mu, że to miejsce nazywa się Gillsett, ja zaś jestem pani Gillsett.

Millie zapięła po omacku kolejne trzy haczyki.

- Dlaczego?

- Nieważne dlaczego. Po prostu pamiętaj, aby podtrzymać tę wersję, jeśli chcesz mi z nim pomóc.

- Przecież nie może się pani opiekować kimś takim, milady!

- Już się nim zaopiekowałam. - Mając już zapiętą suknię, Rosamunde wstała i odwróciła się. - W nocy miał torsje.

- Trzeba było mnie zawołać, to bym się nim zajęła, milady!

Rosamunde była w stanie wyobrazić sobie, jak to by się odbyło.

- To nie wydawało się konieczne. Ale zostawiłam nocnik na zewnątrz, przy tylnych drzwiach. Jeśli Yoc-kenthwaitowie jeszcze go nie uprzątnęli, ty to zrób.



Najważniejsze jest to, abyś nie powiedziała mu, gdzie naprawdę się znajduje.

- Skoro pani tak mówi, milady. - Rosamunde usłyszała wyraźne oszołomienie w głosie służącej, ale wiedziała, że Millie nie będzie tracić energii na zbędne pytania. Teraz z trudem wygrzebała się z łóżka, odziana w kilka warstw nocnej bielizny. - Zaraz się ubiorę i zobaczę, co z tym nocnikiem.

Rosamunde zeszła na dół, usiłując poukładać sobie w myślach plan działania. Jeśli Millie będzie się zajmowała gościem, to niczego nie wypapla, ale czy będzie pamiętała, by nie tytułować Rosamunde „milady”?

Cóż, mogłaby być lady Gillsett. Żoną... sir Archibalda Gillsetta. Sir Archibald mógł być już wiekowym człowiekiem i spędzać większość czasu zażywając kąpieli leczniczych w Harrogate lub Matlock.

Dlatego właśnie była zaniedbywaną żoną.

Spodobała się jej ta nowa tożsamość. Lady Gillsett, odważniejsza, bardziej szalona kobieta niż Rosamunde, lady Overton. Lady Gillsett nie odczuwałaby motylków w brzuchu na myśl o mężczyźnie, który czekał na górze, i o tym, co się miało wydarzyć. Raczej oblizywałyby szkarłatne usta w niecierpliwym oczekiwaniu.

Więc kiedy to się stanie? Po śniadaniu? Rosamunde zamarła u podnóża schodów, przyciskając dłońią motylki. Przecież to oznaczało za dnia!

Rzeczy, które wydawały się możliwe nocą, w świetle dnia były zgoła niemożliwe. Rosamunde i Digby robili to tylko pod osłoną nocy. Z drugiej strony, nie była zupełnie pewna, czy będzie mogła zatrzymać mężczyznę na kolejną noc. Jeśli wydobrzeje na tyle, aby... zrobić to, czego chciała, to będzie również w stanie wyruszyć w drogę.

Mogła go zatrzymać pod kluczem.

Uwięziony kochanek, pomyślała, kładąc dłoń na ustach, by stłumić dziki chichot.

Lady Gillsett zrobiłaby tak bez mrugnięcia okiem. Lady Gillsett zapewne podrywała przystojniaków w całej okolicy, by - wykorzystawszy - bez wahania ich porzucić, nie poświęcając im nawet jednego spojrzenia. Rosamunde szła przed siebie, starając się poruszać jak lady Gillsett, przekrzywiając kokieteryjnie głowę i kołysząc biodrami. Zatrzymała się przed lustrem w holu, aby sprawdzić efekt.

Przewróciła oczami. Nawet z nieuszkodzonej strony wyglądało to śmiesznie. Zawsze była oznaką zdrowia, w jej orzechowobrazowych lokach i okrągłych, rumianych policzkach nie można się było dopatrzeć cienia niegodziwości. Spróbowała ukryć swe niebieskie oczy pod zmysłowymi rzęsami, lecz wtedy wyglądała na wpeł śpiącą! Pomyślała, że gdyby miała głęboko wyciętą suknię, mogłaby pochwalić się swym obfitym biustem. Ale takiej sukni nie miała, więc zrobić tego nie była w stanie.

Przypomniała sobie, że on wyraził zgodę. Więc nie musiała go dodatkowo uwodzić.

W kuchni panował już poranny rozgardiasz, z garnków buchała para, od strony paleniska roznosił się zapach świeżo pieczonego chleba i smażonego bekonu. Szczupła młoda pokojówka sprzątała talerze po śniadaniu, które mężczyźni najwyraźniej już zjedli i udali się do swoich zajęć. Pani Yockenthwait ubijała silną pięścią ogromny kawał chlebowego ciasta.

- Wcześniej pani wstała, milady. Za chwilę Jessie nakryje do stołu w jadalni.

Rosamunde usiadła przy prostym kuchennym stole.

- Chętnie zjem tutaj, pani Yockenthwait.

Kobieta uniosła brwi. Zakryła gliniany garnek ścierką i postawiła go przy palenisku.

- No dobrze. Jessie, daj na stół lepszą porcelanę. Rosamunde wiedziała, że lepiej nie nalegać, aby śniadanie podano na talerzach, jakich zwykle używała służba. Chciała jedynie zaoszczędzić im pracy, jednak właściwy porządek musiał być zachowany.

Gdy pokojówka poszła po naczynia, pani Yockenthwait umyła ręce.

- Czy zaglądała pani do tego mężczyzny, milady? Ja nie miałam jeszcze czasu.

- Miał torsje w nocy, a potem dałam mu proszek na obolałą głowę. Od tamtej pory śpi i nabiera sił.

- Tak, spostrzeżliśmy nocnik. Czy to pani zniosła go na dół? Trzeba było obudzić kogoś z nas.

Rosamunde wzięła kawałek chleba, jaki pozostał ze śniadania posilających się wcześniej mężczyzn, i posmarowała go masłem.

- Proszę się o niego nie martwić, pani Yockenthwait. Ja z Millie zajmujemy się nim.

W tym momencie do kuchni wtoczyła się owinięta szalami Millie i podeszła do tylnych drzwi. Jednakże szybko wróciła, co oznaczało, że nocnik znikł.

- Co mam następnie zrobić, milady?

Rosamunde zdusiła uśmiech na dźwięk słowa „następnie”. W ustach Millie zabrzmiało to tak, jakby zdążyła się już ciężko napracować.

- Siadaj i zjedz śniadanie - powiedziała.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że to niezgodne z etykietą. Młoda Jessie właśnie przyniosła porcelanowe naczynia, a teraz należało wziąć pod uwagę również Millie.

Pokojówka postawiła zastawę dla Rosamunde i poszła po drugie nakrycie. Pani Yockenthwait skrzywiła się z niezadowoleniem. Ech, jak często dobre intencje tworzą skomplikowane problemy.

- Millie - odezwała się Rosamunde - powieś czajnik nad ogniem na herbatę. I pomóż Jessie naszykować śniadanie.

Ta decyzja przywróciła właściwy porządek świata. Atmosfera w kuchni wróciła do normy.

- Czy on powiedział, kim jest, milady? - spytała pani Yockenthwait, przygotowując tacki na chleb.

Rosamunde niemal powiedziała prawdę, ale uznała, że im mniej osób będzie znało jego imię, tym lepiej.

- On nie pamięta. Ani nawet tego, jakim sposobem znalazł się w rowie przy drodze.

- Nic dziwnego, skoro był pijany jak bela. Lepiej nie spoufalać się za bardzo z takimi jak on, milady.

Spoufalać! Rosamunde wiedziała, że się czerwieni.

- On jest naprawdę nieszkodliwy. Bardzo się wstydził i przeproszał. Bez względu na to, dlaczego się tak upił, jestem pewna, że to nie było dla niego typowe zachowanie. Sam tak powiedział.

- Może i tak - rzuciła sucho gospodyni. - Co prawda ma eleganckie szaty - przyznała po chwili. - A raczej miał. Już prawie wyschły. Kazałam Jessie wyczyścić je szczotką i wilgotną szmatką. - W kuchni rozległo się skwierczenie smażonego bekonu i jajek. - Pewnie będzie chciał zjeść śniadanie.

Rosamunde nie mogła dopuścić, aby któraś ze służących przyjęła na siebie to zadanie.

- Gdy zjemy, sama to sprawdzę.

Szybko pochłoneła posiłek, zresztą i tak nie miała apetytu. Chciała pójść do Mallorena, zanim przed nią zrobi to ktoś inny. Kiedy skończyła, mimo protestów obecnych kobiet sama ustawiła na tacy potrzebne rzeczy. Smażone jajka i bekon mogły jeszcze raz naruszyć równowagę jego żołądka, wybrała więc chleb posmarowany masłem i miodem. Posta-

wiła też kubek herbaty z mlekiem, celowo wybierając naczynia z zastawy dla służby. Na spodku ułożyła dwie kostki cukru.

- Zaniosę to i dowiem się, czego jeszcze mu potrzeba.

- Ależ milady... - powiedziała pani Yockenthwait. Millie nawet podniosła się na nogi.

- Ja to zrobię! - zawołała Rosamunde z uśmiechem i szybko ruszyła na górę.

Lecz gdy znalazła się na piętrze, przystanęła, by zebrać się na odwagę i by pomyśleć. Nie wolno jej było popełnić jakiegoś głupiego błędu.

Nagle aż podskoczyła, niemalże rozlewając przy tym herbatę, gdy zrozumiała, że właśnie była o krok od największej pomyłki.

Przecież on nie może zobaczyć jej twarzy!

Tylko częściowo wynikało to z jej wstydu przed ukazaniem blizn. Malloren nie mógł się dowiedzieć, kim ona jest. Gdyby z jakiegoś powodu próbował ją odszukać, w Gillsett natknąłby się na ślepy zaułek. Potem może sobie szukać w całym regionie przez wiele lat - gdyby był na tyle szalony - i nigdy nie znaleźć tego małego domu. Lecz gdyby zaczął wypytywać o kobietę z bliznami...

Postawiła tacę i pobiegła do swego pokoju po maskę, którą nosiła na maskaradzie. Spojrzawszy na nią, skrzywiła się. Szkoda, że ją pomazała farbami. Domalowała wygięte brwi, zaróżowiła policzki, zaznaczyła na nich dwa modne pieprzyki. Cóż, było to stosowne na dekadencją, grzeszną maskaradę, ale teraz... ?

Ujrzała to, czego się obawiała: groteskową twarz lalki.

Wzruszyła ramionami. Nic na to nie poradzi, a musiała przecież dopiąć swego. Zaniosiła tacę do jego po-

koju, opierając ją o biodro, by kluczem otworzyć drzwi.

W widnym już pokoju ujrzała, że łóżko jest puste...

Niemal w tej samej chwili zobaczyła go. Stojąc przy oknie, odwrócił się gwałtownie. Wokół bioder miał przewiązany ręcznik. Niezbyt duży ręcznik.

Rosamunde niemalże upuściła herbatę i tosty na podłogę.

- Przepraszam - odezwał się z szelmowskim uśmiechem, najwyraźniej rozbawiony. - Czy mam wskoczyć z powrotem do łóżka?

Wbiła wzrok w ścianę.

- Jeśli łaska.

No tak. Tyle na temat lady Gillsett!

Zmusiła się, by odważnie spojrzeć na niego, gdy podszedł do łóżka i wślizgnął się pod pościel, dyskretnie odrzucając ręcznik. Wzrok lady Gillsett z pewnością ucieszyłby każdy cal jego ciała. Rosamunde musiała przyznać, że i jej ten widok sprawiał przyjemność. Już wcześniej, gdy był nieprzytomny, stwierdziła, że jest dobrze zbudowany, lecz teraz, kiedy się poruszał, sprawiał jeszcze lepsze wrażenie. Zanim zdążył się dobrze przykryć, ogarnęło ją właściwe lady Gillsett uczucie żalu.

Dopiero wtedy zaczął ją zastanawiać jego niezwykły spokój. Złękła się trochę. Pomiedzy pierwszym a drugim przebudzeniem zapomniał nazwę miejsca, gdzie rzekomo przebywał. Co będzie, jeśli teraz się okaże, że zapomniał o danej nocą obietnicy?

Czy będzie musiała jeszcze raz przejść przez to wszystko?

Opanowując nerwy, przyniosła tacę i postawiła mu ją na kolanach.

Przytrzymał ją ręką.

- Już lepiej? - Oczywiście, drażnił się z nią, lecz zarazem był chyba trochę zaintrygowany. Czyżby jednak pamiętał?

- Przestraszył mnie pan.

- Nie mogłem znaleźć ubrania.

- Jest w kuchni. Próbujemy je oczyścić i wysuszyć, jak najlepiej się da. - Nerwowo ugniatała spódnicę, nie mogąc się opanować. - Znaleźliśmy pana w rowie pełnym błota.

Popatrzył uważnie na tacę, wreszcie wziął trójkątny kawałek chleba posmarowany miodem.

- Szkoda, że nie mogę sobie przypomnieć, dlaczego i jak się tam znalazłem. Mogłem się utopić, gdybym upadł twarzą do ziemi, a w przeciwnym razie pewnie umarłbym z zimna. Pani Gillsett, jestem ci winien dozgonną wdzięczność.

Czy to odnosiło się do ich niecnego planu? Nie była pewna, czy umiałyby rozegrać to od nowa, od samego początku, szczególnie w świetle dnia.

- Przyniosłam chleb i herbatę, ale jeśli pan chce, możemy przygotować coś konkretnego.

Posłodził herbatę i zamieszał łyżeczką.

- Chętnie przyznałbym się, że jestem głodny, ale chciałbym najpierw sprawdzić, jak reagują moje trzewia. - Uniósł wzrok. - Bardzo przepraszam, że w nocy tak paskudnie chorowałem.

Mówił szczerze. Pomyślała, że musi się czuć zawstydzony.

Ale z jakiego powodu? Swoich torsji? Czy też innych rzeczy?

- Pamięta pan?

- Owszem.

Splotła mocno dłonie.

- Wszystko?

Spoglądając na nią, popijał wolno herbatę.

- Tak, wydaje mi się, że pamiętam wszystko.
- To dobrze.

Nieznacznie uniósł brwi, po czym wrócił do przerwane go śniadania.

Czy tylko tyle miał do powiedzenia? Chciała spytać, czy naprawdę zamierzał to zrobić. I kiedy. I jak...

- Czy ta maska jest konieczna? - odezwał się.

Dotknęła jej.

- Nie chcę, aby zobaczył pan moją twarz.

- Wobec tego domniemywam, że nie jesteś panią Gillsett z Gillsett.

Serce Rosamunde zamarło na kilka chwil.

- Dlaczego pan tak myśli?

- Skoro znam już two nazwisko i miejsce, jaki sens ma ukrywanie twarzy?

Miał rację! Powinna była się domyślić, że wszystko popsuje. Próbowwała odzyskać równowagę.

- Nie sądziłam, że wróci pan tu, aby mnie odszukać.

- Tym bardziej ta maska jest niepotrzebna.

Gorączkowo szukała wyjaśnienia.

- Gdybyśmy kiedyś minęli się na ulicy - rzekła - albo spotkali się na jakimś zgromadzeniu? Wolałabym, aby mnie pan nie rozpoznał. - Przypomniała sobie wyrażenie, którego czasami używała Diana. - Takie małe dziwactwo. Niechże mi pan ustąpi.

Podziałało. Wzruszył ramionami i powiedział:

- Zawdzięczam ci życie, więc oczywiście ustąpię. - Uniósł wzrok. - Na wszelkie sposoby.

Chociaż tego właśnie chciała, niemalże pisnęła, niczym przyparta przez kota do ściany mysz.

Patrzyła, jak jadł, w końcu odsunął od siebie tacę.

- Chyba nie będę zwracał, ale obawiam się, że nie czuję się jeszcze na tyle dobrze, by się odwdziaczyć. Czy mogę liczyć na szczotkę do zębów? - Potarł dłonią szczękę. - Bardzo przydałaby się też brzytwa.



Słyszając te prozaiczne prośby, Rosamunde miała ochotę się rozpłakać. Zaraz pewnie zechce się z nią umówić na, powiedzmy, wpół do drugiej po południu!

- Oczywiście - wydusiła z siebie po dłuższej chwili. - Może pan pożyczyć sobie moją szczotkę i proszek. Każę też przynieść ciepłą wodę do mycia. Co do brzytwy, pewności mieć nie mogę.

- To twój mąż się nie goli?

O Boże. Jak miała na to odpowiedzieć?

- Oczywiście, że się goli. Ale wyjechał i na pewno zabrał ze sobą wszystkie brzytwy. Mimo to sprawdzę!

Uciekła, zamykając za sobą drzwi na klucz, jakby w obawie, że on może pobiec jej śladem. Nie ma mowy! Z pewnością opóźniał sprawę w nadziei, że ona zmieni zdanie.

Domyślił się, że podała fałszywe nazwisko. Targały nią mieszane odczucia. Bez względu na to, kim był, na pewno nie był głupcem. Oparła się o wyłożoną boazerią ścianę, przykładając dłoń do piersi. Diana miała rację. Maskarada byłaby o wiele prostszym rozwiązaniem.

Jednak nie żałowała, że wypadki potoczyły się właśnie w taki sposób.

Nie żałowała ani trochę, przypomniawszy sobie rozpalający wyobraźnię obraz jego niemal nagiego ciała. Targały nią grzeszne odczucia, lecz jeśli miała zrobić tę rzecz, chciała tego dokonać ze swoim przyzwojakiem.

Zdjęła maskę, włożyła ją do kieszeni, po czym potarła twarz, aby usunąć z niej wszelkie ślady. Sprawdziwszy swój wizerunek w lustrze, zbiegła do kuchni, gdzie kazała Millie zanieść mu szczotkę do zębów, proszek i ciepłą wodę do mycia.

- Aha, w nocy zrzucił szklankę na podłogę, więc uważaj, jak będziesz sprzątać. Zbierz wszystkie

okruchy szkła. - Spojrzała na gospodynię. - Pani Yockenthwait, czy znajdzie się dla niego jakaś brzytwa?

- Jest pani pewna, milady, że chce pani komuś takiemu dać brzytwę do ręki?

- Jest nieszkodliwy.

Mówiąc te słowa, Rosamunde miała świadomość, że mija się z prawdą. Pewnie nie wykorzystałby brzytwy w morderczych zamiarach, jednakże wyczuwała czające się w nim niebezpieczeństwo. Ciągnęło ją do niego, jak muchę do pajęczej sieci. Pomyślała, że bezpieczniej poczuje się dopiero wtedy, gdy pan Malloren zrobi, co trzeba, i zniknie z jej życia.

Tak, będzie bezpieczniejsza, choć niekoniecznie szczęśliwsza.

Pani Yockenthwait przyniosła brzytwę męża, zaś Rosamunde po cichu przypomniała Millie o ich małym oszustwie i wysłała ją na górę. Chciała pójść osobiście, ale mogło to wzbudzić zdziwienie. Tymczasem starała się znaleźć jakiś sposób, aby powstrzymać panią Yockenthwait przed złożeniem przybyszowi wizyty.

Nie wymyśliła jeszcze wiarygodnego kłamstewka, gdy do kuchni wpadła, dysząc ciężko, pulchna młoda kobieta z czerwoną twarzą.

- Ciociu Hester! Ciociu Hester! Carrie rodzi!

W tym momencie spostrzegła Rosamunde.

- Milady! - Dygnęła szybko.

- To moja siostrzenica, Dilly Beckworth - powiedziała pani Yockenthwait, marszcząc czoło. - Bardzo niedobra na to chwila. Powiedziałam, że pójde i pomogę, ale...

- Niech pani idzie, koniecznie! - nalegała Rosamunde, starając się nie dać po sobie poznać, że doznała ogromnej ulgi. - Jessie dopilnuje wszystkiego tutaj, a Millie jej pomoże. A ja i tak pewnie wyjadę jeszcze dzisiaj.

Po chwili zastanowienia pani Yockenthwait kiwnęła głową.

- No dobrze. Może pani w razie potrzeby posłać do dużego domu. Tylko wezmę trochę rzeczy.

Odeszła, zaś jej siostrzenica zaczęła kręcić się po kuchni.

- Czy Carrie to twoja siostra, Dilly? - spytała Rosamunde, aby ją uspokoić i odwrócić swoją uwagę od natrętnych, niepokojących myśli.

Dziewczyna ukłoniła się.

- Tak, milady. To jej pierwsze dziecko.

- Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

Jednak Rosamunde pomyślała, że rodzenie jest świetną okazją do plotek. Kobiety zbiorą się w dużym gronie i będą rozmawiać przez długie godziny oczekiwania.

- Jest już blisko rozwiązania?

- Chyba jeszcze nie, milady. Dopiero dziś rano dostała bólów.

A więc mogło to potrwać cały dzień.

W kuchni zjawiła się pani Yockenthwait.

- Dilly, zawracasz głowę lady Overton?

- Wcale nie - odparła Rosamunde. - Pytałam tylko o samopoczucie pani siostrzenicy.

- Z pomocą Bożą, wszystko będzie dobrze. To silna i zdrowa dziewczyna. - Spojrzała na Dilly. - Zaczekaj na zewnątrz. - Zostały same. - Trochę się obawiam, milady, zostawić tu panią z tym mężczyzną.

Rosamunde poczuła się zakłopotana, jak przed chwilą Dilly.

- Niepotrzebnie. Trzymam go pod kluczem. A jeśli zaczniesz sprawiać kłopoty, to przecież są w pobliżu mężczyźni, których mogę zawołać na pomoc.

Pani Yockenthwait spojrzała na nią w sposób właściwy mieszkańcom Yorkshire. Była w tym spojrze-

niu obawa, albo też podejrzliwość, co też Rosie Ellington naprawdę knuje.

Nie można było nic na to poradzić. Rosamunde zebrała się na odwagę.

- Pani Yockenthwait, tak sobie myślę, że lepiej by było, gdyby ludzie nie dowiedzieli się o nim. O tym mężczyźnie...

- Tak, milady?

Rosamunde starała się zachować spokój i opanowanie.

- Całą noc był nieprzytomny albo wymiotował, ale mimo wszystko. Wyglądałoby to dziwnie, gdyby ludzie się dowiedzieli. Moja reputacja...

Minęła chwila, wreszcie pani Yockenthwait pokiwała głową.

- Chyba ma pani rację, milady. Najlepiej zachować takie rzeczy dla siebie. Słyszałaś, Jessie?

- Tak, pani Yockenthwait.

- Rozmówię się też z mężem. A może pani, milady, powinna zamienić słówko ze stajennym i woźnicą.

- Tak właśnie zrobię. Dziękuję. - Rosamunde mówiła tak spokojnie, jak tylko umiała, lecz była pewna, że pani Yockenthwait wie.

Ze wie, co ona sobie zaplanowała.

I wie dlaczego.

Z tego właśnie powodu taka surowa, prawa kobieta gotowa była przymknąć oko w obliczu grzechu.

Gospodyni zdjęła fartuch, włożyła płaszcz i kapełusz, rzucając burkliwie rozkazy.

- Jessie, opiekuj się lady Overton. I pamiętaj, żeby włożyć chleb do pieca, gdy ciasto urośnie. A potem wyjmij go o czasie. I nie zapomnij przygotować szynkę na kolację. I zbierz fasolę. I...

W końcu zabrakło jej pomysłu na dalsze polecenia, więc zabrała przygotowany zawczasu koszyk i po raz ostatni popatrzyła uważnie na Rosamunde.

- Niech pani na siebie uważa, milady.

Rosamunde kiwnęła głową. Pani Yockenthwait wyszła.

Straszna była myśl, że gospodyni odgadła, co Rosamunde zamierzała uczynić. Z drugiej strony okazało się, że tutejsi ludzie mogą się okazać jej sojusznikami. Nikt w okolicy nie chciał, aby pojawiło się tu Nowe Państwo, zaś miejscowi - tacy, jakimi byli - nie mieli powiązania z żadną inną rodziną na tym terenie, łącznie z mieszkańcami Wenscote. Tym samym nie chcieli, aby obcy cokolwiek wiedzieli o ich sprawach.

Spojrzała ostrożnie na Jessie, ale ta zabrała się już do pracy. Być może niczego nie podejrzewała.

Normalnie w podobnej sytuacji Rosamunde próbowałaby rozładować napięcie, uspokoić dziewczynę, ale odpowiadało jej, by Jessie nie wyzbyła się lęku i pozostała na dole.

- Jessie, Millie i ja zajmiemy się tym panem. Nie ma potrzeby, abyś przychodziła na piętro.

- Tak jest, milady.

Tymczasem wróciła Millie.

- Zrobiłam tak, jak pani prosiła, milady, ale wie pani co? Ten nicpoń prawie nic na sobie nie ma! Nie godzi się, aby pani do niego chodziła.

Rosamunde oblała się rumieńcem, lecz szybko odzyskała pewność siebie i skorzystała z nadarzającej się okazji.

- Przykro mi, że cię to wzburzyło, Millie, lecz ja jestem kobietą zamezną, zaś ty i Jessie nie. Dlatego sama się nim zajmę. - Zanim Millie zdołała zaprotestować, Rosamunde dodała: - A tymczasem zobacz,

moja błękitna halka jest ubrudzona błotem. Spróbuj ją wyczyścić. A poza tym możesz popracować w kuchni, gdzie jest ciepło.

Millie uniosła brwi, lecz tak naprawdę nigdy nie była skora do kłótni. Wzruszyła ramionami i ciężkim krokiem wyszła, by poszukać halki. Rosamunde pobiegła do stajni i ostrzegła Garfortha i Toma, aby nie paplali o znalezionym przy drodze mężczyźnie. Gdy wróciła, Millie siedziała w pobliżu paleniska koło miski z wodą i kawałkiem mydła czyściła halkę swojej pani. Wszystko układało się tak jak należy. Musiałoby się wydarzyć coś naprawdę drastycznego, aby Millie wróciła na górę, zaś Jessie nie miała powodu, aby to zrobić.

Co teraz?

Rosamunde przeszła do salonu miotana niepewnością. Jakże ta niecodzienna sytuacja miała się do etykiety? W którym momencie powinna udać się na górę?

Co zrobiłaby lady Gillsett?

Bez wątpienia lady Gillsett byłaby już na piętrze, spoglądając pożądliwie na jego ciało, gdy się golił, gotowa rzucić się na niego przy pierwszej sposobności. Jednak Rosamunde czaiła się w salonie, cała odwaga ją opuściła, a jej miejsce zajęła trzęsąca się galareta.

Wyprostowała ramiona. Mimo drżących kolan zrobi to! I to teraz!

Poszła na górę i stanęła przed drzwiami, za którymi czekał w łóżku jej uwięziony kochanek. O Boże. Czuła się jak chrześcijanin w Koloseum, mający stawić czoło lwom.

Ocierając dłonie o suknię, rozmyślała, czy nie powinna raczej przebrać się w nocną koszulę. Lecz nie mogła. Nie mogła wejść tam w takim stroju za dnia.

Cokolwiek się stanie, musi przejść przez te drzwi.

Drżącymi palcami nałożyła i przywiązała maskę, lecz zanim przekręciła klucz, znowu musiała wytrzeć spocone dłonie.

Serce waliło jej jak młot, z trudem łapała powietrze.

Weszła do środka.

## Rozdział V

**L**eżał w łóżku obnażony do pasa, jakby się w ogóle nie poruszył, ale teraz był czysty i gładko ogolony, na jego ramionach kręciły się leniwie małe włoski. Spoglądał na Rosamunde beznamiętnym wzrokiem, odbierając jej resztkę odwagi.

Żeby tylko nie zemdleć! powtarzała w myślach, opanowując się nieco, jednak nagle uświadomiła sobie, że to wszystko jest po prostu niemożliwe do zrealizowania.

Poruszył nieznacznie brwiami i poklepał dłonią łóżko.

Nabrała głęboko powietrza, przypomniała sobie, że jest lady Gillsett, i podeszła bliżej, aby legnąć obok kochanka. Wciąż całkowicie ubrana.

O Matko. Czy powinna najpierw zrzucić odzienie?

Spojrzała po sobie, zobaczyła na pościeli swoje odrapane, proste pantofle. Przecież nie można uwieść kogoś, kto jest w butach. Pośpiesznie sięgnęła je i zrzuciła na podłogę, mając nadzieję, że tego nie zauważył.

Odziane w pończochy palce stóp wydawały się wstydliwie nagie.



Teraz zapewne powinna na niego spojrzeć. Lecz sama nie wiedziała, gdzie ma podziąć oczy. Malloren zerkał na nią zdziwiony i zaskoczony zarazem.

- Droga damo, jeśli chcesz ze mną pofikać w ramach zapłaty za twoją opiekę, chętnie ci to dam. Ale może powiesz mi, o co naprawdę ci chodzi?

Rosamunde poczerwieniała jak burak pod swoją maską. Niech go diabli. Mógłby być trochę głupszy.

Kusiło ją, by powiedzieć mu prawdę, że chce mieć dziecko. Jednak nie śmiała. Stawka była zbyt wielka, zaś jej cnota i reputacja miały tu najmniejsze znaczenie. Od tej chwili zależała przyszłość wszystkich ludzi związanych z Wenscote.

- Dlaczego poddaje pan w wątpliwość moje intencje?

- Bo nie widzę w tobie krzty pożądania.

Przyjrzała mu się uważnie. Miał mocną szyję, szerokie barki, pięknie rzeźbioną pierś. Poczowała delikatną woń zwykłego mydła...

- Odczuwam pożądanie - powiedziała szczerze.

Był to nieznany jej stan, lecz rozpoznała go. Lekki zawrót głowy, jakby serce odmawiało posłuszeństwa. Dziwne wrażenie, że każdy dotyk może sprawić jej ból.

Albo też niezupełnie ból...

- Może i tak. - Ujął jej dłoń i dotknął palcami obrączkę. - Jeśli to nie stanowi obrazy, chciałbym dowiedzieć się czegoś o twoim mężu.

Co?

Dlaczego?

Czy ten człowiek kiedykolwiek robi to, czego się od niego oczekuje? Czy był typowym mężczyzną, czy też złapała w sidła kogoś niezwyklego?

Ponieważ wydawał się w tej sprawie bardzo zeterminowany, powiedziała mu tyle prawdy, ile mogła. Wciąż gładził jej dłoń, co dodatkowo wyprowadzało ją z równowagi.

- Mój mąż to naprawdę dobry człowiek. Ale stary. On nie... - To mogło uruchomić ostrzegawcze dzwony. - On rzadko... no... egzekwuje swe męzowskie prawa.

Ucałował dłoń Rosamunde. Była pewna, że celowo zrobił to tuż przy obrączce.

- A ty chcesz mnie, tu i teraz?

Znowu otarł usta o jej palce. Taka mała rzecz, a tak bardzo pobudza.

- Tak - powiedziała, przekrzykując łomotanie serca. - Chcę cię tu i teraz.

Mówiła prawdę, lecz teraz było to coś więcej niż pożądanie.

Kierowała nią przemożna ciekawość.

Zawsze ciekawiło ją wszystko dookoła, a teraz chciała poznać właśnie to. Chciała wiedzieć, czy posiadała już wszelkie tajniki, czy też - jak podpowiadały jej instynkt, płoteczki i rozbudzone zmysły - było tego o wiele więcej.

Wciąż bawił się jej palcami.

- Czy teraz jest bezpiecznie?

- Tak.

Ponownie uniósł jej dłoń i złożył delikatny, długi pocałunek w okolicy kłykci, potem przesunął usta w kierunku wewnętrznej strony nadgarstka. Poczwała na skórze wilgotny język.

- Dobrze.

Wstrzymując oddech, czekała na coś porywającego, gorącego niczym tajemnicza tęsknota, czająca się gdzieś w głębi jej duszy. Tymczasem on po prostu odwrócił ją plecami do siebie.

- Zdejmijmy to.

Spokojnie, wprawnie zaczął odpinać haftki jej sukni.

Zaskoczona jego rzeczowym tonem, gwałtownie przytrzymała gorset, gotowa stawić opór. Zmusiła

się do uległości, ale czy to wszystko musiało być aż tak bardzo pragmatyczne?

W ciągu następnych minut kilka razy niemal stchórzyła. W nocy, w łóżku, pośród ciemności, odziana w koszulę, była lepiej przygotowana. A teraz stała w świetle dnia, rozbierana przez obnażonego, obcego mężczyznę!

W końcu wyrwała się i zeskoczyła z łóżka, aby zdjąć halkę i pończochy, zostając jedynie w luźnej, prostej, wiązanej pod szyją bawełnianej koszuli z rękawami do łokci. Wisiała na niej jak płachta, zakrywając kolana, lecz Rosamunde czuła się naga, bezwstydnie wyeksponowana.

Odważyła się zerknąć na Mallorena, by sprawdzić, jak on na to reaguje.

Te wszystkie historie o lubieżnych, niezaspokojonych mężczyznach można było włożyć między bajki! Oto leżała niemal naga w jasnym dziennym świetle, on zaś był tak zainteresowany i podniecony jak... jak pasterz patrzący na owce! Czyżby to wszystko nie miało sensu? Jęknęła w myślach. Nie. Problem leżał w tym, że zapominała być lady Gillsett. Chętna kochanka nie zachowywałaby się w taki sposób.

Ponownie zapragnęła wpełznąć pod łóżko.

Przypomniała sobie ponuro, że nie miało znaczenia, czy okaże się śmieszna, czy on w ogóle jej pożąda. Najważniejsze, by została brzemienna.

Poza tym on jej to obiecał.

Jakby sam doszedł do podobnego wniosku, odsunął pościel. Wślizgnęła się do środka, starannie obciągając koszulę...

Znowu to samo! W nocy podciągnęła koszulę do góry i przytuliła się do niego. Teraz leżała sztywno, okryta, odsunięta daleko, na samą krawędź łóżka, ledwie unikając upadku na podłogę.

Brand spoglądał z niepokojem na swoją tajemniczą kochankę. Zanedbywane przez mężów żony, które szukały mężczyzn gotowych zaspokoić ich kobiece potrzeby, to było jedno. Ale co miał sobie myśleć o zaistniałej sytuacji?

Nie miał wątpliwości, że ta kobieta ocaliła mu życie, przypomniał sobie, jak delikatnie opiekowała się nim w nocy. Miał wobec niej dług, a ona określiła sposób płatności, na który było go stać. Nie powinien się wycofać, mimo że czuł dziwny dyskomfort i niepokój wywołane jej zachowaniem.

Przypomniał sobie strach, który ogarnął go przy przebudzeniu. Czyżby to było istotą obecnego stanu? Z nastaniem dnia lęk ustąpił, lecz nie do końca. Być może właśnie ów lęk i brak wspomnień wywoływały ogarniający go niepokój.

Czy to jakaś pułapka?

Dlaczego?

Szantaż?

Trudno wyobrazić sobie, na czym miałby polegać.

Próba uwikłania go w małżeństwo?

Mąż mógł być wytworem wyobraźni, chociaż obrączka wyglądała na noszoną od paru dobrych lat. Kobieta mogła być również wdową. Jeśli nawet, czy sądziła, że zaciągnie go do ołtarza w taki sposób? A może w kluczowym momencie do pokoju wtargnie jej rozwścieczony krewny i postawi sprawę jasno: ślub albo pojedynek. Z prawdziwym żalem będzie musiał stanąć do walki, a jeśli okaże się to konieczne, będzie musiał zabić.

Albo też intruz, mając prawo czuć się do tego sprowokowanym, po prostu dźgnie go nożem w plecy?

Lecz kto, do diabła, mógłby chcieć go zabić? Rodzina miała wrogów pośród wysoko postawionych osób, ale trudno było przypuszczać, by któryś z nich zapuścił się za nim aż tutaj, na daleką północ. Poza tym, to jego brat, markiz, zajmował się wrogami rodziny. Jako zarządca majątku Brand nie angażował się w polityczne machinacje brata. Nie, te trudne do wytłumaczenia obawy były wynikiem tego, co mu się przytrafiło ostatniej nocy, nie miały nic wspólnego z tą biedną kobietą. Nie mogły przeszkodzić w nagrodzeniu jej za opiekę, hojnemu nagrodzeniu w sposób zgodny z jej oczekiwaniami.

Chciałby tylko wiedzieć, czego ona tak naprawdę chce.

Pomyślał cierpko, że pozostaje mu jedynie postępować powoli, aby ona mogła w każdej chwili się wycofać, jeśli zmieni zdanie. To nie będzie trudne. Mimo że miała dobrą duszę i ponętne ciało, nie od razu będzie mógł wykrzesać z siebie prawdziwy entuzjazm, zwłaszcza że jej twarz była ukryta pod tą groteskową maską.

Na początek wziął ją w ramiona. Przez moment leżała sztywno, lecz po chwili rozluźniła się, niemalże wtulając się w niego. To dobrze.

Gdy już oswoiła się z jego dotykiem, zaczął głaskać i smakować jej gładką skórę, poczynając od mniej wrażliwych miejsc, by wreszcie sięgnąć pod koszulę Rosamunde.

Nie protestowała.

Sprawiło mu to dużą przyjemność. Zawsze lubił czuć miękkie kobiece krągłości, satynową skórę, ciepły zapach intymnych miejsc. Maską w miejscu ust miała jedynie wąską szczelinę, co uniemożliwiało pocałunki. Szkoda, ale może z biegiem czasu kobieta zrelaksuje się na tyle, że ją zdejmie. A może nałoży-

ła ją celowo właśnie z tego powodu? Dla niektórych kobiet pocałunki stanowiły wyższy stopień intymności niż seks.

Wkrótce w ogóle przestała się opierać. Sycił nią swoje zmysły. Była taka zgrabna, miękka. Przyjemnie zaokrąglona, lecz jędrna, jak doskonały owoc. Takie właśnie kobiety lubił. Mimo że zachowywała się biernie, czuł, jak reaguje, gdy tulił ją do siebie.

Jaka szkoda, że tak cudowne stworzenie marnuje się u boku człowieka, który jej nie docenia.

Uwolnił jej pełną pierś spod rozwiązanej pod szyją koszuli. Oddychając głęboko, zaczął ją pieścić.

Czysta doskonałość.

Zaskoczona i zdumiona Rosamunde pozwoliła mu, aby bawił się nią jak szmacianą lalką. Sama nie wiedziała, czego się spodziewała - raczej bezpośrednich usiłowań w stylu Digby'ego, lecz żywszych, jako że Malloren był przecież znacznie młodszy. Jednak nie oczekiwała tych wszystkich dotyków, głaskania, lizania.

W pewnej chwili poczuła lęk. Kiedy w końcu przejdą do sedna sprawy? Jego dłonie błędziły wszędzie, lecz nie tam, gdzie trzeba, a jeśli nawet, to przecież dłonią nie można było dokonać samego aktu.

Jednak te wprawne dłonie robiły coś innego, co sprawiało, że pragnęła zadrzeć. W końcu naprawdę zadrzała.

- Podoba ci się to? - spytał.

Czy się podoba? Nie myślała o tym w takich kategoriach. Chciała, żeby zabrał się do dzieła!

- Tak - odparła, aby go zachęcić. I natychmiast zdała sobie sprawę, że powiedziała mu prawdę.

Podobało jej się to.

A niech to! Zamiast czekać w napięciu, aż dopełni się straszliwy akt, delektowała się dotykiem tego

mężczyzny. Jego całe ciało, ciepłe i szorstkie, ocierało się o nią, czyniąc z niej pluskającą z cichym szmerem wodę, ogrzaną jego ciepłem, oszołomioną jego zapachem...

Niech Bóg ma ją w swojej opiece! To ulotne, gorączkowe odczucie musi być pożądaniem - ogniem, który inspiruje poetów i różnych nicponi, prowadzącym mężczyzn i kobiety do grzechu i nieszczęścia. To była właśnie owa tajemnica, której istnienie przeczuwała, lecz nigdy dotąd nie doświadczyła.

Tutaj.

Spojrzała na niego, chciała wyrazić słowami swój zachwyt, lecz nie mogła, owładnięta uniesieniem, gdy pieścił jej piersi. Patrzyła, jak całował jedną z nich raz po raz, obejmował dłonią jak owoc, który chciałby zjeść.

Ją zjeść.

Miał na nią apetyt.

Ona też czuła głód, by całować jego wargi. Wsunęła palce w jego włosy, przyciągnęła bliżej głowę.

Dopiero wtedy przypominała sobie o masce.

Odsunął się z uśmiechem.

- Czy możemy już odrzucić tę zasłonę? Możesz mi zaufać. Będę dyskretny...

Zaczął pociągać sznurek, lecz chwyciła go za rękę.

- Nie!

Znieruchomiał.

- Zaufaj mi.

Zawahała się, myśląc z bólem o jego szczerym pragnieniu, o tym, że jednak sama nie może być z nim szczerą. Poczuła się tak, jakby oblała ją lodowata woda, gdy przypomniała sobie, co kryje się pod maską. Nie chodziło jedynie o jej tożsamość, ale także o pokiereszowaną twarz.

- Nie - powtórzyła stanowczo.

Wzruszył ramionami.

- Więc nie będziemy się całować w usta - powiedział i pocałował jej pierś.

Tłumiąc okrzyk, Rosamunde opadła bezwładnie i przycisnęła go do siebie. Zaśmiał się cicho, dotykając ustami jej wilgotnej skóry.

- Obawiam się, że twój mąż nie tylko cię zaniebduje, ale jest zwykłym ignorantem, moja słodka.

Digby? Digby powinien był robić takie rzeczy?

Czasami ścisnął jej piersi, ale nigdy tego nie lubiła. Na pewno nigdy nie robił takich rzeczy jak ten mężczyzna. Teraz czynił te same cuda z drugą pierśią.

Pobudzona gwałtownie tym dotykiem rozeźmiała się cicho. Rozpoznała przemożną siłę natury, której wcześniej nie było dane ujrzyć dziennego światła. Uniósł na nią śmiejące się oczy, jakby jej śmiech sprawił mu prawdziwą przyjemność. W końcu delikatnie, jakby pytająco, dotknął tego najważniejszego miejsca.

W odpowiedzi rozchyliła nogi, lecz on jej nie pokrył, nie wszedł w nią. Po prostu ją pieścił. Zapominając o dumie czy godności, chwyciła go kurczowo w niemym błaganiu. Po raz pierwszy w życiu naprawdę zapragnęła poczuć w sobie mężczyznę. Była to niezwykła żądza, niezaspokojony głód, niemalże instynkt, którego nie mogła odrzucić.

A on tylko dotykał ją i pieścił.

- Teraz - nakazała mu. - Zrób to teraz! Teraz!

Spojrzał na nią rozpalonym wzrokiem, z lekka żartobliwie.

- Jesteś pewna?

Nie było to poważne pytanie, więc nawet nie próbowała odpowiedzieć. Z uśmiechem położył się na niej.

Powoli wniknął do jej wnętrza.



Nareszcie.

Delektowała się każdym calem jego ciała, lecz wtem, zaskoczona rozmiarem doznania, krzyknęła głośno. Śmiejąc się, zakrył dłonią usta na masce.

- Ciii. Mimo że według ciebie jesteśmy bezpieczni, nie możesz krzyczeć i jęczeć na całe gardło.

Rosamunde zakryła sobie usta ręką, bo po raz pierwszy potrafiła sobie wyobrazić, jak krzyczy i jęczy. Krzyczała w czasie kilku pierwszych zbliżeń, kiedy Digby wykorzystywał swoje mężowskie prawa, lecz wtedy były to okrzyki bólu, a po pierwszym razie starała się tłumić te dźwięki, gdyż Digby nie był niczemu winien. Ból zresztą ustąpił, lecz w następnych latach nigdy już nie wydawała żadnych odgłosów, tylko czasem, gdy przygniatał ją zbyt mocno, stękała cicho.

Teraz szykowała się na mocne pchnięcia, nakazując sobie całkowite milczenie.

Jednak nic takiego nie nastąpiło.

Znowu zajął się jej piersiami, skubał je delikatnie i ssał, powoli ruszając się w jej wnętrzu. Teraz jej dłoń zakrywająca usta spełniała zgoła inną rolę: nie pozwalała jej błagać go, by wpychał się w nią głębiej, szybciej, mocniej.

Nie może mu przeszkadzać. Nie może sobie pozwolić na kolejne niepowodzenie, podobne do ostatnich, nieudanych wysiłków Digby'ego. Mogła tylko poruszać biodrami, czując wyraźnie jego twardą męskość. Jakaż ogromna różnica, gdy między nimi nie sterczał gruby brzuch.

Jakże ściśle ją wypełniał. Pomyślała, że Digby także wchodził w nią do końca, lecz nigdy nie odniosła takiego wrażenia z powodu towarzyszącego ich zbliżeniom sapania i sprężystych odbić. Teraz zaś wyraźnie czuła, jak ociera się o nią z każdym powolnym ruchem; wyginała biodra w pełnej z nim harmonii.

Podniosła na niego wzrok. Mężczyzna pochylał się nad nią, był znacznie wyższy od Digby'ego i szerszy w barkach. Zapewne powinna się bać w tej sytuacji, lecz wcale się nie lękała. Zamiast tego czuła się bezpieczna, ważna, czuła, że jest we właściwym miejscu. Jak stworzonko w swojej norce, pod cudowną, czułą opieką. Przesunęła wolną dłońią po jego umięśnionej ręce, zatrzymując się na szerokim ramieniu, w milczeniu dziękując za te cenne dary. Wtem, powodowana nagłą potrzebą, wbiła w jego ciało swe pazurki. Uśmiechnął się, spojrzał na nią płonącym wzrokiem i ponownie wszedł w nią z całą mocą.

Wygięła do góry biodra, unosząc go z łóżka, licząc w myślach szybkie, wstrząsające całym ciałem uderzenia swego serca, upajając się żądzą, przyciągając go mocno do siebie. Krzyknęła z rozkoszy, mimo zakrywającej usta dłoni, mocniej wygięła biodra, oczekując jeszcze mocniejszych, głębszych pchnięć.

Tym razem wyszedł naprzeciw jej oczekiwaniom.

W końcu jego pożądanie wyszło naprzeciw pożądaniu Rosamunde, gwałtownie, mocno, wchodząc w nią i przenosząc tam, gdzie być pragnęła. Pod nim. Wokół niego. Stała się jego częścią.

Mówił do niej, ponagłając, wykonując coraz mocniejsze i szybsze ruchy.

Bez ustanku.

Bez przerwy.

Niemalże zapragnęła, aby przestał. Tego było za wiele.

Za mocno.

Zbyt bezlitośnie.

Nie przestawaj!

Och litości, litości.

Czuła, jak ogarnia ją szaleństwo w oczekiwaniu na spełnienie, przerażona czającym się przeznacze-

niem, udręczona bólem, który dawał jej rozkosz. Co chwila pojękiwała, ogarnięta strachem i błogością...

Załkała.

Aż w końcu, wreszcie - stało się!

Nic dziwnego, że nigdy nie zaszła w ciążę, pomyślała z zadziwiającą jasnością, nim spłynęła na nią unicestwiająca wszystkie myśli fala rozkoszy. Nigdy dotąd nie zrobiła tego jak należy!

Uczepiła się tej konkluzji, wirując w odurzających płomieniach czystej przyjemności, i później, gdy rozpłakała się pod maską. Jednak wcale nie czuła smutku i cieszyła się, że maska ukrywa jej szaleństwo.

Uczepiła się tej myśli jak obietnicy - obietnicy przyjścia na świat dziecka, które z pewnością zostało poczęte. Ta nadzieja towarzyszyła jej, gdy leżała pod jego drżącym, rozgrzanym ciałem.

Zaprawdę, była to najbardziej niezwykła rzecz, jaka wydarzyła się w jej życiu. Czuła ogromną wdzięczność, że mogła tego zaznać. Znowu całował jej szyję, piersi, lecz ona chciała pozostać tym jeziorem rozkoszy, z pewnością brzemienym jeziorem rozkoszy...

Przewrócił się na plecy, przyciągając ją do siebie, przytulając mocno.

Po chwili, która wydała się wiekiem, wyszeptał:

- Zachwycająca, tajemnicza lady. Czy chcesz jeszcze?

- Co? - Nawet mówienie przychodziło jej z wysiłkiem.

Zsunął się nieco niżej, trzymając ją w ramionach.

- Nie. - Rosamunde nigdy dotąd nie myślała, że można by to zrobić jednej nocy więcej niż raz. Lub jednego dnia.

- Ależ tak.

- Nie możemy.

- Możemy.

- Ja nie mogę.

I naprawdę nie mogła. Czuła się jak przepuszczona przez wyżymaczkę.

- Owszem, możesz. Nie jestem skąpy, gdy chodzi o spłacanie długów. Musisz mi pozwolić, abym spłacił wszystko.

- Spłaciłeś już...

- Za uratowanie życia?

Zignorował słaby protest Rosamunde, położył ją i znowu schwycił w pułapkę pożądania.

Dla pewności można zrobić to dwa razy. Czemuż by nie?

Gdy przewrócił ją na plecy i powoli zaczął pieścić dłonią między nogami, zaczęła szeptem prosić o jeszcze, w końcu przeklinając jego nad nią władzę przed cudownym zakończeniem.

Głaskał ją uspokajająco.

- Wiesz, że twój mąż mógłby to dla ciebie zrobić, nawet jeśli nie umie robić innych rzeczy.

Rosamunde spróbowała wyobrazić sobie, jak mało wyrafinowany Digby angażuje się w takie zabawy.

- Czyż nie? - spytał.

- Nie sądzę.

- Niektórzy mężczyźni nie zasługują na swoje skarby. Ale większość tych rzeczy możesz zrobić sama.

- To grzech! - Cóż za absurd, skoro i tak właśnie grzeszyła.

- Chcesz jeszcze?

Bezwładna, niemal drżąca, pokręciła głową. Naprawdę miała dosyć.

- Chcesz mnie zabić.

- Nigdy dotąd nie zabiłem kobiety. Odwróć się, moja droga.

Nie czekał, lecz sam obrócił Rosamunde, tak że uklękła na czworaka. Wziął ją od tyłu, przytrzymując

za szyję, gdy zaczęła protestować, niczym ogier z klaczą.

- Chcesz jeszcze?

Zesztywniała z oszołomienia, opierała się chwilę dłużej, lecz on objął ją ramieniem i otarł dłonią wrażliwe sutki, poruszając swoją pobudzoną znowu męskością między jej udami.

Wydała z siebie niekontrolowany jęk. Oblizął końcem języka jej ucho.

- Jeszcze? Poproszę? - szepnął.

- Jeszcze - zgodziła się, a on wszedł w nią, tym razem szybko, niezwłocznie. Jak suka lub klacz albo też rozplodowa owca z trykiem, pozwoliła mu, by ją posiadał, aż w końcu oboje upadli na pościel, wstrząsani ekstazą.

W miłosnym uścisku, zasnęli.

## Rozdział VI

Rosamunde obudziła się, lepka i obolała w różnych dziwnych miejscach, częściowo wciąż leżąc pod jego ciałem. Zastanawiała się, czy z Digbym cały czas robili wszystko źle. Z pewnością nigdy nie czuła takich zmian, jakie wywołał w niej ten mężczyzna. Być może nawet ludzie też powinni robić to od tyłu, jak zwierzęta. W końcu zwierzęta rzadko miały problemy z poczęciem potomstwa.

Książki. Diana mówiła, że ma książki. Rosamunde stwierdziła ze smutkiem, że jej edukacja ma ogromne braki. Czuła potrzebę zapoznania się z treścią tych dzieł.

Przesuwając się lekko, delikatnie - na różne sposoby - spojrzała na swojego cudownego kochanka. Odsunęła kosmyk włosów z jego czoła, które było wilgotne od potu. Twarz miał jednak wypoczętą, nawet chyba nieznacznie się uśmiechał. Z pewnością tak hojne spłacanie długu dało mu ogromną przyjemność i satysfakcję. Wiedziała, że mężczyźni nie bardzo zwracają uwagę na to, z kim to robią, mimo to ogarniało ją miłe ciepło na wspomnienie, że to właśnie jej ciało dało mu ową przyjemność i satysfakcję.

On zaś ofiarował jej tak wiele, że w tym momencie nawet nie myślała o dziecku, którego tak bardzo pragnęła.

Wspominając niezwykle doznania, poczuła, jak jej ciało porusza się, głodne kolejnych rozkoszy. Gładząc się po brzuchu, próbowała uspokoić je, niczym niecierpliwe zwierzątko, które nie może dostać tego, czego pragnie.

Zaiste już nie mogło.

To była idylla, chwila wyrwana z biegnącego swoim tempem czasu. Wkrótce jej kochanek odjedzie, a ona, by wykonywać swe obowiązki, musi wrócić do roli łagodnej, spokojnej żony starszego mężczyzny, który nie mógł lub nie chciał robić takich rzeczy.

Nikt nigdy nie może podejrzewać, że byłaby zdolna do takiej rozpusty.

Powiedział, że mogłaby zrobić to sama. Ostrożnie wsunęła dłoń między uda, ciekawa, czy to prawda. Gładząc delikatnie śliskie, wrażliwe ciało, pomyślała, że to może być prawda. Wrażenie mogło być chociaż w przybliżeniu tak samo ekscytujące. Pieszcząc się, znowu spojrzała na swojego kochanka. Sekretnego kochanka. Gdyby tylko kobieta umiała stworzyć podobny odpowiednik kochanki.

Uśmiechając się na tak niedorzeczną myśl, cofnęła rękę, zwalczając chuć. Musi skupić myśli na Wenscote. Tylko to było ważne. Kładąc rękę na brzuchu, na wysokości łona, modliła się, by w jej wnętrzu poczęło się dziecko.

- Obolała?

Podniósł ciężkie powieki.

- Nie - zapewniła go, ale po chwili zdała sobie sprawę, jak to zabrzmiało.

- Jeszcze?

Roześmiała się, bo był to oczywiście żart, lecz zarazem odsunęła się od niego i wstała z łóżka, gdyż

była już tak wycieńczona, że kolejne zbliżenie nie przyniosłoby przyjemności.

W tej chwili.

Przestań, Rosa. Już po wszystkim.

Skończone.

Na zawsze.

Obciągnęła koszulę i spojrzała na niego. W koszuli czy bez, i tak nie było skrawka jej ciała, którego by wcześniej nie widział.

Poza twarzą.

Jakże dziwacznie musi wyglądać w jego oczach.

Leżał na boku z głową opartą na ręce. Nie sprawiał wrażenia, że coś go dziwi w jej wyglądzie.

- Czy chcesz, abym już odszedł? Mógłbym zostać do jutra...

Zamarła w bezruchu, zawiązując sobie tasiemkę wokół szyi. Czyżby był to objaw większej hojności, czy też dała mu tyle przyjemności, że chciał jeszcze więcej dla samego siebie? Ta myśl owinęła ją niczym gruby pled, kusząc, niosąc uspokojenie. To nie miało nic wspólnego z ocaleniem Wenscote. Był to czysty zachwyty płynący chyba z faktu, że jest pożądana.

- Więc przypomniałeś sobie coś więcej o sobie? - spytała, zawiązując kokardę.

- Chyba to zasługa intensywnych zabaw ruchowych, które czynią cuda. Kolejna ich dawka może dopełnić całego procesu - dodał z szelmowskim błyskiem w oku.

Pokręciła głową, lecz nie potrafiła nie odwzajemnić jego uśmiechu. Miała nadzieję, że przynajmniej było to widoczne w jej oczach.

- Więc nikt się nie niepokoi twoją nieobecnością?

- Nie sądzę. Zarządzam majątkami pewnego arystokraty i właśnie odwiedzałem kilka miejsc w Doli-



nie Yorkshire. Ale my nie jesteśmy w Dolinie Yorkshire, prawda?

- Nie. - Czy w ogóle powinna rozważyć powiedzenie mu prawdy? To było niebezpieczne, a zarazem kuszące...

- Tak myślałem. Byłem w jakimś zajeździe, chyba „Róg Jałówki” koło Northallerton. Niczego więcej nie potrafię sobie przypomnieć, więc to pewnie tam się upiłem.

- To będzie trzydzieści mil stąd. Nie wiesz, skąd się tu wzięłeś?

- Nic a nic. Może spróbujemy jeszcze trochę zabaw ruchowych... ?

- Przestań już! - Zaśmiała się, rzucając w niego poduszką, słodko zaskoczona przyjemnością, jaką sprawiła jej ta propozycja.

Czuła pokusę. Ogromną. Mógłby zostać. Mogliby razem...

To bezbożne.

Niebezpieczne.

- Nikt za tobą nie tęskni? - spytała, potrząsając halką, aby ją rozprostować. Włożyła ją pośpiesznie.

Usiadł po turecku, zakrywając niebieską poduszką genitalia.

- Kilku ludzi czeka na mnie w Thrisk, ale przez pewien czas nie będą się martwić moją nieobecnością.

Więc mógłby zostać. Na myśl o tym zrobiło jej się słabo, ale byłoby to dla nich jedyną szansą. Jeśli wyjedzie, wyjedzie na zawsze.

Miał takie piękne ciało, jeszcze piękniejszy uśmiech i był taki... słodki. To nieadekwatne słowo w stosunku do takiego mężczyzny, lecz jak inaczej opisać cudowne ciepło, które w niej wywołał? Czuła je w swoich żyłach, czuła, jak rozładowuje napięcie w dotychczas zeszywniałych i zimnych miejscach.

Nagle uśmiechnął się, tak jakby wszystko wiedział. Odrzucił jej poduszkę, odsłaniając kolejną erekcję.

- Jeszcze?

Rosamunde odłożyła poduszkę na krzesło i pośpiesznie związała halkę w pasie, próbując zarazem związać coś, co prężyło się w jej wnętrzu.

- Nie mogłeś przejść piechotą z Nothallerton aż tutaj - powiedziała, starając się być rzeczową.

- Mogłem, ale chyba tego nie zrobiłem. Jaki mamy dzień?

- Osiemnasty sierpnia.

- Pamiętam, jak szesnastego położyłem się spać. Więc zapewne wczoraj przyjechałem tu wierzchem lub powozem. Nie jestem pewien, czy powinienem wyjechać, dopóki nie przypomnę sobie wszystkiego. Może mam śmiertelnego wroga.

Mimo że mówił to tak lekko, coś ją tknęło.

- A masz?

Odpowiedział skamieniałą twarzą, lecz po chwili wzruszył ramionami.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Nie pomożesz mi odzyskać pamięci?

- Bądź poważny!

- Jestem. Chociaż „poważny” nie jest właściwym słowem. Może raczej twardy. Wróc do łóżka.

Jego szczera odwaga wywołała rumieniec na twarzy Rosamunde, lecz zarazem roznieciła w niej ogień pożądania.

- Nie mogę. - Były setki powodów, lecz ona uchwyciła się najłatwiejszego z nich. - To zbyt ryzykowne.

- Aha. Zapewne twoja reputacja wymaga, by nie widziano cię zbyt często w moim pokoju. Wobec tego później? - Zdołał wypowiedzieć te słowa żalonym tonem, jak dziecko błagające o smaczny kasek, jednak w jego płomiennych oczach nie było nic z dziecka.

Wydawał się niebezpieczny. Powinna przynieść mu ubranie, pożyczyć trochę pieniędzy i kazać odwieźć go do Thrisk. Tak, powinna.

Spróbowała zwilżyć językiem wyschnięte usta, w końcu udało się.

- Jeśli jesteś pewien, że możesz zostać...

- Jestem pewien, że przed odjazdem powinienem odzyskać pamięć. - Mimo że wciąż opierał dłoń o swą pobudzoną męskość, mówił poważnym głosem. W rzeczy samej, jeśli cokolwiek mu groziło na zewnątrz, miał rację. - Więc kiedy? - spytał.

Mimowolnie zaśmiała się, trochę rozdrażniona. Jak to możliwe, że grzeszenie przychodziło z taką łatwością?

- Nie przed nastaniem nocy. A nawet wtedy...

- Gdy zapadnie ciemność - przerwał stanowczym głosem, zakrywając sobie prześcieradłem przyrodzenie.

Oparła ręce na biodrach.

- Widzę, że nagle ty zacząłeś tu rządzić?

- Jeśli tego nie zrobię, będziesz się wahać i tylko stracimy nasz wspólny czas.

- To nie w porządku - powiedziała słabo, nieco przerażona jego spokojem i pewnością siebie. Przecież grzech powinien wzbudzać strach.

- Sama zdecyduj. Jeśli chcesz, wyjadę już teraz. Nie martw się o moje bezpieczeństwo. Jeśli mam wroga, który porzucił mnie w dolinie, to na pewno nie czyha na mnie, by dokończyć dzieła. Pomyślał, że dokonały tego deszcz i chłód.

A więc wybór należał do niej. Przypomniała sobie zaskoczona, że przedtem sama tego pożałowała. Zapłata. Zimna, wyrachowana umowa, twarde warunki stawiane w nocy. Chciała wrócić do tamtego, bezpiecznego miejsca, lecz ogarnęło ją przyjemne ciepło.

- Zapewne to nie w porządku - powiedziała, patrząc mu w oczy - ale nie obchodzi mnie to.

Znowu się uśmiechnął, tym razem uśmiechem pełnym zachwyty, który sprawił, że grzech jakby przestał istnieć.

- Cieszę się - potwierdził krótko. - Lecz jeśli pragniesz jeszcze wspanialszych doznań, moja najdroższa, musisz mnie nakarmić.

Natychmiast wróciła do rzeczywistości. Szybko włożyła suknię.

- Oczywiście. Pewnie umierasz z głodu. Co chcesz?

- Cokolwiek, co podtrzyma mnie przy życiu. Pojedź, pomogę ci.

Walczyła z zapięciem gorsetu i haftkami na plecach sukni. Pomoc byłaby bardzo na miejscu, ale czy on nie będzie próbować czegoś więcej?

Zbliżyła się na drżących nogach i przysiadła na brzegu łóżka, tyłem do niego. Oczekiwała - a nawet miała nadzieję - że rzuci się na nią, lecz poczuła jego palce, zręcznie zapinające jej ubranie, które tak niedawno z niej zdejmował. Ściągnął tasiemki gorsetu i związał je na supeł. Potem połączył dziesięć haftek, odsuwając na bok włosy Rosamunde zakrywające kark.

- Robiłeś to już kiedyś.

- Oczywiście.

Żadnego wstydu. Żadnej skruchy. Na te słowa powinna pomyśleć o grzechu, lecz zamiast tego - niemalże ze łzami w oczach - pomyślała o małżeństwie. O takim małżeństwie, jakie być może jest udziałem pewnych ludzi, gdzie po cudownej miłości fizycznej było miejsce na konwersację i zwykłą uprzejmość.

Gdy skończył, chciała wstać, lecz złapał ją mocno za nadgarstki.

Aha. Więc jednak przystąpił do ataku.

- Muszę iść i znaleźć ci coś do jedzenia, żebyś nie umarł z głodu - powiedziała, czując przyspieszone bicie serca. Jeszcze kilka chwil temu czuła się całkowicie zaspokojona. Teraz nie była już tego taka pewna.

- Łaskawa gospodyni. Ale nie potrzebuję obsługi w pokoju. Sam mogę zejść do kuchni.

- Nie!

- Dlaczego?

- W ręczniku?

- Mógłbym owinąć się prześcieradłem jak toga.

- Nie bądź niemądry. - Chciała się uwolnić z jego uścisku, lecz nie puszczał.

Przywarł ustami do jej szyi.

- Czemu ciągle zamykasz te drzwi na klucz? - wyszeptał.

Zesztywniała, mimo że przenikało ją przyjemne ciepło.

- Jesteś obcy. Mógłbyś coś zrobić.

Roześmiał się cicho.

- Jeszcze nie widziałas wszystkiego, co potrafię zrobić. - Drażnił ją językiem. - Słodka, tajemnicza damo, czyżbym był twoim więźniem?

Aż podskoczyła.

- Nie! Ja... po prostu nie chcę, żebyś kręcił się po domu.

- Naprawdę? Wiesz, co myślę?

- Co? - wyszeptała przez ściśnięte gardło.

- Myślę, że jestem twoim niewolnikiem-kochankiem. Pojmanym na dzikich wrzosowiskach, by zaspokajać twe wyuzdane chucie.

Doznała szoku, gdyż te słowa pozostawały w pełnej harmonii z jej własnymi myślami. Znowu spróbowała się uwolnić.

Obejmował ją mocno w talii.

- Nazwijmy to więc niewolą umowną. Czyż nie tak jest w istocie? Mam wobec ciebie dług, a ty wymagasz zapłaty w naturze.

-Ale ty...

- Spłaciłem dług tylko częściowo. Jestem do twojej dyspozycji. - Obrócił ją i położył na łóżku. Nie mogła oddychać. - Do jutrzejszego świtu jestem cały twój. Rozkazuj, pani. Czego pragniesz w pełnych tajemnic godzinach nocy?

- Niczego!

- Kłamczucha - szepnął, kładąc się na niej.

Z trudem łapała powietrze.

- Chcę iść po jedzenie dla ciebie.

- Sama wyglądasz bardzo apetycznie.

- Mam na myśli pożywienie!

- Pani rozkazuje, bym nabrał sił?

-Nie, ja tylko...

- Pani myśli, że jestem zbyt chudy?

Zanosząc się śmiechem, odepchnęła go lekko.

- Przestań! Jesteś śmieszny. Sam powiedziałeś, że coś byś zjadł.

- Będę głodował, jeśli taka twa wola.

Spojrzała w jego pełne ciepła oczy. Najwyraźniej zachęcał ją do gry. Czy mężczyźni i kobiety mogą grać?

- Czy chcesz, abym głodował?

- Oczywiście że nie.

- Jestem wdzięczny za twą łaskę, pani. Tak więc, gdy odzyskam siły, czego ode mnie zażadasz?

- Niczego.

Było to jednak kłamstwo.

Wiedział o tym, co zdradzał błysk w jego oczach, lecz po chwili spuścił powieki, dzięki czemu wydawał się nieco przybity.

- Niestety, nie udało mi się dać ci zadowolenia. Pani, przynieś mi z powrotem brzytwę, a położę kres memu nędznemu życiu.

- Przenigdy. Od tej pory masz zapuszczać brodę.

- Zatem ucieknę się do stryczka. Powieszę się, zwijając pętlę z prześcieradła.

- Więc zabiorę wszystkie prześcieradła.

Spojrzał na nią błyszczącymi oczami.

- Aha! Więc chcesz, abym był nagi!

- Nie! - Śmiejąc się, Rosamunde podjęła kolejną próbę wydostania się na swobodę i zakończenia tej bezsensownej rozmowy. - Jako twoja pani, rozkazuję ci żyć. I już! - zawołała triumfalnie, zdając sobie sprawę, że wciągnął ją w swoją grę.

Spoglądając na niego, zrozumiała, że to także jest częścią spłaty długu, zresztą bardzo hojnej. Ile czasu minęło od chwili, gdy ostatni raz była tak rozbawiona i śmiała się tak beztrosko?

Radośnie podjęła ducha zabawy. W końcu wysunęła się spod Branda i stanęła zwycięsko na podłodze.

- Wiem, co z ciebie za ziółko, szanowny panie! - stwierdziła. - Jesteś podróżującym szarlatanem, zaś twoi przyjaciele w Thrisk to twoja teatralna trupa!

- Niestety - powiedział. Znowu usiadł, kładąc dłoń na sercu, a raczej na wspaniale umięśnionej piersi. - Jestem zwykłym amatorem. To znaczy, jeśli chodzi o granie.

- Zaś w uprawianiu miłości jesteś zapewne zawodowcem!

Roześmiał się.

- Nie, moja pani. W tej materii także jestem amatorem. Ale już nie takim zwykłym.

Amator. Taki, który robił to z miłości, nie dla pieniędzy.

Nie to miał na myśli, lecz cały czar nagle prysł. Tu nie było mowy o żadnej miłości. Chodziło o zapłatę za uratowanie życia. Ona zaś nie przebywała tu dla zabawy, dla dziecinnych figlów, lecz dla upragnionego dziecka. Co więcej, nie mogła ufać takiemu nicponiowi o gładkim języku. Oczywiście, był miły w obyciu, pełen wdzięku, lecz bez wątpienia nicpoń. Mógł być rozbójnikiem, rozpustnym hazardzistą lub też jednym z takich, co skaczą z miejsca na miejsce, łamiąc serca i uciekając przed wierzycielami.

- Co chcesz do jedzenia? - spytała, bezlitośnie powracając do bardzo prozaicznych tematów. Obeszła łóżko, by odszukać pantofle i nałożyć je na nogi.

Złączył dłonie i wykonał głęboki ukłon.

- Cokolwiek moja pani każe.

Umyślnie wymieniła dania, których nie lubiła.

- Może pasta grochowa? Węgorz? Ozorek?

Popatrzył na nią łobuzersko.

- Ozorek. Lubię jęczyczki.

Oblała się gorącym rumieńcem. Dlaczego on jej to robi?

- Jednakże - podjął - zrezygnuję z węgorza. A tak przy okazji, podziękuję również za miejscowy przysmak z bydłecych pięt.

- Bydłęce pięty - powtórzyła. Z trudem tłumiła śmiech. - Wobec tego może marynowane nóżki baranie?

- Muszę wyznać, że nigdy dotąd nie napotkałem nóżki, którą chciałbym schrupać. - Nagle oczy mu rozblęły wesoło. - Co innego podgryzanie...

Rosamunde wstydlawie podwinęła palce u nóg, gdyż zrozumiała, że to o nich mowa.

- Przestań!

- Mam przestać? Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, pani. Do jutrzejszego świtu jestem twój. Bez



twojej zgody nie tknę cię nawet palcem. Ty zaś masz zupełną swobodę...

- Swobodę?

- Tak, swobodę, by czynić ze mną to, co chcesz.

Spostrzegła, że mówił całkowicie szczerze i natychmiast w wyobraźni ujrzała, jak liże jego nagie ciało. Każdy jego cal. Aż przestała oddychać. W końcu zrobiła krok do przodu. W jego oczach widać było serdeczność i zainteresowanie.

Balansowała na krawędzi, pełna grzesznych tęsknot, obrazów, jak liże nagie, leżące pod nią nieruchomo ciało, ona zaś jest ubrana, zabezpieczona przed jego zabiegami. Czy mogła z nim zrobić to, co on zrobił z nią? Czy mogła zobaczyć, jak on przeżywa ekstazę?

Uniósł brwi, jakby usłyszał jej myśli. Znowu spłynęła na nią fala gorąca. Tak po prawdzie nie byłoby bardzo niebezpieczne, gdyby spędziła z nim jeszcze trochę czasu. Millie i Jessie nie byłyby...

Nagle rozległ się odgłos znajomych dzwoneczków.

- Och, nie!. - jęknęła. Nagle wróciła do rzeczywistości, jakby ktoś wylał jej na głowę kubeł lodowatej wody.

- Co się stało? - Zeskoczył z łóżka. Zabawa była skończona. Teraz zrobiło się niebezpiecznie.

- Moja matka!

Zamarł w bezruchu.

- Twoja matka?

- To dzwonki na uprząży jej kuca. Motylki i sierpy. Powinnam była wiedzieć.

Podbiegła szybko do okna.

- Motylki i sierpy? - powtórzył za nią.

Wyrzała zza rąbka zasłony i zobaczyła, jak dwukółka matki zbliża się alejką do frontowych drzwi domu.

- W dodatku ktoś z nią jest! - Odwróciła się gwałtownie. - Co ja teraz zrobię?

Nie potrafił powstrzymać śmiechu.

- No proszę. Więc to matka. Mamy też winną grzechu córkę.

- Jak mogła się dowiedzieć?

Pochwyił ją za ramiona.

- Uspokój się, tajemnicza damo. Może ona o niczym nie wie. A jeśli nawet, to po prostu jestem twoim chorym pacjentem. - Obejrzał ją od stóp do głów, obrócił, po czym popchnął w stronę drzwi. - Idź. Przecież ona nie zgadnie, co tu robiłaś. - Zastanowił się chwilę. - Czy zechce przyjść na górę?

Rosamunde zatrzymała się, opierając dłoń na kłamce. Jęknęła cicho.

- Jeśli wie o tobie... nie może. - Przyszło jej do głowy, że pani Yockenthwait uznała, iż utrzymanie tajemnicy nie dotyczy matki. - Jeśli się dowie, że mam tu chorego mężczyznę, uzna, iż nie opiekowałam się tobą w należyty sposób.

- Jakże słabo cię zna - odparł z uśmiechem, na którego widok miała ochotę zapaść się pod ziemię. - Lecz jeśli zechce wejść na górę, będzie ci potrzebne coś, co zabije zapach.

Powoli dotarło do niej, że sypialnia pachnie seksem.

- Czy masz trochę ginu?

- Nie pora teraz na popijawę! - Nagle zrozumiała, co miał na myśli. - Nie. Zaczekaj!

Pobiegłszy do swojego pokoju, tego samego, który od czasów dzieciństwa dzieliła z Dianą, wyjęła butelkę porto. Łyczek trunku przed snem był ich małą słodką tradycją od wielu lat, gdy jeszcze jako dziewczynki śmiało pociągały zakazany napój w tajemnicy przed dorosłymi.

Gdy pędziła z butelką w rękę do sypialni, usłyszała kołatanie w drzwi.

Wciąż nagi, otworzył szeroko okno. Zobaczyła, że pomieszał też pot-pouri w miseczce stojącej na kominku, płatki, które nadawały pomieszczeniu przyjemny zapach. Nie wiedziała, czy to wystarczy. Wcisnęła mu w rękę butelkę, gorączkowo starając się wymyślić coś sensownego.

Wypchnął ją z pokoju na korytarz. Zbiegła po schodach, po czym zatrzymała się z gwałtownym poślizgiem i popędziła z powrotem na górę, aby zamknąć drzwi na klucz. Trzęsły się jej nogi, serce łomotało w panice. Podobnie się czuła, gdy miała dwanaście lat i nabroiła, wiedząc, że jej łobuzerskie wyczyny zaraz się wydadzą.

Rzeczywiście nabroiła. Bardziej niż kiedykolwiek.

Co, na Boga, powiedziałyby matka, gdyby poznała prawdę?

Rosamunde puściła się schodami na dół i wpadła do saloniku na chwilę przed tym, jak Jessie truchtem podbiegła przez hol, aby otworzyć drzwi. Dysząc ciężko, zdjęła maskę i wsunęła ją do kieszeni. Jeden rzut oka w lustro pozwolił jej zauważyć nieuchronne zaczerwienienia. Mruczając pod nosem, wyjęła maskę i z powrotem ją nałożyła.

Ledwie usiadła i sięgnęła po książkę, gdy otworzyły się drzwi.

- Witaj, Rosie - powiedziała radosnym tonem jej pulchna matka o jasnym spojrzeniu. - Dowiedziałyśmy się, że utknęłaś tu z jakimś tajemniczym, półżywym nieznanym, więc musiałyśmy przyjechać, żeby to zobaczyć.

**M**My? O, nie.

Za plecami pani Ellington stała najbardziej wścib-  
ska siostra Rosamunde.

Mimo wszystko skoczyła dziarsko na nogi w na-  
dziei, że tym sposobem przekonująco okaże swe za-  
skoczenie i radość.

- Mama! Sukey!

Sukey, w szóstym miesiącu ciąży, od razu zaczęła  
badać ślady na spodzie jednej z chińskich ozdób.

- Po co nosisz tę maskę, Rosie? Wygląda okropnie.

Rosamunde zdjęła ją z lekko drżącym śmiechem.

- Tylko tak się wygłupiam. Myślałam, że przyje-  
chali jacyś obcy.

- Bardzo głupia zabawa - rzekła matka, siadając.

- Gdyby to byli obcy, przecież nie wpuściłabyś ich  
do środka, prawda? Tak czy inaczej, najwyższy czas  
zaakceptować fakt, że twoje bliźny nie są aż tak  
straszne, by się ich wstydzić. - Wzruszyła ramionami,  
jako że mówiła to już nie raz. - Opowiedz nam więc,  
moja droga, o tym inwalidzie. Pani Yockenthwait  
uważa go za jakiegoś zbója.

- Zbója? - spytała w odpowiedzi Rosamunde. - Nie zaszedłby daleko w rozbójniczym rzemiośle, skoro zrzucił go koń.

- Czy tak właśnie było?

Złękniiona Jessie wykonała szybki ukłon.

- Czy przynieść herbatę, milady?

- Tak, dziękuję - odparła Rosamunde w nadziei, że to powstrzyma dalsze przesłuchanie.

Jednak gdy tylko Jessie wyszła, matka powróciła do poprzedniej rozmowy.

- No więc kim lub czym on jest, moja droga?

Znowu musiała skłamać.

- Nie mam pojęcia. Nie ma przy sobie żadnych narzędzi ani innych rzeczy. W ogóle nic, z wyjątkiem ubrania i chustki. Albo wszystko przepił, albo ktoś opróżnił mu kieszenie.

- Nie wie, kim jest? - spytała Sukey, odwracając się.

Właśnie przeprowadzała inspekcję stojących w rzędzie książek. Prócz tego, że była wścibska, miała też w sobie dużą dozę sprytu i umiejętność szybkiego dochodzenia do prawdy. Rosamunde modliła się, by gdzieś w widocznym miejscu nie znalazł się dowód jej porannych igraszek, oraz by przynajmniej ten jeden raz w życiu potrafiła z przekonaniem mówić nieprawdę.

- Całą noc był nieprzytomny - powiedziała obojętnym tonem - i nadal wydaje się zdezorientowany.

- Albo też spodobało mu się wygodne łóżko, w którym wylądował - zauważyła Sukey.

Rosamunde poczuła, jak się czerwieni, więc uśmiechnęła się szeroko, by zniwelować wstydlivy rumieniec.

- Gdzie go umieściłaś, moja droga? - spytała matka, gdy do salonu weszła Jessie z tacą, na której przy-

niosła filiżanki, imbryk i ciasteczka. Rosamunde sko-  
rzytała z okazji, by wstać i pomóc służącej.

- W sypialni na górze.

- Rosie! - wykrzyknęła Sukey. - Jesteś zbyt wrażliwa i zarazem głupia.

- A dlaczego nie? Przecież to nie jest jakiś włóczęga.

- Skąd wiesz?

- Ma porządne ubranie.

- Może je ukradł.

Rosamunde nigdy dotąd o tym nie pomyślała.

- Mówi jak dżentelmen. I nie ma zniszczonych  
pracą dłoni.

- Więc to jakiś utracjusz.

Ponieważ Rosamunde w zasadzie zgadzała się z tą  
opinią, nie umiała wymyślić stosownej odpowiedzi.

- Przestańcie paplać, dziewczęta - rzekła matka. -  
Myślę, że Diana nie będzie miała nic przeciwko te-  
mu, że Rosie w swym miłosierdziu położyła pod-  
opiecznego w czystej sypialni. Chyba że jest zawszo-  
ny.

- Oczywiście, że nie - zaprotestowała Rosamunde.

- Więc czy to wcielenie niewinności jest gotowe  
na wizytę? - spytała Sukey, siadając koło tacy. - Jak  
on wygląda? Jest szykowny i przystojny?

- Kiedy wymiotuje - odparła Rosamunde.

- Nadal ma torsje?

- Nie. I jest dość przystojny. - Rosamunde wątpi-  
ła, czy uda się jej wyprowadzić Sukey z domu, zanim  
ta rzuci na niego okiem, nie było więc sensu kłamać.

- Łysieje?

- Nie.

- Ma zeza?

Rosamunde popatrzyła uważnie na siostrę.

- Nie!

- A zepsute zęby?

Rosamunde ponownie chciała szybko zaprzeczyć, ale w porę się opamiętała.

- Nie sędzę.

- W takim razie - powiedziała Sukey, zlizując krem z palców - w tej okolicy będzie uważany za anioła.

- Nie przypominam sobie, żeby Harold miał którąkolwiek z tych przywar - zauważyła Rosamunde, odnosząc się cło męża siostry.

Sukey nalała sobie herbaty.

- Ależ ja zawsze twierdziłam, że poślubiłam anioła.

- No więc - przerwała im matka, popijając ostrożnie herbatę - kiedy ten twój anioł zamierza odlecieć?

- Mam nadzieję, że jutro. Chcę wrócić do domu.

- Oczywiście, moja droga. - Matka kiwnęła głową. Siwe włosy zakołysały się pod prostym kapeluszem.

Rosamunde poczuła, że musi się wytłumaczyć.

- Digby nie oczekuje mojego powrotu. Nie będzie się martwił.

- Oczywiście, moja droga.

Rosamunde spodziewała się, że matka zaproponuje wysłanie umyślnego z wiadomością, więc zeszywniała niespokojna, gdy nic takiego nie nastąpiło. Już przedtem zdała sobie sprawę, że pani Yockenthwait mogła żywić niejakię podejrzzenia, lecz podobne myśli nigdy nie przyszłyby matce do głowy! Ona nigdy nie szukała drugiego dna.

- No więc - odezwała się Sukey, dopijając herbatę. Wstała. - Wznieśmy się do nieba i odwiedźmy tego anioła.

Rosamunde była na to przygotowana, lecz mimo to próbowała oponować.

- Po co?

- Nie posłałaś po doktora Wallace'a. Jeśli ten biedak wymiotował i wciąż leży w łóżku, może powinnaś to zrobić. A ja i mama wyrazimy naszą opinię.

- Na pewno teraz śpi.

- Więc tylko po cichu rzucimy okiem. Czy on gorączkuje?

Rosamunde z niechęcią patrzyła na siostrę. Pozbycie się Sukey z domu, zanim ta obejrzy sobie chorego, było równie prawdopodobne, co lot do nieba. Mimo to wciąż szukała jakiegoś sposobu, podczas gdy matka otarła usta serwetką i wstała, aby opuścić salon.

- Czy on kaszle, moja droga? - spytała, wchodząc po schodach dziarskim krokiem. - Słyszałam, że gdy go znalazłaś, był przemoczony do suchej nitki.

- To prawda. - Rosamunde deptała matce po piętach. Mówiła bardzo głośno na wypadek, gdyby należało go ostrzec. - Ale o ile mi się wydaje, wykręcił się sianem.

- Następstwa mogą się jeszcze objawić. Płuca czasami płatają różne figle.

- Ale nie wtedy, gdy nie ma gorączki - rzekła Sukey. Rosamunde zdała sobie sprawę, że te wszystkie pytania nie wynikały tylko i wyłącznie ze wścibstwa. Sukey była o trzy lata starsza, miała już dwoje dzieci, zaś ich matka urodziła ośmioro, z czego dwójkę straciła. Obie znały się na opiece o wiele lepiej od niej.

- Wymiotował w nocy, ale potem już nie - powiedziała im.

- Picie dobrze na to robi - stwierdziła Sukey. - Podobnie jak pozbycie się trucizny z żołądka.

Rosamunde pomyślała, czy były jakieś kwestie dotyczące Harolda Davenporta, których dotąd nie odgadła.

- Strasznie bolała go głowa - powiedziała niepytana. - Dałam mu proszek. Ten od bólu głowy. Wyglą-



da na to, że mu pomógł. - Grzebała kluczem w zamku tak długo, jak mogła.

- Zamykasz go, moja droga? - spytała matka.

- Z obcymi trzeba uważać. - Rosamunde zmówiła w myślach błyskawiczną modlitwę i otworzyła drzwi.

Zasłony były zaciągnięte, przez co w pomieszczeniu panował półmrok, lecz poruszały się z powodu otwartego na oścież okna. Do sypialni wpadały dźwięki ptasich treli, świeże letnie powietrze. Rosamunde zmarszczyła nos. Wyraźnie czuła aromat kwiatowych płatków i porto, chociaż odniosła wrażenie, że pod nimi ukrywa się jeszcze jeden, bardziej grzeszny zapach.

Jej potajemny kochanek leżał z zamkniętymi oczami, starannie okryty pościelą.

- O rany - szepnęła Sukey, zbliżając się na czubkach palców. - Anioł to to nie jest, ale i tak bardzo przystojny jak na śmiertelnika.

Rosamunde spostrzegła, jak poruszył kącik ust. Nie ustawała w modłach, by zachował samokontrolę.

- Nie szata zdobi człowieka - stwierdziła prozaicznie matka, odsuwając nieco zasłonę, by wpuścić do środka trochę więcej światła. - Przystojniaki zwykle sprowadzają same kłopoty. - Podeszła, unosząc narożnik prześcieradła, aby dokładniej zbadać purpurową plamkę. Na pobliskim stoliku stała pusta butelka po winie, obok niej noszący ślady trunku kieliszek.

- Co cię opętało, że dałaś mu jeszcze więcej wina, Rosie?

- Na klina? - zasugerowała nieśmiało Rosamunde.

Matka pokręciła głową i położyła dłoń na jego czole.

- Chłodne, tak jak mówiłaś. Ma zdrowy kolor. Chyba nie ma powodów do niepokoju, o ile nie dasz mu więcej pić. Lepiej chodźmy stąd, zanim się obudzi.

- Czy on jest nagi? - szepnęła Sukey, gdy cofały się do drzwi.

- No, raczej nie miał przy sobie nocnej koszuli, gdy wpadł do tego rowu przy drodze.

Rosamunde wyprowadziła je z pokoju.

- Jestem pewna, że pan Yockenthwait ma zapasową koszulę.

- Seth Yockenthwait jest sześć cali niższy i dwa razy grubszy.

- Więc podobno anioły nie mają...

- Ciii!

- Sukey Davenport - odezwała się pani Ellington, kręcąc głową, jednak w jej oczach płonęły wesołe ogniki - czasami mocno zastanawiam się nad tobą.

Sukey się roześmiała.

- Ktoś zdjął z niego mokre ubranie i położył go do łóżka.

Rosamunde przekręciła klucz w zamku i ruszyła na dół.

- Pan Yockenthwait i Tom przenieśli go do łóżka, ale to pani Yockenthwait ze mną rozebrała go i wysuszyła. Mam nadzieję, że ta historia się nie roznieście. Ludzie lubią gadać.

- To prawda - rzekła matka. - Nie będziemy o tym gadać, a Hester Yockenthwait powiedziała mi tylko dlatego, bo uważała, że matka powinna wiedzieć.

Wiedzieć o czym? - pomyślała słabo Rosamunde.

Matka pocałowała ją w policzek, może nieco mocniej niż zwykle.

- Uważaj na siebie, moja droga.

- No więc - odezwała się Sukey - czy to naprawdę taki anioł?

- Po prostu zwykły człowiek - odparła stanowczo Rosamunde, idąc z nimi do drzwi. - Nic więcej.

Machając im na pożegnanie, gdy odjeżdżały przy wtórze charakterystycznych dzwonek, pomyślała, że staje się doskonałą kłamczuchą.

Gdy tylko powóz zniknął za zakrętem, odetchnęła głęboko i oparła się ciężko o ścianę. Planując to wszystko, nigdy nie sądziła, że będzie musiała stawić czoło matce w swoim przybytku rozpusty! Chciała biec na górę, ponieważ...

Właśnie.

Z wesołą miną uświadomiła sobie, że razem z nim chciała się pośmiać z całego zajścia. Zaiste, prawdziwy z niego anioł. Ale najpierw zasłużył na dobry posiłek.

Rozmawiała z Jessie o tym, co można naprędce przygotować, gdy otworzyły się kuchenne drzwi. Odwróciła się przestraszona, że to wróciły matka i siostra, ale to była Diana, hrabina Arradale. Odziana w piękną, burgundową suknię do konnej jazdy ze złotymi galonami, uderzała w otwartą dłoń wyszywanych rękawiczkami, które trzymała w drugiej, obleczonej w biżuterię ręce.

- Dzień dobry, Jessie - powiedziała do wystraszonej pokojówki, lecz po chwili spojrzała surowo na Rosamunde. - Chcę z tobą porozmawiać.

Były bardzo podobne wzrostem i budową ciała, lecz Diana nosiła się wyżej, jakby posiadanie arystokratycznego tytułu dodawało jej kilka cali. Oczywiście, również lubiła buty na wysokich obcasach, nawet jeśli były to buty do konnej jazdy. Autokratycznym krokiem opuściła kuchnię, stukając obcasami. Była pewna, że Rosamunde pójdzie jej śladem. Ta spojrzała niepewnie na służącą i faktycznie wyszła za Dianą. Spodziewała się, że zaraz wysłucha zjadliwego wykładu na temat swego tchórzostwa.

W salonie Diana rzuciła błyszczące rękawiczki na sofę. W ślad za nimi poszedł męski, trójgraniasty

kapeluszu, odślaniając włosy o barwie nieco bardziej rudej od włosów Rosamunde, starannie upięte w skomplikowaną fryzurę.

- Uciekłaś!

- Tak - rzekła potulnie Rosamunde.

- Jak mogłaś! Byłoby znakomicie. Co najmniej dwóch mężczyzn pilnie szukało Kolombiny.

Jeszcze wczoraj Rosamunde czułaby się tym faktem zdruzgotana, lecz teraz z trudem tłumiła uśmiech.

Diana nie dała się wyprowadzić w pole. Spojrzała ostro na Rosamunde i usiadła.

- Co zmajstrowałaś?

Rosamunde z trudem przełknęła ślinę.

- Mam nadzieję, że dziecko.

- Co takiego? Wyszłaś w towarzystwie? Z kim?

Rosamunde usiadła naprzeciwko.

- Z nikim - szepnęła. - Znalazłam go na drodze.

Szybko opowiedziała kuzynce całą historię.

Diana była oszołomiona.

- I ty uważasz, że ten okaz jest bezpieczniejszy od moich gości? Naprawdę, Rosa! Co z ciebie za ptasi mózdzek! On pewnie cię udusi, a potem ukradnie srebra!

- Nie! Naprawdę nie. To dżentelmen o nienaganych manierach.

- Podobnie jak niektórzy rozbójnicy. - Wstała gwałtownie. - Lepiej będzie, jak go zobaczę...

- Nie.

Diana zatrzymała się i w milczeniu spojrzała pytająco na Rosamunde.

- Nie wtrącaj się w to, Dianio.

- Przecież to jest mój dom.

Rosamunde przeoczyła ten drobny szczegół, więc zmieniła ton.

- Proszę cię.

Błękitne oczy Diany zwięziły się w szparki.

- Ty coś knujesz.

- Oczywiście, że knuję! Knuję... - z trudnością wymówiła to słowo - cudzołóstwo.

Jednak wcale nie odczuwała tego w ten sposób.

- Ale to bardzo niebezpieczne. Na pewno wszystko się wyda.

- Wcale nie. Dlaczego ktoś miałby pomyśleć, że ja... zrobiłam to z chorym mężczyzną, którego uratowałam?

- On jest chory?

- Już nie. Ale zatrzymałam go w sypialni, jakby był. - Przygryzła wargę. - To mój potajemny niewolnik-kochanek.

Oczy Diany stały się okrągłe jak spodki. Po chwili wybuchła śmiechem. Rosamunde zawtórowała jej tym samym i przez chwilę obie rechotały dziko, jak za dawnych lat, rozładowując chwilowe napięcie.

Lecz gdy się uspokoiły, Diana pokręciła głową.

- Pamiętaj, że on o tym wie, najdroższa. Dobrą stroną maskarady zawsze było to, że mężczyzna nigdy nie mógł o tobie nikomu opowiedzieć, ani też spowodować kłopotów.

- Wiem. Ale myślę, że wszystko ułoży się dobrze. Cały czas nosiłam maskę, mam też nadzieję, że uda mi się wyprawić go stąd w taki sposób, że nie będzie wiedział, gdzie i z kim był.

- Jakim cudem? A on myśli, że gdzie teraz jest?

- W Gillsett.

- Tam gdzie mieszkają panny Gillsett? Ty przewrotna spryciaro! Jeśli pojedzie tam szukać swej zamaskowanej kochanki, dozna prawdziwego szoku. No więc, zrobiliście to już?

Rosamunde aż podskoczyła, słysząc zadane wprost pytanie. Zaczerwieniła się, jednak skinęła głową.

Diana podbiegła do kuzynki i mocno ją przytuliła.

- Zuch dziewczyna! Mam nadzieję, że nie było ci zbyt nieprzyjemnie?

Rosamunde przygryzła wargę. Wydawało się to jej niemalże zbyt cenne, by o tym opowiadać, lecz skarb był zaiste ogromny i musiała się nim podzielić z Dianą.

- Posłuchaj... to było niesamowite... nigdy nie sądziłam...

- Rosa! Chyba nie upadłaś na głowę i nie zakochałaś się w tym draniu?

- Oczywiście że nie. Poza tym on nie jest draniem. To dżentelmen.

- Ha!

- Naprawdę. - Dopiero teraz poczuła pewne wątpliwości, bo doszła do niej treść słów Diany. - Nie zakochałam się. To niedorzeczne. Przecież ledwie go znam. - Musiała jednak zastanowić się nad ogarniającym ją wrażeniem czułości, przez które chciała się wciąż uśmiechać, dzielić z nim wspólne chwile. - To pojedynczy akt - powiedziała w równej mierze do siebie, jak do kuzynki. - W końcu rozumiem, dlaczego niektórzy ludzie zatracają się w tej materii.

Diana zmarszczyła brwi.

- Rozumiesz? A możesz mi to wyjaśnić?

Jednak w tym momencie Rosamunde zabrakło słów.

- To coś wyjątkowego. Fizyczne odczucie... że...

- Inaczej jak z sir Digbym?

- Inaczej. - Wydawało się to bardzo nielojalne. - Nie chodzi o to, że... chciałam powiedzieć...

Ocaliła ją Jessie, która właśnie zapukała i zajrzała do salonu.

- Przygotowałam tacę, milady. Czy mam ją zanieść na górę?

Rosamunde skoczyła na równe nogi.

- Sama to zrobię.

Diana też wstała.

- Nie myśl sobie, że się wywiniesz, Rosa, pozostawiając mnie z niewyjaśnioną tajemnicą! Czy przynajmniej znasz jego nazwisko?

Rosamunde zatrzymała się z tacą w ręku. Wiedziała, że wygląda jak najniższego rzędu ładacznicą, gdyż baraszkowała w łóżku z mężczyzną, nawet nie wiedząc, jak on się nazywa.

- Malloren - powiedziała. - Brand Malloren.

Pospiesznie wyszła z pokoju.

- Co takiego? - usłyszała za plecami.

O, nie.

- Rosa! - krzyczała Diana. - Wracaj tutaj!

Lecz Rosamunde uciekła na górę. Talerze przesuwaly się niebezpiecznie po tacy, z dzióbka dzbanka tryskała czekolada. Nie chciała wiedzieć, dlaczego Diana zaczęła tak wrzeszczeć. Po prostu nie chciała!

Czy naprawdę był rozbójnikiem? Czy w całej Anglii wisiały plakaty „poszukiwany” z jego nazwiskiem?

Zatrzymała się na chwilę, by włożyć zniechęconą maskę, potem szybko otworzyła zamek i wbiegła do pokoju, zatraskując za sobą drzwi.

- Co się stało? - spytał.

Od razu stał się czujny, mimo że był owinięty jedynie prześcieradłem jak togą. Stanął przy oknie. Tym razem zasłony były zaciągnięte. Wyrżał ostrożnie przez szparę między nimi.

- Czy jesteś poszukiwany? - wyrzuciła z siebie cicho, ciągle kurczowo trzymając przed sobą tacę ze śniadaniem.

- Poszukiwany?

- Przez wymiar sprawiedliwości.

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Podeszedł, odebrał od niej tacę, którą następnie postawił na stoliku,

i uporządkował poprzesuwane talerze. - Ponieważ wciąż nie pamiętam dokładnie, co ostatnio robiłem, nie mogę przysiąc. A, pasztecik wieprzowy. Dziękuję. - Ugryzł duży kęs. - Czyli? Co z tym zrobić?

- Nieważne.

Ugryzł ponownie, najwyraźniej nieprzekonany.

- Więc może posiedzisz ze mną, gdy będę jadł?

Po krótkiej wewnętrznej walce usiadła naprzeciwko, dotykając maski, aby sprawdzić, czy jest na miejscu. Chciała tu zostać. Odłożyć na później wysłuchanie złej wiadomości z ust Diany. Tak na trochę.

- Trudno to stwierdzić przez tę przekłętą maskę, ale wydaje mi się, że jesteś czymś poruszona. Miałaś kłopoty ze strony matki?

Rosamunde przestała wykręcać sobie dłonie, po czym wygładziła spódnice.

- Nie, oczywiście że nie.

- Sprawia wrażenie miłej kobiety. Dobrze, że ją masz.

- Tak. - Nie wiedziała, czy wypada zadawać osobiste pytania, ale się przemogła. - A ty masz matkę?

- Miałem. Umarła, gdy byłem bardzo młody.

- Przykro mi.

- Tęskniłem za nią. I chyba nadal tęsknię. Była wspaniałą osobą. Radosną, kochającą, silną. Dobrze by było odwiedzać ją, dzielić z nią wspólne chwile, robić coś dla niej.

Poruszyło to ją do głębi, gdyż wypowiadał te słowa tak po prostu, w czasie jedzenia, jak gdyby to było zupełnie normalne w układach między matką a synem. Instykt jej nie zawiódł. Robójnik czy nie, ale z pewnością był dobrym człowiekiem.

Przełknął ostatni kawałek pasztetu i uniósł na nią błyszczące oczy.



- A ta druga dama ma pewność, że nie jestem aniołem?

- To moja siostra, Sukey. - Rosamunde wiedziała, że w jej oczach również połyskują iskierki. - Uwierz mi na słowo.

- Więc nie będzie z nimi kłopotów?

- Nie.

Nalał sobie gęstej czekolady i popił, patrząc badawczo.

- Czy chcesz zmienić naszą umowę, skoro na scenie pojawiła się twoja matka?

- Nie.

- Miło mi ze świadomością, że tak cudowny ze mnie kochanek, iż jesteś gotowa ponieść związane ze mną ryzyko. Tylko dlaczego?

Przesunęła palcami po gorącym, grawerowanym, srebrnym dzbanku. Zastanawiała się, jaka dawka prawdy będzie w tej sytuacji właściwa. Chciała mu powiedzieć jak najwięcej.

- Nigdy dotąd nie miałam kochanka. I wątpię, czy będę miała jakiegoś w przyszłości.

- Jesteś jeszcze młoda.

- I zamężna.

- Wybacz, że jestem taki prostakiem - odezwał się po chwili. - Ale twój mąż jest już wiekowy.

- Ma dopiero pięćdziesiąt pięć lat. - Miała nadzieję, że nie zabrzmiało to jak skarga. Nie pragnęła śmierci Digby'ego, ale musiała szczerze przyznać: żałowała, że wyszła za niego za mąż. Leżało jej to na sumieniu, ta niewdzięczność. Lecz jeszcze większą goryczą przepełniała ją myśl, jak potoczyłoby się jej życie, gdyby nie okazała się takim tchórzem po wypadku.

- On ma pięćdziesiąt pięć, a ty?

Powróciła do rzeczywistości.

- Dwadzieścia cztery.
- Ile miałaś lat, gdy go poślubiłaś?
- Szesnaście.
- A niech mnie. Dlaczego?

Rosamunde nigdy dotąd nie podawała tego w wątpliwość, swej desperackiej potrzeby znalezienia się w bezpiecznym raju, z dala od narzucającej się rodziny, lecz także z dala od świata, od obcych ludzi. Teraz wątpliwości się pojawiły, lecz były jeszcze zbyt świeże, by je roztrząsać.

- A czemużby nie? - odparła żwawo. - Wiele kobiet młodo wychodzi za mąż, niektóre z nich wołają starszego mężczyznę. Chodzi o to, że jestem mężatką, a mój mąż jest dobrym człowiekiem. Nie mogę jeszcze raz ponosić takiego ryzyka.

Sądziła, że mógłby się z nią nie zgodzić, lecz on oparł się wygodniej, popijając czekoladę.

- Ja się nie wygamam. Daje na to moje słowo. Więc, czy żałujesz tego, co się stało?

- Wcale nie.

- To dobrze. - Dopił napój. - Co więc rozkażesz?

Przez chwilę nie rozumiała, o co mu chodzi. Lecz zaraz oblała się rumieńcem.

- Nic.

- Nic? Ostrzegam cię, moja droga, że mimo całego twego powabu, moje obowiązki kończą się o świcie. Przypomniałem sobie o moich sprawach. Mam spotkanie, na które muszę się stawić. Jeśli spróbujesz mnie tu zatrzymać, będziesz miała wroga, a nie posłusznego niewolnika.

- Nie będę cię zatrzymywała.

Ale, niestety, nie spodoba ci się sposób, w jaki opuścisz ten dom.

Jakkolwiek to zorganizuje, i tak zostanie jej wrogiem.

I tak będzie lepiej.

Wstała, podnosząc tacę.

- Ktoś do mnie przyjechał i muszę poświęcić mu trochę czasu. Ważne, że gdyby twoja obecność wyszła na jaw, to oczywiście ja nie przebywam tu na górze w twoim towarzystwie.

Uśmiechnął się.

- To wszystko wina mojej anielskiej urody. Nikt by nie uwierzył w twoją niewinność.

- Właśnie. Gdybyś był brzydki, wszystko okazałoby się o wiele prostsze.

- Mogę zrobić zeza - powiedział, udowadniając, że potrafi to zrobić. - Niestety, tylko na krótko.

Rosamunde tylko pokręciła głową. Nic dziwnego, że skończył pijany w przydrożnym rowie. Nie było w nim krzty powagi. To bez wątpienia jakiś nieodpowiedzialny utracjusz. Co za wstyd.

- Czy mógłbym chociaż odzyskać moje ubranie? - spytał. - Rzymski wygląd wyszedł w tym roku z mody.

- Szkoda - odparła, pozwalając sobie na pełne podziwu oględziny jego postaci. Kiedy się roześmiał, dodała: - Twoje ubranie niewątpliwie odczuło najgorzej tę przygodę, ale każę pokojówce, żeby ci je przyniosła.

- Więc kiedy znowu będę ci mógł służyć?

Chwyciła mocniej tacę, niemal jak tarczę. Miała wysoko rozwinięte poczucie dobra i zła, wiedziała więc, że dalsze spotkania z tym mężczyzną byłyby niewłaściwe. Mogłaby argumentować, że to zwiększyłoby szanse poczęcia dziecka, lecz w głębi serca wiedziała jedno: jeśli odda się mu ponownie, nie zrobi tego ze względu na pragnienie posiadania potomka, ani ze względu na dobro Wenscote, lecz z czystej żądzy, głodu nagromadzenia ciepłej stawy na nadchodzące lata nieurodzaju.

Powinna mu powiedzieć, że już nie będzie jej służył, że od tej pory zajmować się nim będzie wyłącznie Millie...

- Dziś wieczorem - wyszeptała. - Gdy wszyscy pójdą spać. A chodzą spać wcześniej - dodała.

- To dobrze. Będziemy mieli więcej godzin, nim nastanie świt.

Całą noc? Czy to możliwe?

Wycofała się do drzwi, jakby uciekała przed niebezpiecznym zwierzęciem. Gdy oparła tacę na biodrze, aby ująć klamkę, szybko przyszedł z pomocą, zdumiewająco elegancki w prześcieradle.

W końcu wyrzuciła z siebie pytanie, które nie dawało jej spokoju.

- Dlaczego twoje nazwisko mogłoby spowodować czyjś niepokój?

Znieruchomiał.

- A kogo zaniepokoiło?

Stał tak blisko, że ocierał się o nią obnażonym ramieniem i barkiem. Resztką woli powstrzymała się, by nie podejść jeszcze bardziej, nie oprzeć policzka na jego gładkiej skórze.

To było nie w porządku! Nie może pozwolić sobie na kochanka.

- Nieważne - powiedziała i wyszła z pokoju.

Chociaż nie miało to już większego sensu, zamknęła drzwi na klucz. Diabeł wyrwał się na wolność. Teraz niebezpieczeństwo czaiło się w niej samej.

**Z**anim Rosamunde zdążyła zebrać myśli, z sypialni wyrzała Diana, zabrała jej tacę, postawiła ją na stole, po czym wciągnęła kuzynkę do środka.

- To Brand Malloren! - wyszeptała.

- Tak. - Rosamunde była wciąż oszołomiona spotkaniem.

Niby dlaczego nie miałyby sobie pozwolić na kochanka, ten jeden raz w życiu? Czyż to nie było prawo każdej kobiety?

Diana wbiła w nią palący wzrok.

- Ty nic nie wiesz, prawda?

- O czym?

- O Mallorenach!

Rosamunde usiadła ciężko na sofie przy oknie, gotowa stawić czoło prawdzie.

- Więc co on zrobił?

- Zrobił? - Diana zmarszczyła cienkie brwi. - Myślę, że sama powinnaś o tym wiedzieć lepiej ode mnie.

- Nie miałam na myśli tego, co zrobił tutaj.

Diana pokręciła głową, elegancko przysiadając na sofie.

- Wciąż zapominam, że nigdy nigdzie nie chodzisz. Pewnie nie czytasz też gazet?

- Było o nim w gazetach?

Poczuła, że robi się jej niedobrze. Nigdy nie myślała o rozbójnikach w kategoriach romantycznych. W końcu to tylko złodzieje, często też mordercy. Ale może, jeśli on był takim szykownym rzezimieszkim, nie wyglądało to jeszcze tak źle.

- Jakie przestępstwo popełnił?

- Przestępstwo? - Diana otworzyła usta ze zdumienia. - Rosa...! Nie, o ile mi wiadomo, Brand Malloren nie był opisywany w gazetach. Natomiast było w nich o jego bracie. I to często. Musiałas słyszeć o Rothgarze.

- Co to jest Rothgar?

- Nie co, ale kto. Markiz Rothgar.

Rosamunde nie spuszczała z niej wzroku.

- Próbujesz mi powiedzieć, że on... - machnęła ręką w kierunku pokoju więźnia - jest markizem?

- Gdzie się podział twój mózg? - Diana pochyliła się do przodu. - Posłuchaj uważnie. Jeśli to Brand Malloren, jego bratem jest markiz Rothgar. Najstarszym z jego braci, oczywiście.

- Oczywiście - zawtórowała Rosamunde. - Ale ma takie zwykłe ubranie. Nie rozumiem...

- Ani ja. Lecz Mallorenowie to sławna rodzina. A raczej niesławna. Lord Bryght...

- Lord? - wykrzyknęła Rosamunde.

- Lady Elf jest bardzo miłą damą - terkotała dalej Diana. - Jest jedyną, którą osobiście poznałam...

- Diano! - wrzasnęła Rosamunde, aby wreszcie zwrócić na siebie uwagę kuzynki. - Chcesz powiedzieć, że mam tam w pokoju prawdziwego lorda?

- Masz Branda Mallorena, ale...

- Straszne!

- Ale to nie jest prawdziwy lord. Nie ma swego miejsca w parlamencie, ani nic z tych rzeczy.

- To ma być pocieszenie?

Diana nieoczekiwanie roześmiała się.

- Moja kochana, wątpię, żeby chciał cię zaciągnąć do sądu. Poza tym myślę, że masz świetny gust, jeśli chodzi o łapanie niewolników-kochanków.

- Ja go uratowałam. - Rosamunde nigdy nie wątpiła, że on jest człowiekiem wysokiego stanu. To wiele wyjaśniało. Nie miał w sobie ani krzty służalczości.

- Uratowałam, złapałam... - Diana machnęła ręką. - Co za ulga! Stałaś się taka nudna, ale to, co zrobiłaś teraz, jest absolutnie godne wyczynów z naszego dzieciństwa.

- Ja wcale go nie wybrałam - zaprotestowała Rosamunde.

Wiedziała, że jej policzki spłonęły czerwienią.

- Chcesz przez to powiedzieć, że gdy tylko wywlekłaś go z tego rowu, pomyślałaś sobie: „Mężczyzna. To dobrze. Nim nastanie świt, zaciągnę go do łóżka”?

- Oczywiście, że nie! - Rosamunde skoczyła na równe nogi. Chciała zrobić kilka kroków, by pokryć zmieszanie. - No dobrze. Doszłam do wniosku, że... nie był taki zły.

- Właśnie. Ale co, na litość Boską, lord Brand Malloren robił pijany na skraju drogi, do tego odziany w proste szaty? Nie znam go, ale wydaje się to wręcz niemożliwe.

- Może ktoś go tam wyrzucił.

- Podobno markiz bardzo dba o bezpieczeństwo członków swojej rodziny. Lepiej się pomódl, żeby lord Rothgar nie obraził się sposobem, w jaki potraktowałaś jego brata. Ludzie mówią, że w takich sytuacjach jest bezlitosny. - Zniżyła głos. - Niektórzy nawet twierdzą, że jest szalony.

- Szalony!

Diana wybuchnęła śmiechem.

- Ja tylko drażnię się z tobą, kochanie. Nigdy nie poznałam markiza osobiście, lecz nie słyszałam, aby był pieniaczem. Chyba jego matka była obłąkana.

Rosamunde znieruchomiała.

- Matka lorda Branda była obłąkana?

- Ależ nie. Oni są przyrodnimi braćmi.

Rosamunde odetchnęła z ulgą.

- Bogu dzięki!

- Naprawdę. Czy to nie jest niesprawiedliwe, by osądzać kogoś po jego rodzicach? Czy lord Brand wydawał ci się obłąkany?

Rosamunde nie była pewna czy wie, jak powinien się zachowywać zdrowy na umyśle człowiek.

- Nie, ale...

- Więc oceń go po tym, jaki jest.

- Pamiętaj, że zajmuję się chowem zwierząt. - Splotła ramiona. - Pomyśl tylko! Mogłam począć dziecko, które miałoby w sobie krew szaleńca. Myślałam o aspekcie fizycznym, lecz nie przyszło mi do głowy zastanowić się nad jego moralnością czy zdrowiem umysłu. Temperament można wyćwiczyć, podobnie jak kondycję fizyczną. Mówiłaś, że nie słyszałaś o nim nic złego? O Brandzie Mallorenie?

- Nie. Ale on chyba nie udziela się w towarzystwie.

- Powiedział, że zarządza majątkiem jakiegoś arystokraty.

- Więc to tak. To wiejski kmiotek, tak jak ty. Z pewnością uwielbia rozmowy o płodozmianie, brukwiach, zapaleniu racic i temu podobnych.

- Bardziej mnie interesuje, czy taki będzie jego syn. Diana przewróciła oczami.

- Na pewno dopilnujesz, że właśnie taki będzie. Biedne małeństwo. - Wstała, wygładzając spódnicę.

- Mimo wszystko, niepokoję się. Musimy dopilno-



wać, żeby Mallorenowie nie mogli cię odszukać, kiedy będzie już po wszystkim.

Rosamunde zadrżała.

- Zrobiłam, co mogłam. On nie wie ani gdzie jest, ani z kim jest.

- To prawda, ale jeśli zaczniesz rozpytywać o ludzi, których znaleziono na skraju drogi, to już po tobie. Przyznaj sama. Moja maskarada była o wiele lepsza.

- Pewnie tak, ale jeśli dopisze nam szczęście, ludzie nigdy się nie dowiedzą, że był tu ze mną jakiś mężczyzna. Służący zgodzili się zachować tajemnicę.

- Można im zaufać? - Mina Diany wyrażała wątpliwość.

- Chyba tak. Tak samo jak my nie chcemy, żeby przyszło tu Nowe Państwo.

Diana usiadła, wpatrując się w kuzynkę.

- Wyjaśniłaś im to wszystko?

- Oczywiście że nie! Ale oni nie są głupi, sama wiesz. Myślę, że pani Yockenthwait domyśliła się, podobnie jak moja mama i Sukey.

- Ciocia Ellington!

Rosamunde przyłożyła dłonie do rozpalonych policzków.

- Straszne, prawda? Ale... wydaje mi się, że ona to aprobuje. Nie wiem, czy to pociecha, czy też dowód, że świat zwariował.

Diana odetchnęła głęboko.

- No cóż, może jednak ci się udało. Ale mimo wszystko... - Ściągnęła usta, w jej oczach pojawiły się znajome, figlarne ogniki.

- No, co znowu? - spytała Rosamunde. Miała złe przeczucia.

- Nie byłoby trudno puścić plotki. Dla zabezpieczenia. Pewna dama znalazła na skraju drogi jakiegoś mężczyznę. Można by szepnąć o tym tutaj, może

w okolicach Ripon, w Niddersdale czy Airedale. Być może damą tą była lady Hauxwell albo pani Ring lub nawet jedna z panien Gillsett...

- Diano! - zaprotestowała Rosamunde, lecz musiała przyznać, że taka akcja mogłaby przynieść dobry skutek.

- Wiesz, że ludzie wierzą w takie opowieści, a potem powtarzają je dalej z pewnymi zmianami. A każdy mieszkaniec naszych okolic uważa, że grzechy i cuda zdarzają się nie w jego stronach, lecz u sąsiadów. Kiedy uległaś wypadkowi, połowa Yorkshire myślała, że nie żyjesz, a druga połowa, że straciłaś wzrok. Wielu ludzi wierzyło, że uciekłaś z kochankiem, a nawet że obie uciekłyśmy.

- Modłę się, żeby ta pogłoska nie odżyła. Mój plan zależy od mojej nieskazitelnej reputacji.

- Którą bez wątpienia posiadasz. - Diana zbliżyła się i ujęła dłoń kuzynki. - To była moja wina...

- Nie...

- Tak! To ja poganiałam do szybszej jazdy bez najmniejszego powodu. To ja powinnam była zostać ranna...

- Nie bądź głupia! To się nie powinno przytrafić żadnej z nas. Po prostu za sprawą zrzędzenia losu karreta wywróciła się, a szkło uderzyło mnie w twarz. Ty straciłaś przytomność i mogłaś odnieść znacznie cięższe obrażenia.

- Ale nie odniosłam. - Diana dotknęła policzka Rosamunde. - Bardzo bym chciała, abyś zostawiła to wszystko za sobą, kochana. Czas wygoił blizny. Naprawdę nie wyglądają tak źle, jak myślisz.

Rosamunde nagle zrozumiała, jak bardzo ulżyłaby kuzynce, gdyby zaczęła normalnie żyć. Nigdy dotąd nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo Diana jej współczuje.

- Spróbuję - obiecała. - Ale jeszcze nie teraz. Na razie muszę pozostać szanowaną, żyjącą w odosobnieniu lady Overton.

-Ale...

- Jakie to szczęście, że tylko tobie powiedziałam jego nazwisko! - Rosamunde musiała przerwać Dianie. Nie chciała teraz myśleć o swoich bliznach i decyzjach. Byłoby to zbyt bolesne.

Diana wzruszyła ramionami, dając jej spokój.

- To było rozsądne. Ustawię paru zaufanych służących, żeby zaczęli rozpuszczać plotki. Jeśli kiedykolwiek wyjdzie na jaw, że przebywał tu jakiś mężczyzna, będzie to jedna z wielu mglistych opowieści.

- Dziękuję ci.

- A więc pozostał nam do rozwiązania tylko jeden problem: Brand Malloren. Nie możesz go ot tak wyprawić w drogę i pomachać na do widzenia, bo będzie wszystko wiedział.

- Zwłaszcza że jesteśmy na odludziu. Muszę go gdzieś odstawić. - Przez chwilę pocierała kłykcie. - Mogę zawiązać mu oczy.

- Pozwoli ci na to?

- Raczej tak.

- Jesteś go zadziwiająco pewna. Ale to niewiele pomoże. On i tak będzie miał względnie dobre pojęcie, jak daleko został wywieziony. Wyczuje rzeźbę terenu. Usłyszy różne dźwięki. Na pewno nie jest głupcem.

- Nie jest. No więc, jakże mam go zmylić?

- Znalazłaś go pijanego. Zostaw mu dzbanek ginu, może znowu upije się do nieprzytomności.

Wcześniej Rosamunde sama zaplanowała takie rozwiązanie, ale teraz pokręciła głową.

- Ani razu nie poprosił mnie o wino czy inny trunk. Czy według ciebie takie zachowanie znamionuje pijaka?

- Niestety nie. Myślę, że mogłabyś pozbawić go przytomności, ale...

- Nie! Nie wiedziałabym jak, poza tym to strasznie niebezpieczne. Przypomnij sobie, jaka byłaś skołowana po naszym wypadku. A biedny Bob Wigglethorpe już nigdy nie był taki sam po tym, jak belka spadła mu na głowę.

- Wobec tego mogłabym poprosić starą pannę Naisby o jakąś miksturę.

Pomysł uśpienia go nie przypadł Rosamunde do gustu, ale wydawał się mniejszym złem.

- Poproś ją, na wszelki wypadek. Chociaż nie chciałabym mu tego zrobić.

Diana pochyliła się, żeby pocałować ją w policzek.

- Znowu za bardzo się przejmujesz. Pamiętaj, że dokonałaś już tego, co najważniejsze. Teraz nie możesz stchórzyć.

- Czasami opuszcza mnie odwaga.

- Właśnie. Ale pamiętaj, to nie jest Szekspirowska tragedia. Rosie i Dinah wyjdą z tego obronną ręką. O ile Rosie nie dostanie jednego ze swych ataków uczciwości. Obiecujesz?

Rosamunde pomyślała tęsknie o tym, jaką piękną rzeczą jest uczciwość, lecz po chwili kiwnęła głową.

- Obiecuję.

Kiedy Diana wyszła, Rosamunde miała ochotę po prostu usiąść przy oknie i biadolić przez resztę dnia, jednak musiała pokazać się na wypadek, gdyby cokolwiek się wydało. Tak czy inaczej - pomyślała, wygładzając ubranie i wychodząc z salonu - on czekał na swoje odzienie.

W kuchni obejrzała dokładnie proste szaty, które potwierdzały, że ich styl i jakość nie licowały z pozycją arystokraty. Może mimo przynależności do takiej rodziny naprawdę był prostym człowiekiem. Uczepi-

ła się tej myśli, faktu, że może wcale nie dzieli ich duża różnica w statusie, jednak zaraz zmusiła się do zaprzestania tych wariackich rozważań. Szczebel drabiny społecznej stanowił tu najmniejszą przeszkodę.

Ona była zamężna.

Pragnęła urodzić dziecko, aby ocalić Wenscote, a będzie mogła to przeprowadzić tylko wtedy, jeśli nikomu na świecie nie przyjdzie do głowy, że lady Overton znalazła sobie przypadkowego kochanka. Nawet gdyby te bariery opadły, była przecież córką chłopca - co prawda ziemianina, ale jednak chłopca - zaś Brand Malloren to syn markiza. Poza tym przypominała sobie, że przecież tak naprawdę nie wzbudziła jego zainteresowania. Spłacał swój dług i zażywał przyjemności. To wszystko.

Kazała Millie zanieść mu na górę ubranie.

Teraz powinna pokazywać się w domu i na zewnątrz. Włożyła czepek, który częściowo zakrywał policzki, i poszła na przechadzkę do ogrodu, blisko drogi. Przejeżdżały nią różne pojazdy, przechodzili ludzie. Witała ich, gdy ją spostrzegali. Znała wszystkich, nikt nie sprawiał wrażenia, że coś podejrzewa. Dość często przyjeżdżała do Diany na dzień lub dwa.

Może powinna zasugerować, aby Diana przeprowadziła się do domku wdowy, wtedy wszystko będzie wyglądało jeszcze bardziej wiarygodnie. Chociaż wcale tego nie chciała. Nie mogłaby spędzić tej nocy tak jak planowała, wiedząc, że Diana śpi w sąsiednim pokoju.

\*

Zabrała się za wrywanie chwastów, gdy odnalazła ją Millie, która nadeszła ścieżką, mrużąc pod nosem o półnagich mężczyznach.

- On chce coś do czytania.

- Do czytania? - powtórzyła bezwiednie Rosamunde, chociaż była to jak najbardziej sensowna prośba. Biedak wrócił do pełni sił, ale w zamkniętym pokoju nie miał nic do roboty.

- Czy mam mu zanieść coś z biblioteki, milady?

- Tak... - Jednak zaraz pomyślała o pewnej komplikacji. - Nie! Sama coś dla niego wybiorę. Dziękuję ci, Millie.

Idąc pośpiesznie w kierunku paru półek pełniących w domu rolę biblioteki, Rosamunde wiedziała, że o włos uniknęła kolejnego nieszczęścia. Te książki zostały przyniesione z dużego domu i posiadały wytłoczony napis „Arradale” oraz rodzinny herb.

Przejrzała je w nadziei, że znajdzie jakiś pojedynczy, nieoznakowany egzemplarz. Oczywiście bez rezultatu. Mogłaby wyciąć którąś pierwszą stronę, ale nie mogła się pogodzić ze zniszczeniem książki.

Co robić?

Tknięta inspirującą myślą wyszła z domu i przeszła pół mili, jakie dzieliło ją od Arradale. Weszła przez kuchnię i spytała o Dianę.

- Wyjechała konno, żeby obejrzyć siano, milady - powiedział lokaj, który pojawił się wiedziony instynktem właściwym wszystkim lokajom. - Jednakże w domu jest starsza pani.

Rosamunde żałowała, że nie może normalnie poprosić o ostatnie gazety, lecz musiała porozmawiać z ciotką.

Równie kragła jak jej siostra, lady Arradale nosiła się jak przystało na hrabinę, zaś jej włosy za sprawą cudownych zabiegów kosmetycznych wciąż miały barwę soczystego brązu, jak w latach młodości.

- A więc, moja droga - odezwała się, przyjmując złożony w powietrzu pocałunek, tuż obok przypu-

drowanego delikatnie policzka - podobno przytrafiła ci się mała przygoda.

- Przygoda, ciociu Arradale? - spytała Rosamunde, siadając na obitym brokatem krześle, nieco podenerwowana.

- Była tu Mariah i opowiedziała mi o twoim inwalidzie. Zachowałaś się bardzo szlachetnie, moja droga.

Oczywiście matka odwiedziła swoją siostrę, mieszkającą tak blisko, i zrelacjonowała jej, co się dzieje. Ale co dokładnie powiedziała? Rosamunde desperacko starała się ocenić ton głosu ciotki, lecz ją zawsze trudno było rozszyfrować.

- To raczej uciążliwość, ciociu - powiedziała znużonym głosem - ale poczuwam się, żeby zostać w domku wdowy do czasu, aż wyślemy go w dalszą drogę, co, mam nadzieję, nastąpi jutro.

Pomyślała sobie, że jest dorosła, ale ta historia cofa ją do czasów dzieciństwa. Rosie i Dinah znowu mają kłopoty.

Rodzice Rosamunde zawsze mieli miękkie serce i nie lubili karać dzieci, ale lord i lady Arradale stawiali swemu jedynemu dziecku duże wymagania i egzekwowali ich respektowanie. Jeśli Diana miała kłopoty, było oczywiste, że brała w tym udział także Rosamunde, tak więc wszyscy - łącznie z Rosie i Dinah - zgadzali się co do identycznego wymiaru kary dla obu dziewcząt. Jeśli orzekano chłostę, wymierzała ją zawsze ciotka Arradale.

W tej chwili Rosamunde była niemal w stanie wyobrazić sobie, jak ciotka każe przynieść brzoźowe witki.

Jednak to pchnęło jej myśli ku Nowemu Państwu, gdzie bardzo surowo traktowano dzieci. Nawet pod twardą ręką ciotki Arradale kara nigdy nie była dotkliwa. Tylko na tyle, żeby pożałowały swego występku.

- Jakież problemy? - spytała wnikliwie. Rosamunde musiała się mocno skoncentrować.

- Nie, ciociu. No, jest jeden problem z sir Digbym.

Rosamunde ochoczo przeskoczyła na niewinny temat. - Chciałabym, żeby wykazał większe umiarkowanie w jedzeniu i picciu. Często robi się czerwony na twarzy, charczy, gdy wchodzi po schodach. Bardzo mnie to niepokoi.

- Masz powody. Hrabia był w podobnym stanie i odszedł od nas.

Rosamunde zapomniała i teraz było jej przykro, że wywołała przykre wspomnienia.

- A kiedy sir Digby umrze - podjęła ciotka - rozumiem, że jego dziedzicem zostanie członek tej nowej, ekstremalnej sekty.

- Tak, Edward Overton. To bardzo niepokojące.

- Powinnaś urodzić dziecko, moja droga - powiedziała bez ogródek ciotka.

Rosamunde poczuła, jak oblewa ją fala gorąca. Nigdy nie śniła, że mogłaby omawiać sprawy małżeńskie ze swoją czcigodną ciocią.

- Próbujemy, Digby i ja... - Poniekąd była to prawda.

- Całe szczęście, że mężczyźni nie są tacy jak kobiety i mogą mieć potomstwo w starszym wieku. Szczęście, że jego żoną jest zdrowa, młoda kobieta. - Przekrzywiła głowę z uśmiechem. - Że jesteś nią właśnie ty.

Czy to oznaczało aprobatę? To była najdziwniejsza rozmowa w całym życiu Rosamunde.

Przeszła bez ogródek do głównego celu swej wizyty.

- Mój inwalida chciałby poczytać gazetę, ciociu. Przyszłam spytać, czy mogłabym pożyczyć twoją.

- Oczywiście, moja droga. - Lady Arradale zadzwoniła złotym dzwoneczkiem, a gdy zjawił się lokaj, wydała mu polecenie.



- No więc, kim on jest? - spytała.

Rosamunde przygotowała się na kolejne kłamstwa.

- Jeszcze sobie nie przypomniał.

- A skąd przyjechał?

- Tego też nie wie.

- W dodatku zaszkodził mu spożyty w nadmiarze trunku. - Zmarszczyła brwi. - Może on woli nie zdradzać, kim jest. Uważaj, Rosamunde.

- Twierdzi, że z zasady nie pije dużo, ciociu Arradale.

- A co innego miałyby powiedzieć?

Rosamunde z rozbawieniem pomyślała o tym, jak bardzo wszystkie starsze kobiety są sceptyczne w stosunku do mężczyzn.

- Bądź ostrożna, moja droga. Hultaje i dranie często bywają uroczy, co sprawia, że są jeszcze bardziej niebezpieczni, szczególnie gdy odznaczają się ponadprzeciętną urodą. A rozumiem, że on właśnie taki jest. Jeśli chcesz, możesz na noc przysłać go tutaj.

Rosamunde ocalił lokaj, który wrócił z niewielką stertą gazet na srebrnej tacy.

Ciotka Arradale machnęła ręką, na co Rosamunde szybko wstała i zabrała gazety.

- Dziękuję, ciociu. Nie warto go chyba przenosić, a jutro Diana pomoże mi przywrócić go do cywilizacji.

- Naprawdę? Trudno mieć nadzieję, że pozostawi taką sytuację bez swojego udziału. Ale skoro nie znacie jego nazwiska ani miejsca zamieszkania, dokąd zamierzacie go odwieźć?

O Boże.

- Do Thrisk. Jak twierdził, chyba stamtąd pochodzi, więc mamy nadzieję, że zostanie rozpoznany.

- A jeśli nie?

- To dam mu trochę pieniędzy i tam go pozostawię. Przecież nie mogę trzymać go tutaj, ciociu.

- Mam nadzieję, że obie zachowujecie się z godnością i tak jak przystało na wasz wiek.

- Oczywiście, ciociu! - wykrzyknęła Rosamunde, mając przed oczami wizję świszczących w powietrzu brzoźowych różg. W tym momencie wpadła na pewien pomysł. - A może - wymyślała to wszystko na gorąco - ja powinnam przyjść tutaj na noc. Trochę się obawiam przebywać z nim w jednym domu, gdy odzyskał już przytomność.

Ciotka Arradale aprobująco pokiwała głową.

- Bardzo rozsądnie. Trzeba bardzo pilnować swojej reputacji, a mnie będzie bardzo miło zjeść kolację w twoim towarzystwie.

Rosamunde niezupełnie tak to sobie wyobrażała, ale słowa ciotki nosiły znamię królewskiego rozkazu, więc musiała wyrazić zgodę. Podziękowała, pożegnała się i wyszła z dużego domu, jeszcze raz układając sobie wszystko w głowie.

Tak - pomyślała, ukazując się na szerokim tarasie, wiodącym ku trawnikom po wschodniej stronie. - To będzie najlepsze rozwiązanie. Jeśli informacja o jego pobycie wydostanie się na zewnątrz, wtedy fakt, iż on mocno chorował poprzedniej nocy, a ona obecną noc spędzi gdzie indziej, pomoże odsunąć podejrzenia.

Zastanawiała się, dlaczego ludzie uważają, że tylko noc może być niebezpieczna.

Szła szybko po aksamitnych trawnikach, przez starannie utrzymane zarośla, zadowolona, że widzą ją ogrodnicy, lecz wciąż lekko zdenerwowana po wizycie w dużym domu.

Dlaczego?

Zatrzymując się na ozdobnym, drewnianym mostku, w zamyśleniu popatrzyła na płynącą wodę. Całe

życie znała i akceptowała styl życia w Arradale, w rzeczy samej jako dziecko bawiła się na marmurach wielkich schodów tego domu, jego korytarzy i sal. Nigdy nie tęskniła za takim życiem, wołała prostszą codzienność w domu swego dzieciństwa i w Wenscote.

Dlaczego więc teraz odczuwała niepokój?

Aha. Ponieważ Arradale oferowało standard, do jakiego przywykł Brand Malloren. Albo może nawet do jeszcze wyższego. Podkreślało to dzielącą ich różnicę.

Pokręciła głową. Cóż za głupie rozumowanie. Ta różnica była ogromna jak ocean, tworzyła ją nieuczciwość, przymus wynikający z celu, do jakiego dążyła, z niezaprzeczalnego faktu, że jest mężatką.

No i byli dla siebie zupełnie obcymi ludźmi. Ruszyła żwawo, postukując obcasami na drewnianych deskach, po chwili jej kroki ucichły, gdy skręciła na pokrytą listowiem ścieżkę. Brand Malloren miał taki dar, że sprawiał wrażenie kogoś znajomego, ale jeszcze wczoraj o tej porze nie znała nawet jego imienia. Szaleńczo budowała romantyczny obraz w swojej wyobraźni z podejrzanym, obcym człowiekiem w roli głównej. Co gorsza, Diana i ciotka Arradale mogły się już tego domyślić.

Wystarczająco złe było mieć opinię nierządnic, nawet jeśli robiła to w słusznej sprawie. Ale nie mogła znieść myśli, że uważano ją za głupią!

Nagle coś przyszło jej do głowy, aż zatrzymała się koło starego dębu, rosnącego w pobliżu drogi do Hawes.

Dlaczego on sam jej nie powiedział, że jest lordem Brandem Mallorenem? Dlaczego część swojej tożsamości zachował w tajemnicy? Zapewne - czemu nie pomyślała o tym wcześniej? - jego proste szaty sta-

nowiły przebranie. A więc co lord Brand Malloren planował zrobić, skoro skończył w przydrożnym rowie nieprzytomny i bliski śmierci?

Nie chciała tego wiedzieć. W końcu syn markiza mógł być również rozbójnikiem, szmuglerem, przestępcą uciekającym przed wymiarem sprawiedliwości.

Była w niebezpieczeństwie. Ten urzekający hultaj mógł ją całkowicie zauroczyć. Nie wolno mu ufać. Postąpiła głupio, ufając mu do tej pory. Rozsądna kobieta nie chciałaby mieć z kimś takim nic do czynienia.

Jednak Rosamunde nie była na to wystarczająco rozsądna.

Zerwała jaskier rosnący przy ścieżce i zakręciła nim, aż zajaśniał w promieniach słońca. Myślała o tym, jak chyłkiem wśliznąć się do domku wdowy po kolacji na grzeszną schadzkę.

## Rozdział IX

)

**B**yla już niemal w domu, okrążając żywopłot między bocznym ogrodem i drogą, gdy zatrzymał ją jakiś głos.

- Bóg z tobą!

Odwróciła się i po drugiej stronie żywopłotu ujrzała jeźdźca w wysokim, szpiczastym czarnym kapeluszu. Przez chwilę myślała, że to siostrzeniec Digby'ego, Edward Overton, lecz on pewnie zawołałby ją po imieniu. Poza tym ten mężczyzna był bardziej krępy.

Członek Nowego Państwa. Tutaj. To było jak sygnał do bitwy, przypomnienie powagi sytuacji.

- Słucham? Trzeba panu czegoś?

Wyglądał dość zwyczajnie, spoglądał na nią życzliwie wąskimi szparkami brązowych, błyszczących oczu. Miał na sobie gładkie, szare ubranie, proste i dość mocno wytarte.

- Czy to jest dom Arradale, siostrze? - Zesztywniała, słysząc, jak się do niej zwrócił. Przypomniała sobie, że oni używali słów „brat” i „siostra” zamiast bardziej oficjalnych form.

- To tylko domek wdowy. - Wiedziała, że to nieracjonalne, lecz miała wrażenie, jakby on doskonale wiedział, co tu się dzieje.

- Śliczny majątek. A ty jesteś zapewne kuzynką hrabiny, lady Overton.

Rosamunde szybko zakryła dłońią policzek, zaskoczona, że rozmawia z obcym człowiekiem, zapominając o swym wygładzie.

- Tak, rozpoznałem cię po bliznach - powiedziała bez żenady. - Edward Overton wspominał o nich.

Opuściła dłoń.

- Znasz więc mojego bratanka?

- Bardzo dobrze. Na jego zaproszenie przebywam w twoim domu.

- On nie ma prawa zapraszać gości! - powiedziała ostro, zanim się opamiętała.

- Tylko na jedną noc - odparł, jakby w ogóle nie zauważył tego afrontu. - Jedziemy do Lancashire, by głosić kazania, a po drodze zatrzymaliśmy się w Wenscote, gdyż Edward chciał odwiedzić swego niedomagającego stryja.

- Sir Digby nie jest niedomagający. Mam nadzieję, że obaj z Edwardem to zauważyliście.

- Na szczęście, ale lepiej zrobiłaby mu lekka dieta. Próbowaliśmy go do niej przekonać.

Niech ich diabli. Chociaż taka rada była jak najbardziej na miejscu, jednak Edward umiał przedstawić ją w sposób denerwujący dla Digby'ego, zaś ten nijaki, przymilny mydłek też nie był im potrzebny. Bogu dzięki, że rano wyruszają w dalszą drogę.

Nagle coś zwróciło jej uwagę.

- Nie wiedziałam, że Edward został kaznodzieją.

- Pomaga mi i uczy się na przyszłość. Wszyscy oczekujemy, że niedługo wysoko zajdzie w naszej hierarchii.

Za sprawą hojnego daru w postaci Wenscote.

Z twarzy Rosamunde nie zniknął mdły uśmiech.

- Na pewno jest zachwycony.

- Nasza przyjemność wynika jedynie ze służby Panu. Wyjeżdżamy jutro z pierwszym brzaskiem. Czy zobaczymy się wieczorem w Wenscote?

- Ja nocuję dziś w Arradale.

- Więc niech mi będzie wolno już teraz podziękować za gościnę w twoim domu. Jest piękny, widać w nim kobiecą rękę.

- Wobec tego podziękujcie pani Crofton, gospodyni, która mieszka tam o wiele dłużej ode mnie i wydaje większość poleceń służbie.

Skłonił lekko głowę, jakby przyjmował tę ripostę do wiadomości.

- Tak też uczynię. Dowiedziałem się od małżonka, że to jednak ty pielęgnujesz ogród i interesujesz się hodowlą.

- To prawda. - Chciała, żeby już sobie pojechał, lecz zarazem pragnęła dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Reprezentował jej wrogów. Oprócz Edwarda nigdy dotąd nie poznała żadnego przedstawiciela Nowego Państwa.

- Zatem jeszcze bardziej chciałbym z tobą porozmawiać. Również bardzo mnie to interesuje, a pewnego dnia twoja praca zostanie zwrócona ku chwale Pana. Niech Bóg cię błogosławi, siostró.

Z tymi słowy cmoknął na konia i ruszył dalej. Rosamunde słuchała oddalającego się tętentu końskich kopyt. Aż gotowała się ze złości na myśl o tym, że jej praca miałaby być wykorzystana na rzecz Nowego Państwa. Spotkanie wzburzyło ją też z innego powodu. Ten człowiek nie mógł przecież niczego podejrzewać, lecz wołała, by nie widział jej tu dziś żaden z członków sekty. Jeśli - lub też kiedy - zajdzie w ciążę, czy on będzie w stanie skojarzyć jedno z drugim?

Nie, bo nie będzie wiedział, że był tu jakiś mężczyzna.

Mimo wszystko zadrżała.

Ten tutaj był zupełnie inny niż Edward. Chociaż Edward miał możliwości, żeby im wszystkim zaszkodzić, to jednak w sumie wydawał się śmieszny z tym swoim ostentacyjnym prostactwem i pozbawionym humoru głoszeniem wiary. Natomiast ten człowiek, prostolinijny, o ciepłych oczach, mógłby przeciągnąć na swoją stronę wrażliwego człowieka, przekonać sceptyka. Sprawił nawet, że zapomniała o swoich bliźnich.

Niebezpieczny typ.

Bardzo niebezpieczny. Dotąd myślała o Nowym Państwie jako o czymś głupim.

Przyspieszyła kroku. Chciała, żeby Digby zabronił Edwardowi wchodzić do ich domu. Digby miał nadzieję, że wybiję mu z głowy tę sektę, oczywiście nadzieję zupełnie płonną. W tym momencie była to jedyna rzecz, jaką Digby mógł zrobić, by zapobiec nieszczęściu.

Niedługo, z Bożą pomocą, wszystko się zmieni.

Ten człowiek powiedział, że on i Edward wyjeżdżają nazajutrz rano. Więc będzie dobrze.

Weszła do kuchni. Chciała, żeby było dobrze, więc mogła zostać, chciała zostać na grzeszne rozkosze. Jeszcze przedwczoraj nie byłaby w stanie uwierzyć, że tak szybko i bez reszty jest zdolna pograżyć się w grzechu.

Jessie i Millie siedziały przy stole w kuchni, popijając herbatę. Na widok Rosamunde Jessie podskoczyła, jakby została przyłapana na gorącym uczynku, lecz Rosamunde machnęła uspokajająco ręką.

- Mam nadzieję, że nie było żadnych kłopotów ze strony naszego pacjenta?

- Nie wydał najmniejszego odgłosu, milady. Czy podać pani herbatę?



- Tak, dziękuję. W sumie może będzie dobrze, jeśli i jemu coś zaniosę. - Na samą myśl o spotkaniu z nim poczuła przyspieszone tętno.

Głupie serce.

- Ja mogę to zrobić - rzekła pokojówka, która dopiła herbatę i naprędce przygotowywała nowy dzbanek napoju.

Rosamunde pomyślała, że w tej sytuacji dziewczyna nie będzie w stanie usiedzieć spokojnie, lecz nie miała zamiaru pozwolić komukolwiek skraść sobie tych kilku cennych chwil w towarzystwie Branda.

- Sama zaniosę - powiedziała. - Mam dla niego gazety.

- W bibliotece jest mnóstwo książek, milady - zauważyła Millie, spoglądając z dezaprobatą.

- Na pewno nie są w jego guście. Mam jednak tę książkę o chowie zwierząt, którą kupiłam w Harrogate. Zobaczą, może mu się spodoba. - Przynajmniej jeszcze nie podpisała jej swoim nazwiskiem.

Taca była już gotowa, więc Rosamunde wzięła ją i pośpiesznie wyszła z kuchni. Zapewne powinna była pozwolić, aby zrobiła to jedna z pokojówek, lecz nie mogła się oprzeć chęci spędzenia z nim tych kilku minut.

Nie mogła się oprzeć...

Pomyślała racjonalnie, że w każdym razie im rzadziej pokojówki będą go oglądać, tym mniejsza możliwość, że wypaplą coś niestosownego.

Ależ to wszystko poplątane!

Do tego jeszcze ta okropna maska. Nałożyła ją, otworzyła drzwi kluczem i weszła do pokoju.

Wstał. Aż zatrzymała się na widok zmian, jakie w nim zaszły. Ubranie miał trochę poplamione, lecz i tak, dzięki niemu, robił jeszcze lepsze wrażenie. Wydawał się większy, zarazem jakby bardziej odle-

gły. Włosy miał związane ciemną wstążką. Wyraźnie było widać, że jest arystokratą. Może to z powodu sposobu, w jaki stał? Arystokraci - chłopcy i dziewczynki - uczyli się dostojnie stać i poruszać. Widziała to u Diany, nawet ciotka Arradale przyswoiła sobie tę umiejętność po hucznym ślubie.

Bez względu na przyczynę, tworzył wokół siebie aureę dominacji. Był tu obcy.

- Podwieczorek? - spytał uprzejmie. - Jak człowiek nie ma co robić, jedzenie staje się ważne.

Rosamunde opanowała się i postawiła tacę na stole.

- Przyniosłam też gazety.

- Wspaniała kobieta! - Obdarzył ją uśmiechem, lecz poczuła się bardziej jak pochwalona służąca niż osoba równa mu stanem. - Czy okażesz się jeszcze wspanialsza i dotrzymasz mi towarzystwa?

Nie była w stanie odmówić, więc usiadła i przygotowała herbatę, znajdując w tej prostej czynności prawdziwą przyjemność.

- Długo nie mogę zostać - zastrzegła, mieszając wirujące we wrzątku liście.

- Zapewne. - Usiadł swobodnie, zakładając nogę na nogę. - Kim jest ten człowiek, z którym rozmawiałaś przy drodze?

Zadzwoniła łyżką w chińskim dzbanku. A więc on ją widział? Po chwili zrozumiała, że z takiej odległości nie mógł dostrzec zbyt wiele, poza tym miała na głowie zasłaniający policzki czepek.

- Rozmawiałam? Kiedy?

- Przed chwilą. Miał na głowie szpiczasty kapelusz.

Gwałtownie uniosła wzrok, lecz w mężczyźnie nie było podejrzliwości, którą, jak się jej wydawało, usłyszała w głosie.

- To jeden z wyznawców Nowego Państwa.

- A, tak. Następcy Cromwella.

Zdała sobie sprawę, że herbata zrobiła się już zbyt mocna, więc szybko nalała ją do filiżanki.

- Nie jestem pewna, czy to właśnie oni, chociaż chcą, żeby ludzie wiedli ściśle purytański żywot. Mleko? Cukier?

Skinał głową.

- Więc - podjął wątek, biorąc od niej filiżankę - to wasz sąsiad? Macie Nowe Państwo w tej okolicy?

- Jeszcze nie. - Natychmiast pożałowała, że nie powiedziała po prostu „nie”.

- Oni dość szybko się rozprzestrzeniają. Wszędzie pełno ich szpiczastych kapeluszy i wykrochmalonych czepków.

- Tak. - Z pewnością nie było żadnego ryzyka w rozmowie na temat społecznego zjawiska, lecz było to tak ściśle związane z jej tajemnicą, że nie śmiała rozwinąć wątku.

Szybko podsunęła mu talerz z ciastkami.

Wziął jedno.

- Przyznaję, że mam pewną sympatię dla ich sprawy - powiedział.

- Sympatię?

Niemal rozsypała mu ciastka na kolana. Czy właśnie dlatego nosił proste ubranie? Litości, co ona najlepszego zrobiła?

- Chyba jesteś w szoku.

Opanowała się, starając się wyczytać coś z jego twarzy.

- Nie wyglądasz mi na purytanina.

- Zapewne. - Zaśmiał się. - I wcale nie jestem. Ale nie dbam też o zbytki dostępne w dzisiejszych czasach. Rząd ograniczył sprzedaż ginu, mimo to biedni ludzie i tak za dużo piją.

Postawiła talerz z głośnym brzękiem.

- Wiec wysoko urodzeni mogą topić swe smutki w trunkach, zaś zwykłym ludziom tego nie wolno?

- Należysz do radykałów? Jeśli prosty człowiek pi-je codziennie, najpewniej jego dzieci będą przymie-rać z głodu. Jeśli zrobi to arystokrata, jego bliscy ra-czej nie ucierpią, chyba że jednocześnie wpadnie w szpony hazardu.

Nie mogła się powstrzymać.

- To, co mówisz, oczywiście oznacza, że arystokra-ci są beżużyteczni.

Wykrzywił usta, z pewnością odczytując jej słowa jako żart.

- Tylko niektórzy, droga damo.

- A ten arystokrata, który ciebie zatrudnia? To próżny pijak, który nie wie, co posiada?

Jeszcze bardziej się ubawił.

- Z całą pewnością nie.

- A jednak ty byłeś pijany, gdy cię znalazłam.

- Mówiłem już, że ja się nie upijam.

- Więc on cię teraz zwolni z posady?

Odstawił filiżankę i się rozejrzył.

- Gdzie schowałeś kratę i śruby do ściskania pal-ców? Przecież to inkwizycyjne przesłuchanie.

Rosamunde sama nie wiedziała, dlaczego od nie-co drażliwej rozmowy przeszła do ataku.

- Przepraszam. Ale wydawałeś się zupełnie pijany. To mnie dziwi.

Uśmiechnął się smutno.

- Mnie również, bo to zupełnie sprzeczne z moja naturą. Mam jakieś mgliste wspomnienie, że byłem w tawernie, ale to nie oznacza, że się tam upiłem. To raczej miejsce na spotkanie albo spożycie prostego posiłku.

- W promieniu wielu mil od miejsca, gdzie cię znalazłam, nie ma żadnych tawern.

- Wobec tego mamy jeszcze jedną tajemnicę. -  
Wzruszył ramionami. - Wątpię, czy to ma jakieś zna-  
czenie.

- Mimo że ktoś cię przywiózł pijanego do nieprzy-  
tomności, na zimne, mokre wrzosowisko?

- Może sam przyjechałem. Miałem konia. Gnia-  
dosza, którego wynająłem w Thrisk. Czy w okolicach  
nie pojawił się taki koń?

- Nie słyszałam.

- Może sam wrócił na bardziej sobie znane tereny.

- Ale po co miałbyś przyjeżdżać aż tutaj?

- Tutaj, czyli gdzie?

Niemalże powiedziała mu prawdę.

- G... Gillsett. - Oczywiście, musiała się zająknąć!

- Nie kłam - powiedział spokojnie. - Chcesz za-  
chować swoją tożsamość w tajemnicy. Rozumiem to  
i akceptuję.

- Przepraszam.

Naprawdę zrobiło się jej przykro. Była żałosna.  
Zawsze uważała prawdę za coś niezwykle cennego,  
za element najgłębszych, najcieplejszych więzi.

Ale ty nawet nie chcesz głębszej więzi z tym czło-  
wiekiem - odpowiedziała jej surowa część natury.

Właśnie że chcę - odparła głupota.

- Dokąd zamierzasz jutro jechać? - spytała, przy-  
pominając głupocie, że jutro będzie po wszystkim.

- Do Thrisk. Mam tam umówione spotkanie. Pew-  
nie straciłbym pracę, gdybym jeszcze dłużej pozosta-  
wił pewne sprawy samym sobie.

- Więc twój chlebodawca jest surowym człowiekiem.

- Surowym? To za mało powiedziane. Mam na-  
dzieję, że nigdy się nie dowie o mojej przygodzie.

- Wyrzuciłby cię?

- Nawet wypatroszył. Musiałem zrobić coś głupie-  
go.

Zapewne mówił o swoim bracie, wzbudzającym strach, mściwym markizie.

Ode mnie na pewno się nie dowie. - Rosamunde wstała, wiedząc, że musi już iść, chociaż ze smutkiem pomyślała, że wolałaby zostać. A raczej zasmuciła ją rozmowa o jego wyjeździe.

Jutro.

Na zawsze.

To nie powinno się skończyć tak ostatecznie, tak szybko.

Nasz czas dobiegł końca? - spytał, jakby w odpowiedzi na jej skryte myśli. Zaczęła wierzyć, że jemu też będzie odrobinę żal.

- Jeszcze nie. Mam książkę, która może cię zainteresować.

Brand patrzył, jak wychodzi, zły na siebie za ten smutny ton, który usłyszał w swoim głosie. Ona była mężatką, a on nie zamierzał dźwigać na plecach garbu w postaci jej osoby, gdy już stąd wyjedzie.

Zainteresowanie tą kobietą wynikało tylko i wyłącznie z nudy. Nic ponadto.

Pomyślał o reakcji swojego brata, gdyby kiedyś dowiedział się o całym zdarzeniu. Bey byłby wściekły, gdyby usłyszał, że jego brat dał się tak odurzyć. Zresztą takie musiało być wytłumaczenie całego zajścia. Chyba jakieś opium. Sam trunek nie doprowadziłby go do takiego stanu. Oparł się wygodniej, skubiąc biskopt. Kto więc go odurzył? I dlaczego? Gdyby tylko mógł sobie przypomnieć, z kim wtedy pił.

Z jego kieszeni znikły wszystkie pieniądze, chociaż nie było ich wiele, zaledwie drobna suma. W każdym razie złodzieje na pewno nie robiliby sobie tyle kłopotu, by ciągnąć go aż tak daleko od miejsca napadu.

I dlaczego, do diabła, jego tajemnicza dama rozmawiała z Georgem Cotterem?

Wróciła z dużym, oprawionym w skórę woluminem, który trzymała niemal jak tarczę.

- Nie wiem, czy cię to zainteresuje. To o rolnictwie.
- To dla mnie bułka z masłem, droga damo.
- Nie wątpię. - Podeszła bliżej i rzuciła mu księgę.
- Jest nowa, więc mogłeś jej jeszcze nie czytać.

Spojrzał na tytuł.

- *Programy planowania hodowli - przewodnik ziemianina*. Ciekawe. - Otworzył książkę. - Rzeczywiście nowa. Strony jeszcze nierozcięte. Będę potrzebował noża.

Wyszła i po chwili wróciła z ostrym jak brzytwa nożem do papieru o bardzo długim ostrzu. Mógłby za jego pomocą bez trudu poderżnąć jej gardło.

Nie był pewien, czy Cotter był kimś złym, lecz niepokoił go fakt ich rozmowy. Dotychczas w niewielkim stopniu interesowało go, kim jest strażniczka jego „więzienia”, jednak teraz musiał dowiedzieć się czegoś więcej.

- Czy ta książka jest podarunkiem dla kogoś? - spytał, rozcinając karty.

- Dla mnie.

To go zaskoczyło.

- Hodujesz żywy inwentarz?

Lekki ruch, delikatna zmiana położenia ramion powiedziały mu, że pytanie sprawia jej pewien dyskomfort. Nic dziwnego. Kobiety rzadko zajmowały się chowem zwierząt.

- Tak, interesuję się tym.

- Owce? Bydło?

- Owce i konie.

- Konie wyścigowe? - Był coraz bardziej zaintrygowany.

- Nie, tylko pociągowe.

Zdumiewające. A on lubił być zdumiony.

- Mam do nich ogromną słabość.

Usiadła ciężko w fotelu.

- Są piękne. Wyścigowe konie wzbudzają mój śmiech. Mają takie patykowate nogi, nieokrzesany temperament.

- Czyżby więc podobieństwo charakterów? Bo chyba ty nie jesteś nieokrzesana.

- Czy ty, mój panie, twierdzisz, że jestem jak koń zaprzęgowy?

Roześmiał się.

- Tylko jeśli chodzi o najbardziej godne podziwu zalety. Wiem na przykład, że twoje nogi wcale nie są patykowate.

Obciągnęła spódnicę. Była zagadką, kobietą, która go porwała i trzymała pod kluczem. Chciałby zostać tu jeszcze miesiąc, żeby poznać wszystkie jej tajemnice. Teraz pragnął zatrzymać ją nieco dłużej i jeszcze trochę posprawdzać, więc spytał o najsłynniejszy autorytet w dziedzinie hodowli zwierząt.

- Co myślisz o Bakewellu?

- Niewiele, co chyba jest po jego myśli, gdyż swoje interesy i metody zostawia wyłącznie dla siebie. Z tego, co słyszałam, dobrze mu idzie z hodowlą koni, natomiast jego udoskonalone owce są za tłuste na mięso.

- Może znajdziemy jakieś zastosowanie dla baraniego tłuszczu. A ty hodujesz dla mięsa?

- Nie przede wszystkim.

- Nowe zakłady i kopalnie oznaczają duży popyt na ten surowiec.

- Wiem, ale to mnie nie interesuje.

- A więc chodzi o wełnę?

Energicznie kiwnęła głową.

- Próbuję uzyskać lepszą miękkość, ale nie kosztem słabszej postury zwierząt. Przywiozłam inwen-



tarz z Irlandii, ale jakość wełny wydaje się bardziej zależna od warunków życia, nie zaś od rasy.

- Jednak istnieje spore zapotrzebowanie na zgrzebną wełnę, a i pasma są dłuższe.

- Jest także popyt na cienką. Anglicy produkują ogromną ilość wełny, ale importujemy bardzo dużo lepszej gatunkowo. Nie sądzisz, że powinniśmy produkować wełnę na piękne szale, tak samo jak wełny czesankowe i koce?

- Oczywiście.

Podniecona rozmową, pochyliła się do przodu, lecz nagle znieruchomiała.

- Ty się ze mnie śmiejesz.

Podniósł rękę.

- Skądże. Zachwyca mnie twój entuzjazm. A co z końmi? Wykorzystujesz zwierzęta z kontynentu?

- Lord... - wyraźnie urwała. - Jeden z okolicznych hodowców ma fryzyjskiego ogiera. Krzyżuję go z miejscowymi zwierzętami pociagowymi, ale myślę o zakupie własnego ogiera. Potrzeba nam więcej silnych koni, szczególnie tutaj. Woły są bezużyteczne.

Czy ona sama administrowała własnym majątkiem? A co z jej podstarzałym mężem? Może był słaby, więc wzięła zarządzanie w swoje ręce i okazała się znakomitym gospodarzem.

- Myślisz o tym, by ogrodzić jakąś część posiadłości?

Ponownie kiwnęła głową, zdecydowanie, co stało w niejkiej sprzeczności z jej nerwowym zachowaniem w bardziej intymnych sytuacjach.

- Sądzę, że dzierżawcy wyrażą zgodę. Czasy uprawy ziemi podzielonej na osobne zagony i otwartych pastwisk dobiegły końca. A czy majątki twego pryncypała są ogrodzone?

- Niektóre. On ma wiele posiadłości. Tak jak mówisz, to jest zwykle najlepszy sposób. Jak można dać

sobie radę z gospodarstwem podzielonym na małe kawałki ziemi, rozrzucone na dużym terenie?

- I ze wszystkimi zwierzętami, które pasą się razem. Jak można realizować program hodowli... ?

Wdali się w ożywioną rozmowę, gdy nagle usłyszeli dźwięki kuranta któregoś z domowych zegarów. Rosamunde skoczyła na równe nogi, jakby ktoś dźgnął ją w plecy.

- Nie mogę przegadać tu całego dnia! Co ludzie sobie pomyślą? - Nawet dotknęła ręką maski, jakby w obawie, że ta się roztopiła i znikła.

I - w pewnym sensie - naprawdę tak było. Dobrze się czuł w jej towarzystwie i miał wrażenie, jakby jego wzrok przeniknął zasłonę. Jakby naprawdę dojrzał rysy jej twarzy.

Wstał, chciał poprosić, aby została, ukazując swe szlacheckie oblicze.

- Znając ludzi, pomyślą sobie wszystko, co najgorsze.

Niemalże rzuciła się do drzwi. Z dłonią na klamce zatrzymała się jednak, niczym wystraszony ptak.

- Wynoszę się stąd na dzisiejszą noc.

- Ooo. - W jego głosie zabrzmiało głębokie rozczarowanie. - Bardzo mi przykro z tego powodu.

- Ale wrócę - dodała jak trzpiotka. - Gdy zrobi się ciemno. Chyba.

- Wróc. Proszę... - dorzucił wbrew swej woli.

Lecz ona była już za drzwiami i przekręciła klucz w zamku. Czy usłyszała to ostatnie słowo, zdradzające jego słabość? Miał nadzieję, że nie. Doskonale wiedział, że to wszystko jest szaleństwem.

Ale szaleństwem cudownym. Cudowną przygodą. Powinien to opisać w książce: *Przygody Gentlemana w Dolinach Yorkshire*.

Tylko jakie będzie zakończenie?

Niestety, bez pełnego chwały triumfu. Wszystko skończy się jutro, gdy wróci do swej nieciekawej pracy, ona zaś do podstarzałego męża.

Podniósł i otworzył książkę, którą mu przyniosła. Z przyjemnością myślał o ich wspólnych zainteresowaniach, o związanych z nimi nieznaczących, uroczych, wręcz ekscytujących różnicach. Podzielała jego poglądy i cele. Chciała opiekować się wszystkimi ludźmi, którzy pracowali na jej ziemi, nawet tymi nieudolnymi. Wątpił, aby była bezwzględna w stopniu umożliwiającym podjęcie zdecydowanych kroków w hodowli zwierząt. Nie byłaby zdolna do uboju słabych sztuk.

Żadna z tych rzeczy nie sprawiła, że choćby w najmniejszym stopniu przestał ją lubić czy podziwiać.

I to wszystko miało skończyć się o świcie?

Musiało. Ona miała męża. To było tylko przelotną ucieczką w zakazany, tajemniczy świat.

Bez wątpienia czekają na niego sterty papierów, poza tym ma jeszcze umówione spotkanie w Thrisk, na które musi się stawić.

Nie będzie się starał odszukać swojej tajemniczej damy, będzie jednak zmuszony wyjaśnić kwestię swojego porwania. Z pozoru nie miało ono najmniejszego sensu. Dokonywał rutynowej inspekcji posiadłości, którą może chciałby kupić.

Jak zwykle w czasie takich wypraw ubierał się prosto i wyruszał w teren na wynajętym koniu. Lubił poznawać rzeczywistą sytuację, a nie warunki, jakie przedstawiał mu sprzedawca. Jednakże w czasie swoich wycieczek nie starał się nikogo oszukać, nawet posługiwał się swoim nazwiskiem. Ludzie, z którymi rozmowa szczególnie go interesowała - właściciele zajazdów, żony rolników, parobkowie, rzemieślnicy - nie rozpoznaliby nazwiska Malloren.

< idy omyłkowo usłyszeli „Mallory”, nie usiłował ich poprawiać.

Nie oczekiwał żadnych niespodzianek, gdyż miejscowy agent sam zawczasu dokładnie przyjrzał się posiadłości. Jednak teraz, gdy o tym myślał, przypomniał sobie, że wypytywał także o sąsiedni majątek. Rawston Glebe zostało ostatnio przejęte przez Nowe Państwo.

Tak jak powiedział swojej damie, w pewnym stopniu zgadzał się z ich poglądami. Byli dobrymi rolnikami, przyjmowali do pracy ludzi, którzy po zmianach w Anglii zostali bez środków do życia. Oprócz objęcia swoim protektoratem całych rodzin, surowe reguły życia w komunie stanowiły niemalże odrodzenie wielkich okolicznych klasztorów średniowiecza - Jervaulx, Rievaulx, Fountains - a nikt nie mógł zaprzeczyć, że mnisi z powodzeniem uprawiali początkowo jałową ziemię.

Jedyną rzeczą, którą Brand miał za złe Nowemu Państwu, było postępowanie w momencie przejęcia nowego majątku. Członkowie sekty wyrzucali stamtąd ludzi, którzy nie chcieli się nawrócić. To nie było w porządku - usuwać ich z ziemi, którą uprawiali od wielu pokoleń. Co więcej, stabilizacja i ciągłość wiązała mocno angielską wieś. Naruszanie stałego porządku nie służyło dobrej sprawie, zaś członkowie sekty przewracali północne regiony do góry nogami.

Oczywiście obecnym dzierżawcom pozwalano zostać, lecz tylko wtedy, gdy postępowali zgodnie z surową nauką sekty. Brand nie był zwolennikiem modnej dekadencji, lecz w śmiechu czy zabawie nie widział grzechu.

Wrócił myślami do swej tajemniczej damy, dla której śmiech i zabawa wydawały się czymś obcym. Czy ona mogła być jedną z nich? Nie nosiła typowego dla

sekty mundurka, lecz jej ubranie było raczej skromne niż modne. Jeśli istniał jakiś związek między Nowym Państwem i jego porwaniem, czy możliwe, by brała w tym udział?

Pokręcił głową, nie mogąc sobie wyobrazić, jak George Cotter zgadza się na pozamałżeński seks. Jeśli Cotter nie był przynajmniej uczciwym wyznawcą swoich zasad, to Brand kompletnie nie znał się na ludziach.

Brand uważał go za wyjątkowo inteligentnego i bez wątpienia szczerego. Twierdził z pasją i przekonaniem, że grunty marnowane na parki i place zabaw winny być przekazane trzeźwym, pracowitym dzierżawcom. Trudno było się z tym spierać. W sumie Brand doświadczył podobnej nici zrozumienia z Cotterem jak ze swoją tajemniczą damą. Cotter także był żarliwym, chociaż trzeźwo myślącym wyznawcą rozwoju rolnictwa. Tak jak w wypadku klasztorów, korzystał z pomocy swych zdyscyplinowanych zwolenników, aby wprowadzić zmiany o wiele szybciej niż zwykle.

Szybciej niż potrafił Brand, bo musiał się borykać z uporem wieśniaków, trzymających się kurczowo starych sposobów życia. Do granic wytrzymałości doprowadzały go często słyszane wypowiedzi w rodzaju: „Co było dobre dla naszych ojców, powinno być dobre i dla nas, milordzie”. Albo: „My tutaj nie postępujemy w taki sposób, milordzie”.

Wymaganie całkowitego posłuszeństwa z pewnością miało swoje zalety.

Brand otrząsnął się z wędrujących po manowcach myśli. Jego tajemnicza dama z pewnością nie mogła mieć nic wspólnego z jakimkolwiek planem George'a Cottera. W rzeczy samej, Nowe Państwo nie miało z jego sprawami nic wspólnego, poza faktem,

ze było właścicielem majątku graniczącego z posiadłością, którą mógłby kupić dla swojego brata.

No i, oczywiście, poza faktem, że jego brat wybierał się na północ z komisją królewską, aby zbadać sektę za jej wywrotowe tendencje.

Czyżby rozniosła się wieść o misji Beya? Nazajutrz w południe miał się spotkać z bratem w Thrisk, dlatego jego zabawa musi się zakończyć już o świcie. Bez względu na to, gdzie się znajdował, nie mogło być to dalej niż sześć godzin jazdy od Thrisk.

Bey niewątpliwie chciał się dowiedzieć, jakie są wrażenia Branda z pobytu na północy i jaka jest jego opinia na temat Nowego Państwa. Potem Brand będzie musiał gorączkowo nadrobić powstałe zaległości. Łącznie z wizytami - o czym pomyślał z nagłym zainteresowaniem - w różnych gospodarstwach hodowlanych. Czy może się zdarzyć, że zjawi się w takim miejscu i stanie twarzą w twarz z pewną tajemniczą damą... ?

Bardzo by tego chciał.

Nawet za bardzo.

Odłożył nieprzeczytaną książkę i zaczął spacerować po pokoju, walcząc ze świadomością, że mimo jej życzeń, nie mógł tak po prostu odejść. Musiał wiedzieć więcej, choćby tylko po to, aby się upewnić, że z powodu tej przygody nie będzie miała żadnych przykrości.

Może udałoby mu się ją przekonać, aby mu zaufała. Może mógłby zostać jej dyskretnym przyjacielem. Jeśli jej mąż rzeczywiście był podstarzały i obojętny, to mogliby...

Zatrzymał się. To wiodło ku czystemu szaleństwu. Przecież mężczyzna nie może popaść w obsesję na punkcie kobiety, której twarzy nigdy nie widział i której imienia nie znał.

A jednak najwyraźniej on mógł.

Przypomniał sobie, że to mężatka. Usiadł i wziął do ręki książkę.

Do licha, strony nie były jeszcze rozcięte.

A niech to wszyscy diabli!

Chwycił ostry jak brzytwa nóż i zaczął rozcinać papier. Jakże chciałby z równą łatwością przeciąć zasłonę rzeczywistości, aby znaleźć się w miejscu, gdzie jego tajemnicza dama nie była mężatką, nie starała się ukryć swojej tożsamości. W miejscu, gdzie mogliby prowadzić cudowne rozmowy na różne tematy, kiedy tylko by zapragnęli.

Do końca życia, przed, podczas i po cudownych miłosnych uniesieniach.

## Rozdział X

**R**osamunde zatrzymała się w korytarzu za drzwiami jego pokoju, walcząc z przemożnym pragnieniem, by do niego wrócić - nie do niewolnika-kochanka, lecz do cudownej niespodzianki, do człowieka, z którym nareszcie mogła porozmawiać. Zmusiła się, żeby odejść, lecz wciąż była oszołomiona. Oto mężczyzna, który dzielił jej zainteresowania, który nie drwił, nie lekceważył jej entuzjazmu.

Zawsze wiedziała, że nawet Digby jej ustępował. Nie miał nic przeciwko jej zainteresowaniu hodowlą, przeciwko ponoszonym wydatkom, lecz zawsze było jasne, że traktował to tak samo jak inny mąż mógłby traktować zainteresowanie swojej żony zakupem nowych zasłon albo czepków. Jej skromne sukcesy zasługiwały jedynie na: „To dobrze, Rosie”, wypowiedziane w czasie lektury gazety czy czasopisma. Tak bardzo do tego przywykła, że nigdy nie śniła, by mogło być inaczej. Z pewnością nigdy się nie spodziewała, że pozna znającego się na tym człowieka w osobie czarującego nicponia, którego pojmowała w niewolę jako kochanka. Teraz, idąc przez ogród, musiała przyznać, że wszyscy mogli mieć rację, gdy ją ostrzegali, lecz zarazem głęboko się mylili.



Obawiali się, że jest w niebezpieczeństwie, gdyż może zakochać się w tym przystojnym hultaju. Jednak gdyby zakochała się w Brandzie Mallorienie, to zarówno w jego osobowości, jak i pięknym ciele. Była zbyt praktyczną osobą, aby porzucić całe dotychczasowe życie dla fizycznych przyjemności. Lecz dla towarzystwa, szacunku, wspólnych zainteresowań i śmiechu... To były skarby cenniejsze niż wszystko inne.

Prawie wszystko.

Śluby, obowiązki muszą być na pierwszym miejscu.

Stała koło kamiennego łuku, który prowadził do ogródka przy kuchni, aby zastanowić się nad sobą. Znowu spłynęły na nią niedorzeczne marzenia. Nie mieli ze sobą nic wspólnego.

Nic a nic.

Jeśli nie liczyć tego, co sami znaleźli, a on bardzo, bardzo się jej podobał.

Co za głupota. Nic dobrego z tego nie wyjdzie. On jutro wyjeżdża, a ona musiała teraz zebrać fasolę i jeżyny.

Wcześniej spytała Jessie, czy potrzeba czegoś z ogrodu, na co służąca poprosiła o fasolę. Podczas wcześniejszej wędrowki do Arradale zauważyła gęsto rosnące krzewy pełne jeżyn. Obawiała się wrócić na górę, żeby się przebrać i zabrać czepek - bezradna wobec własnej słabości - osłoniła kremową suknię kuchennym fartuchem i pożyczyła od Jessie czepek zakrywający policzki.

Powiedziała sobie, że to osłona przed słońcem. Czas było kończyć z tą obsesją chowania się przed obcymi, jeśli nie dla siebie, to przynajmniej ze względu na Dianę.

Zebrała fasolę i zostawiła ją w koszyku, aby go wziąć w drodze powrotnej, po czym udała się na ba-

talię z jeżynami. Sama w cichym zakątku posiadłości zaczęła jednak walczyć nie tylko z cierniami, ale także z własnym szaleństwem. Nawet gdyby była ładna i niezamężna, lord Brand Malloren nigdy nie byłby jej przeznaczony. Nigdy! Mogła sobie być kuzynką hrabiny Arradale, ale stało się tak w wyniku wielkiego mezaliansu między młodszym synem hrabiego i ślicznej córki miejscowego ziemianina.

Nie podniosło to zbyt statusu rodziny. Ellingtonowie wciąż byli rolnikami. Sama też nie mogła liczyć na małżeństwo z kimś takim jak sir Digby Overton.

Podobnie przyjaźń Rosamunde z Dianą nie czyniła z niej odpowiedniej partii dla syna markiza. Oczywiście, gdyby zechciała, mogłaby wejść w wyższe kręgi i zapewne znaleźć tam męża, nawet ze swoją pozorną bliznami twarzą. Jednak nie liczyła na arystokratycznego zalotnika. Jej posag wynosił tylko tysiąc funtów. Mężczyzna taki jak Brand Malloren mógł oczekiwać dziesięć razy więcej.

Była tak rozkojarzona, że ciernie wbiły się jej w koszulę i głęboko w ciało. Zanim się uwolniła, krew zmieszała się z czerwonymi plamami na palcach. Oblizwała rany do czysta, smakując mieszaninę krwi i soku, a także słonych łez.

Nabrała gwałtownie powietrza. Przestań, Rosa! Przestań natychmiast! Jeśli niebo jest ci przychylnie, nosisz w sobie dziecko, które będzie dziedzicem sir Digby'ego Overtona. Masz obowiązek wobec swego dziecka, męża i majątku. Kiedy Brand Malloren odjedzie, nigdy więcej o nim nie pomyślisz.

Nigdy.

Utwierdzona w tym postanowieniu, zerwała ostatnie dojrzałe owoce i ruszyła z powrotem do domku wdowy.

Utwierdzona?

Gdyby naprawdę powzięła stanowcze postanowienie, nie przyszłaby na dzisiejszą nocną schadzkę. Zatrzymała się w miejscu, które z Dianą nazywały bajkową polaną, ukrytym pośród zarośli, gdzie szemrał płynący po kamieniach strumień, a dookoła rosły dzikie kwiaty. Zawsze myślały, że muszą tu mieszkać bajkowe wróżki, więc szeptem wypowiadały życzenia, patrząc w szumiącą wodę.

Pewnego razu przyszły tu, aby poprosić o zagojenie się blizn. Dziecinna głupota.

Myjąc w zimnej wodzie poplamione i podrapane dłonie, Rosamunde wypowiedziała życzenie, by nie zabrakło jej sił i dojrzałości w swym postępowaniu. Tak samo udało się jej zmyć głód grzechu, jak plamy z palców.

Nie była w stanie zrezygnować z tej jednej, ostatniej nocy.

Spojrzała na swoje purpurowe palce i jęknęła. Zmieniała się w naprawdę nikczemną kobietę! Czy idąc do niego, będzie musiała nałożyć nie tylko maskę, ale i rękawiczki? Plamy znikną za dzień lub dwa, lecz teraz przedstawiały fatalny widok, niedający nadziei na poprawę. Usta i podbródek zapewne również nosiły takie ślady, gdyż próbowała słodkich, soczystych owoców.

Przynajmniej zabrudzenia na twarzy nie były istotne, gdyż skryją się pod maską. Maską, uniemożliwiającą pocałunki.

Tak bardzo pragnęła go całować i być całowana.

Marzyła o niemożliwych rzeczach, zupełnie jak małe dziecko. Chciała być piękną kobietą, nawet pojętną, której mężczyźni pragnęli już po pierwszym spojrzeniu. Lecz nawet bez blizn nie byłaby taka. Miała piegi od częstego przebywania na słońcu, a ponieważ i tak było to bez znaczenia, nigdy nie pie-

łęgnowała skóry kremami. Czyż rozgniecione truskawki nie likwidują słonecznych odparzeń i pie-  
-ów? Rzuciła okiem na jeżyny i zaśmiała się z samej  
siebie. Jedyny pożytek z nich byłby taki, że mogły za-  
kryć piegi czerwonymi plamami. Malloren pewnie  
pomyślałby, że zachorowała na dżumę!

Och, jakież to kuszące marzenie, bardzo stosowne  
na bajkowej polanie. Skóra bez skazy, miękka od sto-  
sowanych kremów. Włosy tej innej Rosamunde znały-  
by tylko deszczową wodę, w której moczył się rozma-  
ryn, by wydobyć bogactwo kolorów. Do ostatniego  
płukania można dodać trochę perfum. Używała już  
lewkonii, lecz prawdziwa kusicielka byłaby wyposażo-  
na w broń cięższego kalibru. Róża? Goździk? Rezeda?

I ubranie. Gładkie, z doskonałego jedwabiu, takie  
jak nosiła Diana, haftowane nawet w miejscach, któ-  
rych nie było widać... nie powinno być widać.

Przypomniała sobie, jak jej niewolnik-kochanek ją  
rozebrał. Ukryła twarz w dłoniach. O czym wtedy  
myślała? Miała na sobie czteroletni gorset, napra-  
wiany w kilku miejscach. Koszula i halka były naj-  
prostsze, możliwie najbardziej praktyczne.

Żałosne.

Żałosne.

Czy mogła znieść jeszcze raz to, że on ją bierze  
z litości?

Odkryła twarz, by spojrzeć przez zielone liście  
na niezgłębione, błękitne niebo. Po prawdzie mogła.  
Po prawdzie zostanie wzięta tak, jak trzeba.

Zerwała się na równe nogi i uciekła z miejsca,  
gdzie rodziły się głupie marzenia, chciała zostawić  
za sobą grzeszną żądzę i zażenowanie.

Gdy wynurzyła się spośród zarośli, ktoś ją zawołał.  
Aż podskoczyła, ogarnięta chwilową paniką. Ujrzała  
Dianę, która do niej machała.

Rosamunde doznała bolesnego ukłucia zazdrości. Diana wyglądała jak prawdziwa uwodzicielka. Zawsze chroniła swoją jasną jak mleko cerę wielkimi kapeluszami. Dziś miała na głowie biały, przywiązany wstążkami o barwie złotej słomy. Na kapeluszu widniały jedwabne kwiatki, zaś one i kokarda były dopasowane do lamówki rozłożystej, głęboko wyciętej sukni z muślinu. Piersi miała nieco mniejsze niż Rosamunde, lecz stanik maksymalnie je uwy pukłał.

Rosamunde pomyślała trochę złośliwie, że podczas zbierania jeżyn ta suknia zniszczyłaby się w jednej chwili.

- No, jesteś wreszcie! - stwierdziła Diana, kręcąc ze śmiechem głową. - Sok z jeżyn, plamy z trawy i fartuch służącej. Cała Rosa!

- Poczęstuj się. - Rosamunde podsunęła pełny koszyk. Miała małą nadzieję, że kuzynka skorzysta z propozycji i popłami się sokiem.

Śmiejąc się dźwięcznie, Diana wzięła ostrożnie jeżynę czubkami palców i szybko włożyła ją do ust, nie czyniąc sobie żadnej szkody.

- Mmm. Teraz są najlepsze. Jeśli pani Yockenthwait będzie robić ciasto z jeżynami, zostanę tu, żeby spróbować.

- Poszła do siostrzenicy, która rodzi dziecko.

- Naprawdę? Kto to taki? Mogłabym ją odwiedzić. Noworodki są takie cudowne. Też powinnaś pójść. Podobno to pomaga kobietom zająć w ciąży.

- To opowieści starych żon. - Sama wzięła do ust jeżynę, zdumiona, jak kuzynce łatwo przychodzi mówić o grzesznej intrydze.

- No więc - odezwała się po chwili - w porządku. - Wyjęła z kieszeni małą zakorkowaną buteleczkę. - To od panny Naisby. Gwarantowane, że uśpi go bar-

dzo mocno. Powiedziała, że jeśli chcesz pozbawić go przytomności na wiele godzin, powinien wypić całą porcję. Ale gdy się obudzi, nie będzie miał dobrego samopoczucia.

Rosamunde niechętnie wzięła flakonik.

- Nie miała niczego łagodniejszego?

- Nic, co działałoby wystarczająco długo. Poza tym mikstura ma swój smak. Proponowała, żeby podać mu to w mocno przyprawionej zupie albo ponczu.

- O rany! Jak mam to zrobić?

Diana wskazała koszyk.

- Nalewka z jeżyn. Jej mocne przyprawy i brandy zabiłyby nawet smak pieprzu.

Rosamunde popatrzyła na dojrzałe jeżyny, jakby nagle stały się narzędziami diabła.

- Ojej. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki on jest miły. Dlaczego nie mogłabym mu po prostu zaufać?

- Właśnie, dlaczego?

Rosamunde skrzywiła się.

- Bo nie tylko ja tu ryzykuję. Od powodzenia tej sprawy zależy przyszłość wielu ludzi. - Włożyła butelkę do kieszeni. - Kto pije nalewkę z jeżyn o świcie?

- Dlaczego o świcie?

- Bo on nalega, że właśnie wtedy musi wyjechać. - Ruszyły ścieżką. - Byłam w dużym domu i twoja matka zaprosiła mnie na noc.

Diana przewróciła oczami.

- Jak się z tego wywinęłaś?

- Nie wywinęłam. To pomoże mi odwrócić podejrzania. Ale będziesz musiała pomóc mi się wymknąć.

- Dinah i Rosie - zaśmiała się Diana. - Robiliśmy to parę razy, co? Wiesz, zazdroszczę ci, że wymkniesz się na intymną schadzkę.

Rosamunde stanęła i spojrzała jej w oczy.

- Więc nie bądź zazdrosna.

Śmiech Diany zamarł.

- Czy to takie straszne? Wydawałaś się taka...

- Nie jest straszne. I właśnie w tym problem. - Rosamunde niechętnie wypowiedziała te słowa.

- Rosa! Ostrzegałam cię.

- Możesz mnie też ostrzegać, że wszędzie słońce.

To nic nie da!

Diana nie spuszczała z niej wzroku.

-Przepraszam...

- Nie! To ja przepraszam. Nie powinnam na ciebie naskakiwać. Po prostu...

- Tak, rozumiem. Może kiedyś...

- Przestań! - krzyknęła Rosamunde. - Nie mów o śmierci Digby'ego.

Diana pobladła.

- Przepraszam. Ale naprawdę... nie! Przepraszam. Tylko...

Rosamunde czuła wstyd, że zdenerwowała kuzynkę.

- Ale on jest znacznie starszy i niewątpliwie uczyni mnie wdową. Wiem o tym. Ale Dianie, nawet jeśli, z tego nigdy nic nie wyjdzie. To arystokrata!

- Mój ojciec poślubił mamę.

- A jagnięta czasem rodzą się z dwiema głowami. Tak czy inaczej - westchnęła - nawet gdybyśmy były na tyle głupie, by brać to pod rozwagę, nic z tego nie wyjdzie, gdy on odzyska zdolność trzeźwego myślenia. Ja go okłamuję, wykorzystuję, a teraz zamierzam go odurzyć, żeby zachować swoją tajemnicę.

-Rosa...

- I nie zapominaj o mojej twarzy. Jeśli potrafiłyby wybaczyć wszystko inne, chyba nie umiałyby nie zauważyć tego drobiazgu.

- Rosa, naprawdę, to nie wygląda tak źle jak ty...

Rosamunde wybuchnęła dzikim śmiechem i serdecznie przytuliła kuzynkę.

- Och, czuję się tak okropnie! Z powodu tylu głębokich ran.

Diana uściskała ją mocno.

- Zrobiłaś to, co należy, najdroższa. Więcej robić nie musisz. Jestem pewna, że to nie czyni żadnej różnicy. Posłuchaj, my...

Rosamunde odsunęła się, ocierając policzki.

- Ale ja chcę! Właśnie to jest takie straszne. Chcę. Tak bardzo, że gotowa jestem zaryzykować własną reputację, Wenscote i moją szansę pójścia do nieba!

- Więc do tego już doszło? - wydusiła z siebie osłupiała Diana.

Brand patrzył z okna, jak dwie kobiety idą ścieżką w kierunku domu. Gdy były dalej, widział, że się zatrzymały, objęły, zupełnie jakby jedna przekazała drugiej złą wiadomość. Czy któraś z tych kobiet była jego tajemniczą damą?

Gdy podeszły bliżej, drzewa i krzewy zasłoniły mu widok. Kobiety były podobnego wzrostu i budowy, lecz jedna nosiła modną białą suknię i ekstrawagancki kapelusz z wielkim rondem, zawiązany żółtą wstążką, który skutecznie zasłaniał jej twarz, lecz Brand nie sądził, że właśnie ona jest jego damą. Druga wyglądała jak służąca, niosła koszyk z czymś ciemnym. Jeżyny?

Najwyraźniej żadna z nich nie była jego damą.

Jego.

Nie. Postanowił nie dać się ponieść szaleństwu, więc z determinacją wrócił do przerwanej lektury. Była to książka dokładnie takiego typu, jaki zwykle



go interesował. Czytał przez jakiś czas, gdy usłyszał zgrzyt klucza w zamku. Gdy weszła, wstał, przeklinając niedającą się powstrzymać przyjemność, którą odczuł na jej widok. Zbliżyła się, wtedy zauważył, że ma poplamione palce.

Czyżby jeżyny? A więc jednak to ona była tą kobietą, która szła przez ogród ubrana w fartuch? Jeśli tak, dlaczego tak mocno obejmowała swoją towarzyszkę? Czym się denerwowała?

Jak mógłby ulżyć jej cierpieniu?

- Czy książka pomaga szanownemu panu zabić czas? - spytała.

- Tak, dziękuję. - Wnikliwie wpatrywał się w maskę, szukając jakiejś oznaki emocji, tożsamości. O ile maska nie miała pod spodem poduszek, ukazywała pewne cechy oblicza właścicielki: krągłe policzki, mały krótki nos, mocno zarysowany podbródek. Sztuczne kolory dawały iluzję realizmu, lecz rezultat wcale nie przypominał człowieka. Jedynie oczy, a te wyglądały normalnie, nie wyrażały żadnych emocji.

- Niedługo moja pokojówka przyniesie ci kolację - powiedziała. - Poza tym proszę, żebyś nie nagabywał służby. Nie ma jej tu zbyt wiele i zajmują się swoją pracą.

- Już wychodzisz? - Nie powinien czuć się tak, jakby jego cały świat miał nagle opustoszeć. Przecież umiał znacznie lepiej panować nad myślami i emocjami.

- Już czas.

- Kiedy wrócisz?

Źle, to ona musi tu wrócić.

Poruszyła dłońmi. Pomyślał, że gdyby nie umiała kontrolować swego zachowania, zapewne nerwowo ścisnęłaby fałdy spódnicy.

Później. Jak się ściemni.

Odetchnął z ulgą.

Cieszę się.

Ich spojrzenia się spotkały. Przyszło mu do głowy, że rozpoznałyby jej oczy, gdyby jeszcze kiedyś tak na niego popatrzyła.

- Naprawdę się cieszysz?

Pytała go o rzeczy, o które pytać nie miała prawa. Mimo to wyciągnął do niej rękę.

- Bardzo naprawdę.

Stała nieruchomo.

- Teraz chodzi o to, żebyś podała mi swoją dłoń.

- Po co?

- Bo wtedy będziesz musiała podejść bliżej.

- I co to da?

- Wtedy będę mógł usiąść, posadzić cię na moich kolanach. I przytulić.

Spostrzegł, że zeszywniała, niemal się skurczyła, jakby poczuła zagrożenie.

- Dlaczego? - Prawie jęknęła.

- A dlaczego nie? Czego się boisz? Pamiętaj, moja pani, że ty tu rządzisz. Ja jestem twym pokornym sługą.

- Tobie, drogi panie, w ogóle brakuje pokory! - Jednak zbliżyła się, przypominając mu ostrożnego ptaszka skuszonego ziarnem, lecz zarazem zaniepokojonego obecnością myśliwego. W ostatnim ruchu położyła czubki poplamionych palców na jego dłoni.

Czekał.

Z wyraźnie słyszalnym westchnieniem przesunęła rękę dalej i objęła jego dłoń. Usiadł i delikatnie pościęgnął ją na swoje kolana.

Niemal wstrzymał oddech, tak mocno ogarnęło go poczucie zagrożenia. Czekało go kilka godzin czystej przyjemności.

Z żoną innego mężczyzny.

Przeklęty sir Archibald, czy jak tam się nazywał.

Uniósł jej dłoń, aby przyjrzeć się czerwonym śladom; po chwili zaczął ssać czubki palców.

- Jeżyny. Czy mogę mieć nadzieję na placek z jeżynami?

- Może. - Miała spuszczoną głowę. Był pewien, że rumieni się pod maską. Mięka, wyluzowana, niczym dziecko. Była cudowną, pełną sprzeczności tajemnicą.

Objął ją i przytulił, właśnie jak duże dziecko. Sam nie wiedział, dlaczego to robi, lecz zdał sobie sprawę, że zapragnął ją przytulić od chwili, gdy ujrzał obejmujące się kobiety w ogrodzie.

Wtedy potrzebowała pociechy, a on chciał dać jej pociechę teraz.

Błyszczące brązowe loki Rosamunde ocierały się o jego twarz, miały delikatną kwiatową woń. Inne perfumy były mniej wyraziste, lecz naturalne i już teraz rozpoznawalne jako jej. Wiedział, że to niebezpieczne. Jego zabiegi doprowadzą tylko do cierpienia. Jutro wyjedzie i przez pewien czas będzie za nią bardzo tęsknił. Lecz krótko. Gdy wróci do swego prawdziwego życia, do pracy, przyjaciół, innych kobiet...

Jeszcze mocniej ją przytulił.

Kobieta jak brzoskwinia, na której widok ciekła mu ślinka.

Oparła głowę na jego ramieniu, oddychała coraz wolniej, coraz spokojniej. Jej chwilowy spokój był wyraźnie wyczuwalny, zarazem bardzo cenny. Mógł jej to podarować. Krótką chwilę wytchnienia od kłopotów.

Chciał jej tyle powiedzieć, tyle zaskakujących słów.

Chciał powiedzieć, że nigdy dotąd nie przytulał kobiety w taki właśnie sposób, że gdy jakaś siedziała

mu na kolanach, to zawsze był to element miłosnej gry. Że pragnął miłosnej gry, lecz obecna chwila była dlań wręcz bezcenna.

Chciał ją ponownie poprosić, by zdjęła maskę i mu zaufała - nie tylko przez wzgląd na to zaufanie, po prostu strasznie zapragnął ją pocałować, połączyć z jej ustami swoje usta w głębokim zwarciu ich dusz.

Nigdy dotąd nie myślał w taki sposób o pocałunkach.

Kusiło go, by przechylić jej głowę i pocałować umalowane wargi na masce w cichej nadziei, że stanie się to namiastką prawdziwego aktu.

Chciał zażądać, by podała mu powód, dla jakiego nosi tę maskę, dla jakiego tak mocno obejmowała inną kobietę w ogrodzie, dla jakiego z takim naciskiem, tak odważnie nalegała na seks. Jakie miała kłopoty, co ją dręczyło, z jakiej przyczyny tak cierpiała? Gdyby wiedział, być może mógłby odsunąć jej zgryzoty swoją boską, a przynajmniej lordowską ręką.

Generalnie nie interesował go status arystokraty i bogactwo, ale bardzo pragnął złożyć je u stóp swojej damy.

Chciał dać jej szczęście. A nawet więcej. Resztkami woli powstrzymywał się przed błaganiem jej, by porzuciła wszystko - małżeństwo, swoje życie, przyjaciół, rodzinę - i uciekła z nim ku innemu życiu, któremu towarzyszyć będą skandal i pohańbienie.

Odetchnął głęboko, z trudem chroniąc ją przed sobą samym.

Nigdy nie przypuszczał, że ma w sobie tyle romantyzmu. Ona byłaby zrujnowana, skończyłoby się jego przyjemne, łatwe życie. Miał pracę, którą lubił i w której się spełniał, miał dużo wolnego czasu i przyjaciół, by dzielić z nimi miłe chwile, a także kochającą rodzinę i ogólne poważanie. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował, był skandal.

A mogło nastąpić coś jeszcze gorszego od skandalu. Być może jej mąż nie był za stary, by go ścigał i wyzwał na pojedynek.

Czy on, lord Brand Malloren, chciał umrzeć za miłość?

Oprócz tego mógł stanąć przed sądem. Ona i on stalyby się powszechnym tematem plotek, do tego doszłaby kara grzywny.

Zdusił jęk na myśl o reakcji Beya na tak brudną i powikłaną sprawę.

Napisałaby o tym brukowa prasa, pojawiłyby się obleśne rysunki w oknach drukarni - przedstawiające jego z kochanką-nierzadnicą w łóżku. Prymitywne wizerunki rozpustnicy z Yorkshire z wystawionymi na wierzch wielkimi piersiami i rozchylonymi udami.

Gdyby był nikim, tak jak sobie o nim myślała, mogliby wieść gdzieś spokojne życie. Niewielu ludzi by to obchodziło. Jednak członek rodziny Mallorenów zawsze wzbudzał zainteresowanie i zawsze było wielu czekających na to, by wbić szpilkę markizowi Rothgarowi, wpływowemu człowiekowi, zaufanemu króla.

Ich związek nie miał racji bytu.

Trącał nosem jej miękkie, brązowe loki, ugodzony myślą o wielkiej stracie, zdumiony pieczeniem w oczach, gdy napłynęły do nich łzy.

Rosamunde oparła się o niego, również walcząc z płaczem. Uroniła kilka łez, lecz ukryła je maska. Nie, nie będzie łkać, chociaż czuła coraz mocniejszy ucisk w piersi.

Starła się nie myśleć, gdyż każda myśl sprawiała jej cierpienie. Jednak nie mogła się ustrzec przed jedną z nich. Gdyby tylko mogła odczuwać taką bliskość każdego dnia. Przecież takie prawo przysługiwało jej z urodzenia. Nie tylko jej - każdemu. Mieć kogoś, kto okaże ciepło, czule obejmie...

Jeśli pragnęła być przytulana, mógł to zrobić Digby. Jej dobry mąż, któremu miała pomagać, a nie zdradzać w głębi serca. Zaczęła się wycofywać z objęć Branda, niezdarnie wstawać. W pewnej chwili musiał ją przytrzymać, aby nie upadła.

- Muszę już iść - powiedziała, wiedząc, że to bardzo niestosowne słowa. Popatrzyła na niego, przypuszczając, że on dostrzeże jej szkliste oczy. Nagle to było ważne, mimo całej niedorzeczności, by wiedział o jej łzach.

- Wrócisz?

Czyżby jego oczy też były wilgotne? Jak to? Dlaczego?

Powinna odmówić.

Powinna się z nim pożegnać.

Teraz.

- Później - odparła, przełykając ciężko. - Może nawet... bardzo późno...

Złożył dłonie razem i wykonał ukłon.

- Wedle twojej woli, pani. O którejkolwiek godzinie się zjawisz, będę cały twój, uczynię wszystko, czego zażadasz. - Tym razem nie mówił tego żartobliwie. - Ale nie zapominaj - dodał. - Mogę z tobą grzeszyć jedynie do świtu.

Rosamunde z godnością opuściła pokój, cały czas próbując powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Nie będzie płakać. Nawet gdy zostanie sama. Zatrzasnęła za sobą drzwi swej sypialni, zerwała gorącą, lepką maskę i mocno potarła twarz, wciskając łzy z powrotem do oczu, gdzie było ich miejsce.

Nie będzie płakać!

Gdyby zaczęła, wszystko byłoby stracone.

Stracone.

Stracone.

Nie! To tylko urojenie. Ważna jest rzeczywistość. Wenscote, Digby i wszyscy mieszkający tam ludzie, których kochała. Rzeczywistością jest dziecko, które ocali wszystkich.

Jego dziecko.

Dziecko Branda.

Chwyła obiema rękami i ścisnęła mocno słupek podtrzymujący baldachim łóżka. Karbowana powierzchnia drewna wbiła się w jej dłonie, a ona ścisnęła coraz mocniej i mocniej, aż ból przewyciężył poczucie szaleństwa, aż mogła znowu oddychać i uspokoić się, zebrać myśli.

Koniec z ryzykiem. Mogła nie ryzykować wykrycia, wracając tu wieczorem, lecz ryzykowała coś znacznie gorszego. Coś z głębi serca, mogącego zniszczyć honor.

Przeniesie się do Arradale i prosto stamtąd wyjedzie do domu.

Pozostawi Dianie załatwienie sprawy pozbycia się niewygodnego, sekretnego kochanka.

Niewygodnego.

Sekretnego.

Kochanka.

Bezsilnie usiadła na łóżku. Dlaczego on ją tak przytulał? Chciało się jej wyć, gdyż to pytanie wywoływało ogromne, niemal śmiertelnie cierpienie. Gdyby nawet, nie mogła przepuścić możliwości znalezienia się w jego ramionach, nawet za cenę życia.

Teraz wiedziała, o jakim obłędzie pisali poeci, o szaleństwie, które prowadziło mężczyzn i kobiety prosto w ogień katastrofy. Lecz to nie była miłość. Nie można kochać osoby poznanej tak niedawno.

Zupełne szaleństwo!

Idiotyzm!

Słabość umysłu.

Niedająca się opanować żądza.

Nie wolno jej. Musi wracać do męża.

Lecz ona, która w życiu kierowała się zasadami, która zawsze znajdowała siły, by czynić to, co właściwe, teraz płonęła ogniem pożądania i nie była w stanie oprzeć się płomieniom.

Ochlapała twarz zimną wodą, lecz było to o wiele za słabe, by przygasić ów ogień, aż sama parsknęła żalnym śmiechem. Nawet gdyby zdusiła ogarniającą ją pożogę, musi wrócić. Nie z powodu żądy. Po prostu obiecała.

Mogła zdradzić Branda Mallorena na inne sposoby - nie miała w tej kwestii wyboru - lecz tu musiała dotrzymać słowa.

Obiecała i nie złamie obietnicy. Będzie jego kochanką do białego świtu.



## Rozdział XI

**K**olacja i wieczór w okazałym domu Arradale powinny dłużyć się w nieskończoność, lecz w tym czasie Rosamunde bardzo się uspokoiła. Panujący tu porządek, normy zachowania i towarzyskie konwenanse nieco przytłumiły trudny do opanowania ogień.

Razem z Rosamunde, Dianą i ciotką Arradale, obecna była także towarzyszka tej ostatniej, pani Lampwick, a także pan Turcott, sekretarz Diany, poświęcający się bez reszty swemu ukochanemu hobby - badaniu historii tej części Yorkshire. Rozmowa przy stole była lekka, pełna erudycji i wolna od emocji.

Jeśli nie liczyć faktu - pomyślała Rosamunde - że mógł istnieć pewien związek między panią Lampwick i panem Turcottem. Wydawało się, że ona pomaga mu w jego badaniach. Chociaż oboje zachowywali się powściągliwie, widziała, jak od czasu do czasu na siebie patrzą, słyszała nutę podeksycytowania w głosie, gdy wymieniali uwagi, ale tylko między sobą.

Czy jeszcze wczoraj potrafiłaby to wyłowić?

Spochmurniała. Tych dwoje mogło się połączyć w cudownym związku małżeńskim - równorzędni so-

bie, o podobnych zainteresowaniach, zawsze razem, wolni, by kochać. Dlaczego jej nie było to dane?

Ponieważ gdy miała szesnaście lat, załamana bliźniami na twarzy, musiała uciec od życia, schować się za kamiennymi murami Wenscote. Jak sobie pościeliła, tak się wyśpi. Dokonała wyboru.

Ale miałam tylko szesnaście lat!

Mimo wszystko.

Po kolacji goście znikli, udając się każde do swoich zajęć. Rosamunde zastanawiała się, czy to aby na pewno osobne zajęcia, lecz po chwili wyzbyła się podejrzeń. Fakt, że sama stała się wszeteczną, nie był powodem, by wątpić w honor dwojga szanowanych ludzi w średnim wieku. Jeśli cokolwiek było między nimi, przejdą wszystkie stosowne etapy, zanim staną przed ołtarzem, a nie będą baraszkować pomiędzy zakurzonymi kronikami miejscowych rodzin.

Na samą myśl musiała skrzywić lekko usta, gdyż wdowa spytała:

- Co cię tak rozbawiło, Rosamunde?

Były w salonie, o ścianach wyłożonych piękną chińską tapetą. Popijały herbatę z małych, delikatnych filiżanek. Zgodnie ze swoją naturą, Rosamunde mówiła tyle prawdy, na ile pozwalała jej śmiałość.

- Zastanawiałam się, czy między panią Lampwick i panem Turcottom kwitnie romans.

Oczy ciotki Arradale zabłysły żywiej.

- A więc ty też to spostrzegłaś? Tak, mam szczerą nadzieję, że mają się ku sobie. Trudno sobie wyobrazić bardziej dobraną parę.

- Cudownie - odezwała się Diana. - Musimy pomyśleć, co możemy zrobić, żeby ich do siebie zbliżyć.

- Są na tyle dojrzały, że sami sobie poradzą, moja droga.

- Ale ja lubię organizować innym życie. Zostawieni samym sobie, ludzie często wszystko zabałaganiał!

- Czasami najbardziej potrzebny jest właśnie bałagan. A tobie, Diano, przydałaby się własna rodzina, którą mogłabyś organizować i zarządzać.

Diana uniosła podbródek.

- Wiesz, że nie wyjdę za mąż.

- To niemądre. Jaki pożytek z twej cennej niezależności, gdy jesteś sama i znudzona?

- Wcale nie jestem znudzona. Prowadzę bardzo ciekawe życie.

- Wobec tego nie wtrącaj się w życie innych. Może nam coś zagrasz?

Diana wstała, szeleszcząc fałdami jedwabnej sukni.

- Dobrze. Ale zważywszy, ile razy pouczałaś mnie, mam, na temat porządku, chwalenie bałaganu wydaje się ogromną niekonsekwencją. Chodź, Rosa, zagrajmy w duecie.

Podchodząc do klawesynu, usłyszały za sobą głos ciotki.

- Różnica polega na tym, Diano, że sprawy ludzkie z założenia mają być nieuporządkowane. Wtedy wszystko układa się tak, jak powinno. W uporządkowanym świecie twój ojciec nigdy by się ze mną nie ożenił. Poślubiłby córkę księcia Langton i byłby nieszczęśliwy.

Diana przewróciła oczami, spoglądając na Rosamunde, po czym zaczęła przeglądać stertę nut leżących koło instrumentu.

Jednak Rosamunde zastanowiła się głębiej nad słowami ciotki. Jej własne małżeństwo wcale nie było zagmatwane. Stanowiło eleganckie rozwiązanie jej problemu, było doskonale ułożone od momentu, gdy wyszła z kościoła, trzymając Digby'ego pod rękę. Chociaż miało swoje braki. Nie przywykła o tym my-

śleć, ale to była prawda. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że dorosłe życie może być nieuporządkowane. Lecz jeśli była to opinia tak trzeźwo myślącej i inteligentnej osoby jak ciotka Arradale...

Gdy Diana wybrała nuty i zasiadła do instrumentu, Rosamunde musiała przygryźć usta, by nie parsknąć śmiechem. Jeśli zawiłości uznać za coś właściwego, jej obecne życie było szczytem uporządkowania! Usiadła i zaczęła szukać nut. Gdy razem z Dianą pokładały pomieszane strony i zaczęły grać żwawy duet, spjrzała przez wysokie okna, ponad pięknie utrzymaną posesją, wyęzając wzrok, by ujrzeć ukrytą -- między drzewami jedno, konkretne okno.

Co on teraz robi? Rozmyśla?

Jej gra popadła w dysonans z muzyką Diany, więc szybko skoncentrowała się na instrumencie. To nie z obowiązku, szeptała w duszy, śledząc nuty. To nie spłata długu. Proszę, niech to będzie coś więcej.

Wiedziała, że tak właśnie jest. Coś niebezpiecznie większego.

Wpadające przez okna światło nieco pociemniało, cienie się wydłużyły. Wieczór powoli przybierał barwę czerwieni. Wkrótce nadejdzie noc.

Pora tajemnic, chaosu i grzechu.

\*

Gdy pociemniało na tyle, że wdowa zarządziła zapalenie świec, Rosamunde pożegnała się, aby pójść spać. Diana natychmiast stwierdziła, że też uda się na górę. Wdowa spojrzała na nie i nagle wszystkie poczuły, jakby zegar cofnął się o piętnaście lat. Rosie i Dinah znowu coś knuły.

Jednak powiedziała tylko:

- Dobranoc, moje drogie.

Po chwili były już bezpieczne w sypialni.

- Jestem pewna, że ona się domyśla - powiedziała Rosamunde. - To straszne!

- Wcześniej myślałaś, że pani Yockenthwait się domyśla. A nawet twoja matka.

- Ale to jest ciocia Arrendale!

Diana przewróciła oczami.

- Czy ty też czasem się zastanawiasz, czy ona ma gdzieś ukrytą brzoźową różgę?

Rosamunde wybuchnęła śmiechem, w którym zadźwięczały wręcz dzikie nuty. Otarła spokojnie dłonie o spódnicę, próbując zebrać myśli. Księżyc ledwie świecił, a chociaż ona dobrze znała każdą piędź ziemi, wolała przejść przez park, zanim zapadną zupełnie ciemności.

- Muszę iść.

- Tak. To dość niezwykłe, wiesz.

- Oczywiście, że wiem!

- To znaczy patrzeć, jak odchodzisz, wiedząc, co zamierzasz zrobić. - Zmarszczyła brwi. - Przynajmniej próbujesz to zrobić.

- Próbowałam to zrobić w noc poślubną.

- Ale teraz to jest zupełnie co innego. Coś się z tobą dzieje.

- Coś... ? - Rosamunde spojrzała po sobie, jakby to mogło być widoczne. - Co?

- Zmieniłaś się. To oczywiste, że myśłami jesteś gdzie indziej, ale zupełnie inaczej się poruszasz. Drobnostka, ale to cię zmienia.

- Mam nadzieję, że nie!

Diana zakręciła się i podniosła szal Rosamunde, owijając nim czule kuzynkę.

- Nie zwracaj na mnie uwagi. Idź! Ja dopilnuję, żeby nikt nie zauważył twojej nieobecności. I nie zapomnij o środku nasennym.

Rosamunde poklepała się po kieszeni, chociaż wcale nie była zachwycona myślą o jego zastosowaniu.

- Ja wcale nie...

- Owszem, tak! - uśmiechnęła się Diana. - Wybacz, najdroższa. Prawda jest taka, że ci zazdroszczę. Pewnie nie zechcesz pomieszkać tu jeszcze dzień lub dwa.

Oczywiście to był żart, lecz Rosamunde wyrwało się gwałtowne:

- Nie! - bezlitośnie ją obnażając.

- Kochana - powiedziała łagodnie Diana. - Uspokój się.

Rosamunde owinęła się szczelnie szalem i sprawdziła swój wygląd w wysokim lustrze. Ponieważ była w Arradale, włożyła jedną z bardziej eleganckich sukien, z blad różowego jedwabiu, oblamowaną kremową koronką i perłami. Jednak nie tak chciała dziś wyglądać. To był styl młodej dziewczyny, tak jak lubił Digby.

- To tylko głupie zauroczenie - powiedziała, odwracając się. - Myślę, że my, kobiety, lubimy wyobrażać sobie, że jesteśmy zakochane w mężczyznach, z którymi to robimy. - Rzuciła szybkie, cierpkie spojrzenie sfrustrowanej hrabinie Arradale. - Jeśli chcesz, potraktuj to jak ostrzeżenie.

- Że gdybym wzięła sobie kochanka, to mogłabym wyobrażać sobie, że jestem w nim zakochana? Trudno mi w to uwierzyć, jednak postaram się zapamiętać. - Uściskała Rosamunde i popchnęła ją w kierunku drzwi. - Idź. Baw się dobrze za nas obie!

Rosamunde zaśmiała się i wyszła z pokoju. Szybko szła labiryntem korytarzy domu, który tak dobrze знаła. Wydostała się na zewnątrz bocznymi drzwiami i ruszyła ścieżką okalającą dom. Pod jej stopami

chrzęścił żwir. W pewnym momencie zeszła na bok i po trawie skierowała się ku kępie drzew, osłaniających domek wdowy.

Wtem, przez pograżone w ciemnościach nocy drzewa ujrzała połyskujące światło.

Postawił na parapecie świecę, która niczym latarnia morska pokazała jej drogę.

\*

Brand ustawił świecę blisko okna.

Wcześniej widział, jak jego dama odchodzi w towarzystwie grubej pokojówki, która przyniosła mu kolację. Nie zauważył, by któraś z nich wróciła, mimo że niemal bez przerwy prowadził obserwację. Istniała frustrująca możliwość, że ona wróci do domu z innego kierunku. To śmieszne, ale mogła nawet zgubić drogę.

Jednak zapadła już noc, niedawno minął nów. Niepokoił się, że ona jest tam sama, w ciemności.

Starał się myśleć rozsądnie, skoncentrować się na książce, lecz mimo interesującego tematu słowa przelatywały przez jego głowę jak woda. Postarał się jeszcze bardziej. Autor miał kilka intrygujących pomysłów, prowadzących do konkretnych „ulepszeń” żywego inwentarza poprzez starannie dobrane metody hodowli. Jednak sprawa była niepewna, o czym zresztą każdy wiedział ze swoich życiowych doświadczeń. Mężczyzna o grubych rysach mógł poślubić śliczną kobietę i mieć pięknych synów oraz córki o końskich twarzach.

A jakie byłyby ich dzieci... ?

Nie.

Lecz może już zrobili dziecko.

Jeśli tak, będzie uznane za dziecko jej męża. Nie będzie miał prawa się wtrącać.

Łatwo pomyśleć, ale trudniej z tym żyć.

Może za dziewięć miesięcy powinien ją odszukać i upewnić się, że wszystko w porządku. W tej sytuacji nie będzie narażał na szwank jej reputacji.

Zaklął pod nosem na swoją dwulicowość. Gdyby ją odnalazł, znalazłby się z powrotem w matni. Może powinien już teraz wydostać się stąd i uciec. Nie byłoby to trudne.

Trzymając palcem kartkę książki, próbował zebrać w sobie dość siły woli, by odejść. Bezskutecznie. Nic go nie powstrzyma przed wypiciem do końca z tej filiżanki.

Przypomniał sobie o książce.

Planowanie hodowli.

Ta koncepcja nie była nowa. Od wielu wieków ludzie próbowali wyhodować najlepsze konie wyścigowe. Jeszcze dłużej wielbiciele walk zwierząt starali się otrzymać coraz silniejsze i bardziej agresywne psy i koguty. Jednak wtedy pozbywali się setek nieudanych zwierząt w poszukiwaniu jednego, jedyne go czempiona. Hodowca potrzebował jednak więcej udanych osobników. Książka opisywała naukowe sposoby uzyskania takiego efektu.

W końcu zdołał skupić się na tekście, gdy w pewnym momencie nieoczekiwanie w zamku zazgrzytał klucz. Najpierw spojrzał na jej twarz i ujrzał jedynie groteskową maskę. Zniechęcony szybko opuścił wzrok.

Była zdenerwowana, ale bardziej opanowana niż za pierwszym razem.

Zauważył, że miała na sobie obcisły stanik, który uwydatniał jej doskonałą figurę.

Uderzyła weń błyskawica płomiennego pożądania.

Jedwab, pomyślał, starając się zachować samokontrolę. Różowy jedwab. Koronka. Kokardy. To śliczne. KobiECE.



Ale nieodpowiednie dla niej.

Nie dla jego tajemniczej damy.

Może i jest ładna, z pewnością ponętna, lecz miała w sobie więcej kobiecej siły i charakteru, niż sugerowała suknia. On ubrałby ją w barwy ziemi. Subtelne odcienie zieleni, ciepłe brązy, kolor kremu. Purpura jeżyn...

Siedział bez ruchu, lecz w końcu odłożył książkę, wstał i ukłonił się dworsko.

- Witam, pani.

Ciekawe, czy musiała bardzo się przemóc, aby tu przyjść? Może powinien stanąć między nią i drzwiami, by zapobiec ewentualnej ucieczce?

Nagle ruszyła energicznie przez pokój w kierunku płonącej świecy. Złapał ją mocno za nadgarstek.

- Wcześniej byłaś tu za dnia.

- A teraz dzień się skończył. - Czuł pod palcami jej napięte ścięgna.

- Światło świec jest bardzo miłe.

Odchyliła głowę do tyłu, jakby się modliła.

- Potrzebuję ciemności - szepnęła.

Dlaczego było to możliwe za dnia, ale nie teraz? Co się zmieniło? Bardzo chciał kochać się z nią przy świecy, lecz puścił ją, polizał sobie palce i jednym ruchem zdusił płomień.

- A teraz, pani - spytał w ciemności - co rozkażesz?

Przy braku światła wszystkie inne zmysły jeszcze bardziej się wyostrzyły. Wyobrażał sobie, że słyszy szelest jej sukni, unoszonej oddechem. Bez wątplenia czuł zapach kwiatowych perfum, które już na zawsze będzie kojarzył z tą niezwykłą przygodą.

Z nią.

- Czy mam się rozebrać? - spytała.

- Wszystko, czego tylko pragniesz.

Czy w jego głosie brzmiało oszałamiające drzenie czystego pożądania? Kimże on jest? Nieopierzonym żółtodziobem?

Poruszyła się nerwowo.

- Powiedz, co mam robić.

- Poddaj się - wyrzekł z głębi duszy. - Oddaj mi władzę. Dzisiejszej nocy ty bądź moją niewolnicą.

- Kontraktową niewolnicą - odparła. Być może cofnęła się o krok.

- Niewolnicą.

Jego oczy zaczęły przywykać do ciemności. Ujrzał, jak pokręciła głowę, przyglądając się mu badawczo.

- A jeśli zrobisz coś, co mi się nie spodoba?

- To mi o tym powiedz. Moim celem jest danie ci rozkoszy. Obiecuję. Zaufaj mi.

Tego pragnął najbardziej. Zaufania.

- Dlaczego miałabym ci zaufać?

To zimne pytanie zabołało.

- Sama sobie odpowiedz.

Nerwowo przeszła w stronę łóżka i z powrotem, szeleszcząc suknią, co rozbudzało zmysły.

- Nie sprawisz mi bólu?

- Tego obiecać nie mogę. Mamy tylko kilka godzin, by nauczyć się, co nam sprawia ból, a co daje przyjemność. Bo przecież pewnie nigdy więcej się nie spotkamy. - Powiedział to celowo i natychmiast usłyszał jej stłumiony protest. - Szkoda byłoby spędzić naszą ostatnią noc w byle jaki sposób. Lecz jeśli taka twa wola, ja przejmę władzę.

Stała tak spokojnie, że nie słyszał najdrobniejszego szmeru, nawet jej oddechu. Nagle odwróciła się i upadła przed nim na kolana.

- Więc jestem cała twoja. Daj mi rozkosz według swej woli, milordzie. Aż do świtu.

Milordzie?

Przecież nie powiedział jej, że nosi lordowski tytuł. Po chwili zrozumiał, że to tylko element gry. Synonim pana i władcy. Taka fantazja. Z przyjemnością pomyślał, że przez tę całą niezwykłą noc będzie używała jego prawdziwego tytułu.

Położył dłonie na jej ciepłych, miękkich ramionach, przesunął po satynowej skórze, wyczuwając przyspieszony puls. Jednakże nie był szybszy niż jego tętno. Gdy gładził okrężnymi ruchami jej szyję, wyczuł napięte mięśnie. Przełknęła mocno, lecz pozostała uległa. Brand nie wiedział, czy sam oddycha w tej zadziwiającej, niezrozumiałej chwili.

- Witaj, niewolnico - powiedział i pociągnął ją za rękę, by wstała, następnie usiadł i posadził ją sobie na kolanach. Poczul jej pełne piersi ponad ograniczającym je, sztywnym gorsetem. Gdyby naprawdę należała do niego, kazałby jej nosić mocno wycięte staniki. Miała do tego świetną figurę. Ale z drugiej strony, gdyby była jego kobietą, być może wolałby ukrywać jej piękno przed oczami innych.

Obejmował ją, wodząc palcami po wypukłościach. Co tak naprawdę pragnął z nią zrobić?

Miłować.

Na zawsze.

Przytulając ją mocniej, delikatnie wsunął twarz w jedwabiste włosy.

- Szkoda, że mamy tak mało czasu.

- Dlaczego?

- Bo wtedy moglibyśmy zmarnować więcej czasu w ten sposób.

Przysunęła się bliżej, chociaż prawie niezauważalnie.

- Dla mnie wcale nie jest to marnowanie czasu.

- Nie jest?

Jego żądza chwilowo osłabła. Położył dłoń na karku Rosamunde, dotknął kuszących włosów

i bardzo zapragnął ją pocałować. Nie chciał już prosić, by zdjęła maskę, gdyż najwyraźniej nosiła ją z ważnych powodów. Być może była olśniewająco piękna, powszechnie znana. A może nosiła blizny po ospie.

Nie miało to jednak znaczenia.

Wdychał jej zapach, wreszcie zaczął drażnić językiem ucho, ignorując przeszkadzające mu sznurki trzymające maskę. Westchnęła głęboko. Z uśmiechem podniecał ją coraz bardziej, badając kształt płatka ucha. Po chwili objął go ustami. Zaciśnęła rękę na jego ramieniu. Dmuchał lekko, lecz wiedział, jak to zabrmi w jej uchu, teraz, w zupełnym mroku, w gorącym momencie bliskości.

- Nie możesz kochać się z uchem - powiedziała drżącym głosem.

- Nigdy nie mów „nie możesz” mężczyźnie, który daje z siebie wszystko.

Pozwolił dłoniom odgrywać drugoplanową rolę: jedna gładziła kark, druga była spleciona z dłonią coraz bardziej spiętej Rosamunde.

Nagle parsknęła śmiechem.

- Przestań!

Ugryzł ją delikatnie.

- Poddałaś mi się, niewolnico.

- Ale ja chcę czegoś więcej.

Więc unióś jej rękę i uwolniwszy od swojej dłoni, zaczął kochać po kolei każdy palec. Ssał i pieścił w ustach jeden po drugim, potem muskał gładź wierzchniej strony, w końcu rozgrzanego wnętrza.

Przygryzł poduszczkę u nasady kciuka.

- Muszę wnieść zażalenie.

- O co chodzi? - Zesztywniała.

- Nie dostałem na deser placka z jeżynami.

Roześmiała się.

- Och, jakże mi przykro. Widocznie Jessie nie miała czasu.

- Potrzeba ci więcej służby, tajemnicza pani.

- W obecnej chwili potrzebuję tylko ciebie.

Ciało zdradziło go haniebnie, gdyż zadrżał, nie mogąc się opanować. Nie da rady wytrzymać zbyt długo...

Niby dlaczego nie?

Wyprostował się i posadził Rosamunde okrakiem. Była nieco spięta, bez wątpienia nigdy dotąd nie robiła tego w taki sposób. Mało powiedziane, na pewno zawsze leżała biernie pod wpychającym się w nią brutalnie, starym mężem.

Miał nadzieję, że taka właśnie jest prawda. Jeśli nie mógł mieć niczego więcej, chciał, aby jej zmysły, gorące wspomnienia, sekretne marzenia - aby to wszystko było związane z jego osobą.

Swobodnie i powoli, mimo narastającej żądy, ułożył fałdy jej sukni tak, by nic nie odgradzało go od nagości kochanki. '

- Co ty...

- Nic nie mów, niewolnico.

Zamilkła, chociaż wciąż była spięta, niespokojna.

Usadowił się wygodniej i rozsunął nogi, zarazem rozchylając uda Rosamunde. Oparła ręce na piersi Branda, jakby w każdej chwili chciała mieć możliwość odepchnąć się od niego. Jednak on położył je na swoich ramionach.

- Nie - powiedział.

Potem, nie wstając, ściągnął kabat, potem fular, koszulę, wreszcie spodnie. W końcu położył sobie jej ręce na nagich ramionach i niemal rozplątał się w rozkoszy, tak słodkie było to odczucie.

Minęła kolejna chwila i teraz ona wykonała ruch, przesuwając dłonie po jego kształtnych barkach, ra-

mionach, potem wróciła do szyi, by ją objąć, lub też pół-objąć, naśladując jego wcześniejszą pieśczoć. Wtem przesunęła dłonie na kark. Jej płomienna nagość była tak blisko, czekała w gotowości! Udało mu się pozostać w bezruchu. Nieoczekiwanie pochyliła się - z pewnością nieświadoma, jak niszczyliście ten ruch na niego podziałał - i zbliżyła twarz do nasady jego szyi. Tym razem to on chciał się odepchnąć, nie mogąc znieść myśli o pocałunku przez maskę. Czuł tylko jej język. Starannie uważała, by nie dotykać go maską, pieszcząc jego skórę wilgotnym językiem.

Stracił samokontrolę. Gwałtownie wsunął rękę pod koronki sukni, uwalniając się. Zajęczał z ulgi. Wyczuł pod palcami gorącą wilgoć i wszedł w nią, starając się zrobić to powoli, lecz nie miał szans, bo myślał już tylko o jednym.

Chwyliła go za włosy.

Poruszała się, jakby pragnęła pojąć go chciwie, jeszcze głębiej, otoczyć go sobą.

A on wchodził jeszcze dalej w ten płonący ogień.

Zajęczał coś. Miał nadzieję, że zabrzmiało to pochlebnie, bo taka właśnie była intencja. Ona była doskonałą kochanką, dawała mu cudowną rozkosz, lecz w tej chwili nie była dlań nikim więcej. Tylko jego przyjemnością. Czerpał ją bez wytchnienia, przytrzymując jej biodra, aż w końcu doszedł, wybuchając w nią, tak jak ona w nim, uwięziona w mocnym uścisku, z włosami mokrymi od jego ust.

Niech to diabli! Jakże pragnął ją pocałować.

Odciągnął do tyłu głowę Rosamunde, uchylił dolną część maski - przy wtórze trzasku pękającego materiału - i przywarł ustami do jej warg. Wrzasnęła, szarpiąc się, ale i tak dopiął swego. Miał przecież prawo całować swoją kobietę. Po chwilowym oporze ustąpiła.

Błogość.

W końcu oderwał się od niej, jednocześnie poczuł, że wyslizguje się z jej wnętrza, zaspokojony, rozluźniony, spełniony.

- Zaprawdę, moja słodka damo, zawsze cię rozpoznam, jeśli jeszcze kiedyś złączymy usta w pocałunku.

Zaczęła się szamotać. Wiedział, że teraz nasuwa maskę z powrotem na miejsce.

- A więc jestem bezpieczna - ucięła. - Bo na co dzień nie całuję się z obcymi mężczyznami.

- Ja nie jestem obcy. Teraz już nie.

Jednakże złamał zasady, więc przytrzymał ją za suknię, na wypadek gdyby zechciała uciec.

Ale ona powiedziała tylko:

- Obiecuj, że nigdy więcej tego nie zrobisz.

- Nie podobało ci się?

- Owszem, podobało.

Aż zamruczał, ujęty tą cudowną szczerością. Wziął Rosamunde w ramiona.

- Więc dlaczego mam tego nie zrobić? Po co ci ta maska w zupełnej ciemności?

- Mam swoje powody. Musisz mi obiecać.

- Ale przecież jesteś moją niewolnicą. Poddałaś się mej woli.

- Jednak tego nie zrobię.

- Powiedziałaś, że zrobisz wszystko.

- Nie. - Próbowała poruszyć się, lecz nie mogła. - Przestań... - szepnęła. - Nie psuj wszystkiego.

Chciał nalegać, całkowicie poddać ją swej władzy. Pomyślał, że przecież mógłby, a zarazem wiedział, że to niemożliwe.

- Powiedz, dlaczego musisz nosić maskę.

- Nie mogę.

- Jest ciemno. I tak cię nie widzę. Jeśli chcesz, zawiąż mi oczy!

- Nie o to chodzi. Przestań, bo w przeciwnym razie będę musiała wyjść.

Przygryzł wargi, by powstrzymać pełne złości słowa, które miał już na końcu języka.

- Ale nie masz nic przeciwko pocałunkom?

- Samym w sobie pocałunkom, nie.

- Więc powiedz mi, jak mam cię całować. Bardzo tego potrzebuję.

Leżała przytulona do niego, oddychając nierówno, tak samo jak on. Po chwili milczenia, którego nie chciał przerywać, odezwała się:

- Pozwól mi wyjść, to spróbuję naprawić maskę.

Chciał ją jeszcze przekonać, lecz najwyraźniej doszła do granicy, której nie była w stanie przekroczyć. Wbrew swej woli pomógł jej wstać i słuchał, jak wychodzi z pokoju.

Być może już nie wróci.

Co to oznacza, gdy mężczyzna ryzykuje noc soczystego seksu w zamian za szansę na pocałunek?

Usiadł, opierając głowę na rękach. Z trudem to wszystko ogarniał. Nigdy nie lubił przejawskrawionych dramatów.

I teraz czuł się podobnie.

Tkwił po uszy w prawdziwej tragedii.

Wierzył, że magia między nimi i tak by powstała, bez względu na okoliczności spotkania. Gdyby los okazał się łaskawy, poznaliby się na zgromadzeniu, na herbacie, może nawet na wiejskim festynie. Wtedy mógłby zabiegać o jej względy i zdobyć jej serce w należyty sposób.

Zamiast tego znaleźli się tu i teraz. Maski, dramat i bolesne sekrety nocy.



Otworzyły się drzwi. W myślach podziękował Bogu za to, że przynajmniej wróciła. Po omacku podeszła bliżej, dotknęła niepewną dłonią jego policzka. Chwytał ją, delikatnie przyciągnął i posadził sobie na kolanach. Z odrobiną wstydu uświadomił sobie, że jego ubranie jest wciąż w nieładzie, porozrzucane. Idący w konkury dżentelmen, posiadający choćby namiastkę mózgu, doprowadziłby się do porządku pod jej nieobecność.

- Możesz mnie pocałować - szepnęła - jeśli nadal chcesz.

Nie mając cienia nadziei, powiódł palcami wzdłuż jej ramienia, po szyi, do mocno zarysowanego podbródka. Przesuwając się nieco w bok, stwierdził, że maska jest wciąż na swoim miejscu, ale teraz ma wycięcie na podbródek i usta. Rosamunde była spięta, lecz mimo to dalej dotykał maskę, wzdłuż nosa i po drugiej stronie.

Taka maska była bardziej typowa dla weneckiego stylu, niż zakrywająca całą twarz. Dziwne, że nie włożyła jej od razu. Ciekawie badał ją jeszcze chwilę palcami, wreszcie znalazł pełne, miękkie usta. Bezbronne, wydatne, stworzone do pocałunków. Już wcześniej

wiedział, jakie będą. Wodząc wokół nich opuszkami, nie odkrył żadnych nowych tajemnic.

Strasznie chciał zapytać o wyjaśnienie tej dziwacznej obsesji, lecz teraz nie mógł ryzykować utraty tak cennego podarunku. Dotknął ustami jej warg.

To ona wykonała kolejny ruch. Wsunęła palce we włosy Branda i przyciągnęła go ku sobie.

Chociaż wciąż świadomy oddzielającej ich maski, ustąpił. Miała cudowne, idealne usta. Wręcz nieziemskie dla jego wygłodniałych warg. Ich coraz głębszy, spajający pocałunek stał się swoistym kochaniem, a gdy wreszcie oderwali się od siebie, czuł się prawie tak samo zaspokojony i wyczerpany jak po uprawianiu miłości.

Prawie.

Dotknęła dłonią jego twarzy.

- Dziękuję ci. Miałeś rację. Byłabym wściekła na siebie, gdyby mnie to ominęło. Nawet najmniejszy drobiazg. Chcę, żebyś to wiedział. Wszystko musi się skończyć o świcie, lecz bez względu na to, co jeszcze nastąpi, już teraz dałeś mi coś niezwykle cennego.

Nagle siła jego woli pękła niczym mydlana bańka.

- To nie musi się skończyć o świcie.

Ręka Rosamunde znieruchomiała.

- Musi.

Zbliżył do ust wewnętrzną stroną jej dłoni.

- Wyjedź ze mną. Wiem, że będzie z tego skandal, lecz w moich kręgach ludzie akceptują skandale.

- W twoich kręgach. Ktoś mi powiedział, że Brand Malloren jest lordem. A jego brat markizem.

- Tak.

- Dlaczego się nie przyznałeś?

Zaskoczyło go, że ten fakt mógł ją zranić.

- Nie miałem w tym żadnych złych intencji. Nie chciałem sprawiać ci dyskomfortu. Poza tym nie je-

stem aż tak wysoko. Po prostu zarządzam posiadłościami brata, to wszystko.

- Z pewnością zarządzasz ogromnymi posiadłościami.

- Skoro już mówimy o szczerości, to może ty podasz mi swoje prawdziwe nazwisko?

Oswobodziła dłoń.

- Nie mogę. Taka jest prosta i szczerą prawdą. Nie chodzi o mnie, lecz o innych. I właśnie ze względu na nich nie mogę z tobą uciec.

Ogarnął go gniew. To już nie była niezdecydowana, walcząca z pokusą wszetecznicą. Oto kobieta wytrwale dążąca do celu. Czy w istocie podoba mu się, że jest aż tak silna?

Co pochłaniało ją aż w takim stopniu?

Jak mógłby ją oswobodzić?

- Czy uciekłabyś ze mną, gdybyś była wolna? Nie chodzi o małżeństwo, lecz o te inne zobowiązania?

- A czy ktokolwiek może być w ogóle wolny... ? Ale tak, gdyby nie ciężące na mnie obowiązki, mogłabym to zrobić. Z goryczą myślę o tym, że okazałabym się tak słaba, ale mówię ci prawdę. Niestety, mam związane ręce. I chcę, żebyś mi obiecał, że gdy się rozstaniemy, nigdy nie będziesz próbował szukać ze mną kontaktu. Proszę cię, to bardzo ważne.

Postawił ją na podłodze, sam również wstał, by zdjąć z niej ubranie.

- Tego nie mogę ci obiecać. Ze względu na naszą bliskość i twoją szczerość, będę próbował spełnić twą wolę. Obiecuję, że spróbuję, lecz nie mogę obiecać, że mi się uda. Ja także nie przywykłem do mojej słabości, a ty sprawiłaś, że w pewnym stopniu stałem się obcy samemu sobie. Nie mam pełnej samokontroli.

- Palce szamoczące się z zapięciem sukni tylko potwierdzały jego słowa.

Podobnie jak jej drżący głos.

- Ja czuję się tak samo. To niedobrze...

Ledwie ją słyszał, bardziej koncentrując się na gorączkowym luzowaniu sznurków spinających gorset.

- Jestem dyskretny - zapewnił ją.

W końcu ściągnął z niej gorset przez głowę i odrzucił na bok.

- Dyskrecja nie wystarczy. Wolałabym, żebyś obiecał.

- Nie czynię obietnic, których nie mogę dotrzymać, a ty?

- Nie.

- Więc ty mi coś obiecaj.

- Co?

Objął ją od tyłu.

- Jeśli ze mną nie wyjedziesz - szepnął, przysuwając usta do szyi Rosamunde - obiecaj, że po mnie pójdziesz, jeśli kiedykolwiek będziesz w potrzebie. W jakiegokolwiek potrzebie. Obiecaj.

Kilka razy odetchnęła głęboko.

- Jak miałabym to zrobić?

- Wiadomość wysłana do domu Mallorenów w Londynie zawsze do mnie dotrze. To przy Marlborough Square. Albo też Brand Malloren u markiza Rothgara. - Wiedział, że coraz mocniej ją obejmuje, nie mógł się powstrzymać.

- Nie powinniśmy...

- Tylko w potrzebie. Obiecaj!

- To się nie zdarzy! - Wyrывая się, jęknęła cicho.

- Mam dobrego męża i kochającą rodzinę. Nie będziesz mi potrzebny. Nie jestem sama na tym świecie!

Puścił ją gwałtownie.

- Szkoda. - Walczył z tasiemką w pasie halki i jeszcze mocniej ją zasupłał. Sfrustrowany niesforną bie-

lizną, ciemnością, kochanką, szarpnął i gołymi rękami rozerwał koronkę.

- Przestań! - zaprotestowała. - Przez ciebie zostanę w łachmanach!

Ignorując te słowa, uniósł ją, by halka swobodnie opadła, potem ściągnął z Rosamunde bawełnianą koszulę, aż wreszcie została zupełnie naga. Oparł dłonie na jej biodrach, z wrażenia ledwie mógł oddychać.

- Obiecuj mi - powtórzył, starając się sprawić wrażenie rozsądnego człowieka, jakim na co dzień był, nie zaś dzikusa, którym niedługo mógł się stać. - Obiecuj, że jeśli kiedykolwiek będziesz w potrzebie, jakiegokolwiek, to po mnie posłesz. - Przesunął ręce wyżej, by wypełnić je pełnymi, idealnie krągłymi piersiami. - Obiecuj mi!

Słyszał, jak oddychała, czuł to pod swymi dłońmi.

- A co będzie, jeśli zacznę cię wzywać za każdym razem, gdy odczuję potrzebę posiadania kochanki-niewolnika?

- Nic bardziej cudownego nie mogłoby się wydarzyć.

- To szaleństwo. Szaleństwo ponad wszelką miarę!

- Obiecuj.

- No dobrze - ucieła. - Ale dla ciebie nic dobrego z tego nie wyniknie. Nigdy nie będę aż tak zdesperowana.

- Powiniennem wierzyć, że masz rację, ale wcale tak nie myślę. Chyba nie potrafię bez ciebie żyć.

Chyba zwariował, że tak się odkrył. Kompletnie oszalał. Ale wcale o to nie dbał.

- Ale dzisiejsza noc to jest wszystko, co nam zostało.

Wpadł w złość, bo złąkł się, że ona ma słuszość. Nie rozumiał jej sytuacji, nie znał jej rodziny ani męża, ale ją zdążył już poznać. Przejrzał ją na wskroś.

Cokolwiek zmusiło ją do podjęcia tego kroku - przy czym „zmusiło” wcale nie było zbyt mocnym słowem - nie była kobietą, która mogła otwarcie żyć w grzechu.

Trudna do zniesienia była myśl, że ona nigdy nie będzie należała do niego. Z nastaniem świtu ona zniknie, pozbiera do kupy swoje życie i wyrzuci go ze swoich myśli. Lecz nie pozbędzie się go z pamięci i marzeń. Już on się o to postara.

Puścił ją i zaczął zdejmować z siebie ubranie.

- Każde z nas jest w innej sytuacji - powiedział, dobierając słowa tak starannie, jakby to była broń. W końcu stanął przed nią równie nagi jak ona. Tyle że on nie nosił maski. - Ja raczej nie będę żył w celibacie. Jeśli zechcę, już jutro mogę się zaspokoić. A ty?

- Ja nie potrzebuję się zaspokajać.

- Kłamczucha.

Zrobił krok w stronę jej ciemnej postaci, tymczasem ona cofnęła się nieco. Nie powinien tego robić. Powinien wykorzystać każdą chwilę, by dać jej słodkie miłosne doznania, nie zaś dawać upust swej złości. Nie powinien zmuszać jej, by przyznała, że poddała się żądzy i pokusie.

Zatrzymała się, unosząc podbródek.

- Nie znalazłam zaspokojenia w tym, co zrobiliśmy - powiedziała tak samo szorstko jak wcześniej on.

Miała rację. Nawet nie pomyślał o jej satysfakcji. Co za beznadzieja.

- Wszystko jedno - podjęła chłodno. - Po tej nocy i tak nigdy więcej tego nie zrobię, więc nawet lepiej, żebym była rozczarowana.

Złapał ją za nadgarstek.

- Nie drażnij lwa, kochanie, chyba że chcesz, aby ryknął. - Pociągnął ją do łóżka. Zaczęła się wyrwać.

- Niewolnica? - przypomniał jej.
- A może pani? - odparła. - Milordzie?

Gwałtownie ją puścił.

- A więc odejdz.

Wstrzymał oddech. Może naprawdę wyjdzie... ?  
Gdyby padł na kolana i zaczął ją błagać... ?

Lecz po chwili milczenia zbliżyła się, odszukała jego dłoń i ponownie zamknęła ją wokół swego nadgarstka.

- Milordzie?

Niemalże rzucił się, by ją objąć, ale teraz grali w inną grę.

- Niewolnica - wyszeptał. - Niewolnica miłości. - Niech sama to tobie wytłumaczy, tak jak chce.

Pociągnął ją w stronę łóżka, na którym już wcześniej zapraszająco odwinął pościel.

Jednym pchnięciem położył ją na plecy, jednocześnie przytrzymał biodra na krawędzi łóżka i rękami szeroko rozchylił jej uda. Usłyszał, jak nabiera raptownie powietrza i zaczekał. Jeszcze nie stracił na tyle głowy, żeby ją naprawdę wziąć siłą.

- Czy posłusznie spełnisz każdy mój rozkaz?

- Tak, milordzie.

- Więc rozkazuję ci, oddać się. I czerpać rozkosz. I zapamiętać - dodał w myślach.

Nie opierała się, więc pobudził ją dłonią, ustami pieszcząc piersi.

Nagrodziła go, wydając głuchy jęk. Gotów był się założyć, że zrobiła tak pierwszy raz w życiu. Jęk z najgłębszej głębi, tylko dla niego. Chciał więcej. Miał pełną władzę, jeśli to konieczne, mógłby ją pieścić przez wiele godzin.

Doprowadzał ją do coraz większego napięcia, które czuła we wszystkich mięśniach i ścięgnach, a po chwili przestawał, by ją jeszcze przetrzymać.

Tymczasem oparła stopy na brzegu łóżka i wygięła się ku górze. Brand znieruchomiał.

- Połóż się, kochanie.

Łkając, legła biodrami na pościeli.

- Nie rób tego... proszę...

- Ciii. Nic nie mów - zamruczał, przygryzając lekko jej nabrzmiąte, wilgotne sutki.

- Zwierzak.

- Niewolnica.

- Nienawidzę cię.

- Nieprawda.

Wrócił do pieszczot i natychmiast z lubością odczuł, jak wstrząsa nią dreszcz pożądania.

- Nie zrobię tego - zasapała, mając na myśli swoje dojście do szczytu rozkoszy. Zamierzała się opierać.

Wyszczrzył zęby.

- Owszem, zrobisz.

I zrobiła, chociaż walczyła z nim, jakby w zapaśniczej walce.

Dopiero gdy się poddała, gdy leżała rozgrzana, mokra, bezwładna i całkowicie mu powolna, mógł spokojnie w nią wejść.

- Kiedy umrę - szepnęła - powiedz Dianie. Ona pomoże ci uciec.

Nie miał pojęcia, kim jest Diana, lecz podziwiał siłą charakteru leżącej pod nim kobiety. Jakże ogromne pragnienie życia kryło się pod jej zewnętrznym spokojem. Zasługiwała na o wiele więcej niż ta namiastka życia, która była jej dana.

- Wyjedź ze mną - powiedział, unosząc się nad nią. - Będziemy mogli kochać się każdej nocy. Każdej bez wyjątku. - Wszedł w nią powoli, cal po calu. Usta Rosamunde tęsknie szukały go w ciemności.



- Wtedy na pewno bym umarła.
- Nie, do kroćset! Właśnie wtedy byś naprawdę żyła! - Mocnym pchnięciem wsunął się w nią do końca.

Znów gwałtownie doszła, zupełnie nieoczekiwanie, o wiele wcześniej, niż się spodziewał. Po kilku szybkich ruchach także osiągnął spełnienie, pieczętując ich wspólną rozkosz pocałunkiem tak namiętym, jak wszystko, co się między nimi rozegrało.

Miała rację.

To mogło zniszczyć człowieka.

Ale przynajmniej umarłaby w ekstazie.

- Która to już godzina? - spytała.

Wiedział, że minęło sporo czasu, lecz nie miał pojęcia jak wiele. Czy to były minuty? Może dni? Wciąż panowały ciemności. Leżała bezwładnie, spleciona z nim w uścisku. Brzmienie jej głosu odpowiadało samopoczuciu Branda - był wyczerpany prawie do nieprzytomności.

Odległy zegar na kościelnej wieży uderzył dwanaście razy, zwalniając go z odpowiedzi.

- Północ. - Poruszyła się nieznacznie, jakby próbowała dopasować swe ciało do nowej skóry. Położył dłoń na jej brzuchu. Jakże pragnął zobaczyć ją w tej chwili.

I zobaczy ją. Przecież jest jego własnością. Tylko musi jej to udowodnić. Zanim nadejdzie świt.

- Zostało nam jeszcze około sześciu godzin - odezwał się, wsuwając palec w jej pępek.

Cofnęła się.

- Przestań!

- Dlaczego? - Trzymał ją jak w potrzasku.

- Łaskoczesz mnie.

Zaśmiał się i pochylił, by pocałować ją w to miejsce. Włożył język do środka. Odsunęła go, zaczęli się mocować, wreszcie pozwolił, żeby przycisnęła go do łóżka. Była zręczna i silna, chętna do nieczystej walki. Kolejna cudowna niespodzianka.

W końcu triumfalnie usiadła okrakiem na nogach Branda i przycisnęła mu ręce do pościeli. Na pewno wiedziała, że w każdej chwili mógłby się łatwo oswobodzić, lecz pochyliła się, żeby pocałować jego pępek, podrażnić go językiem. Miała napięte mięśnie, znowu mocno go pobudzając.

- Podoba ci się? - spytała.

- Bardzo.

Mrucząc cicho zaczęła lizać go po torsie, na przemian długimi i krótkimi pociągnięciami języka; próbowała dosięgnąć wszystkich dostępnych miejsc.

- Dlaczego tak dyszysz? - spytała z nutą ironii.

- Bo czuję się jak ryba wyjęta z wody.

- Mokry?

- Zdesperowany.

- Mam przestać?

- Przenigdy. - Celowo powtórzył jej wcześniejsze słowa. Oboje pragnęli, by ta noc trwała jak najdłużej.

- A czego jeszcze byś chciał? - spytała. Językiem znowu zaczęła drażnić jego pępek.

- Dotykaj mnie.

Nie udawała, że źle zrozumiała te słowa. Puściła nadgarstki Branda i przesunęła dłonie, by wrażliwymi palcami z ciekawością zbadać jego męskość. Skoncentrował się mocno, by powstrzymać swą żądzę.

Ale w końcu nie mógł wytrzymać. Chwyił ją, przewrócił plecy i wszedł do środka, natychmiast dochodząc do szczytu.

I tak przez całą noc - bawili się, odkrywali, drażnili, dręczyli. Była to najdziksza, najsłodsza namięti-

ność, jakiej zaznał w życiu, jaką dawała mu kobieta stworzona do miłości, gotowa kochać z radością i zapamiętale. Znajdowała rozkosz w każdej rzeczy, jaką dla niej wymyślał, dodając własne, wynikające z czystej inwencji pomysły.

Mieli też chwile uspokojenia. W sennych głębinach nocy leżeli objęci, rozmawiając. Doskonale wiedział, że niewiele mu wyjawiała w potoku szeptynych leniwie słów, lecz pragnął zdobyć jej zaufanie, o ile było to możliwe, opowiadając swoją historię. Gotów był obnażyć całą duszę, gdyby dzięki temu została jego kobietą.

Opowiedział więc o radosnym dzieciństwie, w zamian usłyszał mało sprecyzowane wspomnienia z najwcześniejszego okresu jej życia. Ucieszył się, że miło spędziła młode lata, wcale też nie był zdziwiony, gdy przyznawała się do różnych łobuzerskich wyczynów.

Opisał nagłą śmierć rodziców, którzy umarli z gorączki, co gwałtownie zmieniło całe jego życie. Obejmowała go, głaskała i całowała jego włosy, niosąc pociechę. Wiedział, że przynajmniej ona ma jeszcze kochającą matkę, lecz chyba dobrze rozumiała, jakiego doznał szoku.

I może rozumiała, co znaczyło dla niego i innych członków rodziny, szczególnie młodych bliźniaków, gdy Bey walczył, aby wszyscy byli razem.

- Bey miał dopiero dziewiętnaście lat.

- Bey?

- Mój starszy brat, w zasadzie brat przyrodni, markiz Rothgar. Wszyscy mamy imiona po anglosaskich bohaterach, którymi bardzo interesował się nasz ojciec. Mam szczęście, że zostałem Brandem. Biedny Bey, jako najstarszy, otrzymał imię Beowulf, którego ojciec z upodobaniem używał w pełnym brzmieniu.

Zaśmiała się.

- Więc zamiast tego przybrał imię wschodniego księcia.

- Bardzo dobrze do niego pasuje. Wcześniej i nagle spadła na niego ogromna odpowiedzialność. Nie posiadał żadnej władzy, gdy zmarli nasi rodzice, lecz mimo to był nieustępliwy. Ja miałem dwanaście lat, byłem pogrążony w smutku, lecz chyba wszyscy chcieli rozbić naszą rodzinę, wyrwać nas z jego rąk. A on postawił sobie za zadanie, aby wszelkie zachodzące zmiany były możliwie jak najmniejsze. Wtedy po prostu akceptowałem to - powiedział Brand, spoglądając wstecz. - On nawet trzymał nas w nieświadomości, że istnieje jakiegokolwiek niebezpieczeństwo zmiany, chociaż domyślaliśmy się i żyliśmy w stałym lęku. Raz bliźniaki znikły na cały dzień. W końcu odnalazły się w szafce pod schodami do spiżarni, która wcześniej została sprawdzona, więc chyba się przemieszczały z miejsca na miejsce. To musiała być dla niego przerażająca odpowiedzialność. Bo wcześniej wcale nie był uosobieniem odpowiedzialności.

Zamilkł, mimo kuszącej ciemności, gdyż nie miał prawa opowiadać o sprawach, które nie dotyczyły wyłącznie jego. Dopiero później zrozumiał, że brat czuł się odpowiedzialny za śmierć rodziców, zresztą nie bez powodu. Podczas jednej ze swych przygód złapał gorączkę, przez którą prawie umarł. Macocha opiekowała się nim z wielką troskliwością, lecz sama się zaraziła. Markiz zignorował zalecenie medyka, by trzymać się z daleka, i oddał ducha z powodu choroby.

- Młodsze dzieci starannie trzymano w odległym skrzydle domu, przez co doznały jeszcze większego szoku. Kiedy już mogły swobodnie się poruszać, rodzice nie żyli, zaś Bey - wciąż blady od schorzenia -

stał się markizem, ich jedynym obrońcą na tym świecie.

- To na pewno wymagało ogromnej odwagi - powiedziała Rosamunde, bawiąc się delikatnie jego włosami.

- Niesamowitej odwagi. Nikt by go nie winił, gdyby dopuścił do rozdzielenia rodziny. Chyba nawet krytykowano go, że tego nie zrobił. Wielu ludzi uważało go za zbyt nieokrzesanego, aby się nami opiekował.

Znowu urwał, zanim wzmiankował o szaleństwie. Bey nie był wariatem. Nigdy nie było żadnych oznak. Lecz jego matka kiedyś postradała rozum i to wisiało nad nim jak złowrogi cień. Matka Beya nie była obłąkana do czasu, gdy zabiła swoje nowo narodzone dziecko.

- Ludzie robią to, co muszą zrobić - odezwała się Rosamunde. - Znajdują w sobie wielką odwagę, gdy jej potrzebują.

- Niektórzy.

Zastanowił się, czy mówiła o sobie. Szukał klucza do jej duszy. Odsunął od siebie chwilową niechęć i wrócił do zwierzeń. Podjął opowieść o swoich bardziej niewinnych przygodach.

- A jakim sposobem zostałeś zarządcą dóbr brata?

- Nie wiem, na ile znasz układy w arystokratycznych rodzinach. Aby zachować wpływy, wszystko przechodzi na rzecz najstarszego syna. Młodszy synowie oraz córki otrzymują pewną część majątku, zwykle z tego, co matka wniosła do małżeństwa. Tym sposobem pierwotny stan posiadania nie ulega rozdrobnieniu. Młodszy synowie mają rozpocząć własną karierę. Typowo - w Kościele, wojsku, marynarce.

- Nie bardzo widzę cię w roli pastora.

Roześmiał się.

- Bey nie chciał, żeby któryś z nas zaciągnął się do armii czy marynarki. Twierdzi, że to barbarzyńskie, źle dowodzone instytucje. Ja zawsze interesowałem się rolnictwem, więc skończyło się na takiej właśnie posiadzie.

- A co by było, gdybyś pragnął zostać szykownym oficerem?

- Dokładnie to samo, co wtedy, gdy mój najmłodszy brat wybrał taką drogę. Wściekłe awantury i fizyczny areszt.

- Litości. I co się stało?

- Cyn jest teraz majorem.

- Więc twój brat tak naprawdę dużo szczeka, ale nie gryzie?

- Nie bardziej niż ja, moja pani. - Na dowód ugryzł ją lekko. - A Bey ma ostre kły i potrafi ich użyć. Lecz w sumie chce tego, co jest dla nas najlepsze. Cyn uwielbia wojsko, ja zaś zagrody i rzepeę.

W odpowiedzi lekko chwyciła go zębami.

- To dobrze, że realizujesz się w swoim życiu.

Przez chwilę pieścił jej pierś, lecz znieruchomiał.

- Bez ciebie nigdy nie będę spełniony.

Nawet nie odpowiedziała. Wracał do tego tematu dość często w czasie całej nocy, wyrażając swoje pragnienie, nie mogąc uwierzyć, że jest skazany na porażkę. Z westchnieniem zabrał się za jedyną rzecz, jaką był w stanie zrobić - wryć pamięć o nim w jej ciało, umysł i duszę.

Zarazem sam karmił swe zmysły, by nigdy jej nie zapomnieć.

Lecz nawet gdy każda chwila jest tak cenna, natura bierze górę. W końcu, dotykając się, śmiejąc, pozwolili, by sen ukradł im resztę nocy.

Rosamunde obudziła się, od razu świadoma całej sytuacji. Łzy cisnęły się jej do oczu.

Byli nakryci jedynie prześcieradłem, więc czuła lekki chłód. Brand leżał obok na brzuchu, lecz obejmował ją ramieniem.

Władczo.

Wielokrotnie w czasie tej szalonej nocy prosił, żeby z nim wyjechała, pytał, co tak mocno trzyma ją na miejscu, co może być silniejszego od więzi, którą stworzyli.

Po pewnym czasie przestała się z nim sprzeczać. Nie mogła powiedzieć prawdy, a nawet gdyby ją powiedziała, nie mogła mieć pewności, czy on zrozumie, jak bardzo to wszystko jest ważne. W oparciu o niepisaną tradycję wielkich romansów oczekiwał, że dla miłości ona rzuci wszystko.

Miłość.

Tak. Nie mogła zaprzeczyć, że to jest miłość.

Jednak srebrzysta poświata za oknem oznaczała, że wszystko zaraz się skończy.

Odwróciła się na bok, żeby przypatrzeć mu się w delikatnym świetle. Co się z nimi stało, nie tylko ostatniej nocy, lecz w ogóle w ciągu tych kilku niezwykłych dni?

Powstała intymna więź, która wrosła głęboko w ich dusze. Była nieco podobna do bliskości, jaką dzieliła z Dianą - coś, czego nie mogły naruszyć fizyczna odległość lub odmienne zdanie.

Lecz z Dianą to była przyjaźń od kołyski, a nie krótkie spotkanie. Jak to możliwe, by czuła coś takiego wobec obcego człowieka? A jednak połączyło ich wszystko - śmiech, wzajemne zaufanie, cudowna rozmowa, te same zainteresowania, milczące porozumienie. Poczucie pełnego bezpieczeństwa.

Przełknęła ślinę, zwalczając cisnące się do oczu łzy. Znaleźli razem prawdziwy skarb, ona i lord Brand Malloren, więź, o jakiej nigdy nie marzyli, powstała w wyniku czystego splotu okoliczności.

A teraz to wszystko było warte tyle, co rzucone na skałę ziarno.

W normalnych warunkach nigdy by się nie spotkali - syn markiza i córka ziemianina. Z pewnością nie wyszliby poza towarzyskie konwenanse.

Gdyby złożył obietnicę, że nie będzie jej szukać... Diana z pewnością nie byłaby zachwycona, lecz potrafiłaby mu zaufać. Jednak on przez całą noc starał się namówić ją do ucieczki, więc nie miała pewności, czy nie spróbuje jej odnaleźć.

Musiała zatem dopilnować, aby nie próbował.

Musiała go odurzyć.

Przez moment wyobraziła sobie szaloną alternatywę. Mogłaby zacząć go całować, tak jak wielokrotnie czyniła tej nocy, poczuć jego zapach, który teraz rozpoznabyła wszędzie, wodzić dłońmi po muskularnych kształtach dla samej rozkoszy dotyku i w końcu powiedzieć mu, że podda się jego woli także po nastaniu świtu. Że z nim ucieknie. Że nie widzi przeszkód, by porzucić wszystko, co zna i kocha, byle tylko zostać z nim. Że stanie się upadłą kobietą, wyrzucaną poza nawias społeczności, o ile tylko będzie mogła upaść prosto w jego ramiona.

Ze strachem pomyślała, że tak właśnie by było. W tej obłąkańczej chwili wszystko to doskonale czuła. Oczywiście później żałowałaby swej decyzji, lecz groźba cierpienia w przyszłości nie powstrzymałaby jej od zaznania ekstazy, jeśli tylko taka miałaby być jej cena.

Lecz nie była.



Mogłaby oderwać się od domu, życia, reputacji, stracić to wszystko w imię miłości. Jednak nie była w stanie oderwać się od obowiązku.

Obowiązku, jaki miała wobec Digby'ego i Wenscote.

Westchnęła. Czy mogła powiedzieć mu całą prawdę, ufając, że on zrozumie, że poświęci się razem z nią?

Było to kuszące, gdyż ufała ogromnie jego obietnicom. Jednak nie miała pewności, że spojrzy na to z jej punktu widzenia. Może uzna, że prawa do swojego dziecka są ważniejsze od ocalenia niewielkiego majątku w Yorkshire. Albo też, o czym wspomniał w trakcie namiętnej nocy, złapie ją w pułapkę za pomocą skandalu.

Na takie ryzyko nie mogła sobie pozwolić.

Łzy przyklejały maskę do jej twarzy. Rosamunde wy dostała się spod ramienia Branda, który coś zamruczał, lecz spał dalej. Przykryła go kocem, nałożyła koszulę i cicho wyszła z pokoju. W swojej starej sypialni przygotowała zawnazu prostą, brązową suknię na podróż, taką, którą mogła włożyć sama, bez niczyjej pomocy. W czasie tej ryzykownej eskapady Millie przebywała w Arradale. Gdy już się przyodziała, zeszła na palcach do kuchni, modląc się w duchu, żeby nikogo tam jeszcze nie zastać. Miała już serdecznie dosyć rozważania po raz kolejny „co by było gdyby”.

W kuchni panowała cisza. Tak bezszelestnie, jak to tylko możliwe, znalazła trochę zimnego mięsa i chleba, a także nalewkę z jeżyn, którą kazała Jessie przygotować poprzedniego wieczoru, dodając do receptury nieco brandy i dodatkowych przypraw. Wlała miksturę do dzbanka, pomieszała i spróbowała odrobinę czubkiem języka. Wyborny, bogaty smak.

Domieszka dodatkowych składników została dobrze ukryta przez mocny aromat.

Mimo wszystko robiła to bardzo niechętnie.

Odsuwając na bok skrupuły, wróciła na górę. Brand już nie spał, miał zmierzwione włosy, leżał na brzuchu, opierając podbródek na dłoniach.

- Ranny z ciebie ptaszek, co?

- Już prawie świta - zauważyła, walcząc z coraz bardziej dokuczliwym bólem tęsknoty i smutku. - Sam określiłeś tę porę jako koniec.

- Jaki idiota powiedział, że zawsze jest najciemniej przed samym świtem?

Nie było sensu kontynuować tego wątku.

- Przyniosłam ci małe śniadanie. Nic szczególnego. Służba jeszcze śpi.

Poruszył się i usiadł, wtedy podeszła do niego z tacą.

- A ty nie jesz?

- Już coś przełknęłam - skłamała. Chyba by się udławiła jedzeniem.

Ugryzł kęs chleba i zaczął żuć, spoglądając na Rosamunde.

- Chciałbym zobaczyć trochę więcej twojej twarzy.

- Wiem. - Robiło się niebezpiecznie widno, mógłby dostrzec fragment blizny, którego nie zakrywała już maska.

Wzruszył ramionami i znowu ugryzł chleba.

- No więc - powiedział, gdy przełknął - co teraz?

Nawet nie tknął kieliszka.

- Moja karetka odwiezie cię do Thrisk.

Popatrzył na nią bystro, z namysłem.

- A czy tym sposobem nie będzie mi łatwo odgadnąć, gdzie byłem? Ostrzegam cię, mam bardzo dobre wyczucie kierunku.

- Będziesz miał zawiązane oczy - skłamała.

Pokręcił głową, najwyraźniej zdając sobie sprawę, że niewiele w tym sensu.

Żeby tylko się napił! Diana już lada chwila doprowadzi karetę przed dom. Wielkie nieba, przecież on powinien jeszcze włożyć ubranie, zanim straci przytomność.

- To poncz z jeżyn - powiedziała. - Kazałam go zrobić... specjalnie dla ciebie.

Uśmiechnął się trochę smutno, ale wziął kieliszek i się napił.

- O matko, kochanie, to mnie znowu zwali z nóg. Taki trunek raczej nie pasuje na śniadanie.

Nienawidziła się za to, że tak nim manipuluje, lecz mimo to próbowała udawać dotkniętą.

- Myślałam... że skoro nie dostałeś placka...

Roześmiał się i pociągnął głębszy haust.

- Skoro nie muszę jechać wierzchem, to parę łyków nie zaszkodzi.

Z trudem opanowując łyzy, przyniosła mu ubranie. Wstał i zaczął je nakładać.

- Nie stój tak, jak niespokojna służąca - rzucił krótko. Ona też czuła się fatalnie, przeklinając los.

Usiadła na łóżku, patrząc, jak zapinał koszulę.

- No więc - spytał - kiedy będziemy się żegnać?

- Już niedługo.

- Nie jedziesz ze mną?

- Nie mogę. Muszę wracać do domu.

- Do męża. - Znowu ugryzł kawałek chleba, narzucił kamizelkę i kabat, których jednak nie zapinał.

- On na ciebie nie zasługuje, wiesz o tym.

- Przestań.

Kiedy znowu podniósł kieliszek i łyknął trunku, Rosamunde wiedziała, że tym sposobem gasił wzbierającą w nim złość. Nagle odwrócił się i podał jej szkło.

- Proszę, napijmy się z jednego pucharu, za tę noc. Przyrzeknij mi, że nigdy jej nie zapomnisz.

Spojrzała w jego gniewne oczy, gorączkowo rozmyślając, czy przypadkiem czegoś się nie domyślił. Zobaczyła jedynie żal i tęsknotę, które mocno zachwiały jej silną wolą. Na Boga, nie mogła tego zrobić!

Ale już zrobiła. A on wypił prawie połowę trunku.

Nagle wydało jej się czymś zupełnie naturalnym, że również powinna się napić, że powinna posmakować nieco tej zdrady, którą mu zaserwowała. Objęła dłonią ciepłą rękę Branda, trzymającą kieliszek, i pociągnęła łyček z brzegu wciąż wilgotnego od jego ust.

Po chwili, celowo, wypła jeszcze więcej.

Odsunęła kielich.

- Dopij sam. Obiecuję, że nigdy cię nie zapomnę.

Patrzyła, jak osuszył naczynie, nie spuszczać z niej oczu, wreszcie wstała z łóżka.

- Muszę sprawdzić, co z kareta. Niedługo wrócę.

Wyszła, nie oglądając się za siebie, nie zwalniając kroku. Ta cała sprawa nigdy nie miała nic wspólnego z jej potrzebami czy uczuciami.

Wcale nie musiała niczego sprawdzać, ale powinna pożegnać się z Jessie i zostawić napiwek dla niej i Yockenthwaitów za ich służbę. Miała także liścik, w którym informowała Digby'ego, że udaje się z Dianą na kilka dni do Richmond. Zabrała z pokoju monety i zdjęła pogniecioną maskę, po czym włożyła ją do kieszeni, żeby później gdzieś wyrzucić. Po wyjściu z sypialni zatrzymała się, by sprawdzić, czy odczuwa jakieś skutki wypicia mikstury.

Nic. Co pocnie, jeśli środek nie zadziała? Albo zadziała zbyt późno?

Lecz gdy ruszyła po schodach, niemal straciła równowagę i musiała mocno złapać się poręczy. To

straszne! Co będzie, jeśli jeszcze bardziej zaszumi jej w głowie? Diana jej nie wybaczy, że także zażyła mikstury.

Skupiając całą uwagę, zeszła na dół, nie puszczając ani na moment poręczy i starannie stawiając każdy krok.

Zaspana Jessie rozpałała ogień w kuchni.

- Milady! Myślałam, że spała pani w dużym domu.

- Spałam. - Rosamunde miała nadzieję, że jej słowa brzmią jeszcze w miarę składnie. - Ale lady Arradale i ja zdecydowałyśmy, żeby odwieźć naszego niechcianego gościa aż do Richmond.

Służąca wytarła o spódnicę ubrudzone popiołem palce.

- Czy życzy pani, abym coś zrobiła, milady?

- Dopilnuj, żeby ten list dotarł do Wenscote. - Położyła pismo na stole. - Już zaniósłam mu śniadanie, a lada chwila podjedzie kareta. Chcę ci podziękować za pomoc. - Dała dziewczynie szylinga, zaś na stole zostawiła koronę dla Yockenthwaitów.

Gdy pokojówka dygnęła, Rosamunde ostrożnie przeszła do frontowego holu, by poczekać na powóz. Czuła się okropnie, jak pijana. Nie mogła polegać na żadnym ze swoich zmysłów. Na dworze świtało; podjechała kareta.

Diana szybko zeskoczyła na ziemię.

- Podziałało? - spytała niecierpliwie.

- Chyba tak. - Rosamunde trzymała się słupka na ganku, by nie utracić kontaktu z rzeczywistością. - Sama też musiałam trochę wypić. I teraz dziwnie się czuję.

Diana chwyciła ją za ramię.

- Idiotka! Dlaczego to zrobiłaś?

- Nieważne. - Rosamunde spojrzała ponad głową kuzynki i zobaczyła Toma - a raczej kołyszącego się

Toma - który bez wątpienia był jeszcze bardziej przekonany o jej szaleństwie.

- Wzięłam również jednego stajennego z Arradale - powiedziała Diana, wskazując silnie zbudowanego młodzieńca. - Będzie milczał. Każdy z tych stron zrobi wszystko, żeby tylko nie osiedlili się tu zwolennicy Cottera.

Rosamunde musiała zaakceptować fakt, że sporo osób podejrzewało, co uknuła, a wszyscy nabraliby pewności, gdyby po paru miesiącach zaczęła chodzić z brzuchem. Bogu dzięki, że tutejsi mieszkańcy nie lubili opowiadać obcym o miejscowych sprawach.

W pełni skoncentrowana, by nie upaść, poprowadziła Dianę i stajennych na górę. Otworzyła drzwi.

Był ubrany, nie miał tylko butów. Pod sam koniec musiał się wszystkiego domyślić, bo jakoś doczłapał do łóżka i zerwał całą pościel. Zapewne chciał podrzeć prześcieradło, które wciąż tkwiło splecione w jego dłoniach.

Delikatnie oswobodziła go, wszystkimi siłami wstrzymując łzy. Tak było lepiej. Teraz już na pewno nie zechce widzieć jej na oczy.

- Nie ma potrzeby wkładać mu butów - stwierdziła, zdziwiona spokojem własnego głosu.

Diana odsunęła z twarzy Branda zmierzwiłone włosy. Rosamunde chciała odtrącić jej dłonie, lecz cofnęła się, gdy na polecenie kuzynki dwaj stajenni dźwignęli go i wynieśli z pokoju.

- Uważajcie, proszę!

Jęknęła, gdy uderzył jedną stopą w drzwi. Nagły ruch spowodował, że poczuła zawrót głowy. Usiadła ciężko na krześle.

- Ale się dorobiłaś! - Diana oparła ręce na biodrach. - Nie szkodzi, kochana. Ja się wszystkim zajmę. Gdy dojdiesz do siebie, możesz jechać do domu...

Lecz Rosamunde z trudem stanęła na nogi.

- Nie! Jadę z wami.

- Po co?

Bo muszę dopilnować, by nic mu się nie stało, pomyślała.

Diana mogła zdecydować, że wystarczy go wyrzucić z powozu na jakimś pustkowiu. A wtedy znowu mógłby stanąć w obliczu śmierci. Poczowała nieprzyjemne ciarki, przeszywający chłód.

- Po prostu muszę - stwierdziła.

Wiedziała, że zachowuje się jak dziecko. Na twarzy Diany odmalowały się zarazem irytacja i niepokój.

- Hm, w twoim stanie może będzie lepiej mieć cię na oku. Nie wiadomo, co strzeli ci do głowy. Siadaj!

Rosamunde usłuchała. Niemal już zasypiała, a przecież wypłała tylko dwa łyki trunku. Czyżby dała mu za dużo?

- Panna Naisby - wydukała.

Z trudem formowała słowa. Miała wrażenie, że patrzy gdzieś w głąb tunelu, na którego końcu rozbłyskuje światło. Diana zbierała pościel z łóżka.

- Tak? Co z nią?

Diana zwinęła prześcieradła i odrzuciła je na bok. Przyniosła świeże. Nie, nie świeże.

- Skąd jest ta pościel?

- To moja. Będzie wyglądać, jakby ktoś spał w niej przez kilka nocy, nic więcej.

Rosamunde patrzyła, tymczasem hrabina Arradale słała łóżko, z bardzo miernym skutkiem. Pewnie nigdy dotąd tego nie robiła.

Chciała ją o coś spytać. O coś ważnego.

- Panna Naisby...

- Tak? - Diana odwróciła się, trzymając pobrudzone prześcieradła. Pokręciła głową. - Aleś się za-

prawiła, kochanie. - Wolnym ramieniem objęła Rosamunde i pomogła jej wstać. - Chodź. Prześpisz się w karecie. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wieczorem będziemy z powrotem, a jutro znajdziesz się w swoim domu. Zupełnie trzeźwa.

- Panna Naisby.

- No więc, co z tą starą wiedźmą?

- Powiedziała, żeby ile wypić mikstury?

- Wszystko, aby mieć pewność, że silny mężczyzna straci przytomność na dłuższy czas.

- To dobrze.

Diana przytrzymała ją mocniej, gdy powoli schodziły po stopniach.

- Jutro o tej porze będzie już po wszystkim. Z wyjątkiem - dodała szeptem - konsekwencji. Miejmy nadzieję, że nastąpią.

Gdy bezpiecznie dotarły do holu, Rosamunde położyła sobie dłoń na brzuchu, jakby mogła już cokolwiek wyczuć w środku.

- Już po wszystkim - powtórzyła. - Z wyjątkiem konsekwencji.



## Rozdział XIII

**O**budziła się z okropnym bólem głowy, nie mogąc zebrać myśli. Gdzie jest? I dlaczego cały świat kołysze się tak boleśnie?

- Nareszcie.

Rosamunde zmusiła się, by otworzyć oczy, odwracając głowę w stronę, z której dobiegał głos kuzynki. Syknęła żałośnie. Biedna Diana wyglądała nieszczęśliwie.

W rzeczy samej, Diana wyglądała dziwnie.

- Czy ty masz wysypkę?

Diana dotknęła swej poznaczonej plamkami twarzy.

- Widać? Pomyślałam, że to będzie świetny pomysł.

Rosamunde zamknęła oczy. Chyba jeszcze śni. Przecież Diana nigdy nie byłaby zadowolona z przyszczy. I nigdy nie ubrałaby się w takie nieciekawe, proste szaty i czepek.

Poczuła lekkie uderzenia na twarzy.

- Rosa! Nie zasypiaj. Musimy doprowadzić cię do porządku.

- Nie rób tego, proszę.

Rosamunde uniosła powieki i stwierdziła, że Diana wciąż ma wysypkę. Na całej twarzy. Szczególnie obrzydliwa krosta widniała na jej lewym policzku. Ja-

skrawoczerwona z białym czubkiem, najwyraźniej pełna ropy.

- Czy ty jesteś prawdziwa?

W oczach Diany zabłysło rozbawienie.

- Jestem twoją służącą.

- Jaki dziwny sen.

- To nie sen, Rosa, ale przebranie. Posłuchaj uważnie. Nie możemy zostawić lorda Mallorena i pozwolić, żeby ktoś nas widział w tym samym miejscu. Zbyt łatwo by to połączono w całość. No więc zatrzymałam się w Richmond, gdy ty przebywałaś w zaświatach, i poprosiłam o pomoc jedną moją przyjaciółkę. To aktorka. Znalazła dla mnie to ubranie i pomalowała mi twarz. Myślę, że teraz nikt nie rozpozna hrabiny Arradale, prawda?

Rosamunde skupiła wzrok na ogromnej kroście.

- Masz rację. Zwłaszcza że nigdy im coś takiego nie przyjdzie do głowy.

- No właśnie. Nikt znaczący nie zwraca uwagi na służbę. Dojeżdżamy już do Thrisk, więc czas, żeby i ciebie usłiczyć.

Rosamunde uniosła dłoń, by osłonić twarz.

- Żadnych krost!

- Nie bój się. Położymy tylko co nieco zwykłej farbki.

- Nie chcę na twarzy żadnej farbki!

- Musisz. - Diana umieściła sobie na kolanach i otworzyła drewniany kuferek. - Jesteś moją panią. Wysoko urodzoną damą, która nosi bardzo mocny makijaż.

Rosamunde miała złe przeczucie, że to wszystko jest zbyt realne.

- Nie lubię farby na twarzy. To okropnie wygląda.

- Tylko pomyśl, kochanie! Nie możesz pokazać swoich blizn, zaś maska zwracałaby powszechną uwagę. A na mocny malunek nikt nawet nie spojrzy.

Jednakże myśli Rosamunde gwałtownie przeskoczyły na inny temat.

- Gdzie on jest? - Usiadła prosto, nie zważając na ból głowy. - Co z nim zrobiłaś? Co zrobiłaś?

- Nic! - Diana lekkim pchnięciem przywróciła ją do leżącej pozycji. - I cicho bądź. Jest na dole. I zanim zaczniesz protestować, dowiedz się, że przez cztery godziny nie mogłam was jakoś usadowić. Tam, gdzie jest, będzie mu bezpieczniej.

Brand Malloren był jej podnóżkiem! Leżał zwinięty w kłębek na ciasnej podłodze karety, lecz Diana przynajmniej podłożyła mu pod głowę zwinięty koc.

-Ojej.

Uniosła stopy, lecz nie było innego miejsca, by je oprzeć.

- Uspokój się. Nic mu nie jest.

Rosamunde musiała na powrót postawić stopy na jego barku, lecz mimo bolącej głowy nachyliła się, żeby sprawdzić mu puls. Wyczuła na szyi wolne, miarowe i mocne uderzenia serca. Poza tym stwierdziła, że nie jest taki zimny jak poprzednio.

Usiadła.

- Proszę, okryj go kocem.

Diana przewróciła oczami, ale spełniła prośbę. Pod kanapą znalazła gruby, brązowy pled i narzuciła go na Mallorena.

- Ojej, to tak podobne do tego, co przydarzyło mu się poprzednio - odezwała się Rosamunde. - Był taki chory. A niech to...!

- Co?

- Symptomy. Powiedział, że nie upija się. Więc pewnie wtedy także został odurzony, i to za pomocą podobnego środka. Znienawidzi mnie.

- W zaistniałych okolicznościach to nawet dobrze.

Rosamunde chciała zaprotestować, lecz Diana była szybsza.

- Rosa, jeśli cię znienawidzi, to nie będzie próbował cię odnaleźć.

- Ale jeśli znienawidzi mnie bardzo mocno, skutek może być odwrotny.

Diana osłupiała.

- No tak. Poza tym to Malloren. Boże. Tym bardziej musisz zmienić swój wygląd!

Rosamunde aż się zatrzęsała na widok słoików z farbami. Najbardziej pragnęła wtulić się w Branda, zasnąć i spać tak aż do czasu, gdy przestanie odczuwać rewolucję w brzuchu i pulsowanie w głowie. A może zasnąć na zawsze. Jednak musiała dokończyć sprawę. Przez wzgląd na Digby'ego i Wenscote.

- Czy ta farba naprawdę zasłoni moje blizny?

- Dulcie pokazała mi, jak to się robi. - Diana odkorkowała płaski słoik. - Tę pastę można używać na zmarszczki albo blizny. Nadstaw się. - Przechyliła głowę Rosamunde i zaczęła nakładać grubą warstwę.

- Będę miała twarz sztywną jak deska.

- Zapewne. Ale nie będziesz musiała śmiać się ani mówić, więc o nic się nie martw. - Energicznie pocierała skroń i policzek. Świetnie. - Prawie nic nie widać. - Diana wyjęła inny słoik i tym razem nałożyła na całą twarz Rosamunde farbę o bardziej kremowej konsystencji.

- To chyba nie jest ołów?

- Nie jest! Wszyscy już doskonale wiedzą, jak niebezpieczny jest biały ołów. - Diana odsunęła się, by popatrzeć na swe dzieło. - Bardzo dobrze. Nawet ja z trudem dostrzegam blizny, zaś przelotne spojrzenie nigdy ich nie odkryje. Poza tym nikt cię nie rozpozna. Wyglądasz zupełnie inaczej. Starzej.

- Cudownie.

- Jeśli ja mogę mieć krosty, to ty możesz być starą czarownicą. - Odłożyła słoiki i otworzyła kilka innych.

- Nie czuję się dobrze, Diano - rzekła Rosamunde. Od tłustego zapachu trochę ją zemdliło.

- Musimy to zrobić.

Diana przytrzymała mocno Rosamunde za podbródek. Skoncentrowana, przygryzła mocno dolną wargę i próbowała namalować brew, lecz po chwili zakłęta ciężko. Otworzyła okno.

- Zatrzymaj powóz!

- Zatrzymać?

- Tak, zatrzymać!

Kareta gwałtownie stanęła.

- Czy coś się stało, milady?

- Nie, po prostu nie ruszaj przez kilka minut. - Bez dodatkowych wyjaśnień Diana wróciła do przerwanej pracy, zabierając się za brwi Rosamunde. - Już lepiej - powiedziała. Po chwili również usta były gotowe. - Zrobiłam je cieńsze i ciemniejsze. Istna wiedźma.

- Dziękuję.

- Służenie ci to moja przyjemność, milady. Co jeszcze? A, tak. Plamy. - Sięgnęła po małe puzderko i klej, następnie przyklepiła do twarzy Rosamunde kilka czarnych kropek.

- Przestań! Ludzie pomyślą, że mam ospę.

- I dobrze. Jeśli dopatrzą się u ciebie blizn, ospa wszystko wyjaśni. - Przechyliła głowę, by ocenić końcowy rezultat. - Chyba mam do tego talent. Stangret, ruszaj w drogę.

Gdy powóz potoczył się dalej, Diana wyjęła ze skrzynki lustro i je uniosła.

Rosamunde ujrzała twarz obcej kobiety. Miała bladą twarz, czarne brwi, czerwoną pomadę na ustach oraz kilka „upiększających” plamek - wy-

glądała wręcz krzykliwie. Modne damy i panowie z reguły używali trochę farby, gdyż było to częścią eleganckiego ubrania - lecz jej wizerunek był mocno przerysowany. Wiedziała jednak, że niektóre kobiety malowały się w ten sposób, zwłaszcza gdy chciały ukryć jakieś niedostatki, na przykład blizny po ospie. Albo zachować iluzję młodości.

- Nie mam blizn - wyszeptwała, dotykając policzka.

- Jak dziwnie. - W lusterku były widoczne w ich miejscu cienie, lecz, tak jak stwierdziła Diana, przelotne spojrzenie ich nie wykryje.

- I nikt cię nie rozpozna - dodała Diana. - Napudruję ci też włosy. Żadnego tłuszczu, tylko odrobina miękkiego proszku, by zamaskować ich prawdziwy kolor. Najlepiej niebieski.

- Niebieski?

- Osoba taka jak ty właśnie błękitem poproszyła-by sobie włosy.

Wykonała tę czynność bardzo ostrożnie, lecz i tak wokół głowy Rosamunde unosiła się lekka mgiełka.

- Jeśli kichnę, to chyba wrzasnę z bólu.

Diana znieruchomiała.

- Z bólu?

Rosamunde zdała sobie sprawę, że jak dotąd nic o tym nie wspomniała.

- Boli mnie głowa. Bardzo.

Diana szybko odłożyła szczotkę do nakładania pudru, nawet spróbowała machaniem rozwiać siny obłok.

- Powinnaś była mi powiedzieć.

Rosamunde po prostu położyła głowę na oparciu. Chwilę jechały w milczeniu.

- Rosa, popatrz - odezwała się nagle Diana.

Rosamunde otworzyła oczy i znowu zobaczyła w lustrze obcą twarz, tym razem z koroną przybliżonych włosów.

- Efekt jest wręcz cudowny - stwierdziła Diana - nawet jeśli nie był zamierzony. Są zmatowiałe, zupełnie jak u twojej mamy. Postarzyły cię o wiele lat.

- Masz rację. - Rosamunde chciała jedynie zamknąć oczy i pokonać mdłości.

- Jeszcze jedna, ostatnia rzecz. - Diana wyjęła z kieszeni garść czegoś lśniącego.

Klejnoty. Pewnie te, które Diana sama nosiła tego ranka, gdyż bardzo lubiła wszelkie świecidełka. Razem z Rosamunde żartobliwie określały je mianem „błyskotek”, gdyż w istocie, wybierając biżuterię do codziennego użytku, nie zwracała większej uwagi na cenę, a patrzyła jedynie na błysk. Teraz przypięła ozdobne klipsy do uszu Rosamunde, powiesiła parę naszyjników, bransolet, nasunęła na jej wiotkie palce kilka pierścieni.

- Nie lubię nosić wielu pierścionków.

- Ale z ciebie zrzęda. No dobrze, zostawimy tylko cztery. Teraz stanowisz obraz dekadentkiej modnej damy. Chyba nikt nie jest bardziej niepodobny do Rosamunde Overton. - Diana wyjrzała przez okno. - Pewnie zbliżamy się już do Thrisk. Czas pozbyć się naszego ładunku.

- On nie jest...

- Tak, tak, wiem. - Diana machnęła ręką, która wyglądała bardzo dziwnie, pozbawiona błyszczących ozdób. - To książę i bohater. Mimo to musimy się go pozbyć.

- Tutaj? - Rosamunde widziała jedynie pola. - On musi mieć jakieś schronienie.

- Rosa, jest lato, a tu nie ma wrzosowiska!

- Musi mieć schronienie! - powtórzyła Rosamunde.

Diana mruknęła coś pod nosem, rozglądając się po okolicy.

- I tak na tej drodze panuje zbyt duży ruch. Musimy gdzieś skręcić. Znajdziemy jakąś stodołę lub inne podobne miejsce.

Rozkazała Garforthowi, żeby zjechał z gościńca na najbliższej krzyżówce.

- Ale to ledwie widoczna ścieżka, milady.

- Skręć. Tam jest drogowskaz. Ścieżka musi do-  
kądś prowadzić.

Jednak gdy skręcili z głównej trasy, gwałtowne szarpnięcie potwierdziło słowa Garfortha. Z drogowskazem czy bez, droga była niewiele lepsza od zwykłej ścieżyny, zrytej kopytami i kołami wozów. Rosamunde napięła mięśnie, jednak nie skarżyła się, gdy każdy wstrząs powozu wywoływał przeszywający ból. Zasługiwała na takie samo cierpienie, jakiego doświadczał Brand.

- Na drogowskazie było napisane „New... ” coś-tam - rzekła Diana, trzymając się paska. - Półtorej mili. To niedaleko, więc z pewnością znajdziemy jakieś miejsce, gdzie będziemy mogły go zostawić. Zobacz, jakaś szopa. Będzie w sam raz. - Zawołała do Garfortha, żeby zatrzymał karete.

Rosamunde odczuła wielką ulgę, gdy stanęli. Wyteżywszy wzrok, zobaczyła rozklekotaną drewnianą budę na polu. Nie miała jednej ściany, widać było, że w środku są jedynie resztki zeszłorocznego siana. Chciała się sprzeciwić, że miejsce nie było wystarczająco dobre, ale postanowiła milczeć.

Nada się do ich celu. Lecz tkwi na zupełnym odludziu. Brand może tam leżeć bez końca.

Usłyszała, jak Diana wydaje polecenia, więc przesunęła nogi, aby można go było wyciągnąć. Zamknęła też oczy, w przeciwnym razie na pewno wygłosiła by wiele niepotrzebnych uwag. Po chwili zabrali go i mogła wreszcie postawić stopy na podłodze. Próbo-



wała nie unosić powiek, zostawić wszystko innym, lecz okazało się to niemożliwe. Zobaczyła jak dwaj młodzi stajenni niosą go przez lekko pagórkowate pole. Za nimi podążała Diana z butami Branda w dłoni. Mimo że byli młodzi i silni, jedna ręka niesionego niemalże szorowała po ziemi, głowa zaś kołysała się na wszystkie strony.

Rosamunde chwyciła koce i wygramoliła się z powozu. Gdy już stanęła na ziemi, musiała zatrzymać się na chwilę i poczekać, aż świat przestanie wirować. Modliła się w duchu, by niesforny żołądek nie narobił jej wstydu. Wspomnienie o tym, jak torsje męczyły Branda, jeszcze bardziej umocniło ją w poczuciu winy. Gdyby znów miała wybór, nie zrobiłaby mu tego, nawet dla dobra Wenscote.

Gdy nieco odzyskała równowagę, ruszyła chwiejnym krokiem przez pole, aby się upewnić, że Brandowi będzie wygodnie. Widząc, jak mężczyźni rzucają go na resztki siana, puściła się biegiem.

- Przestańcie!

Diana się odwróciła.

- Rosa... - zaczęła, lecz zaraz pokręciła głową i wzięła od niej koce. - Popatrz, ułożę go i okryję jak małe dziecko.

Rosamunde zignorowała niezadowolenie, które wyczuła w tonie głosu kuzynki. Nagle jej wzrok zniechęcił.

- Diana! Herby!

- A niech to. - Diana wyciągnęła narożnik i gapiła się na wyhaftowany herb, jaki zapewne znajdował się na każdej rzeczy, którą posiadała.

- Culver, zrób z tym coś.

Stajenny z kamienną twarzą przyklęknął, żeby odciąć oznakowane narożniki obu koców, po czym wsunął skrawki do kieszeni.

- Gotowe - powiedziała Diana, wstając i otrzępując się z siana. - Czy teraz możemy już jechać?

Rosamunde chciała odpowiedzieć przecząco, chciała osobiście go opatulić, ostatni raz pocałować. Tak naprawdę pragnęła położyć się przy nim i pomóc mu, gdy się obudzi. Wydawało się, że teraz jest mu dość wygodnie, lecz wiedziała, że czeka go piekło. Była tego świadkiem poprzednim razem, a obecnie w pewnym stopniu odczuwała to też na własnej skórze. Jednak nigdy nie chodziło o zaspokojenie jej własnych potrzeb, z wyjątkiem tej jednej grzesznej nocy, którą wykradła losowi. Ale to tylko pogorszyło sprawę, na co zresztą sama sobie zasłużyła. Spojrzała nań ostatni raz, odwróciła się i odeszła do powozu. Usadowiwszy się w środku, celowo patrzyła w inną stronę, gdy Diana zajęła miejsce obok i karetą ruszyła w drogę powrotną.

Już po wszystkim.

Skończone.

Bezpowrotnie.

- Zdaje się, że nie możemy skręcić na tej drodze - odezwała się Diana, gdy powóz podskoczył i wpadł w kolejną dziurę, wywołując potężny wstrząs. Rosamunde mimowolnie jęknęła. - Ojej, czy aż tak źle się czujesz, kochana?

- Dobrze mi tak. Ale on wycierpi się jeszcze bardziej. Au! - Kolejny wstrząs i kolejny raz Rosamunde zawyła z bólu.

Diana wychyliła się przez okno i kazała Garforthowi zatrzymać konie.

- Nie możemy tu zawrócić powozem, najdroższa - odezwała się po krótkiej rozmowie ze stangretem. - Ale do następnej miejscowości pozostała niecała mi-

la. Pojedziemy wolniutko. Na pewno w tym New... coś-tam jest jakaś lepsza droga.

Kareta ruszyła. Rosamunde starała się utrzymać głowę nieruchomo i nie narzekać.

- Nigdy nie rozumiałam tych rzeczy - mruzczała pod nosem Diana.

Rosamunde rozchyliła powieki i zobaczyła, jak kuzynka walczy z mapą.

- Jak się nazywało ostatnie miejsce, które minęliśmy? Nie mogę znaleźć tego New... coś-tam w okolicach Thrisk. Och, Rosa...

Z tonu jej głosu Rosamunde wywnioskowała, że nie chodzi wcale o mapy. Miała łzy na policzkach.

- To tylko ta mikstura. I ból.

- Ból z powodu czego? - spytała Diana, ocierając łzy chusteczką. - To tylko czarujący przystojniak, ale nie dla ciebie, kochana.

- Miałam na myśli ból głowy.

Nie była to cała prawda. Nie wiedziała, że żal może doprowadzić do tak ogromnego fizycznego cierpienia. Koło wpadło w wyjątkowo głęboki dół, mocno kołyszając całym pojazdem. Jęknęła głośno.

- Niech to diabli! - krzyknęła Diana. - Ale nie mamy wyboru. Możemy jedynie zatrzymać się i zostać tu na zawsze.

- Mogłybyśmy iść piechotą - odparła Rosamunde.

- Tak! - Sięgnęła do klamki.

Diana powstrzymała ją jedną ręką, wołając na Garforth, żeby stanął. Już po chwili Rosamunde stała na drodze, czując szum w głowie, a w całym ciele ból, nad którym jednak umiała zapanować.

- Teraz już mi lepiej.

Diana objęła ją w talii.

- Chodźmy więc, kochanie. Do tego New... nowego miejsca.

Rosamunde przyjęła pomoc i ruszyła powoli, próbując zebrać myśli. Cierpiała na łagodną formę tego, czego doświadczył Brand Malloren po tym, jak go znalazła. A więc i on został uprzednio odurzony? Przez kogo? I dlaczego?

Czy możliwe, że grozi mu niebezpieczeństwo?

Zatrzymała się.

- Nie można go tam tak zostawić.

Diana zmusiła ją do dalszego marszu.

- Rosa, przestań! A co według ciebie powinniśmy zrobić? Umieścić go w zajeździe, aby cały świat się dowiedział, kto go tam przywiózł?

- Jesteśmy w przebraniu.

- Ale niewystarczającym na taką zagrywkę!

- A co będzie, jeśli znajdą go nieodpowiedni ludzie?

- Nieodpowiedni? Jacy ludzie?

Rosamunde próbowała wyjaśnić, choć obawiała się, że mówi bardzo nieskładnie.

- Wrogowie - prychnęła gburowato Diana. Chodzenie piechotą nie było jej ulubionym zajęciem, poza tym z pewnością miała nieodpowiednie do tego celu obuwie. - Jeśli tak, był to jakiś przypadkowy złodziejaszek. Czemu od razu myśleć o wrogach i spiskach?

- Nie wiem. Po prostu takie mam obawy! - Głowa Rosamunde pulsowała boleśnie z każdym krokiem. - Po co przypadkowy złodziej miałby go zaciągnąć na kompletne pustkowie?

- Może po prostu spotkał go na pustkowi.

- Powiedział mi, że ostatnie, co pamięta, to Northallerton. Przywieziono go między wzgórze, aby wyzionął ducha.

- Więc dlaczego ów wróg - Diana zaczęła niemal warczeć - który chciał go pozbawić życia, po prostu nie poderżnął mu gardła?

Nie mogąc znaleźć odpowiedzi, Rosamunde zamilkła. Ale wiedziała jedno: nie opuści tej okolicy, dopóki się nie upewni, że Brand jest bezpieczny.

Inne postępowanie stanowiłoby zdradę, niewybaczalną zdradę.

Dotarli do New... coś-tam - nie było żadnej tabliczki, więc nie wiedziały, jak to miejsce naprawdę się nazywa. Okazało się skupiskiem żałosnych, porzuconych chat, stojących przy w miarę wygodnej drodze. W pełnej niezbornych myśli głowie Rosamunde symbolizowało to stan, w jakim znalazło się jej życie.

- Ta wioska była nowa w czasach złego króla Jana!  
- stwierdziła Diana, podchodząc do przydrożnego drogowskazu, którego ramiona pokazywały różne kierunki. - O! Thrisk jest o milę stąd. Stamtąd pojedziemy do domu drogą do Ripon.

Garforth ustawił karete w tym kierunku i zatrzymał, po czym zeskoczył na ziemię. Z obawą na twarzy zbadał stan kół i osi, podczas gdy Diana i Rosamunde wsiadły do środka. Po chwili Diana z westchnieniem ulgi zdjęła pantofel na wysokim obcasie, żeby obejrzeć sobie stopę.

- Przepraszam - odezwała się Rosamunde. Wcale nie była zaskoczona, że odczuwa coraz silniejsze mdłości. Być może uda się jej zwalczyć nudności, skoro wypiła tak niewiele.

Powóz ruszył. Diana wsunęła stopę w pantofel i wyjęła z kieszonki złoty zegarek.

- Zajęło nam to prawie godzinę. Późno wrócimy do domu, zwłaszcza że niedługo musimy znowu stanąć, aby konie mogły odpocząć.

Czy teraz był dobry moment, by powiedzieć, że ona nie wraca?

Pomyślała logicznie. Jakakolwiek sugestia, że zostanie, by popilnować Branda, doprowadzi do kłótni. Autokratyczna hrabina Arradale byłaby w stanie zawlec ją do domu przy użyciu brutalnej siły, zwłaszcza gdyby poznała dalszy plan Rosamunde: zawiadomić kogoś, gdzie przebywa Brand, aby został szybko odnaleziony i otoczony opieką.

Jednak miała doskonałą, a nawet szczerą wymówkę, aby nie opuszczać tej okolicy.

- Naprawdę niedobrze się czuję.

Musiała rzeczywiście źle wyglądać, bo Diana spojrzała na nią uważnie i nie podjęła dyskusji. Być może i ona truchlała na myśl o wielu kolejnych godzinach podróży kareta.

- No dobrze. Zatrzymamy się w Thrisk na noc. Przecież jesteśmy w przebraniu. Nikt nie spostrzeże związku między nami a Brandem Mallorenem.

Osiągnąwszy pierwszy cel swojego planu, Rosamunde próbowała wyteńczyć umysł i wymyślić sposób powiadomienia kogoś o miejscu przebywania Branda. Sprytny sposób, który zamaskowałby jej rolę.

Musiała przyznać, że nie będzie to łatwe.

Diana znowu rozłożyła mapę.

- Thrisk. Thrisk. Thrisk. Zobaczmy... Tu jest chyba jedyny zajazd. „Pod Trzema Beczkami”.

A niech to.

Rosamunde chciała sprowadzić tutaj Branda, bo mówił, że czekają na niego jacyś ludzie i ma umówione spotkanie. Jeśli w całej miejscowości jest tylko jedna porządna gospoda, to oni właśnie tu mogą przebywać.

Dotąd nie wspomniała Dianie o tej sprawie i nie zamierzała uczynić tego teraz, bo na pewno pojecha-

łyby dalej do Ripon. Powiedziała sobie, że w tym zmyślnym przebraniu nic im nie grozi i wszystko będzie dobrze.

Diana zawołała do Garfortha, że zatrzymają się „Pod Trzema Beczkami”.

- A teraz musimy wymyślić dla ciebie odpowiedni tytuł. - Uśmiechnęła się chytrze. - Co powiesz na lady Gillsett?

- Nie! - Rosamunde prawie krzyknęła, natychmiast czując w głowie przeszywający ból. - Żadnych skojarzeń. To musi być coś zwyczajnego - dodała. - Coś, co nie zapada w pamięć. Lady... Richardson.

- Niech będzie. Lady Richardson, żona sir Johna Richardsons z Lincolnshire. A dlaczego nie mamy ze sobą bagaży?

- Zaginęły. - Przymknawszy oczy, usiłowała coś wymyślić, lecz była przesiąknięta bólem i poczuciem winy.

- Zaginiony powóz bagażowy! - zawołała Diana z nieznośnym entuzjazmem. - Tak. Bardzo sprytnie. - Uścisnęła dłoń Rosamunde. - Biedna Rosa - szepnęła. - Już niedługo. Zobacz, wjeżdżamy do miasteczka.

Rosamunde uniosła ciężkie powieki. Faktycznie, karetka jechała wąską, ruchliwą ulicą. Och, litości. Czy da radę to znieść? Stukot kopyt i kół, odgłosy uderzeń kowalskiego młota, gryząca woń pieczonego mięsa...

Była już blisko torsji, gdy nagle, na szczęście, wjechali z głośnym turkotem na duży rynek. To nie był dzień targowy, więc na placu panował względny spokój. Powóz zatrzymał się przed wspaniałym portykiem dużego, wysokiego zajazdu.

Rosamunde odetchnęła z ulgą. Łóżko. Już za chwilę położy się w łóżku.

Podbiegli służący, by zająć się znakomitymi gośćmi. Rosamunde pozwoliła Dianie zająć się wszystkim, z pewnym rozbawieniem podziwiając kuzynkę, która znakomicie odgrywała rolę zadzierającej nosa pokojówki na służbie u niższego szczebla arystokratki. Głos Diany stał się szczególnie agresywny, gdy korpulentny właściciel zajazdu uparcie twierdził, że może oddać do dyspozycji milady prywatny salonik, lecz absolutnie nie ma wolnych sypialni.

Nie mają miejsc, pomyślała Rosamunde. Duży hol zakołysał się przed jej oczami. Nie byłaby w stanie jechać w dalszą drogę. Przytrzymała się solidnego, białego słupka u podnóża ciemnych schodów, wiedząc, że teraz nie dałaby rady nawet wsiąść z powrotem do karety. Zapachy dochodzące z kuchni przyprawiły ją o mdłości. Wokół panował gwar: słyszała ostry głos Diany, przypochlebny właściciela zajazdu. I jeszcze jeden. Męski. Uspokajający.

Zgódź się, pomyślała. Weź prywatny salonik, jeśli nic innego nie mają. Wiedziała, że zaraz zwymiotuje. Pamiętała, jak Brand walczył z torsjami i przegrał. Ona też nie wytrzyma. A wołałaby, żeby to się stało w odosobnieniu.

Poczuła na ramieniu dłoń Diany.

- Milady?

Miała dziwny głos, inny akcent i ton. A może w tej chwili każdy głos wydałby się jej dziwny?

- Jest tu pewien dżentelmen, który zaproponował, że zanieśe panią na górę do łóża, milady, oczywiście za pani pozwoleniem.

- Do łóża?

- Oddał do pani dyspozycji swoją sypialnię.

Rosamunde odwróciła bolącą głowę i ujrzała wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę, który ukłonił się lekko. Prawdziwy błędny rycerz!



Był przystojny, lecz to nie miało nic wspólnego z faktem, że postrzegała go jak bohatera. Oddał jej swój pokój i chciał zanieść ją na górę.

- Jeśli pani pozwoli, lady Richardson?

Rosamunde puściła słupek i pozwoliła, by mężczyzna wziął ją na ręce.

- Pani pozwoli, że się przedstawię - powiedział, wchodząc na schody. - Nazywam się Rothgar.

## Rozdział XIV

Zamknawszy oczy, Rosamunde odbywała wewnętrzną walkę. Naprawdę powinna ostrzec tego dżentelmena.

- Obawiam się, że mogę mieć torsje.

- Jeśli tak, niewątpliwie zrównoważą niektóre z mych licznych grzechów.

Szczypta humoru, jakby czegoś znajomego, sprawiły, że rozchyliła powieki. Nie, nie znała go, a na pewno by go zapamiętała, gdyby kiedykolwiek się spotkali. Jej wyostrzone zmysły odbierały go jak Lucyfera w zwykłym, ciemnym ubraniu. Diabelnie piękny...

- Czy jest pan rozpustny?

W zasadzie nigdy dotąd nie miała styczności z rozpustnikiem, ale on pasował do jej wyobrażenia o takim człowieku, poza tym wspomniał o swych licznych grzechach.

Stanął bokiem, aby móc ją wnieść do pokoju.

- Według mej własnej oceny, nie jestem.

Zatrzymał się na chwilę, podczas gdy kilka osób krzątało się w sypialni, wymieniając ciche słowa. Pewnie odwijali pościel, może ocieplali ją podgrzewaczem.

- A czyż sami sobie jesteśmy sędziami, orzekającymi o naszych grzechach? - spytała.

Była zdezorientowana, ogarnięta poczuciem winy, więc odpowiedź na to pytanie wydawała się jej ważna.

- Czyż jest lepszy sędzia niż nasze sumienie? Pani łożko jest gotowe, lady Richardson. I musi pani w nim leżeć - dodał z nutą czarnego humoru.

Rosamunde mogłaby się roześmiać. Myślał, że jej złe samopoczucie jest wynikiem upojenia mocnymi trunkami, podobnie jak ona oceniła wtedy Branda. W samej rzeczy, dostała za swoje.

Ktoś zdjął jej buty, a wtedy mężczyzna położył ją ostrożnie na miękkim łożu. Był bardzo silny, a zarazem cudownie delikatny. Doznała błogiej ulgi, gdy znalazła się wreszcie w pościeli, wszystko inne przestało mieć znaczenie.

- Dziękuję panu, sir - powiedziała jeszcze, zamykając oczy.

- Życzę szybkiej poprawy samopoczucia, lady Richardson - usłyszała jakby z oddali.

Rosamunde przypuszczała, że już sobie poszedł i całkowicie skupiła się na zwalczeniu mdłości. Sama myśl o torsjach napełniała ją obrzydzeniem, a teraz jeszcze bała się, że z bólu chyba pęknie jej głowa. Właśnie takie katusze przechodził Brand, w dodatku nie wiedział kim i gdzie jest. Jednak zachował dobre maniery, a ona wiedziała, że w głębi duszy właśnie taki jest.

A jaka ona jest w swej najgłębszej głębi?

Musiała się ruszyć, gdy ściągano z niej suknię i gorset, lecz na razie trzymała nudności pod jako taką kontrolą. Gdy podano jej jakąś nalewkę, spróbowała odrobinę. Była słodka, miodowa, chyba trochę uspokoiła rewolucję w żołądku.

Może wszystko się ułoży.

Została przykryta pościelą, ktoś zaciągnął dokładnie zasłony, wokół zapanował spokój.

- Już. - Diana dotknęła lekko jej ramienia. - Odpoczywaj, kochana. Rano poczujesz się lepiej.

- Zapewne - odparła Rosamunde, ze smutkiem wspominając swoją opiekę nad Brandem.

Przypomniała sobie, że on teraz jest sam, opuszczony, że strasznie go zawiodła. Nie była w stanie spowodować, aby ktoś go odnalazł.

Czy mogła poprosić o to Dianę? Gdy Brand się obudzi, będzie w gorszej kondycji niż ona teraz. Jego nikt nie wniesie po schodach...

- Rothgar - mruknęła, gdy nagle coś zaświtało jej w głowie. - Czy to nie jest... ?

- Ciii - uspokoiła ją Diana. - Nie martw się. On niczego nie podejrzewa.

Rosamunde aż usiadła z wrażenia.

- Starszy brat Branda. Markiz!

W tym momencie dostała gwałtownych torsji.

Głowa! Rosamunde odzyskała przytomność ze świadomością, że jej głowa zaraz eksploduje. Lecz już po chwili pomyślała o Brandzie, o tym, jak on się czuje, jak zniesie ból związany z powrotem do rzeczywistości.

Wiedziała, że musi coś zrobić, sprawić, by go odnaleziono, by się nim zajęto...

Próba poruszenia się wywołała kolejną agonię w czaszce Rosamunde, więc znieruchomiała, oddychając głęboko.

- Ach, już się pani obudziła, milady? - zabrzmiał czyjś głos z miejscowym akcentem. - Oj, nie wygląda pani zbyt dobrze. Niech pani jeszcze poleży. Nie ma się czym przejmować.

Nie ma się czym przejmować.

- Która godzina? - spytała Rosamunde, nie otwierając oczu.

- Późne popołudnie.

Popołudnie! Opanowała panikę, która nagle na nią spłynęła. Wciąż był jeszcze czas, aby ktoś odnalazł Branda przed nastaniem nocy. Jednak żeby coś zrobić, musiała odzyskać siły i jasność myśli.

Czyżby to wszystko się jej przyśniło? Nie. Brat Branda był na miejscu. Jedno spojrzenie na mocne rysy twarzy i bystre oczy markiza powiedziały jej, że mimo całej jego uprzejmości, nie chciałyby mieć w nim wroga. A jednak uczyniła zeń swego wroga. Teraz nie może dać się złapać.

Tego było niemal za wiele. Musiała komuś powiedzieć o Brandzie, nie wzbudzając podejrzeń groźnego markiza. Wywarł na niej ogromne wrażenie, niemal czuła, że przejrzał ją na wskroś.

Diana!

Szybko otworzyła oczy. Tak jak się spodziewała, zobaczyła krępa kobietę w średnim wieku, która nachylała się nad łóżkiem.

- Gdzie moja służąca?

- Wszystko jest dobrze, milady - rzekła uspokajająco pokojówka, ujmując rękę Rosamunde w swoją ciepłą, szorstką dłoń. - Poszła do aptekarza po proszek na ból głowy dla pani, milady, i poprosiła mnie, żebym tu została. Co mogę dla pani zrobić?

Rosamunde zdusiła jęk. Znała swoją kuzynkę. Na pewno znowu coś knuła. Pewnie szpiegowała markiza. Ona chyba nie traktowała całej tej sytuacji z należytą powagą. Jednak na szczęście rozumiała, że trzeba zachować incognito, a to może być dla Rosamunde jedyna szansa.

Zaczęła powoli siadać. Proszek na ból głowy zaiste bardzo się przyda. Lecz teraz, nie zważając na cierpienie, musi wstać i wysłać pośrednią drogą wiadomość do markiza.

Bardzo pośrednią drogą.

Kiedy w końcu wstała i pokój przestał wirować, poprosiła pokojówkę o herbatę.

- Oczywiście, milady. Właśnie to będzie najlepsze. Czy podać coś do herbaty?

- Nie. - Na samą myśl o jedzeniu poczuła ucisk w żołądku. - Dziękuję.

Kiedy pokojówka wyszła, Rosamunde stwierdziła, że mimo ssania w brzuchu chyba nie będzie już wymiotować. Brand też tylko raz miał torsje.

Z bólem pomyślała o tym, jak poruszyła temat spłaty długu, gdy Brand znajdował się w takim samym lub nawet gorszym stanie. Nic dziwnego, że go to rozeźliło. Mogła jedynie modlić się, by dobre samopoczucie powróciło jej równie szybko jak wtedy jemu.

Była rozebrana do koszuli, lecz doczłapała się do stojącego przy oknie krzesła. Ostrożnie odchyliła krawędź zasłony. Słońce nie padało na tę stronę budynku, więc nie oślepiło jej jaskrawe światło. Spojrzała na ogród, lecz nie było tam nic godnego zainteresowania.

Aby wysondować, co się dzieje, dopilnować, aby ktoś odszukał Branda, musiała wyjść z pokoju.

Ile czasu minie, zanim on odzyska przytomność? W czasie podróży ona przespała cztery godziny, potem jeszcze dwie. Targana wyrzutami sumienia aż jęknęła, gdy przypomniała sobie, jaką ilość mikstury wypił. Był dużym mężczyzną, lecz mimo to mógł nie odzyskać przytomności przez cały dzień, a potem

cierpieć co najmniej tak samo jak poprzednim razem.

Pokojówka wróciła do sypialni.

- O, już pani wstała, milady. Chyba lepiej się pani czuje. Zrobiłam dzbanek bardzo mocnej herbaty, ale jeśli woli pani słabszą, jest tu trochę samej wody. Przyniosłam też kilka zwykłych biszkoptów, gdyby chciała pani coś przegryźć na pusty żołądek. - Postawiła tacę przed Rosamunde. - Czy mam nalać, milady?

- Tak, poproszę. Mocna i słodka.

- No właśnie. Mocna, słodka herbata, a potem można już wszystko.

Po kilku chwilach Rosamunde trzymała w dłoniach gorącą filiżankę, pociągając mahoniowej barwy herbatę, czując, jak wrzątek, smak i cukier przywracają ją na powrót do życia. Ból głowy nieco ustąpił.

- Jest cudowna. Dziękuję. Jak się nazywasz?

Pokojówka dygnęła.

- Gertie, milady. Rzeczywiście mamy tu dobrą herbatę. Pan Sowerby, właściciel zajazdu, sam robi mieszankę. Jest bardzo popularna wśród smakoszy. A jego domowego wyrobu piwo też jest sławne. Także dobre i mocne. Ależ gaduła ze mnie - powiedziała, zabierając się za posłanie łóżka.

Rosamunde wolałaby zostać w ciszy i spokoju, lecz jeszcze bardziej łaknęła wiadomości. Na przykład o markizie. Co on tu robi? Zaś przede wszystkim wiadomości o mężczyźnie znalezionym w szopie.

- Macie dużo gości? - spytała.

- Wszystkie pokoje zajęte, milady. Ale to z powodu wielkiego pana, który przyjechał dziś z ogromną świtą. Aż trudno uwierzyć, że jeden człowiek potrzebuje do opieki aż tylu innych, ale tak właśnie jest. Mamy tu też jego brata z następną grupą służących.

Ale teraz go tu nie ma. Znaczy się, brata. On jest bardzo miły, ten lord Brand. Ma śliczny uśmiech, którego nikomu nie skąpi.

Wygładziła poduszkę. Łóżko wyglądało tak, jakby wcześniej nikt w nim nie leżał.

Nie skąpi, pomyślała Rosamunde, czując gorzką i zupełnie irracjonalną zazdrość. Ale taka była prawda. Brand ma cudowny uśmiech, bo uśmiecha się szczerze.

- Ale to nawet ciekawe, gdy w domu przebywa tylu ładnych służących - ciągnęła Gertie, porządkując umywalkę. - Niektórzy z nich są wcale skorzy do zabawy, jeśli pani wie, co mam na myśli. W nocy pani Sowerby trzyma wszystkie pokojówki pod kluczem.

Rosamunde starała się zachęcić kobietę do mówienia.

- A cóż to za wielki pan?

Gertie aż przerwała pracę, żeby odpowiedzieć.

- Sam markiz, milady. Markiz Rothgar. Jego ludzie mówią, że ma ogromne wpływy na południu kraju. Jeśli wierzyć lokajowi, markiz zna króla tak samo dobrze jak ja znam pana Bainesa, naszego rzeźnika!

Słyszając to porównanie, Rosamunde niemal zakrztusiła się herbatą.

- Domyślam się więc, że jego wizyta jest dość kłopotliwa.

- Jeśli o to chodzi, przybył tuż przed panią, milady, lecz wcale nie powiedziałabym, że sprawia kłopot. Oczywiście jego służba ciągle żąda różnych rzeczy dla Jego Lordowskiej Mości, ale z lordami tak jest zawsze. Leżała pani na jego prywatnych poduszkach i pościeli, milady, gdyż oddał pani swój pokój. Więc nie może być taki zły, na jakiego wygląda.

- Zły? - powtórzyła Rosamunde, myśląc o markizie.



Zrobił jej wielką uprzejmość. Może nie trzeba się go obawiać.

Pokojówka oblała się rumieńcem.

- Nie powinnam tak mówić, milady. Ale on coś w sobie ma, taka jest prawda. Pewnie bardzo cierpi, że wygląda jak Lucyfer.

A więc tamto wrażenie wcale nie było wynikiem zamroczenia.

- Może podoba mu się taki wygląd. To chyba korzystne, gdy ludzie się nas boją.

- Ale chyba niezbyt przyjemne, prawda? Ach, cóż - przesunęła krzesło według swego upodobania. - Wątpię, żebym miała z nim dużo do czynienia. Obsłuż go własna świta, a my zajmiemy się służącymi wyższego szczebla.

Jednak myśli Rosamunde wędrowały w innym kierunku. Więc lord Rothgar dopiero co przyjechał? Czy jakimś sposobem dowiedział się o kłopotach i przybył na północ? Ale to niemożliwe. Podróż z Londynu trwa trzy dni, nawet gdy do dyspozycji są najlepsze konie. Musiał wyruszyć w drogę mniej więcej wtedy, gdy Brand został odurzony.

Mimo tego logicznego wytłumaczenia, nagłe pojawienie się Rothgara zaniepokoiło ją, jakby miała mu towarzyszyć siarka i ogień.

- A ten jego brat? - spytała Rosamunde.

Czuła się tak, jakby nawet wzmianka o nim mogła ją zdradzić.

- Lord Brand? - Gerie była już w średnim wieku, lecz mimo to westchnęła. - Cudowny mężczyzna. Taki życzliwy i miły dla wszystkich. Gdyby pani go poznała, milady, nie wiedziałyby pani, że to brat tak potężnego lorda.

Rosamunde z trudem powstrzymała się od uwagi potwierdzającej słowa pokojówki.

- Ale mówiłaś, że towarzyszy mu liczna świta?

- No tak, ale to ma bardziej związek z interesami do załatwienia. To są referenci, rachmistrze, prawnicy i tacy tam. Ale oni mają swoich własnych służących. Zdaje się, że lord Brand zarządza majątkami brata, a jest ich z pewnością bardzo wiele.

Referenci.

Rachmistrze.

Prawnicy.

Rosamunde nalała sobie więcej herbaty, walcząc ze śmiechem i łzami. Jej sekretny niewolnik-kochanek. Nawet gdy dowiedziała się, że jest lordem, niczego nie zrozumiała. Niby skąd miała wiedzieć? Nie miał nic przeciwko pobytowi w tak prymitywnym domu i praktycznie bez żadnej służby. Zachowywał się bardziej jak nicpoń, za jakiego początkowo go wzięła. Zupełnie tak, jakby nie miał w życiu nic lepszego do roboty od zabawiania się w jej towarzystwie!

Z wyjątkiem chwili, gdy stanowczo oznajmił, iż wszystko musi się skończyć o świcie.

Lord Brand Malloren, mający brata z bliskiego otoczenia króla i własną świtę. Teraz bardziej niż kiedykolwiek zdała sobie sprawę, że nie ma żadnego związku między nim i Rosie Ellington, poza przypadkowym spotkaniem na ciemnej drodze.

A jednak...

Rosamunde pogryzała suchy biszkopt. Jednak nie udawał, gdy prosił, by z nim uciekła. Wspomniała, jak bardzo nalegał, nawet wpadał w złość, wielokrotnie wracał do tego tematu przez całą noc.

Hm, w świetle jego pozycji było to nawet zrozumiałe. Tak wpływowa rodzina na pewno była przyzwyczajona do kształtowania świata według swoich upodobań. Nie dbali o opinie innych. Zapewne Brand sądził, że Rosamunde poczyta sobie jako za-

szczyt rolę jego kochanki. Ewentualny skandal byłby dla niego jak ukąszenie komara. Czy gdyby Wenscote nie stało w obliczu zagrożenia przez sektę Cottera, poddałaby się jego namowom?

Nie. Gdyby nie ta groźba, nigdy nie poszłaby z nim do łóżka, bez względu na jego urodę. Musiała też pogodzić się z faktem, że gdyby sama nie zrobiła pierwszego kroku, on nie okazałby nią zainteresowania. Żadnego zainteresowania, bo nie mając potrzeby ukrywania swej tożsamości, na pewno pokazałaby swoją prawdziwą twarz. Twarz poznaczoną bliznami.

Nagle bardzo zapragnęła być z powrotem z Digbym, w domu, w dającym poczucie bezpieczeństwa Wenscote.

Tymczasem Gertie nie przestawała paplać.

- ... nie ma go od paru dni.

- Nie ma? Kogo?

- Jak to? Lorda Branda, milady, tak jak już mówiłam.

- Zaginął? - zdołała wydusić obojętnym tonem.

Skończywszy porządki, Gertie stała prosto, opierając na białym fartuchu splecione dłonie.

- Nie, nie zaginął. Zdaje się, że ma taki sposób, że wyjeżdża samopas i odwiedza majątki. Wynajął od pana Sowerby wierzchowca, mimo że ma dwa własne wspaniałe konie. Jego ludzie mówią, że chodzi o zachowanie incognito, czy jakoś tak.

- Incognito.

To wyjaśniało jego proste szaty.

- Ano właśnie. Lecz markiz przysłał wiadomość, że dziś przybędzie tutaj, aby się z nim spotkać, a lord Brand odebrał ją jeszcze przed ostatnim wypadem. Więc trochę to dziwne, że jeszcze nie wrócił.

Rosamunde musiała coś powiedzieć.

- A cóż mogło się z nim stać?

- Na świecie pełno wszelakiej nickszemności, prawda, milady? W zeszłym miesiącu niedaleko na północ stąd rabusie zatrzymali trzy karety, a do Filey przybył oddział przeprowadzający branke. Mam nadzieję, że nic złego mu się nie stało.

- Ja również. - Jej głos zabrzmiał chyba o nutę zbyt płomiennie, więc dodała: - Co za kraj. Zaczynam się trochę obawiać dalszej podróży!

Gertie podeszła bliżej i z zadowoleniem spojrzała na pusty talerz po biszkoptach.

- Niech się pani nie obawia, milady. Podróżując za dnia, uniknie pani wszelkich niemiłych przygód.

W rzeczy samej, gdyby Rosamunde zastosowała się do tej rady, nigdy nie wydarzyłaby się przygoda, która zapoczątkowała tę całą lawinę zdarzeń.

- No ale co z lordem Brandem? - ponagliła Gertie.

Pokojówka wzięła tacę. Na jej twarzy malowała się obawa.

- Trzeba wierzyć, że niedługo wróci, milady. Z tego, co mówią służący, jeśli się nie zjawi, wtedy markiz w poszukiwaniach każe przeorać tę część Yorkshire. A tu nikomu niepotrzebne takie kłopoty.

Rosamunde zadrżała, przypominając sobie nocne opowieści Branda o najstarszym bracie, o tym, jak opiekuje się rodziną. Również Diana mówiła, że ma reputację człowieka opiekuńczego i mściwego. Co ktoś taki jak on chciałby zrobić ludziom, którzy odurzyli jego brata, skazując go na chorobę i ból, a potem porzucili w leżącej na odludziu szopie?

Rosamunde oparła na ręce bolącą głowę. Ach, gdyby tylko poszła za radą Diany i zrobiła to na maskaradzie. Wtedy Brand nie znalazłby się w takim niebezpieczeństwie. Boże, i tak by go znalazła i ocalała, lecz wysłałaby go bezpiecznie w dalszą drogę.

Co by się wydarzyło podczas dwudniowej rekonwalescencji w domku wdowy? Czy rozmawialiby ze sobą? Czy znaleźliby jakąkolwiek więź?

Być może w ogóle by tam nie została. Zostawiłaby go Yockenthwaitom, a sama wróciła do Wenscote. Wolna od tego kłopotu, nigdy nie byłaby szczęśliwa...

Westchnęła. Jej serce nie umiało myśleć w ten sposób. Pomimo cierpienia wywołanego poczuciem straty, nie umiała zapragnąć, by dni spędzone z Brandem nigdy się nie wydarzyły.

Była egoistką, lecz nie umiała życzyć sobie tego wszystkiego, nawet gdyby mogła oszczędzić mu bólu.

Mogła przynajmniej zrobić cokolwiek, by ulżyć jego cierpieniu. Stała, próbując utrzymać równowagę.

- Czuję się już lepiej, Gertie. Chyba wyruszę dzisiaj w dalszą drogę.

- Ależ nie, milady, musi pani zostać na noc. Podróż w rozkołysanej karecie z pewnością nie wyjdzie pani na zdrowie.

Rosamunde zemdliło na samą myśl, lecz pozostanie tutaj byłoby zbyt niebezpieczne.

- Muszę wracać do domu. Proszę, pomóż mi włożyć ubranie.

Gertie wzruszyła ramionami.

- Jak pani sobie życzy, milady. - Już po chwili ubrała Rosamunde w gorset, halkę i gładką suknię. Sprawdzając swój wygląd w lustrze, zaskoczona ujrzała zupełnie obcą osobę, więc trochę się uspokoiła. Nawet gdyby kiedyś spotkała markiza, on nigdy nie skojarzyłby jej z lady Richardson.

A może mógłby tego dokonać Brand? A przynajmniej rozpoznać w niej swoją zamaskowaną damę? Pomalowana twarz lady Richardson z gęstym białym kremem, różem, ciemnymi brwiami i karminowymi

ustami - w niesamowity sposób przypominała jej maskę. I tak samo jak zniszczona maska, obecny malunek na twarzy był równie mocno sfatygowany po kilku godzinach snu.

Rosamunde odprawiła pokojówkę i odszukała słociczki Diany. Jak najlepiej umiała, poprawiła zdeformowany makijaż. Zobaczyła w lustrze okropną twarz czarownicy, znamionującą nikczemność, lecz mimo to była zadowolona. Jak dotąd na obliczu Gertie nie ujrzała ani cienia współczucia.

Uporawszy się ze swoją twarzą, Rosamunde rozejrzała się po sypialni za przyborami do pisania. Nic nie znalazła, nawet podróznego notesu Diany. Jak zostawić wiadomość bez pióra i papieru?

Salonik dla gości. Tam na pewno mają takie rzeczy.

Zawahała się, ogarnięta obawą, czy może wyjść z takim dziwnym wyglądem, a przede wszystkim bała się spotkania z markizem. Jednak musiała. Być może Brand już się obudził i teraz cierpi. Rosamunde ku pocieszeniu ostatni raz przejrzała się w dużym lustrze.

Nikt jej nie rozpozna...

Uśmiechnęła się. Lady Gillsett! Wyglądała dokładnie tak, jak wyobrażała sobie lady Gillsett. Ta myśl dodała jej otuchy, więc wyszła z pokoju, by ocalić swego cierpiącego niewolnika-kochanka. W zajeździe panował dziwny spokój, w korytarzu minęła ją tylko jedna osoba - młody mężczyzna, niosący grubą księgę. Zapewne jakiś urzędnik. Być może jeden z pracowników Branda.

Mogła go zatrzymać i wszystko powiedzieć...

Nie bądź całe życie taka nieokrzesana, Rosamunde!

Gdy schodziła po schodach do holu, ujrzała zbliżających się dwóch oficerów w czerwonych kaftanach, którzy uprzejmie zatrzymali się i zaczękali, aż

ich wyminie. Obaj ukłonili się lekko, lecz nie okazali większego zainteresowania.

Żadnych przeciągłych spojrzeń.

Żadnego współczucia.

Poczuła się swobodniej. Po raz pierwszy tak naprawdę znalazła się w dorosłym świecie.

Lokaj w holu chętnie wskazał jej drogę do salonu dla gości. Okazało się, że to uroczy pokój, w którym były wysokie okna z widokiem na rynek. Dwie miejscowe damy popijały herbatę przy stoliku, w narożnym fotelu blisko kominka siedział korpulentny mężczyzna w średnim wieku, czytając jakąś gazetę. Całkowicie zignorował Rosamunde, ale kobiety - o zniszczonych twarzach i szorstkich włosach - spojrzały na nią z uśmiechem i skinęły głowami. Rosamunde przypuszczała, że nie wygląda na kobietę, która może mieć z nimi wiele wspólnego. Wpadła na pewien pomysł.

Usiadła przy orzechowym biurku, wyjęła z szuflady kartkę papieru i naostrzyła zniszczone pióro. Zanurzywszy je w kałamarzu, zaczęła pisać. Wcześniej planowała sporządzić zwięzłą notkę od nieznanego autora, lecz jej dłoń napisała list prosto od serca.

### *Do lorda Branda Mallorena*

*Nie udzieli mi Pan przebaczenia, i tak właśnie powinno być. Między nami nigdy nie może powstać nic trwałego, mieliśmy dla siebie jedynie ten krótki czas. Jednak musi Pan coś wiedzieć, i zaklinam Pana, niech Pan w to uwierzy. Wniósł Pan w moje życie radość i światło, a one na zawsze we mnie pozostaną. W imię tej radości, która, mam nadzieję, choć w części była też Pana udziałem,*

*błagam, by Pan mnie nie szukał, aby się zemścić  
lub w jakimkolwiek innym celu.*

*Nie miałam wyboru. Nigdy nie miałam żadnego  
wyboru,*

*Lady Gillsett.*

Przeczytała list i wiedziała, że powinna go podrzeć na strzępy. Nie mogła. Podobnie nie mogła zostawić go tutaj dla niego, jak bilecik wizytowy. Złożyła kartkę i zapieczętowała, adresując do lorda Branda Mallorena. Jaki to adres podał jej tamtej nocy? Malloren House. Było coś jeszcze.

Marlborough Square! Dopisała ten adres, a poniżej „Londyn”, po czym wrzuciła list do kieszeni. Znajdzie sposób, by go wysłać, zacierając za sobą wszelkie ślady.

Teraz zabrała się za notkę, którą zaplanowała wcześniej.

*Lord Brand Malloren znajduje się w drewnianej szopie niedaleko Thrisk, w pobliżu szlaku między drogą do Ripon a miejscowością, której nazwa zaczyna się od New...*

Opierając się pokusie, by dodać jeszcze kilka niepotrzebnych słów, złożyła kartkę, i pomyślała, dla kogo ją przeznaczyć. Chociaż było to niebezpieczne, zaadresowała list do markiza Rothgara. Jeśli jej plan się powiedzie, otrzyma przesyłkę dopiero za jakiś czas. A wtedy ona będzie już daleko. Albowiem gdy ten list zostanie wysłany, one muszą natychmiast wyjechać. Bardzo pragnęła zostać i dowiedzieć się, czy Brand jest bezpieczny, lecz wiązało się to ze zbyt wielkim ryzykiem. Ryzykiem dla niej, dla Diany i całego planu, który się krył za tą całą mistyfikacją.



Teraz musiała wykonać kolejny krok. Wstała zza biurka, by wziąć gazetę i usiadła w fotelu niedaleko starszych dam, udając, że czyta. Tak jak przypuszczała, mężczyzna wkrótce wyszedł, zaś w salonie nie zjawił się nikt inny. Rosamunde zebrała całą odwagę i podeszła do kobiet, które właśnie kończyły pić herbatę.

- Przepraszam panie.

Obie uniosły wzrok.

- Tak? - powiedziała dama siedząca z prawej strony.

- Czym możemy pani służyć? - spytała jej towarzyszka.

Rosamunde usiadła, czując nerwowe kołatanie serca. Starała się wczuć w rolę twardej kobiety, czemu odpowiadał jej obecny wygląd.

- Panie są przejazdem?

Kiwnęły głowami.

- W rzeczy samej.

- Wracamy do domu.

- I bardzo nas to cieszy.

Odpowiadały jednym głosem. Na pewno siostry, może nawet bliźniaczki. Były tak prostolinijne i wesole, że Rosamunde także zapragnęła być sobą. Ta cała farba była po prawdzie kolejną maską.

- A daleko panie jadą? - spytała jakby mimochodem.

- Raczej tak.

- Aż do Arkengarthisdale.

- Niebawem musimy ruszać w drogę.

- Bo inaczej będzie już ciemno, gdy dotrzemy do domu.

Rzeczywiście, czekała ich daleka podróż. Tym lepiej.

- I jadą panie tak bez eskorty?

Zaśmiały się.

- A kto by napadł na takie stare baby?

- Ale na wszelki wypadek mamy pistolety.

- W karecie? - spytała Rosamunde.

- Tam gdzie mieszkamy, nie ma wiele dróg. Jedziemy wierzchem.

Kobieta siedząca po lewej wysunęła nogę, pokazując pod suknią wysokie buty do konnej jazdy.

- Oczywiście jeździmy na męskich siodłach.

- Oczywiście. - Kobiety zaczynały fascynować Rosamunde, która zapragnęła poznać je bliżej. Jednak musiała osiągnąć swój cel i jak najszybciej się oddalić.

- Ja też niedługo wyjeżdżam. Ale chcę zostawić tu wiadomość dla pewnego dżentelmena. Tak aby nie wiedział, od kogo pochodzi. - Zarumieniła się pod makijażem, bo implikacje były oczywiste, lecz wiedziała, że wciąż wygląda na surową i twardą kobietę.

Dwie pary niebieskich oczu zaokrągliły się.

- Wielkie nieba.

- Chyba nie zrobiła pani jakiegoś głupstwa?

- Wszak wyraźnie widać, że jest pani zameżna.

Zapomniała zdjąć ślubną obrączkę! Szybko postarała się rozwinąć swoją opowieść.

- Wręcz przeciwnie - powiedziała, starając się przybrać tragiczną minę. - Właśnie przejrzałam na oczy. Lecz, drogie panie, muszę mu zostawić kilka słów.

- Bardzo słusznie.

- To szlachetne.

- I rozsądne.

- Ale smutne.

- Całkiem romantyczne!

- Mieliśmy się tu spotkać i razem uciec - podjęła opowieść Rosamunde - ale jeszcze nikt niczego nie

podejrzewa. On dopiero co przyjechał, co dało mi sposobność przekonać się, że nic z tego nie będzie. - Ciężko oparła głowę na dłoni. - Mój biedny mąż. Moje biedne, kochane dzieci.

- Och, niewinne istoty.
- I pani taka nieszczęśliwa.

Rosamunde spojrzała im w oczy, zawstydzona, że tak kłamię dwóm dobrodusznym kobietom. Lecz na samym dnie leżała prawda, co niosło pewną pociechę. - Przez wzgląd na moją reputację, mojego męża i dzieci - położyła na stole złożoną kartkę - nikt tutaj nie może się dowiedzieć, kto zostawił dla niego ten list.

Dama z lewej strony podniosła go i przeczytała nazwisko adresata.

- To markiz!
- Niestety, zaślepiła mnie jego pozycja.
- I zapewne także inne rzeczy.
- Widzieliśmy go już tutaj, moja droga.
- To wielki pan.
- Ale nie szata zdobi człowieka, siostrzo.
- Prawda. Nie powinien kusić zameżnych kobiet.
- Jak możemy pani pomóc?

Rosamunde pomyślała, co markiz mógłby zrobić w odwecie za to oszczerstwo, szargające jego reputację. Bogu dzięki, nigdy się nie dowie, kto za tym stoi.

- Pomyślałam sobie... wiem, że się narzucam, ale miałam nadzieję, że może panie mogłyby podać ten list komuś na rogatkach miasta z prośbą o doręczenie go tutaj z pewną zwłoką. Obawiam się, że mógłby ruszyć za mną w pościg, a wtedy mogłabym mu ustąpić.

- To bardzo mądre posunięcie.
- Spełnimy pani prośbę.

Teraz nadeszła najtrudniejsza chwila. Musiała poprosić je, aby skłamały.

- A jeśli ktoś spyta później, czy mogłyby panie nie wspominać o mojej osobie? Trochę się maskuję...

Kobieta z lewej poklepała ją po dłoni.

- Oczywiście, moja droga. Proszę się nie martwić.

- I wytrwać w swoim postanowieniu.

- Niech pani wraca do męża i dzieci.

- Kochane małżeństwa.

- Ani ja, ani siostra nigdy nie wyszłyśmy za mąż.

- Życie małżeńskie musi być czasem ciężkie.

- Bo tacy są mężczyźni, prawda? Ciężcy.

- Powiedzmy, że trudni, Mary.

- O, właśnie. Trudni, Annie.

Chociaż siostry nie wydawały się zażenowane, Rosamunde miała ochotę wybuchnąć śmiechem.

- Ale na dłuższą metę grzech nigdy nie prowadzi do szczęścia - rzekła stanowczo Mary.

Była to czysta prawda. Rosamunde natychmiast straciła ochotę do śmiechu.

- Niestety, sama o tym wiem. Dziękuję paniom za pomoc.

Miała ochotę uściskać te miłe, współczujące kobiety, lecz zadowoliliła się uściśnięciem dłoni jednej z nich.

- Jeszcze raz bardzo dziękuję. To - głos sam się jej załamał - dla mnie strasznie ważne.

Z tymi słowy opuściła salon, zanim się rozpłakała. Siostry wymieniły zaintrygowane spojrzenia.

- Co za dramat, Annie.

- Albo nawet tragedia.

- Trudno powiedzieć.

- Taki typ potrafi niszczyć kobiety.

- Mroczny typ. Przystojny.

- Więcej niż przystojny.

- Prawda.

- A ona chyba dość młoda. Pod tą farbą.

- O, tak. Najlepiej to widać po dłoniach.

- I nieszczęśliwa.

- Miłość. Nie jest tego warta.

Annie dopiła herbatę.

- Chociaż gdyby na mnie spadła, nie miałabym nic przeciwko.

- Ani ja. Ani ja - pokiwała głową Mary.

Skończyły herbatę. Panna Mary wzięła list, panna Annie zapłaciła rachunek, po czym ekscentryczne siostry Gillsett zabrały swoje szpicruty i trójgraniaste kapelusze, a następnie wyszły niezgrabnie, wołając, by przyprowadzono im konie.

**M**usimy jechać! - jęknęła Diana, wbiegając do pokoju przyodziana w jakieś łachmany.

Rosamunde gwałtownie odwróciła się od okna, gdzie czekała z głupią nadzieją, że zobaczy, jak bezpiecznie wnoszą Branda do środka.

- Tak, musimy. - Po chwili zobaczyła, jak wygląda jej kuzynka. - Ojej. Co się stało?

- Markiz wszczął śledztwo i ściągnął tu wojsko. Wyjeżdżamy. W drodze możemy pozbyć się naszego przebrania, a wtedy nigdy nas nie odnajdzie.

Rzuciła na łóżko całe naręczce ubrań - swój poprzedni kostium służącej - po czym zaczęła wyskakiwać z workowatych łachmanów.

- To jeszcze jedno przebranie? - spytała Rosamunde, pomagając jej zdjąć szorstki fartuch z perkalu, obskurną górę i obwisłą brązową spódnicę.

- To jest najlepsze ubranie, jakie udało się znaleźć - rzuciła wszystko na podłogę - gdy zwymiotowałaś prosto na mnie.

- Och, Dinah. Bardzo przepraszam!

Diana uspokoiła się nieco i nawet uśmiechnęła do Rosamunde.

- Nie ma tu twojej winy. A poza tym muszę przyznać, że zmiana stanu na najniższy z najniższych stanowała niesamowite przeżycie. - Zawiązała tasiemki niebieskiej spódnicy, nałożonej na śnieżnobiałą koszulę, by szybko wskoczyć w brązowy stanik, ściągając go mocno z przodu. - Kiedy ubrałam się w te ciuchy u Dulcie, nigdy nie sądziłam, że pewnego dnia poczuję się w nich naprawdę bosko. A teraz pakujemy manatki i w drogę.

Zdumiona Rosamunde patrzyła, jak jej kuzynka, zazwyczaj całkowicie niewzruszona, biega po pokoju, zbierając rzeczy.

- Tak, zgadzam się, że powinniśmy wyjechać - powiedziała - ale przecież markiz nigdy nie będzie nas podejrzewał.

Tak czy inaczej, tknęło ją wspomnienie o napisanym liściku. Teraz nie była dobra pora na wyznania. Rosamunde także chciała jak najszybciej opuścić Thrisk, więc żwawo zabrała się za pakowanie.

- Ten człowiek podejrzewa każdego - stwierdziła Diana.

Zebrała coś z pustego rusztu. Czyżby kawałki papieru?

W Rosamunde narastało okropne podejrzenie.

- Diano, co ty zrobiłaś?

Diana znieruchomiała, po czym przywołując wspomnienia sprzed około piętnastu lat, wyzywająco przekrzywiła głowę i wyciągnęła dłoń, na której leżał narożnik kartki papieru z jej rodzowym herbem.

Dostarczyłam markizowi list z wiadomością, gdzie może znaleźć lorda Branda. Byłoby nie w porządku...

- Co zrobiłaś? Doręczyłaś mu osobiście?

- Oczywiście, że nie! Zorganizowałam to bardzo sprytnie. Wyjaśnię ci później. Ale pismo jest już

w drodze do niego. Właśnie widziałam go w towarzystwie dwóch oficerów. Kazałam postawić karete. Nie zdążymy do domu przed zmrokiem, ale musimy jechać.

- To prawda. - Spłynęła na nią straszliwa świadomość, że wszystko układa się jak najgorzej. - Ja też dopiero co wysłałam mu wiadomość.

- Co takiego?

Rosamunde szybko opowiedziała kuzynce o swoim planie, podczas gdy obie nie ustawały w zbieraniu wszelkich drobiazgów mogących je zdradzić. Jakiś guzik, kawałek nici. W odpowiedzi usłyszała skomplikowaną historię o stajennych i londyńskim dyliżansie. Okazało się, że Diana podrzuciła list na placu przed stajnią, gdy dyliżans wyruszał w drogę. Miała też jeszcze jedno bliskie spotkanie z lordem.

- Och, Diano. - Jeszcze raz rozejrzała się po pokoju. - Gdyby tylko ten diabelski markiz nie przyjechał właśnie teraz! W jednej chwili miałam wrażenie, że przejrzał wszystkie moje tajemnice.

- Wcielony diabeł. Dobrze mówisz - zgodziła się Diana, zagładając za łożko.

Rosamunde podniosła kuferek.

- Chodźmy. Diabeł czy nie, ale wątpię, żeby przyszedł tu na górę i szukał w takich miejscach!

Tymczasem Diana położyła się na brzuchu i zajęła pod łożko.

- Uwierz mi, że jest do tego zdolny. Widziałam, jak wypytywał służbę, szukając najmniejszej wskazówki. Daje srebrniaka za jakąkolwiek wiadomość związaną z jego bratem. Służący własnymi pazurami przeszukują nawet szpary w podłodze. Oho!

- Co się stało?

Diana wstała, triumfalnie podnosząc szylinga.

- Bogaci!



Najwyraźniej zdenerwowanie nie pozwalało kuzynce logicznie myśleć.

- Chodź już, zanim zupełnie znikniesz. Wielka mi rzecz, szyling.

Diana odebrała jej walizę.

- To ja jestem pokojówką, pamiętasz?

Pod naciskiem tych słów Rosamunde przestała być lady Owerton na rzecz lady Gillsett. W tym pancerzu opuściła sypialnię i zeszła po schodach. Płacąc właścicielowi i rozdając napiwki, Gestie oraz innym służącym, wciąż nie potrafiła pozbyć się nadziei, że za chwilę Brand zostanie wniesiony do środka. Owszem, byłoby to niebezpieczne, ale poświęciłaby się dla niego i zaryzykowała, że pozostawi za sobą jakiś ślad.

Nie! Musiała zachować tajemnicę. Dwa listy były już w drodze do markiza, a on z pewnością od razu przystąpiłby do działania i zadbał o bezpieczny powrót brata.

Wolałaby tego uniknąć, lecz, niestety, spotkała go, kierując się do drzwi.

- Lady Richardson - powiedział z eleganckim ukłonem. - Cieszę się, że widzę panią w lepszym zdrowiu.

Chowając się za tarczą lady Gillsett, Rosa wyciągnęła rękę, tym razem rada z arsenału błyszczących pierścionków na swoich palcach.

- Czuję się znacznie lepiej. Dziękuję za pańską uprzejmość.

Obrzuciła go ukradkowym spojrzeniem. Prawdziwy dżentelmen w swobodnym, wiejskim stroju. Nie było w tym niczego przerażającego. A jednak miał w sobie coś, jakąś aurę, jakiej nigdy dotąd nie widziała w swoim życiu, wiedzionym w zupełnym odosobnieniu.

- Lecz czy to roztropnie kontynuować podróż? - spytał, przesuając usta tuż nad jej skórą. - Minęła już trzecia godzina.

W środku cała się trzęsła. Przypadkowo łub celowo blokował jej drogę do wyjścia. Czyżby wiedział? To niemożliwe!

- Planowaliśmy przed wieczorem dotrzeć do Yorku - odparła. - Jeśli droga będzie dobra, zdążymy na czas, a przy odrobinie szczęścia czeka już tam na nas wóz bagażowy. Bardzo wygniotła mi się suknia. - Nadal trzymał jej dłoń, a ona nie wiedziała, jak ją cofnąć.

- A każda dama, podobnie jak dżentelmen, czuje wielki dyskomfort, gdy ma do dyspozycji tylko jedną zmianę strojów.

- Widzę, że pan doskonale to rozumie, milordzie - rzekła przeciągle. - Na podróż należy wkładać proste ubranie, lecz przecież nie można cały czas chodzić w burych gałganach.

- Jednakowoż w wypadku kobiety pani urody, lady Richardson, szaty stają się całkowicie drugorzędne.

Boże, pomocy. Czyżby on próbował z nią flirtować? Miała wymówkę, by cofnąć rękę i zrobić krok do tyłu. Miała nadzieję, że on nie wyczuł w tym geście ogarniającej ją paniki.

- Nie zgodzę się z panem, milordzie, bowiem wtedy wszyscy chodzilibyśmy nadzy.

W jego ciemnych oczach zabłyśły szelmowskie iskierki.

- Nie w angielskim klimacie, milady. Lecz Italię zwyczaj ten uczyniłby niezwykle atrakcyjnym celem podróży. - Ukłonił się i stanął z boku. - *Bon voyage*, lady Richardson. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy. Może w słonecznej Italii.

Porzuciwszy ryzykowną manierę lady Gillsett, Rosamunde powiedziała pośpiesznie:

- Dobrego dnia, lordzie Rothgar.

Dygnęła i zbierając resztki odwagi, szybko wyszła na drżących nogach.

- Świetnie się spisałaś - szepnęła Diana, gdy szły korytarzem wiodącym na podwórzec koło stajni.

- Cicho - odparła ledwie dosłyszalnie Rosa. - Nie rozmawiajmy tutaj.

Kareta już czekała. Garforth ostatni raz sprawdzał postronki, aby mogły od razu wsiadać. Gdy zajęły miejsca, Rosamunde musiała odreagować to złowróźbne spotkanie i zapragnęła, by powóz ruszył od razu, teraz, natychmiast.

Lecz dlaczego złowróźbne? Owszem, markiz okazał się nieco zbyt śmiały, lecz przecież mówił do równie śmiałej lady Gillsett. Niewątpliwie w jego kręgach takie ryzykowne flirtowanie i podteksty są na porządku dziennym. Z pewnością niczego nie podejrzewał. Tak czy inaczej, instynktownie pragnęła znaleźć się jak najdalej stąd, a Garforth wciąż niepiesznie sprawdzał, czy pojazd jest gotowy do jazdy.

Diana wyjęła swój przewodnik po drogach.

- To był dobry pomysł, gdy powiedziałaś mu, że udajemy się do Yorku, ale to właśnie powinniśmy zrobić.

Rosa odwróciła się od okna.

- Przecież to zupełnie przeciwny kierunek.

- Wiem, ale muszą nas zobaczyć, jak opuszczamy rynek właśnie w stronę Yorku.

- On może nas obserwować?

- Oczywiście. Określenie „diabelski” świetnie do niego pasuje. Można odnieść wrażenie, że on ma trzy głowy, jak Cerber, a w każdej z nich wszechwidzące oczy. Ale spójrz - podsunęła Rosamunde mapę - możemy zrobić skrót i wrócić na drogę do Ripon.

- Ta droga może być równie zła jak tamta.

- To jest mapa dla dyliżansów. Tak złe drogi nie są tu w ogóle oznaczone. W każdym razie, innego wyboru nie mamy. Wcale nie musimy dzisiaj daleko ujechać. Wystarczy oddalić się od Thrisk. Gdyby ktoś chciał podążać śladem lady Richardson, droga na południe zwiedzie go na manowce. A gdy już będziemy daleko stąd - rzekła Diana z satysfakcją - lady Richardson i jej kostropata służąca rozpląną się jak pył na wietrze. Diabeł czy nie, przeklęty markiz Rothgar już nas nie znajdzie. Nigdy.

To rzeczywiście miało sens, lecz mimo wszystko, gdy Diana powiedziała Garfortowi, którądy ma jechać, i powóz w końcu ruszył z podwórca zajazdu „Pod Trzema Beczkami”, Rosamunde przeszedł zimny dreszcz - tak jakby zostawiały za sobą wyraźny ślad dla człowieka, który niebawem rozpocznie pościg.

Markiz Rothgar patrzył, jak dziwna lady Richardson odjeżdża w towarzystwie swojej jeszcze dziwniejszej pokojówki. Zastanawiał się, co też one knują. Była to jedynie próżna ciekawość, która znikła w momencie, gdy Kenyon, służący Branda, przyniósł mu jakąś brudną kartkę.

*W zrujnowanej szopie niedaleko szlaku łączącego drogi do Ripon i Northallerton, około milę od Thrisk, znajduje się mężczyzna.*

Instynktownie chciał osobiście poprowadzić poszukiwania, lecz już przed laty nauczył się samodyscypliny, która nakazywała zlecać pracę innym, zaś samemu pozostać w środku sieci i trzymać w garści wszystkie nici. Wysłał Kenyona i swoich najlepszych

ludzi, by sprawdzili tę informację, kolejnego zaś z misją sprawdzenia, kto jest autorem listu. Potem udał się na górę do swego prywatnego salonu, który znajdował się obok sypialni, oddanej do dyspozycji lady Richardson, starannie zachowując pozory spokoju, a następnie zaczął zastanawiać się nad implikacjami całej sytuacji.

Czy ten wspomniany w wiadomości mężczyzna to Brand? Przecież gdyby było inaczej, kartki nie przekazano by Kenyonowi.

Czy ma to jakiś związek z sektą Nowego Państwa? Król wysłał go na północ, żeby zbadał ją pod względem wywrotowej działalności, lecz gdy napisał do Branda, nie zdawał sobie jeszcze sprawy ze skali niebezpieczeństwa.

Mimo wszystko, powinien był ostrzec Branda. Przeoczenie.

Tragiczne przeoczenie? List nic nie mówił o tym, czy mężczyzna żyje. Dlaczego Nowe Państwo chciałoby go zaatakować przy pomocy Branda?

Wrócił służący z informacjami o pochodzeniu przesyłki.

- Chłopak twierdzi, że znalazł kartkę na podwórzu, milordzie. Pokazał ją innym, bo sam nie umie czytać. Zapewne została wyrzucona z londyńskiego dylizansu, który wyruszył przed półgodziną.

- Weź Denby'ego i Lisie i jedźcie za nim. - Denby i Lisie byli jego stajennymi. Służący Rothgara nigdy nie byli po prostu służącymi. - Zanotujcie nazwiska i zróbcie opis wszystkich pasażerów, uważajcie też na tych, którzy mogą być w przebraniu. Nie zachodźcie nikomu za skórę i dajcie każdemu po koronie jako rekompensatę za niedogodności. - Otworzył kasetkę i napełnił sakiewkę monetami, którą następnie podał służącemu. - Poproś do mnie poruczników

Crippa i Haughtona. Pojadą z wami, aby nadać sprawie oficjalny status.

Już po kilku chwilach dwaj umundurowani oficerowie składali mu ukłon. Zostali wysłani na północ na wypadek, gdyby była potrzebna oficjalna akcja przeciwko Nowemu Państwu. Wyjaśnił im, w czym rzecz.

- Za pozwoleniem, milordzie - powiedział porucznik Cripp, ambitny młodzieniec o bystrych oczach - pańska misja tutaj dotyczy George'a Cottera i jego wyznawców.

- Mam powód przypuszczać, że istnieje tu pewien związek, poruczniku.

Cripp najwyraźniej miał wątpliwości, lecz był na tyle inteligentny, by nie pozwalać sobie na zbyt wiele. Wyraził wątpliwość, co do wydanego rozkazu, więc gdyby kiedykolwiek doszło do śledztwa w tej sprawie, byłby zabezpieczony.

Kiedy oficerowie wyszli, Rothgar jeszcze raz wziął list, szukając usilnie jakiegokolwiek dodatkowej wskazówki. Nagle opuścił szybkim krokiem swój prywatny salon i zszedł na dół. Stojący tam lokaj natychmiast podbiegł usłużnie, czekając na polecenia.

- Gdzie goście mogą znaleźć papier i przybory do pisania?

- W ogólnym salonie, milordzie - odpowiedział lokaj, ruszając przodem.

W pomieszczeniu nie było nikogo. Rothgar podszedł do biurka i wziął jeden arkusz. Nie, to nie ten sam rodzaj papieru, co użyty do napisania listu. O wiele gorszej jakości. Notatka zaś została sporządzona na najlepszym papierze, co było niezwykle zastanawiające, szczególnie że w górnej części oderwano fragment z rodowym znakiem.

Papier z herbem. Londyński dyliżans. Brand. Jaki był między nimi związek?

Powinien wrócić do pokoju i logicznie przemyśleć to wszystko, lecz niepokój powiódł go na zewnątrz, gdzie szybciej mógł zobaczyć, czy ktoś nadjeżdża. Nadeszła już pora podwieczorku, więc przed zajazdem było zupełnie pusto, co dobrze odpowiadało jego nastrojowi. Nie miał w zwyczaju zgnębiony chodzić nerwowo tam i z powrotem, lecz teraz, czekając na powrót swoich ludzi, był już tego bliski.

Kiedy jego ojciec i macocha umarli, najbliższy przyrodni brat Bryght był ponurym, porywczym młodzieńcem, którego żal i złość czyniły nieznośnym. Dopiero w ostatnich latach zbliżyli się do siebie. Cyn i jego siostra byli siedmioletnimi bliźniakami, którzy śmiertelnie go przerażali, bowiem miał zaledwie dziewiętnaście lat, gdy spadła nań ogromna odpowiedzialność za wszystko.

Z pięciorga przyrodniego rodzeństwa tylko Brand i Hilda nigdy nie sprawiali mu kłopotu. Brand miał wtedy dwanaście lat, był dobroduszny, życzliwy i kochający, co na swój sposób przerażało osobę, która miała pokierować nim przez niebezpieczne drogi wczesnej męskości. Hilda miała lat dziesięć, na szczęście była spokojna i rozważna.

To właśnie oni wydawali się rozumieć jego cierpienie i obawy, chociaż on nigdy nie czuł się wolny, by je okazać. Robili wszystko, aby mu pomóc. Biegali za bliźniakami, łagodzili ponure nastroje Bryghta. Gdy Rothgar tracił pewność siebie, przeciążony administracją i odpowiedzialnością, Hilda pojawiała się ze swoją ukochaną lutnią, żeby dla niego zagrać. Czasem wystarczał sam jej uśmiech, który przypominał mu, dlaczego wciąż walczy z życzliwymi krewnymi, pragnącymi odebrać mu całe rodzeństwo. Albo Brand odrywał go od zajęć, wyskakując z nagłym py-

taniem na temat koni lub broni, zmuszając Beya do chwilowej ucieczki w chłopięce sprawy.

Jak każdy rodzic - a często czuł się jak rodzic - starał się nikogo nie faworyzować, lecz najcieplejsze miejsce w jego sercu zajmowali Brand i Hilda, najbardziej radosna dwójka, najbardziej podobna do jego cudownej, wielkodusznej, pogodnej macochy.

Którą on, oczywiście, zabił, przynosząc zakażenie do domu.

Czyżby teraz zabił również Branda?

Jeśli jego przypuszczenia były słuszne, Nowe Państwo bezpardonowo dążyło do realizacji swoich świętych celów. Nie widział powodu, dla którego mieliby zrobić Brandowi krzywdę, lecz któż inny...

Usłyszał za plecami stukot butów na twardej podszwie. Odwrócił się szybko, zmieniając uchwyt bogato złożonej laski, która była zarazem szpadą.

Chłopak zatrzymał się gwałtownie. Oczy miał okrągłe jak spodki. Miał około trzynastu lat, był krępy, zdrowy, zarumieniony od biegu.

- Tak? - spytał Rothgar.

- Przepraszam, sir. Czy pan to markiz Rothgar?

- Tak, to ja.

- O rety - wydyszał, jeszcze bardziej wytrzeszczając oczy.

- Koronę zostawiłem w domu - rzucił sucho Rothgar. - Masz dla mnie jakąś wiadomość?

Chłopak przypomniał sobie, po co tu przybiegł, i wyciągnął rękę, w której trzymał równo złożoną kartkę.

- Dla pana, milordzie. Lokaj w zajeździe powiedział, że da mi pan za to sześć pensów.

Rothgar wziął kartkę i przeczytał, dla kogo jest przeznaczona. Jednym z adresatów był służący Branda, drugim on, Rothgar. Szybko złamał pieczęć



i przeczytał. Inny charakter pisma, lecz wiadomość w zasadzie ta sama. Jednak tym razem Brand został wymieniony z nazwiska.

Wstrzymał oddech. Tu także nie było wzmianki co do jego stanu. Czyżby to była jakaś forma tortur?

- Skąd to masz?

Słyszając jego ton, chłopak cofnął się o krok.

- Ja nie zrobiłem nic złego, milordzie!

Rothgar zdał sobie sprawę, że właśnie zmiął kartkę w dłoni, spróbował więc trochę się uspokoić.

- Wcale cię o to nie posądzam. Ale zanim dostaniesz swoją sześciopensówkę, musisz mi powiedzieć, skąd masz tę kartkę.

Chłopak wciąż stał w obronnej pozycji.

- Dała mi ją pewna dama, milordzie. Starsza dama na koniu. Kazała zanieść list do zajazdu „Pod Trzema Beczkami” i dopilnować, żeby został panu doręczony. Tylko kazała poczekać, aż zegar wybije czwartą. Ja zrobiłem tylko to, co mi kazano, milordzie.

- Jak była ubrana?

- Ubrana? No, jak kobieta, milordzie.

Na pewien sposób ta odpowiedź rozbawiła Rothgara. Chłopcy pewnie nie zwracają uwagi na szaty.

- Widziałeś kiedyś członków Nowego Państwa?

- Tak, milordzie.

- Czy ona była jedną z nich?

Stanowczo pokręcił głową.

- Nie, milordzie. Bardziej była ubrana jak mężczyzna w spódnicy. Miała trójgraniasty kapelusz i kaftan z galonami, i wysokie buty do konnej jazdy.

Ciekawe.

- Czy to mógł być przebrany mężczyzna?

Chłopak zatrzepotał powiekami.

- A po co mężczyzna miałby się przyodziać w spódnice, milordzie?

Rothgar wyjął szylinga.

- Którą drogą jechała?

Chłopakowi zaświeciły się oczy.

- Drogą do Northallerton, milordzie. Ona i ta druga-

- Jaka druga?

- Była jeszcze druga dama, zupełnie taka sama. Podobne jak dwa ziarnka maku.

- Też miała długie buty, kapelusz i męski kaftan?

- Tak, milordzie.

Rothgar rzucił chłopakowi szylinga i patrzył, jak ten ucieka, pokrzykując z radości. Jakże łatwo ucieszyć młodego człowieka. Tymczasem sam poczuł się tak, jakby tkwił w jakimś chorym śnie. Bliźniacze damy ubrane jak mężczyźni. Albo podobni do siebie mężczyźni przebrani za kobiety?

Dodać do tego należy krostowatą służącą o dość śmiałym zachowaniu jak na jej pozycję, a także jej wymalowaną panią o młodych dłoniach. Jednak one nie mogły mieć nic wspólnego z całą tą pogmatwaną sytuacją.

Zmusił się, by wrócić myślami do listów. Dwie kartki, różny papier, inny charakter pisma, przesłane różnymi drogami, lecz obie notki wskazują to samo miejsce.

A w tym wszystkim - żadnego widocznego powiązania z Nowym Państwem. Lecz któż inny mógłby za tym stać? Może mają sympatyków poza sektą?

Tknęło go pewne podejrzenie, więc wrócił szybko do zajazdu, by jeszcze raz sprawdzić papier w salonie dla gości. Tak jak myślał, drugi list został napisany właśnie na tym papierze. Obejrzał pióro. Niedawno ostrzone i od tamtej pory niewiele używane. Szybka próba potwierdziła, że niemal na pewno drugi list został sporządzony w tym pokoju.

Przez kogo? Niemal wszystkie pokoje zajmowali ludzie jego i Branda, lecz powozy często wymieniały tu konie, pasażerowie spożywali posiłki. Na pewno pasażerowie londyńskiego dylżansu spędzili tu trochę czasu. Oba listy mogły też pochodzić od tej samej osoby. Jednakże charakter pisma był wyraźnie inny. Jeden był staranny, z zaokrąglonymi literami; drugie pismo to wysokie, cienkie znaki, pochylające się w prawą stronę.

Boże. Jakie to ma teraz znaczenie? Gdzie jest Brand? Czy żyje?

Nie mógł się powstrzymać, więc podszedł do drzwi, żeby wyjrzeć na rynek. Ani śladu.

Odwróciwszy się, zobaczył lokaja, który nachylał się nad kuferkami pełnymi srebrnych sztućców.

- Kto ostatnio korzystał z salonu dla gości?

- Tak dokładnie to nie wiem, milordzie. Ludzie ciągle wchodzą i wychodzą.

- Pomyśl.

Mężczyzna aż drgnął, dźgnięty ostrym rozkazem.

- Panny Gillsett piły tam herbatę, milordzie.

Rothgar popatrzył na niego. Czyżby odpowiedź była tak prosta? Chyba zbyt prosta.

- Czy one ubierają się po męsku i podróżują konno?

- Właśnie tak, milordzie.

- A często się tu zatrzymują?

- Niewiele jeżdżą, milordzie, lecz gdy robią sobie wycieczkę do Yorku, zawsze zatrzymują się u nas.

- Gdzie mieszkają?

- Nie jestem pewien, milordzie. Gdzieś w Arken-garthdale.

To jedna z bardziej odległych okolic, niemająca żadnych powiązań z sektą Cottera, jednak to właśnie te damy musiały przekazać chłopcu wiadomość. Bar-

dziej podejrzewałyby jakieś oszustki, ale przecież obie panie były znane lokajowi. Należałoby je przepytać.

- Kto jeszcze?

Mężczyzna podrapał się pod upudrowaną peruką.

- Jakiś dżentelmen, milordzie. Któryś z pasażerów dyliżansu, który wcześniej zjadł posiłek. Chyba czytał gazety. Potem przez chwilę siedziały tam jeszcze dwie kobiety z dyliżansu, czekając na jedzenie.

A więc trzy osoby z dyliżansu. Każda z nich mogła wysłać listy różnymi drogami. Lecz dlaczego aż dwa? Nie dawało mu to spokoju. Drugi list nie podawał dużo więcej informacji niż pierwszy, poza tym było pewne, że już pierwszy z nich dotrze do adresata.

Było oczywiste, że doręczenie drugiej kartki celowo opóźniono, a jednak pierwsza została wysłana na praktycznie bezpośrednio do niego.

- I ta lady Richardson.

Spojrzał uważnie na lokaja.

- Co w związku z nią?

- Spędziła trochę czasu w salonie.

- Czy jest tutaj regularnym gościem?

- Nigdy przedtem jej nie widziałem, milordzie. Słyszałem, że podobno jest gdzieś z południa.

- Wiesz coś o niej?

Lokaj z żalem pokręcił głową. Z pewnością zrozumiał, że za każdą cenną informację mógłby się spodziewać nagrody.

- Wiem tylko, że jej kostropata służąca pochodzi z Surrey, przynajmniej na to wygląda. Ona, znaczy się służąca, dużo rozmawiała z naszą służbą. Ponoć jej pani wiecie raczej spokojny żywot, więc dziewczyna korzystała ze sposobności, by spędzić chwilę w większym towarzystwie.

Rothgar zastanowił się nad śmiałą pokojówką i jej cierpiącą panią. Ciekawe, czy one mogą mieć z tym

coś wspólnego. Wątpił, by jakaś żarliwa wyznawczyni nauk Cottera aż do tego stopnia zmieniła swój wygląd, lecz na wszelki wypadek postanowił nie odrzucać takiej ewentualności. Lady Richardson z pewnością coś knuła, lecz zdecydowanie bardziej pasowała do niej perfidia niż jakieś chwalebne uczynki.

Zwykle w ten właśnie sposób wszystko sprawdzał, więc i teraz wsunął lokajowi do ręki monetę.

- Rozgłoś wśród służby, że nagrodzę każdą informację o którymkolwiek z pasażerów dyliżansu, o pannach Gillsett albo o lady Richardson i jej pokojówce.

W tej chwili na placu rozległo się głośne stukanie, więc, starając się zachować kamienną twarz, Rothgar podszedł do wejścia. Poczul lodowaty dreszcz. Na chłopskim wozie klęczał Kenyon, jedną ręką trzymając się chropowatej burty. Spoglądał w dół. Na jego twarzy malowało się napięcie.

Obok jechali ludzie Rothgara. Wszyscy mieli posępne miny.

Chłop z ogorzałą twarzą zatrzymał mocnego, srokiego konia obok portyku, a wtedy Rothgar podszedł sztywno bliżej, żeby spojrzeć. Modlił się w duchu, choć był przygotowany na najgorsze.

Brand leżał na sianie, bardzo blady, oddychając nierówno, jak człowiek w agonii. Ale przynajmniej oddychał. Nie było krwi. Dotknąwszy ręką jego szyi, wyczuł powolne, chociaż dość mocne tętno.

- Sprowadzić tu miejscowego medyka. Natychmiast.

Jeden z jego ludzi wyruszył galopem wykonać rozkaz.

- Ma jakieś złamane kości? - Rothgar spytał Kenyona.

- Z tego, co można powiedzieć, chyba nie, milordzie. Wygląda na to, że cały ból umiejscowił się w głowie, ale nawet tam nie ma żadnych uszkodzeń.

Rothgar delikatnie obmacał czaszkę brata. Tak jak powiedział służący, niczego nie znalazł. To może być coś gorszego niż jakaś jawna przyczyna.

- Wnieście go do środka.

Brand jęknął, gdy go podnosili, jego oddech stał się jeszcze bardziej rwany. Nie mogąc zrobić nic więcej, bezradny Rothgar był w stanie jedynie dopilnować, żeby z bratem obchodzono się jak najdelikatniej, cały czas podtrzymując głowę.

Po chwili spostrzegł, że Brand leżał na kosztownych, złoto-brązowych kocach, rozpostartych na sianie. To już była pewna wskazówka. Ślad prowadzący do zemsty. Zabrał je i poszedł za innymi do zajazdu, na piętro.

Brand milczał, Rothgar ponownie sprawdził jego puls. Oczy poruszały się pod powiekami. Bogu dzięki, jest półprzytomny. Może na tyle świadomy, by znieść cichy głos.

- To ja, Bey - powiedział niemal szeptem. - Jesteś już bezpieczny. - Ujął jedną z drżących dłoni brata i przytrzymał uspokajająco. Wydało mu się, że w odpowiedzi Brand także uściśnął go delikatnie.

Narastała w nim zimna furia, lecz na razie musiała poczekać.

Już po chwili Brand znalazł się w łóżku w zaciemnionym pokoju. Ostrożnie zdjęto z niego kaftan, poluzowano bryczesy. Rothgar pochylił się nad nim, położył dłoń na szorstkim od zarostu policzku.

- Brand?

- Kto to? - spytał ledwie słyszalnym głosem.

- Bey - powtórzył.

Leżący zadrżał.

- Bogu dzięki. Nie mogę tego jeszcze raz zrobić. Bey, proszę, przestań.

- Niestety, nie jestem Panem Bogiem.

Gdyby tylko znali przyczynę. Trunek? Przecież Brand nie upijał się w taki sposób.

- Znowu - stwierdził nagle.

Nawracający, mocny ból głowy mógł wskazywać śmiertelne zagrożenie. Brand zatkał, jakby się dławiał. Dowodziło to, jak strasznie musiał cierpieć.

Rothgar mocniej ścisnął dłoń brata, żeby przyciągnąć jego uwagę.

- Brand, co ci się stało? Muszę to wiedzieć.

Oczy znowu poruszyły się szybko pod powiekami.

- Ona... ja... - Urwał na chwilę. - To przejdzie. Byłem już w takim stanie. Nie martw się.

- A czy ja się kiedykolwiek martwię? Zaraz przyjdzie medyk. Odpoczywaj... - Pomyślał, że do tej pory brat zaśnie albo znowu straci przytomność.

Ona? Jakaś kobieta?

Nachylił się i pocałował Branda w skroń.

- Wszystko jedno, mężczyzna czy kobieta. Zapłaci nam za to.

## Rozdział XVI

Medyk o rumianej twarzy na niewiele się przydał. Potwierdził jedynie, że Brand nie ma żadnych fizycznych uszkodzeń ciała, nie cierpi też na jakąś złośliwą chorobę, mimo twardego brzucha.

- Obawiam się, że połknął coś, co bardzo mu zaszkodziło, milordzie.

- Albo też doznał silnego udaru mózgu.

Medyk spuścił wzrok.

- Całkiem możliwe, milordzie. - Obaj wiedzieli, czym to grozi.

- Czy objawy na to wskazują?

Medyk uniósł wzrok, wyraźnie wystraszony społeczną pozycją pacjenta.

- Trudno powiedzieć, milordzie, nie znając symptomów, które doprowadziły go do tego stanu. Zazwyczaj nie występują żadne objawy żołądkowe. A myślę, że przyczyna leży częściowo właśnie tam.

- Więc co? Jakiś trunek?

- Raczej nie, chyba że był zatruty. Zepsute jedzenie rzadko wywołuje aż tak silny ból głowy. - Nachylił się i chyba po raz dziesiąty odchylił powieki Branda. - Być może to jakiś spożyty nierozważnie lek, milordzie. A nawet grzyby.



- Trucizna?

Dłoń medyka wyraźnie zadrżała.

- Niewykluczone, milordzie. Mam niewielkie doświadczenie z takimi rzeczami. Jednak w tym przypadku... zalecałbym płukanie żołądka.

- Torsje oznaczają dla niego agonię.

Medyk wykręcił złożone dłonie.

- Stanie się tak, jak pan sobie zażyczy, milordzie, lecz wycierpi się znacznie bardziej, jeśli trucizna nadal będzie krążyć w jego organizmie.

Mimo że nieprzytomny, Brand zaczął jęczeć. Gwałtownym gestem Rothgar nakazał medykowi, by podjął stosowne zabiegi, i odwrócił się. Słyszając niepokojące odgłosy, spojrział ponownie. Medyk próbował wlać w oporne gardło Branda środek wywołujący wymioty.

- Przestań. - Podszedł energicznym krokiem, wziął szklanekę i sam podtrzymał cierpiącego brata. - Brand, wypij to - powiedział rozkazującym tonem, jakiego nauczył się używać wobec rodzeństwa. - To nieprzyjemne, ale konieczne. - Przyłożył mu szklanekę do ust.

Brand odwrócił głowę.

- Obrzydlistwo.

- Jeszcze nawet nie spróbowałaś, więc skąd wiesz? Zrób, co mówię.

Brat rozchylił minimalnie powieki.

- To naprawdę ty? Myślałem, że ktoś inny...

- Na pewno ja. I dlatego musisz się słuchać.

- Ciagle mam jakieś senne koszmary, Bey...

- Ale ja nie jestem w twoim śnie. Wypij. - Przystawił szklanekę do jego ust, a gdy Brand zaczął ustępować, przechylił naczynie. - Do dna! - rozkazał, gdy Brand miał już dosyć. Jednak wmusił w niego wszystko.

- Ale świństwo! - poskarżył się.

Po sekundzie zwymiotował prosto na brata.

Rothgar cały czas podtrzymywał krztuszącego się, jęczącego Branda.

- Twoje szczęście, że to nie jest moje ulubione ubranie.

- Do diabła z tym! Nie rozśmieszaj mnie. Czuję się jak wywrócony na lewą stronę, a moja głowa zaraz eksploduje.

Pomimo roznoszącego się odoru, Rothgar cały czas podtrzymywał brata.

- Musieliśmy wyrzucić z ciebie truciznę.

- Sam bym się wyrzygał.

- Naprawdę?

- Tak było poprzednim razem.

- Jakim poprzednim razem? - Rothgar wziął wilgotne ściereczki, które znalazł Kenyon, otarł nimi twarz Branda, wreszcie dał mu się napić parę łyków wody.

- Po ostatnim rzyganiu też poczułem się lepiej. Muszę się porządnie wyspać.

Brandowi znowu zamykały się oczy, więc Rothgar ułożył go delikatnie na świeżej, czystej poduszce. Większość wymiocin chlusnęła na niego, nie było więc potrzeby przenosić Branda na inne łóżko.

- Wtedy będę ci mógł stosownie podziękować, milady - mruknął Brand tak cicho, że Rothgar prawie go nie słyszał. - Tylko już nie kręć tą korbą...

Kiedy Brand wreszcie zasnął, Rothgar wstał i zdjął wierzchnie ubranie. Jeden z jego służących, Fettler, czekał już z czystymi szatami i ciepłą wodą do mycia.

Doprowadzając się do porządku, rozmyślał o słowach brata.

Milady? Natychmiast przyszła mu do głowy lady Richardson, lecz przecież to było niedorzeczne. Niemal klasyczne błędne rozumowanie według zasady

*post hoc ergo propter hoc*. Ponieważ jedno wydarzenie nastąpiło po drugim, więc musiało być jego skutkiem. Na północy były tysiące dam, które mogły kandydować do miana sprawczyń tego oszustwa, a ostatnią rzeczą, jaką zrobiłaby winowajczynie, byłoby tak jawne pokazanie się w zajeździe.

A jednak ktoś napisał list na papierze pochodzącym z salonu na dole.

W samej koszuli podszedł do łóżka i obejrzał palce brata. Nieuszkodzone walką. Delikatnie podwinął mu rękawy. Żadnych śladów, oparzeń, siniaków. Starając się go nie zbudzić, ściągnął nieco jego poluzowane bryczesy i odwinął koszulę, aby obejrzeć tors.

Ręka Branda zatrzymała mocnym chwytem dłoń brata.

- Wiedźma. Ale najpierw trochę z tobą powalczę.

Zdumiony Rothgar przykrył go kocem i zostawił w spokoju.

Bez wątpienia brała w tym udział jakaś kobieta, ale żadnych śladów tortur nie było widać. Nie rozumiał, co miało znaczyć słowo „wiedźma”, lecz Brand wypowiadał je tonem nadzwyczaj łagodnym.

Co może się okazać trudne, gdy przyjdzie wymierzyć karę.

Wcześniej zostawił koce w swoim prywatnym saloniku, więc gdy się ubrał, poszedł od razu tam i wezwał Kenyona.

- Te koce znaleziono przy bracie?

- Tak, milordzie. Był nimi dokładnie przykryty. Czy on wróci do zdrowia? - spytał zaniepokojony.

- Chyba tak. Więc nie został tam po prostu porzucony?

- Nie, milordzie. Starannie go tam ułożono.

Czyli kobieta. Jeden narożnik każdego z koców był odcięty. Niemal na pewno herb. Co więcej, ja-

kość materiału pasowała do jakości papieru pierwszego listu. Więc Brand flirtował sobie z wielką damą, a potem mocno tego pożałował?

Czyżby mściwi krewni tej damy? Lecz wtedy bardziej prawdopodobny byłby pojedynek, a nie trucizna. Poza tym, czy mściwa kochanka albo jej krewni okryliby go tak troskliwie kocami? Znowu powrócił myślami do lady Richardson. Byłoby całkowicie irracjonalne przebywać tu i stać się oczywistym obiektem podejrzeń, a jednak ta kobieta miała w sobie coś, co nie dawało mu spokoju. Tylko co? Oczywiście nałożyła na twarz zdecydowanie za dużo farby jak na tę porę dnia. Z początku sądził, że wracała z jakiejś hulanki i cierpiała od nadmiernego spożycia mocnych trunków. Jednak teraz zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie była w przebraniu. Co prawda na palcach miała dużo biżuterii jak na bal, ale nosiła raczej proste, podróżne szaty. No i ta jej bardzo dziwna pokojówka. Należało oczekiwać, że taka kostropata dziewczka będzie raczej nieśmiała, że będzie skrywać twarz, a jednak sam widział, jak odważnie rozglądała się dookoła i chodziła wyraźnie dumnym krokiem. Usiłując złożyć z tych niepasujących do siebie fragmentów jakąś sensowną całość, zamówił spóźniony posiłek, na który zaprosił również sekretarza Branda.

Mężczyzna ów był w średnim wieku. Gdy wszedł, ukłonił się z szacunkiem.

- Słyszałem, że lord Brand wyzdrowieje, milordzie.
- Tak się wydaje, panie Vickery, chociaż do samego końca nie można mieć całkowitej pewności.
- Bogu niech będą dzięki. Czy zjadł coś, co mu zaszkodziło? - Vickery usiadł przy stole.
- A potem szczelnie się opatulił pięknymi kocami i położył w rozlatującej się szopie na pustym polu?

Zaskoczony Vickery spojrział na wskazany przez Rothgara koc, po czym wstał, żeby go obejrzeć.

- Poznaję pan?

- Ani trochę, milordzie, chociaż jest w najlepszym gatunku. To chyba pled podróżny. Zapewne miał wysyty herb, odcięty dość niedawno, gdyż materiał nie zdążył się wystrzępić.

- Właśnie - powiedział Rothgar, gdy sekretarz wrócił do stołu. - Wydaje się, że w tę sprawę jest zamieszana jakaś kobieta. Czy wie pan coś o ostatnich miłosnych podbojach mojego brata?

Vickery pokręcił głową.

- Nic mi o tym nie wiadomo, milordzie.

Rothgar znieruchomiał, nalewając sobie zupę.

- Nic a nic?

- Byłbym bardzo zdziwiony, gdyby coś takiego miało miejsce, milordzie. Lord Brand nie jest rozwiązy w takich sprawach. Podczas podróży rzadko zażywa tego rodzaju rozrywki, chyba że spotyka znajome damy. Przyjmowanie zaproszeń od miejscowych kobiet uważa za zbyt ryzykowne, jeśli nie ma pełnej orientacji w sytuacji.

Rothgar napełnił talerz zupą.

- Nie wiedziałem, że jest w tych sprawach taki ostrożny.

- Po prostu chce być świadomy ryzyka, które podejmuje. W dodatku naprawdę bardzo lubi swoją pracę, która zajmuje mu niemal cały czas.

- Rozumiem. A ostatnio nie spotkał żadnej z tych swoich znajomych dam?

- Nie, milordzie - odparł stanowczo sekretarz.

W trakcie całego posiłku Rothgar nieustannie go wypytywał, lecz nie uzyskał żadnych nowych informacji. Tymczasem zaczęli wracać wysłani wcześniej ludzie.

Porucznik Cripp dziarsko złożył meldunek na temat pasażerów dyliżansu.

- Nikt się nie przyznał, że wie cokolwiek o liście lub o jakimkolwiek powiązaniu tej sprawy z Nowym Państwem, milordzie. Nikt też nie był w przebraniu.

- Ile i jakiego typu kobiety tam były?

- Tylko dwie, milordzie. Jedna to żona prawnika, który zresztą jechał razem z nią. Młoda, zwyczajna, cicha kobieta. Druga była w średnim wieku, chuda, sucha i bardzo złośliwa. Wściekała się, że dyliżans został zatrzymany, mimo otrzymanej korony za stracony czas.

- Dziękuję, poruczniku.

Młody człowiek ukłonił się sztywno.

- Czy teraz mogę spytać, jaki to ma związek z Nowym Państwem, milordzie?

- Nie, ale może pan kontynuować swoje śledztwo dotyczące sekty. Niech pan sprawdzi, czy ma skrytych sympatyków wśród miejscowego ziemiaństwa i arystokracji.

- Skrytych sympatyków? - powtórzył Cripp z widocznym zainteresowaniem. - Do licha, milordzie, to by niezmiernie skomplikowało sprawę.

- Właśnie. Więc niech się pan tym zajmie, Cripp.

Rothgar patrzył za wychodzącym młodzieńcem. To powinno go zająć przez jakiś czas. Było możliwe, choć wątpliwe, że istniał jakiś spisek wychodzący poza sektę. Wszystko, czego się o nich dowiedział, sugerowało, że bardzo surowo i otwarcie przestrzegali swojego wyjątkowego sposobu życia. Nie, atak na Branda był zapewne wynikiem spraw osobistych, mających związek z jakąś kobietą, dlatego Rothgar nie chciał, aby Cripp w tym węszył. Prędzej czy później zamieszana w sprawę dama odpokutuje za cierpienia jego brata.

Zanim karetka znalazła się na drodze do Ripon - jadąc bocznym szlakiem, niewiele lepszym od zwykłej miedzy, ale znośnym - Diana zdążyła zeszkrobać ze swojej twarzy całą farbę, a także większość makiażu z twarzy Rosamunde.

- Zostawimy trochę koloru, żeby zakrył twoje blizny. To naprawdę znakomicie działa.

Rosamunde spojrzała w lustro i musiała się zgodzić.

- Nie mogę spędzić reszty swoich dni z czymś takim na twarzy.

- Ale możesz się malować, gdy idziesz między ludzi, poza tym chyba dałoby się uzyskać bardziej naturalny odcień. Powinnyśmy zatrzymać się w Richmond, żeby Dulcie nauczyła cię, jak to robić.

- Nie, muszę wracać do Wenscote. Boję się, że Edward swoim zachowaniem naraża Digby'ego na dodatkowe nerwy.

- Jeśli tamten członek sekty mówił prawdę, Edward już wyjechał.

- Ale na jak długo? Na pewno wróci w drodze powrotnej.

Diana uścisnęła dłoń kuzynki.

- Lecz niebawem, z pomocą Bożą, Edward przestanie stanowić zagrożenie. To bardzo Digby'ego pocieszy.

Rosamunde jęknęła cicho.

- To najdziwniejsza pociecha, jaką żona może przynieść mężowi. Uśmiechnij się, bo właśnie zostałeś rogaczem i będziesz wychowywał dziecko innego mężczyzny!

- Czyż nie tego właśnie chce?

- Owszem, pragnie dziecka. Ale nie bycia rogaczem.

- To nie ma sensu.

Rosamunde westchnęła.

- Mnie się to podobało, Diano. Ach, co ja mówię! Zakochałam się w Brandzie Mallorienie. To jest największy grzech. Tu najbardziej oszukałam Digby'ego. Mam obawy, że on się domyśli.

Diana nie spuszczała z niej wzroku.

- Nie możesz mu na to pozwolić.

Po chwili milczenia Rosamunde kiwnęła głową.

- Masz rację. Nie wolno mi go ranić. Już nigdy nie pomyślę o Mallorienie.

- Czy to możliwe?

- Wszystko jest możliwe. - Położyła sobie dłoń na brzuchu. - A ty módl się ze wszystkich sił, żeby tam było dziecko. Nie mogłabym przejść przez to jeszcze raz.

- Wszystko jest możliwe - przypomniała jej Diana.

Miała rację. Niech Bóg ma ją w opiece, lecz jeśli to nie wypali, będzie musiała zrobić to ponownie. Dlaczego teraz byłoby to nieskończenie trudniejsze niż przedtem? Przecież sytuacja się nie zmieniła.

A jednak zmieniła się. Nie miało sensu uciekać w myślach przed prawdą. Była zakochana. Bez względu na to, jak bardzo ta miłość jest szalona, nonsensowna, Rosamunde kochała Branda Mallorena. Jej cudzołóstwo było grzechem przeciwko małżeńskiej przysiędze. Jednak następnym razem będzie grzechem przeciwko czemuś ważnemu, co tkwiło głęboko w jej duszy. Wbrew logice czuła, że to by ją zabiło.

Diana ponownie oglądała mapę.

- Znam pewien cichy zajazd niedaleko głównej drogi. „Pod Baranem i Owcą”. Jest własnością moich dawnych służących. Staniemy tam na noc. - Podniosła wzrok i uśmiechnęła się z pewną siebie miną.



Najwyraźniej sprytnie zacieranie śladów na przeciwkór przeciwnikowi sprawiało jej ogromną przyjemność.

- Diabelski markiz Rothgar może sobie do woli przeczesywać drogi, ale tam nas nie znajdzie.

Ach, żeby to była tylko przygoda, zabawa w pomyślowe unikanie pościgu. Być może Diana robiła mądrze, nie angażując się w miłość, małżeństwo i różne związki. Rosamunde powierzyła kuzynce szczegóły dotyczące ich eskapady, sama zaś skupiła się na swoich myślach. Przywołała wizje długiego, szczęśliwego życia w Wenscote razem z Digbym i bezcennym, zdrowym dzieckiem i dziedzicem.

Jeśli odpowiednio nad tym popracuje, może z upływem czasu osiągnie błogostan, w którym wspomnienie o Brandzie Mallorien już nie będzie powracać.

\*

Z poczuciem *deja vu*, Brand skubał grzanekę, popijając herbatą. Miał nadzieję, że wymęczony żołądek nie odrzuci tej odrobiny pokarmu. Tymczasem do sypialni wkroczył jego brat i odprawił służbę.

- Czy to preludium do soczystej reprimendy?

- Tylko jeśli na nią zasługujesz. Pomyślałem sobie, że możesz nie chcieć świadków swojej opowieści.

- Opowieści?

Brand czuł ogromną ulgę, że ma przy sobie Beya - przynajmniej tyle pamiętał z nocy. Z drugiej strony, nie był jeszcze gotów zdecydować, co powiedzieć bratu. I które fragmenty wspomnień są realne, a które mu się przyśniły.

- No więc opowiadaj. Jak się znalazłeś w tej rozwalonej szopie?

- Nie mam pojęcia.

Bey milczał chwilę.

- No dobrze. To co w ogóle pamiętasz?

- Trochę pożytecznych wskazówek o planowaniu hodowli - stwierdził nonszalancko Brand, grając na zwłokę.

- Jako twój pryncypał jestem zachwycony. Ale nie to miałem na myśli.

Brand skoncentrował się na kolejnej grzance.

- Czy mam rozumieć, że nie chcesz, abym zbadał, kto i dlaczego tak cię urządził?

Właśnie, chociaż było to podyktowane bardziej instynktem niż logiką. Brand nie miał kłopotów z pamięcią, gdy chodziło o jego damę, jej słodycz, ich cudowną rozmowę. Nigdy nie zapomni namiętności ich splecionych ciał. Jeżyn...

Mniej dokładnie wspominał jakieś spory dotyczące przyszłości. Chyba chciał, żeby wyjechała razem z nim, ona zaś uparcie odmawiała.

Logika podpowiadała, że to ona odurzyła go i podrzuciła w szopie, lecz serce odrzucało takie przypuszczenie. Czas rozwiąże ten dylemat. Pamięć o ostatnich godzinach przed utratą świadomości, o tym, co wtedy jadł i pił, zapewne powróci nazajutrz lub nieco później.

- Bey, to sprawa osobista - powiedział w końcu. Wiedział, że bratu to się bardzo nie spodoba. - Moje wspomnienia są mgliste, ale chcę przypomnieć sobie wszystko. A potem sam się tym zajmę.

Po chwili Rothgar wyjął dwie kartki i położył je na łóżku.

- W takim razie przydadzą ci się te wiadomości. Wysłano je do mnie osobno, a każda z nich dokładnie określa miejsce twojego pobytu. Jedną napisano na papierze najwyższej jakości, z którego niewątpli-

wie oddarto pasek z herbem. Druga jest na papierze dostępnym dla gości w salonie na dole, sporządzona piórem z tego samego miejsca.

Brand przeczytał oba listy, lecz z wyłącznie akademickim zainteresowaniem. Jeśli jego dama była tak zdesperowana, by zachować swoją tożsamość w tajemnicy, że odurzyła go do nieprzytomności, z pewnością później nie uczyniłaby nic, co mogłoby w oczywisty sposób wskazywać na nią jako sprawczynię. Lecz zimna logika podpowiadała, że jeśli nie ona, to kto? Czy Yorkshire jest pełne ludzi, którzy chcą go uśpić, a potem porzucić w ustronnym miejscu?

Lecz ona nie mogłaby...

I nagle doznał olśnienia. Zobaczył ją, w niestaranie przyciętej masce, odsłaniającej tylko jej mocno zarysowany podbródek i pełne, miękkie usta. Podała mu filiżankę.

Zmusiła go, żeby wypił. Sama też pociągnęła kilka łyków...

Poczuł bolesne ukłucie. Został zdradzony.

- Wiadomość na tym drogim papierze - podjął Bey - prawdopodobnie wyrzucono z londyńskiego dylizansu, gdy wyruszał w drogę, lecz raczej nikt z pasażerów nie byłby w posiadaniu kartek oznaczonych własnym herbem. Drugą przesłała mi niejaka panna Gillsett...

Brand gwałtownie podniósł wzrok.

- Kto?

- Jakaś panna Gillsett. Znasz to nazwisko?

- Może...

- Posłałem konnych za pannami Gillsett.

- Pannami?

- To bliźniaczki.

Bliźniaczki? Brand siedział, uderzony nagłą myślą. Być może spędził te dwa dni z bliźniaczkami. Maski mogła służyć ukryciu drobnych różnic.

Ale nie, na pewno nie. To musiała być jedna kobieta. Nie mógłby tak silnie reagować na dwie. Na dwie, które urządziły sobie zabawę.

Nie mógłby?

- One przyznają, że wysłały kartkę - powiedział Bey - lecz twierdzą, że dostały ją od kogoś innego. Jak na razie odmawiają dalszych wyjaśnień.

- Na razie? Do licha, Bey, czy ty zamknąłeś je w lochu, czy co?

- To cię martwi?

Owszem, to go przerażało, lecz nie porzucał nadziei.

- Są tutaj?

- Nie. Na pewno są już w swoim domu w Arken-garthdale.

Czy ona nie powiedziała, że tam właśnie przebywał? Czyżby sprawa była aż tak oczywista?

Ale bliźniaczki? Środki odurzające? Naprawdę była to aż tak brudna sprawa?

- Brand - Rothgar ostro przerwał milczenie - twoja powściągliwość zaczyna mnie irytować. Powiedz mi jedno. Według twojej najlepszej wiedzy, czy ma to coś wspólnego z sektą o nazwie Nowe Państwo?

Brand niemalże zaprzeczył, ale przypomniał sobie, jak tajemnicza dama rozmawiała z Georgem Cotterem.

- Dlaczego pytasz?

- Teraz twoja kolej, by udzielić paru odpowiedzi. Więc?

Brand usłyszał zmianę w tonie głosu brata.

- Nie sądzę, żeby to miało cokolwiek wspólnego z sektą.

- To za mało. Król jest zaniepokojony, wysłał mnie na północ, abym przyjrzał się ich działalności. Ten niepokój jest uzasadniony, gdyż stare Państwo

Cromwella posłało króla Karola Pierwszego na szafot.

- A niech mnie. Chyba teraz nie ma takiego niebezpieczeństwa?

- Idee Jakobitów jeszcze nie umarły, zwłaszcza na północy, więc nie można mieć pewności. A więc, czy istnieje jakiś związek między twoimi sprawami a Nowym Państwem?

Brand próbował odsunąć na bok swe cierpienie i sentyment, starał się myśleć logicznie.

- Jakobici to w większości katolicy, zaś zwolennicy Cottera to ekstremiści z przeciwnej strony.

- W przeszłości już nieraz zawierano nieczne sojusze. Więc?

Brand oparł się wygodniej, zamyślony.

- Naprawdę nie sądzę, by istniało jakieś powiązanie, lecz pewności nie mam. Pozwól mi to przemyśleć. Mój mózg nie pracuje zbyt sprawnie, chociaż jest lepiej niż poprzednim razem...

A niech to! Nie miał zamiaru tego wyjawić.

- Poprzednim razem? Więc to miało miejsce już wcześniej?

- Daj spokój. Posłuchaj, spotkałem George'a Cottera, zanim to wszystko się wydarzyło. Mogę się założyć, że on myśli jedynie o sprawach duchowych i dobrobycie prostych ludzi.

- Nawróciłeś się?

Brand mimowolnie parsknął śmiechem, przykładając rękę do głowy.

- Nic z tych rzeczy. Mogę apróbować niektóre z jego idei, lecz nie podobają mi się surowe reguły życia i dyscyplina w sekcie. Jednak doceniam sposób, w jaki zarządzają swoimi majątkami.

- Aleś ty ograniczony. Czy kiedykolwiek odwiedziłeś któryś z majątków Nowego Państwa?

- Tylko jego własny. Zapoczątkował sektę, przekazując swój osobisty majątek na rzecz purytańskiej wspólnoty. Jest dobrze zarządzany i nowoczesny. Sam wiesz, jak trudno zmienić stare nawyki wieśniaków. On...

Rothgar uniósł rękę.

- Nie interesuje mnie rolnicza teoria. Czy będąc tam, nie słyszałeś podburzania do buntu?

Brand zastanowił się.

- Nie. Ale z drugiej strony oni bardzo poważnie traktują maksymę „Milczenie jest cnotą”.

- A ty nie masz ochoty opowiedzieć mi o tej damie, z którą flirtowałeś?

Zaskoczony pytaniem, Brand w pierwszym odruchu chciał odgrodzić Beya od swej tajemniczej zdrayczyni.

- Jakiej damie?

- Gadałeś przez sen. Czy ona jest członkiem sekty?

Poddał się.

- Na pewno nie.

- Czy to ona cię zatrzymała?

- Tego nie jestem pewien.

Bey wstał.

- Jeszcze porozmawiamy o tych sprawach. A teraz powiedz mi, kto to jest lady Richardson?

- Kto? - Brand wiedział, że to pytanie padło celowo z zaskoczenia, aby wydobyć z niego prawdę, lecz przynajmniej tym razem jego zdziwienie było autentyczne.

- Mocno umalowana dama, która cierpiała na dolegliwości podobne do twoich, chociaż w łagodniejszej formie.

Brand już chciał zbagatelizować tę sprawę, lecz coś go tknęło.

- Mocno umalowana?

- Na tyle grubo, by ukryć twarz oraz tożsamość.

Serce Branda było coraz szybciej. Aż trudno uwierzyć, żeby to miało być tak proste.

- Średniego wzrostu, średniej budowy, z dużym biustem?

-Tak.

- Obrączka ślubna na palcu?

- Tak, dodatkowo cztery ostentacyjnie wielkie pierścienie. Brand...

Brand pokręcił głową.

- Ona nie nosi dużo biżuterii. - Lecz może nie znał jej z każdej strony? Czy też ich nie znał? Odsunął tacę, odrzucił na bok pościel. - Ona tu jest? Gdzie?

Rothgar zatrzymał brata, kładąc dłoń na jego ramieniu.

- Wyjechała.

Brand uniósł wzrok.

- Naprawdę?

Brat spojrział mu prosto w oczy.

- Czy kiedykolwiek cię okłamałem?

- Więc gdzie ona jest?

- Nie mam pojęcia. Razem ze swoją kostropatą służącą rozpułyły się w powietrzu.

- Kostropatą służącą? - Zdumienie Branda przeszło w głęboki namysł. - Jak bardzo kostropatą? - Czyżby to była przyczyna noszenia maski? A kwestia bliźniaczek? Krosty i farba mogły ukryć podobieństwo sióstr.

- Biedna, chora dziewczyna - rzekł Rothgar.

- Ospa?

- Nie, tylko krosty. Duże i ropne.

- Czy możliwe, że to bliźniaczki?

- Tak samo jak panny Gillsett? - Bey uniósł brwi.

- To już byłaby farsa godna teatralnej sceny. Nieste-

ty, wszystkie cztery były tutaj w tym samym czasie. Nie wiem, czy już wspomniałem, ale panny Gillsett są podstarzałe.

- A nie ucharakteryzowane na stare?

- Nie, jeśli wierzyć moim informacjom. Poza tym są tu regularnymi gośćmi.

Brand poczuł ulgę. A więc to nie panny Gillsett, nie bliźniaczki. Przynajmniej w tym była autentyczna. A jednak właśnie panny Gillsett przesłały list, zaś jego tajemnicza dama posłużyła się ich nazwiskiem. Czy była na tyle nieostrożna, by pozostawić po sobie tak wyraźny ślad?

A może to nie ślad, lecz pułapka?

Odrzucił tę myśl. Drugi raz nie da się oszukać. Na razie wydawało się bardzo prawdopodobne, że jego partnerka w grzechu i rozkoszy to albo owa wymalowana dama, albo jej kostropata służąca. Popatrzył na brata.

- Na pewno nie zgubiłeś śladu tej lady Richardson. Za dobrze cię znam.

- Nie okłamuję cię - powtórzył Rothgar. - Jeśli jeszcze raz zrobisz taką aluzję, wyzwę cię o świcie na ubitą ziemię. Lady Richardson powiedziała, że udaje się do Yorku, a jej karetę rzeczywiście odjechała w tamtą stronę. Jednakże nie widziano jej na drodze do Yorku. Pewnie gdzieś skręciła, lecz nie mamy informacji co do kierunku. Mam meldunki z różnych miejsc o karetach wiozących dwie kobiety, lecz żaden z opisów nie odpowiada wizerunkowi naszej damy i jej służącej. Sprawdziłem wszystkie zajazdy, do których mogły dotrzeć wczorajszego wieczora, lecz nie zatrzymały się w żadnym z nich. Moi ludzie sprawdzają prywatne majątki w promieniu kilku godzin jazdy. Ta dama była w przebraniu, ale krostowata służąca na pewno rzuca się w oczy,



- Masz już jakieś wieści?

- Absolutnie nic.

Brand nie mógł powstrzymać śmiechu.

- Przebiegła, tajemnicza dama. Chyba cię pokonała, Bey, a to zaiste ogromne osiągnięcie.

- Ja jeszcze tak na dobre nie zacząłem - powiedział zimno Rothgar - bo z jakiejś przyczyny martwiłem się o mojego żalostnego, nic niewartego brata. Wysłałem ludzi, żeby przeprowadzili dogłębne śledztwo...

- Odwołaj ich.

Brand wciąż nie wiedział, co się naprawdę stało, ani też co chciałby z tą sprawą zrobić, lecz wolałby nie angażować w to nikogo postronnego. Bey zazwyczaj bardzo surowo traktował ludzi, którzy skrzywdzili kogoś z jego rodziny.

Brand złożył kartki i zostawił je na pościeli.

- Tak jak powiedziałem, to sprawa osobista i już skończona. Powtórne spotkanie z tą kobietą to ostatnia rzecz, jakiej pragnę. Kiedy trochę odpocznę, będę miał z tobą wiele do omówienia w kwestiach rolniczych.

- Wprost nie mogę się doczekać.

Zainteresowanie Rothgara nowinkami w uprawie ziemi było co najwyżej minimalne, więc Brand roześmiał się mimo woli. Jednak gdy jego brat wyszedł, położył się z powrotem na łóżku. Ona wtedy bardzo chciała, żeby wyjechał i nigdy nie wrócił. Wyglądało na to, że zrobiła wszystko, co mogła, aby tak się stało. Więc skoro tak, po co tu przyjechała? Dlaczego naraziła się na niebezpieczeństwo ujawnienia? Bez sensu. To chyba była cecha rodowa Mallorenów - potrzeba złożenia elementów układanki, aby tworzyła wyrazisty rysunek. Aby świat nabrał sensu.

Zamknął oczy i usilnie próbował przywołać wspomnienia ostatnich godzin spędzonych z tajemniczą damą, lecz nawet nie był pewien prawdziwości obrazu, gdy ona podaje mu filiżankę z trucizną. Wszystko zasnuła mgła.

Prawdziwe *deja vu*. Lecz z czasem wszystko sobie przypomni.

## Rozdział XVII

Rosamunde w końcu dotarła do domu wieczorem następnego dnia. Cierpiała z powodu straty kochanka, lecz zarazem cieszyła się z powrotu do Wenscote, gdzie czuła się bezpiecznie i gdzie jej rola i obowiązki były jasno określone. Na widok małej wioski i domu otoczonego kamienną fortyfikacją poczuła łzy w oczach.

Wysoki mur pochodził z okresu, gdy tereny te nawiedzali szkoccy najeźdźcy - był jedną z tych rzeczy, które najbardziej uwielbiała w Wenscote, gdy wyszła za męża. Chronił ją. Za tą ścianą pracowała w ogrodzie, poza zasięgiem wzroku całego świata. Mur był jej przyjacielem. Nawet gdyby nie miała do niego tak ciepłych uczuć, i tak nie wydałby się jej nieprzystępny, gdyż surowe ściany łagodził porastający kamienie bluszcz, floksy i inne rośliny, zaś brama zawsze stała otworem.

Gdy karetka wjechała na podwórzec i stanęła, Rosamunde siedziała jeszcze przez chwilę, ciesząc uszy muzyką Wenscote - plusk płynącej po skałach rzeki Ure, gruchanie dochodzące z gołębnika, brzęczenie pszczoł, śpiew ptaków, krakanie wron. A wszystko to w delikatnym aromacie lawendy, wiciokrzewu

i róż. I wszystko dawało jej poczucie bezpieczeństwa w swoim domu.

Digby podszedł do drzwi, promieniejąc radością. Rosamunde wyskoczyła z powozu i ze śmiechem pobiegła prosto w jego ramiona.

Sir Digby Overton był postawnym, dobrze zbudowanym mężczyzną.

- Ach, Rosie. - Przytulił ją. - Bardzo się za tobą stęskniłem, naprawdę. Witaj w domu.

Uśmiechnęła się do niego, lecz z wysiłkiem utrzymała ten uśmiech na ustach, widząc jego mocno zaczerwienioną twarz. Z trudem oddychał, świszcząc głośno. A przecież tylko wyszedł jej na spotkanie.

Nie miała wątpliwości, że to robota Edwarda.

- Wejźmy do środka - powiedziała, także go obejmując. - Mam ogromną ochotę na filiżankę herbaty, no i chciałabym ci opowiedzieć o moich przygodach.

Zaśmiał się i uszczypnął ją lekko w policzek.

- O hulankach w Harrogate, co, maleńka?

Patrzył na nią pytająco. Było nieco wstydlive, niewypowiedziane słowami pytanie, na które odpowiedziała uśmiechem. Chyba nie mogłaby mu powiedzieć wprost, co zrobiła. Miała nadzieję, że sam się domyśli. I zaaprobuje.

Nalała mu herbaty, tak jak lubił, podała filiżankę, sama również się napiła.

- Jak dobrze. Cały dzień dziś jechałam, żeby wrócić do domu. Nie gniewasz się chyba, że zostałam w Arradale kilka dni?

- Ależ skąd, maleńka. No więc opowiedz mi o maskaradzie. Już dawno tak się nie bawiłaś. Wesoło było?

- Bardzo.

Rosamunde zebrała w sobie odwagę i zdecydowanym ruchem kiwnęła głową. Dopiero wtedy zrozu-

miała: Digby z pewnością pomyśli, że to się stało podczas maskarady. Tak będzie lepiej.

Zamknął oczy. Przerazona, zobaczyła łzy na jego policzkach. Zerwała się z miejsca.

- Digby...!

Uniósł powieki, zatrzymał ją ruchem dłoni.

- Wszystko dobrze, kochana. Nawet bardzo dobrze. - Wyjął chusteczkę i otarł rumiane policzki. - Rosie, jesteś taką odważną dziewczyną. I taką dobrą żoną.

Rosamunde musiała przełknąć, by się nie rozpłakać. On mówił szczerze, uspokajając jej sumienie i duszę. Gdyby tylko mogła powiedzieć mu całą prawdę - jak to wszystko naprawdę się stało, co czuła, jak pokochała innego. Nie mogła kazać mu dźwigać takiego ciężaru. Musiała zrobić to sama.

- Na maskaradzie były setki ludzi - powiedziała z humorem - a kostiumy mieli naprawdę przepiękne. Rycerze, piraci, nimfy, potwory. No i maski. Szkoda, że ich nie widziałeś, Digby. Twarze zwierzęce, ptasie, nawet sokole i orle. Niektóre tak straszne, że aż się bałam, a poza tym w żaden sposób nie można było odgadnąć, kto się pod nimi kryje! - Szczebotała radośnie, chętnie opowiadając prawdziwe zdarzenia, a zarazem to, co chciał usłyszeć.

Z uśmiechem kiwnął głową.

- Musisz częściej jeździć na takie zabawy, skoro tak ci się spodobało. Nie ma sensu, żebyś siedziała tu cały czas.

- Ale ja lubię tu być. Może moglibyśmy razem gdzieś bywać. Wiem, że często zostawałeś w domu, bo nie lubiłam spotykać obcych ludzi.

- Ja też dobrze się czuję w Wenscote, maleńka. Zwłaszcza ostatnio. Czy widziałas się z rodziną w Arradale?

- Z mamą i Sukey. No i oczywiście z ciotką Arradale. Przesyłała pozdrowienia... - Długo opowiadała o kolacji u ciotki, łącznie z obiecującym romansem między panem Turcottom i panią Lampwick. Jednak Rosamunde czuła już pewne zmęczenie. Jakoś przedtem nie było jej tak trudno znaleźć tematu do rozmowy...

I nagle zrozumiała, z czym to porównuje.

Szybko zamknęła te drzwi, koncentrując się na mężu. Boże, proszę cię, spraw, abym miała w sobie dziecko. To będzie dziecko jego serca, upragnione i kochane.

Oraz dziecko z ciała Branda.

Będzie miało w sobie jego cząstkę.

Ponownie zamknęła te drzwi w swoich myślach. Na klucz.

- Wdowy powinny powtórnie wychodzić za mąż - powiedział Digby o pani Lampwick. - Samotność to nic dobrego. Zwłaszcza dla młodych kobiet.

Rosamunde tylko się uśmiechnęła.

- Wdowy z dziećmi mają czym wypełnić swoje życie. - Była to swego rodzaju obietnica, zresztą całkowicie szczerą, chociaż naprawdę nie chciała znaleźć się w sytuacji, w której musiałaby ją spełnić. Bardzo pragnęła mieć Digby'ego u swego boku przez dziesiątki lat.

Jednak przypomniała sobie, że gdyby nawet Digby umarł, w jej życiu nie byłoby miejsca dla Branda Mallorena. Bo jej życiem było ciche, odizolowane od świata Wenscote. Zaś on bywał w wielkich majątkach, na królewskim dworze, obracał się pośród arystokracji.

Przestań, Rosa!

Zapomnij o nim.

- O ile wiem, pod moją nieobecność był tu Edward z jeszcze jednym członkiem sekty - powie-

działa, żeby zmienić temat. - Wolałabym, żeby cię nie niepokoił.

Digby westchnął, kręcąc głową.

- To mój dziedzic, Rosie. Przynajmniej na dzień dzisiejszy. Poza tym jesteśmy położeni na odludziu, daleko od innych miejsc, gdzie można odpocząć. Przecież nie mogę odprawić go i jego towarzysza od drzwi, gdy zapada zmrok, prawda?

- Pewnie dlatego zjawia się właśnie o zmierzchu.

- Tak, masz rację. I naprawdę niepokoi mnie, gdy widzę go w tym dziwacznym stroju, jak modli się o każdą małą rzecz, poucza, że należy jeść proste jedzenie. Robi niezadowoloną minę na widok trunków albo dużego biustu służącej. - Mrugnął znacząco. - Powiedziałem Polly, żeby jeszcze niżej obciągnęła koszulę, i żeby obsługiwała go ze szczególną atencją.

- Digby! - Rosamunde wybuchła śmiechem. - Jesteś niepoprawny!

Polly była pokojówką bardzo hojnie obdarzoną przez naturę, co jeszcze bardziej podkreślała szczupłość jej talii. Nie była rozwiązłą dziewczyną, ale chętnie obnosiła się ze swoim przyrodzonym bogactwem.

Digby również się zaśmiał, ocierając oczy.

- Przysięgam ci, maleńka, że w pewnym momencie poczerwieniał jak burak! Ale muszę przyznać, że George Cotter nawet na nią nie spojrział.

Rosamunde zdusiła śmiech.

- Kto taki?

- A, tak, maleńka. Towarzyszem Edwarda był nie kto inny, jak George Cotter we własnej osobie, od którego wszystko się zaczęło. A Edward robił z siebie zupełnego głupca, zachowując się tak, jakby siedział u boku króla.

- George Cotter! - Poczwała lekkie mdłości, bo już wiedziała. - Niepozorny człowiek, w prostych szatach?

- To raczej go nie wyróżnia, maleńka, ale wiem, co masz na myśli. Zaskoczył mnie. Czy chcesz mi powiedzieć, że go spotkałaś?

Rosamunde przeszedł zimny dreszcz.

- Przejeżdżał obok domku wdowy, gdy zażywałam przechadzki. Nie podał swego imienia, ale powiedział, że wraz z Edwardem zatrzymali się tutaj na noc. Gdyby nie mieli zamiaru wyruszyć rankiem w dalszą drogę, natychmiast wróciłabym do domu.

George Cotter. Desperacko usiłowała przypomnieć sobie, co mu powiedziała w czasie tej luźnej rozmowy. Czy coś mogło wzbudzić jego podejrzania.

- Tak, no cóż, nie zaprzeczę, że Edward jak zwykle podzielał mi na nerwy, ale Cotter zachował się poprawnie. Po prawdzie sprawiał wrażenie rozsądnego, a jego szczerą mowa o Bogu i sprawiedliwości trafiła mi do przekonania. - Zamilkł na chwilę. - To niebezpieczne.

- Bardzo.

- I sprytne - dodał Digby. - Niezwykle sprytne.

Rosamunde usłyszała pytanie w głosie męża, będące odbiciem jej własnych obaw.

- My rozmawialiśmy tylko grzecznościowo.

Pokiwał głową.

- A gdzie byłaś potem, maleńka? Napisałaś mi, że wybierałaś się z Dianą do Richmond.

Kolejne kłamstwa.

- Chyba nie masz nic przeciwko temu? Diana miała tam parę spraw. Między innymi chciała odwiedzić przyjaciółkę, która niegdyś występowała w teatrze. Rozmawialiśmy o farbach do twarzy.

- Naprawdę?

- Ona pokazała mi sposoby pokrycia moich blizn, aby nie były tak widoczne. Diana uważa, że powinienam tak robić, gdy chcę wyjechać.



- Pewnie ma rację, kochana. Oczywiście, ja nie sądzę, że powinnaś cokolwiek zakrywać - skłamał z galanterią. Spojrzała, że jak zwykle usiadł od jej dobrej strony, skąd nie widział blizn. - Ale wiem, że cię to martwi, a przecież nie możesz spędzić reszty życia, ukrywając się.

- Dziwnie się czuję z pomalowaną twarzą. Zupełnie jak nie ja.

- Musisz nałożyć tę farbę, a wtedy sam to ocenię, dobrze?

Rosamunde przesunęła palcem po bliznie.

- Tak zrobię. Powiem ci, że po tej przygodzie już nie odczuwam takiego strachu przed pokazaniem się. Wszyscy mieliście rację, że moje blizny nie są takie straszne. George Cotter zachowywał się tak, jakbym wyglądała zupełnie normalnie.

- To dobrze o nim świadczy - rzekł szorstko Digby. - Jakem już powiedział, na swój sposób to dobry człowiek. Chodź, pocałuj mnie, kochana. Udam się na drzemkę. Znając ciebie, będziesz chciała wszystko sprawdzić. Pod twoją nieobecność Hera urodziła źrebaka.

- Co? - Rosamunde skoczyła na równe nogi, po czym grzecznie podeszła do męża, by spełnić jego prośbę. Pocałowała go w czerwony policzek. - Co za bezmyślne stworzenie. Przecież jeszcze nie był jej termin.

- Ach te kobiety. W ogóle nie można na nich polegać.

Szelmowsko pokazała mu język i popędziła do stajni, by obejrzyć potomstwo swej najlepszej klaczy i fryzyjskiego ogiera, będącego własnością lorda Fencotta.

Jednak po drodze do stajni zatrzymała się w ziołowym ogrodzie, żeby zebrać myśli. Jak dotąd wszystko

szło dobrze. Digby był naprawdę zadowolony z tego, co zrobiła, uspokojony nadzieją. Pomimo całej niemoralności czynu, może jednak postąpiła właściwie.

Gdyby tylko nie dopuściła do urodzenia się tej zakazanej miłości. Sama musiała ją zabić. Dopiero gdy na zawsze wyrzuci Branda Mallorena ze swej pamięci, będzie mogła spojrzeć w lustro z podniesioną głową.

\*

Minęło kilka tygodni, podczas których trzymała swe myśli pod niemal doskonałą kontrolą. Zajęcia przy żniwach nie zostawiały jej czasu na jakiegokolwiek wybryki. Pewnego dnia nieoczekiwanie odwiedziła ją Diana. Rosamunde właśnie pomagała pani Monkton i jeszcze jednej służącej układać jabłka na półkach w chłodni, lecz jedno spojrzenie na twarz kuzynki wystarczyło, by natychmiast porzuciła to zajęcie.

Kłopoty.

A ona myślała, że teraz jest już bezpiecznie.

Szybko przeszły do ogrodu, gdzie nikt ich nie słyszał.

- Co się stało?

- Markiz Rothgar wprosił się do Arradale.

Rosamunde zakryła dłonią usta.

- Podejrzewa coś? Jak to możliwe?

- Nie wiem. - Diana bezradnie rozłożyła ręce, co było do niej zupełnie niepodobne. - Może to tylko zbieg okoliczności. Podróżuje po tych terenach, wypytując o Nowe Państwo, no a w okręgu Wensleydale oczywistym punktem oparcia jest Arradale. Chce, bym dzieliła się z nim swoją wiedzą i opinią, chociaż jest to zapewne jedynie grzeczny pretekst.

To na pewno zbieg okoliczności. Rosamunde zmusiła się, by uspokoić bijące w szybkim tempie serce.

- Jeśli zrobi coś z sekta, będę naprawdę szczęśliwa. Diana spojrzała na nią uważnie.

- A czy to jeszcze ma znaczenie?

Rosamunde wiedziała, że na jej policzki spłynął rumieniec. Jeszcze nikomu o tym nie mówiła.

- Nie wiem... ale... mam opóźnienie.

- Rosa! To cudownie. Czy Digby już wie?

Pokręciła głową.

- Nikt nie wie, bo nie mam całkowitej pewności. Zwykle jestem regularna jak zegar na kościelnej wieży, lecz pewna być nie mogę.

- Czy wszystko będzie dobrze? - Diana wzięła ją za rękę. - To znaczy, z Digbym?

Uśmiechnęła się, czując pieczenie oczu. Ostatnio często roniła łzy. Łzy szczęścia.

- Tak, Diano. Nie byłam zupełnie pewna, ale on okazuje mi miłość na tyle sposobów. - Wyjęła chusteczkę, żeby wydmuchać nos. - Już nie mogę się doczekać, by mu to powiedzieć.

Kuzynka objęła ją mocno, w milczeniu. Po chwili jednak odsunęła się i zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Posłuchaj mnie, Rosa. Miałam czas, aby to wszystko przemyśleć. Ponieważ muszę odgrywać rolę gospodyni dla lorda Rothgara, wydaję przyjęcie i bal. Tego ode mnie oczekują, a poza tym wtedy mniej będzie go absorbować moja osoba.

- Nigdy cię nie rozpozna!

- Oby. Oczywiście ty nie możesz rzucać mu się w oczy. Będzie to łatwe, gdyż nie masz w zwyczaju brać udziału w takich towarzyskich zgromadzeniach.

- Ale co z Digbym? Wiesz, że on lubi korzystać z takich okazji, gdy może spotkać paru sąsiadów.

- Ale jeździ na takie spotkania bez ciebie. Tym razem będzie podobnie.

- Oczywiście.

Diana kiwnęła głową.

- Pomyślałam, że się upewnię, bo wszyscy zauważyli, że ostatnio częściej pojawiaasz się poza Wenscote. - Delikatnie dotknęła policzka Rosamunde, pokrytego cieniowaną farbą. - Świetna robota.

- Pomogła mi Dulcie. Ale to niczego nie zmienia. Nie przyjadę.

- Jak się wymówisz, skoro ostatnio uczestniczyłaś w innych takich imprezach? Nie wspominałam o tym, ale... możliwe, że bratu będzie towarzyszył lord Brand.

Rosamunde poczuła, jakby w jej żyłach popłynął lód, a zarazem gorący ogień.

- Nie! - Pokręciła głową. - Ja nie mogę...

- Właśnie. - Znowu ścisnęła ją za rękę. - Nie martw się. Jeśli tu zostaniesz, nie spotkacie się. Wszystko będzie dobrze, kochana.

Lód przerażenia, ogień pożądania. Rosamunde odrzuciła swoje pragnienie. Nie zepsuje wszystkiego teraz, poddając się chęci ujrzenia Branda Mallorena ten ostatni raz.

- Może Digby też nie zechce pojechać - powiedziała. - Nie czuje się dobrze. Nie potrafi przestrzegać prostej diety. Próbuje przez dzień albo dwa, a potem znowu objada się puddingiem i wypija duże puchary ponczu.

- Przykro mi z tego powodu, lecz w tych okolicznościach jest to dla nas korzystne.

- Gdy będę już pewna dziecka, postara się bardziej. Może już teraz powinnam mu powiedzieć. - Przesunęła rękę na brzuch. - Jestem brzemienna, Diano. Czuję to w niesamowity sposób. Wahałam się ze strachu, że sama się oszukuję, ale teraz wiem. Wszystko nagle się zmieniło. - Pokręciła głową.

Nie mogę dopuścić, by teraz cokolwiek mogło to zniszczyć!

- Nie zniszczy, obiecuję ci.

- No ale co z tobą i lordem Rothgarem? Co będzie, jeśli on się domyśla, kim była kostropata służąca? Zrobiłabyś sobie niebezpiecznego wroga.

- Nie bardziej niebezpiecznego ode mnie - odparła Diana. - Poza tym on będzie na moim terytorium. Zresztą jakim sposobem mógłby się domyślić? Zapewniam cię, że zachowam się na tyle dostojnie i godnie, że nawet matka będzie mną zachwycona. Ani śladu tamtej pokojówki.

Rosamunde uspokoiła się. Rzeczywiście, przeniknięcie tajemnicy Diany wymagałoby mistycznych zdolności.

- Ja zaś w ogóle się tam nie pojawię, bez względu na wszystko. Jesteśmy bezpieczne.

Z uśmiechem ulgi ruszyły z powrotem w kierunku domu. Przy łukowatej kratce obrośniętej pachnącą różą Rosamunde się zatrzymała, znowu przykładając dłoń do miejsca, które niebawem zacznie zdradzać jej brzemienny stan.

- Muszę to powiedzieć, Diano. Powiedzieć jeden raz i już nigdy więcej. To jest dziecko Branda Mallorena. Przez wzgląd na niego i na mnie, chciałabym mu o tym powiedzieć i dzielić z nim rodzicielstwo. Lecz tutaj ojcem jest Digby, a dziecko ocali nas wszystkich. Ale me serce tęskni za tamtym mężczyzną.

Diana przytuliła ją w milczeniu. Z pewnością zrozumiała wszystko, czego nie wypowiedziały słowa.

Przyszłość Rosamunde była teraz na stałe związana z Wenscote. Dziecko, przyczyna wszystkiego, musi wychowywać się właśnie tutaj, wyrosnąć na prostego właściciela majątku z Yorkshire, który pokocha tę ziemię i na niej zostanie. Zawsze o tym wiedziała,

znała konsekwencje swojej decyzji i zaakceptowała je. Jednak nigdy nie spodziewała się, jakie cierpienie ta akceptacja może wywołać.

Panie Boże, spraw, by Brand nie przyjechał ze swym bratem - pomyślała. - Nie każ mi znowu przebywać w jego pobliżu.

Brand jechał przez Wensleydale w kierunku Arradale House. Obok niego podróżował Bey, lecz powozy ze służbą i bagażami zostały daleko w tyle. Zdecydował się na ten wyjazd w ostatniej chwili i był w nastroju do szybkiego galopu. Poprzednio odwiedzili kilka stadnin wokół Leyburn, by zaspokoić zainteresowanie Beya końmi wyścigowymi, lecz celem Branda było poznanie hodowli koni pociągowych, które znajdowały się - jak słyszał - w bardziej oddalonych na północ rejonach doliny.

Oczywiście nie przemierzał tych terenów w nadziei, że napotka pewną damę zainteresowaną hodowlą tych zwierząt. Damę, która nie lubi patykowatych nóg, zaś woli silne konie pociągowe...

Skrzywił usta, myśląc o własnej głupocie. Każdego dnia szukał jej bez wytchnienia, chociaż sam nie wiedział, co by zrobił, napotkawszy na swej drodze „lady Richardson”.

Upewniłby się, że ona jest bezpieczna?

Przytulił ją?

Uwiódł?

Uduślił?

- To dobry kraj - zauważył Bey, gdy przez jakiś czas jechali stępą obsypaną listowiem miedzą, oddzielającą pola skoszonych zbóż. - Lecz niedługo zrobi się tu ciężko.

Tak. Na niedalekich wzgórzach tu i ówdzie wyrosły już działowe mury z szarego kamienia.

- Owczy kraj - rzekł Brand. - A przecież owce to nic złego.

- Jeśli chodzi o delikatną jagnięcinę, z pewnością nie.

- Tak samo ma się rzecz z wełną. Hodowla owiec zawsze była podstawową dziedziną rolnictwa w Anglii. - Brand się rozejrzył. Znajdowali się w rozległej na wiele mil żyznej dolinie. - Podoba mi się tu. Na tych wrzosowiskach naprawdę można zaznać odosobnienia.

- Może powinienem być posłać cię do marynarki?

- Bo tam miałbym szansę odczuć prawdziwą samotność? - odparł Brand z uśmiechem. - Stały ląd w zupełności mi odpowiada.

- Nigdy bym się nie domyślił - rzekł sucho Rothgar. - Ale w tych okolicach można być nawet zbyt osamotnionym. Zwłaszcza jeśli ktoś cię porzuci nieprzytomnego w szczerym polu.

Brand westchnął.

- Dajże już spokój.

Trudno było mieć nadzieję, że Bey zapomni o ataku na członka rodziny, ale Brand miał już dosyć kłótni na ten temat. Już przypomniał sobie wszystko, co się zdarzyło, wszyściutko, i zdecydował, że musi o tym zapomnieć, bo inaczej zwariuje. Ona z pewnością nie czuła tak jak on, bo w przeciwnym razie nigdy nie podałaby mu do wypicia tej mikstury.

- Nie jesteś jeszcze gotów do działania?

Brand po prostu dźgnął konia, który skoczył do przodu lekkim galopem.

Przedtem kusiło go, by przekazać bratu wszystko, co wie, i pozwolić mu na dokonanie aktu zemsty. Zaskrzyła sobie na to, zdradziecka wiedźma. Lecz po-

tern otrzymał ten smutny list, który odesłano mu z Londynu. Wtedy złość ustąpiła miejsca rozpaczy.

Tak czy inaczej, nie mógł zignorować faktu, że został sporządzony na papierze z zajazdu „Pod Trzema Beczkami”, w dodatku tym samym charakterem pisma, co wiadomość dostarczona przez panny Gillsett. To była albo lady Richardson, albo jej kostropata służąca, lecz obie znikły jak postacie z bajki. Przechyrzyły nawet Beya, co było niespotykanym osiągnięciem.

Lecz jakie to miało znaczenie?

W liście stało napisane, że nie ma żadnej nadziei.

Gdyby tylko było to takie proste. Bezustannie kłóły się w nim marzenia, wściekłość i pytania, zasnuwając mgłą słowa w książkach lub cyfry w rachunkach, absorbując jego myśli w połowie wypowiedzanego zdania.

Nie był w stanie oprzeć się pokusie odbycia długiej podróży do Arkengarthdale, do stojącego na odludziu domu ekscentrycznych siostr Gillsett. Miał nadzieję, że czegoś się tam dowie. Chociaż były stare, musiało istnieć jakieś powiązanie.

Gruboskórne starsze damy nie zdradziły, kto przekazał im wiadomość. Jednakże obie zdumiewająco zgodnym duetem wypowiadały się o mężczyznach flirtujących z zamężnymi kobietami, usiłując odciągnąć je od prawowitego małżonka i dzieci.

Dzieci.

Wcześniej nie wyobrażał sobie swojej damy z dziećmi, więc odjechał stamtąd w stanie dużego szoku.

Przecież wtedy próbował skusić ją do opuszczenia o wiele starszego, zaniedbującego ją męża, lecz czy mógł odebrać ją dzieciom i odebrać dzieciom matkę? Nie miał wątpliwości, że jest kochającą i ukocha-



ną matką. Może to właśnie była owa nieprzekraczalna, oddzielająca ich bariera. Bariera, którą musi uszanować.

Mimo wszystko Brand był Mallorenem z krwi i kości. Musiał poznać prawdę. Jadąc przez Arkengarthdale, nawiązywał rozmowy z mieszkańcami i dowiedział się, że starsze damy nie miały bliskiej rodziny, w każdym razie z arystokratycznym tytułem. Nikt zaś nie słyszał o lady Richardson. To była ślepa uliczka i kolejny dowód, potwierdzający, jak sprytna była jego dama. Powrócił do Thrisk ogarnięty jeszcze większym szacunkiem dla jej determinacji i przebiegłości, a zarazem goryczą z powodu jej utracenia. Nigdy nie był romantykiem, nie wierzył w koncepcję „jedna i tylko jedna”, lecz teraz czuł się tak, jakby jakaś jego część umarła. Bohaterka czy wiedźma, zawładnęła nim. Pomimo brutalnego potraktowania, nie uwolnił się spod jej wpływu. Teraz poświęcał większość czasu na pracę, korzystając z każdej sposobności na podróż, byle tylko zapełnić czymś puste dni. Oczywiście pomimo wszystkich postanowień o zapomnieniu, gdziekolwiek był, nie ustawał w poszukiwaniach. Szukał kostropatej służącej. Damy, która wydałaby się znajoma. Domu, gdzie spędził dwa dni i stracił swoje życie.

Jednak każde drzewo wyglądało tak samo jak setki innych, a z okna swego więzienia nie widział nic więcej. Drzewa, mały ogród oraz ślad przebiegającej w pobliżu spokojnej drogi. Zorientował się, że teraz robi to samo. Szukał w otoczeniu pobliskiego domu czegoś znajomego. Do licha, przecież jego więzieniem nie była czteroizbowa chata, lecz duża budowla.

A teraz wszystko skończone. I dobrze. Miał swoje życie.

Droga rozwidlała się. Prawa odnoga prowadziła do Aysgarth i Hawes, lewa zaś ku Arradale House.

Wybrali tę drugą. Przez pewien czas krajobraz się nie zmieniał. Potem zobaczyli żywopłot, rosnący wzdłuż wijącego się traktu, zaś w oddali, między drzewami, wielki dom.

Brand zatrzymał konia.

- To pewnie Arradale.

Bey również stanął.

- Robi wrażenie, szczególnie jak na tę część Anglii. - Wskazał szpicrutą znajdujące się dalej wzgórze. - To zapewne ruiny rodzinnego domu sprzed kilku pokoleń. Zamku Arradale.

- Znaczna forteca o strategicznym położeniu.

- Rodzina uzyskała te ziemie tuż po najeździe, dzięki krwawej robocie człowieka znanego jako Żelazna Ręka. Tytuł hrabiowski nadano mu za wierność Stuartom.

- Rozumiem, że także prawo do dziedziczenia w linii żeńskiej.

- Człowiek ten był faworytem króla Karola Drugiego, a miał tylko córki. Zamek uległ zniszczeniu podczas wojny, więc nowy hrabia zbudował bardziej nowoczesny dom.

- Aby wszystkim było wygodniej. - Brand ruszył stępa. - Czy ty kiedykolwiek spotykasz się z kimś, nie zasięgnąwszy o nim zawczasu języka?

Bey uniósł brwi.

- A czy ty odwiedzasz majątki, nie dowiadując się wcześniej czegoś o okolicznych terenach?

- Słusznie. To właśnie robiłem, gdy zostałem porwany.

- Moje działania wywiadowcze są bezpieczniejsze i wykonywane przez innych. Tobie też to polecam. Zmarły niedawno hrabia ożenił się z miejscową kobietą niższego stanu, Sarah Ludley. Pozwolono na to tylko dlatego, że był drugim synem. Jednak starszy

brat zginął w wypadku karety, zanim się ożenił. Związek ten jest podobno szczęśliwy mimo różnicy pochodzenia. Urodziło się z niego jedno dziecko, córka. Hrabina jest wciąż młoda. Została dziedziczką trzy lata temu, jako dwudziestodwuletnia kobieta.

- Trzy lata starsza od ciebie, gdy przejąłeś tytuł - zauważył Brand.

- Byłem bardzo młody.

Brand obawiał się, że to może być prawda. Bey był obecny, gdy jego matka zamordowała własne dziecko, lecz jako młody człowiek nie umiał temu zapobiec. To ukształtowało całą przyszłość. Brand wiedział, że właśnie dlatego brat z trudem powstrzymał się od ścigania każdego, kto zaatakował rodzinę. Zawsze występował w jej obronie z powodu tego dzieciątka, którego obronić nie zdołał.

- Ona poważnie podchodzi do swych obowiązków - podjął Bey, najwyraźniej nieporuszony. - Ludzie w tej części Yorkshire mają dla niej szacunek, chociaż chyba nieco jej pobłażają. Podobno kiedyś nie zachowywała się jak należy.

- Mała diablica?

- Każdemu należy się trochę beztroski w młodości.

- Nie przypominam sobie, żebyś nam na nią pozwalał - drażnił go Brand.

- Za dobrze znałem niebezpieczeństwa.

Brand wrócił do bezpieczniejszych tematów.

- Więc jakim człowiekiem jest teraz owa zwariowana hrabina?

- Ma silną wolę i dużo determinacji. Nie chce wyjść za mąż, chociaż, naturalnie, nie odstępują jej zalotnicy. Ta kobieta jest właścicielką i ma pod swoją kontrolą znaczną część północnych terenów.

- Skoro sam też nie zamierzasz brać ślubu, nie powinieneś się czepiać.

- Nigdy się nie czepiam. Lecz lady Arradale jest wciąż młoda, więc z pewnością nie może się opędzić od natrętów.

- A ty, stary dziadek, masz święty spokój.

- Gdyby to tylko była prawda. Politycznie hrabianka sympatyzuje ze stronnictwami pokojowymi. W tym aspekcie ma podobne stanowisko do króla. Kocha Kościół i zabawę, natomiast zdecydowanie przeciwstawia się sekcje Cottera.

- Powinna zdobyć twe serce.

- Nie opowiadaj głupstw. Ma wszakże jedno dzwactwo. Chce zająć miejsce pośród mężczyzn podobnej rangi jak równa z równymi, a nawet zmienić panujące obyczaje, aby posiadaczki tytułu para, takie jak ona, mogły zasiadać w parlamencie.

- A więc równouprawnienie? Może chce zostać członkiem męskich klubów i palić fajkę?

- Nie mam pojęcia, czy jej plany sięgają tak daleko. Ale możesz być pewien, że w czasie naszej wizyty, na ile to możliwe, będę ją traktował jak równego mi mężczyznę. Tobie też radzę.

- Biedactwo. Czasem wychodzi z ciebie prawdziwy diabeł i manipulator.

- Mam nadzieję, że nie czasem, ale cały czas. Tym sposobem zbudowałem naszą potęgę.

Brandowi nagle zrobiło się żal młodej hrabiny.

- Nie krzywdź jej, Bey. Wiesz dobrze, że jeśli tylko chcesz, potrafisz być uwodzicielski.

Bey dziwnie na niego spojrział.

- Mój drogi, nigdy nie uwodzę mężczyzn mego stanu.

Brand się roześmiał. Widzieli już bramę, wspaniały kamienny łuk z przybudówką. Wrota z kutego żelaza stały otworem. Ich obecność była pozbawiona sensu, skoro posiadłości nie otaczał mur, jednak dobitnie świadczyły o bogactwie i wpływach.

- Na rozkaz milady bramę zrekonstruowano kamień po kamieniu, aby wyglądała na zamkową - powiedział cicho Rothgar, gdy podjeżdżali. Odźwierny już wybiegł do nich, by złożyć ukłon i zaprosić do środka. - Złudzenie majestatu?

- Tak jak mówiłem. Boski przeciwnik.

- Będzie mocne starcie.

Za chwilę rozległ się dźwięk rogu zwiastujący przybycie znakomitych gości.

Podjazd do domu Arradale biegł prosto między rzędami równo rosnących lip. Jednak po bokach zmieniono nieco krajobraz, tworząc miłe dla oka widoki. Tu zbudowano mały kamienny mostek na końcu jeziora. Tam przez starannie rozstawione drzewa widać było niewielką grecką świątynię. Jelenie skubały trawę, jednocześnie zapobiegając rozrostowi dolnych konarów lip.

Dom stanowił jednorodną bryłę, nie posiadał schodów wiodących pod górę ku głównemu wejściu. Z obu stron podeszli służący, aby zabrać konie, zaś drzwi otworzył ubrany w liberię lokaj. Brand się uśmiechnął. Być może te wielkopańskie obyczaje funkcjonują tu na co dzień albo też hrabina pragnęła zrobić wrażenie na markizie Rothgarze.

Weszli do wyłożonej boazerią sali, gdzie na ścianach wisiało dość broni, by wyposażyć znaczny oddział. Hrabina już na nich czekała. A przynajmniej kobieta pełniąca honory domu. Stała wyprostowana, z podniesioną głową i łaskawym uśmiechem. Pomimo uroczo kobiecej żółtej sukni i frywolnego, modnego fartuszka z muślinu i koronki, pomimo lśniących, kasztanowatych loków przykrytych kompozycją koronek i wstążek, które trudno byłoby nazwać czepkiem, z kobiety wyraźnie emanował duży autorytet. Brand zastanawiał się, czy to jej zwykła fryzura, czy

też jednorazowy specjalny pokaz. Cóż, należało oczekiwać, że ta dama nie porzuciła swej determinacji, by pozostać niezamężną, a więc zdecydowała nałożyć ten śliczny czepek dla markiza!

- Jesteśmy zaszczyceni i szczęśliwi, że możemy gościć pana, lordzie Rothgar, tutaj, w Arradale - powiedziała, wyciągając rękę na powitanie.

W tym momencie Brand zauważył pierścionki połyskujące beczelnie w promieniach słońca. Zdecydowanie za dużo pierścionków, a wszystkie ogromne. Zagadkowa ta lady Arradale. Mogłaby zabawić Beya i odwieść go od zajmowania się sprawami Branda.

Brand pocałował jej dłoń, zaś ona poprowadziła gości do wielkich schodów prowadzących na balkon ogrodzony kolumnami z różowego marmuru, który jaśniał ciepło w blasku popołudniowego słońca.

- Zaprosiłam kilku gości, aby zostali z nami przez parę dni, szanowni milordowie. To ludzie, którym będzie bardzo miło panów poznać, i z którymi również milordowie na pewno z przyjemnością się zaznajomią. Jutro wydajemy bal. - Znaleźli się na balkonie, gdzie czekała kolejna grupa służących. - Teraz lokaje zaprowadzą panów do ich pokoi, aby mogli się panowie odświeżyć, ale może później milordowie zaszczycą nas swym towarzystwem w salonie.

- Jeśli tylko wybaczy nam pani strój do konnej jazdy, lady Arradale - powiedział Bey. - Znacznie wyprzedziliśmy wozy z bagażami.

- Oczywiście, milordzie.

Była uosobieniem uprzejmej gospodyni, zaś Bey wyrażał się bardzo gładko. Brand czuł się tak, jakby gdzieś w jego głowie zadźwięczał dzwonek alarmu, chociaż nie miał pojęcia dlaczego. Być może szukała męża.

Gdy Brand znalazł się sam w swoim pokoju, westchnął ciężko. Wydało mu się, że przyjazd tutaj jest pomyłką. Przyjęcie i bal. Mimo że lubił dobre towarzystwo, nie miał cierpliwości do takich sztucznych spotkań. Myjąc się i doprowadzając do porządku, wpadł na pocieszającą myśl, że wkrótce będzie mógł zażywać codziennych przejażdżek po okolicy. Niech Bey udziela się towarzystwo z hrabiną, nie trzymając nikogo za rękę.

Wytarł twarz i uśmiechnął się na wspomnienie nieco ironicznej rozmowy, którą odbyli po drodze. Hrabina raczej nie jest w typie Beya, ale może być warta podchodów. Niestety, mało prawdopodobne, by się ze sobą starli. A mogłoby to być niezwykle zabawne.

Zawiązując fular, zastanowił się, dlaczego ona nosi tyle pierścionków. Nie był ekspertem w tej materii, ale nie robiły wrażenia zbyt cennych. Po prostu były duże i oszlifowane, aby ładniej błyszcząły... Znieruchomiał. Coś mu zaczęło świtać.

Pierścionki?

Po chwili pokręcił głową.

Poszedł po brata, a potem obaj zeszli na dół, gdzie lokaj zaprowadził ich do ładnego salonu udekorowanego w najnowszym, chińskim stylu. Hrabina ponownie wyszła im naprzeciw, żeby się przywitać i przedstawić gościom. Brand nieco się uspokoił. Chociaż w większości przedstawiciele klasy wyższej raczej byli ziemianami niż bywalcami dworu, a więc mogli mieć te same zainteresowania co Brand. Widział, jak brat obserwuje hrabinę, a potem jakby czegoś w niej szuka. Przestał o tym myśleć.

Usiadł w grupie mężczyzn o rumianych twarzach i zaczął słuchać, co opowiadają o hodowli zwierząt w Wensleydale.

## Rozdział XVIII

**W** Wiedząc, że bardzo chciał tam pojechać, Rosamunde w końcu sama namówiła Digby'ego, aby wybrał się na przyjęcie u Diany. Wiedziała, że powinna raczej zatrzymać go w domu, lecz on uwielbiał podobne imprezy. Od ślubu tyle razy zostawał z nią w Wenscote, a ona nie zawsze dostatecznie doceniała to poświęcenie.

Niech ma przyjemność i spotka się ze starymi znajomymi. Cóż w tym złego? Przecież nic nie wiedział o jej powiązaniu z markizem Rothgarem.

Nie umiała powstrzymać się od spekulacji, czy Brand towarzyszy swemu bratu. Czuła, że powinna wiedzieć, jeśli on znajdzie się w pobliżu, ale przecież to nonsens. Lepiej nie wiedzieć. Nie była pewna, czy umiałaby oprzeć się pokusie, by przynajmniej spróbować go zobaczyć.

Szczególnie ucieszyło ją, że Digby'ego nie było w domu, gdy ponownie zjawił się Edward. Jak zwykle przybył o zmierzchu, więc nie można go było odesłać w dalszą drogę. Przynajmniej tym razem nie towarzyszył mu George Cotter.

- Digby jest nieobecny - powiedziała z satysfakcją, prowadząc go do pokoju, który zwykle zajmował.



- Nieobecny? Rzadko wyjeżdża z domu.
- Przebywa w Arradale. Hrabina wydaje przyjęcie z balem jutro wieczorem na cześć markiza Rothgara.
- Nie mogła się powstrzymać, więc dodała: - Wyda-  
je mi się, że markiz przebywa na północy, żeby przy-  
rzyć się bliżej działalności Nowego Państwa.

Edward, schludnie i cnotliwie odziany, położył torbę na łóżku.

- Jeśli zacznie się przyglądać, ujrzy jedynie mą-  
drość dla swej przeklętej duszy.

- Przeklętej? Tylko dlatego, że zadaje pytania?

- Przeklętej, ciotko, ze względu na jego grzeszne  
życie. George Cotter wie wszystko o markizie i jego  
pytaniach. Wcale się ich nie obawia.

Jego spokój i pewność absolutnej cnoty zawsze  
sprawiały, że chciała mu powiedzieć coś złośliwego.  
Odwróciła się, aby wyjść, lecz jeszcze ją zatrzymał.

- Rozumiem więc, że wuj jest w dobrym zdrowiu,  
skoro czuje się na siłach, by dogadzać sobie na przy-  
jęciach i balach?

A, więc tu go boli.

- Nie sędzę, by tam tańczył - odparła obojętnie -  
ale jest w niezłej formie. Zdaje się, że poszedł  
za twoją radą i prowadzi prosty, zdrowy tryb życia.

- Zatem Bóg wysłuchał moich modłów. - Gdyby  
nie wiedziała lepiej, mogłaby mu nawet uwierzyć. -  
A ty? Słyszałem, że przestałaś gnuśnieć i częściej wy-  
jeżdżasz z domu.

Faktem jest, że namawiał ją do wyjścia na świat.  
Edward posiadał dar dawania dobrych rad w sposób,  
który sprawiał, że były nie do przyjęcia.

Lecz wtedy po raz pierwszy przyjrzał się jej uważ-  
nie.

- Co to takiego, ciociu? - podszedł bliżej. - Jakiś  
cud? - Nagle zeszytniał. - Farba na twarzy?

Skrywając nagły przypływ satysfakcji, Rosamunde dotknęła policzka.

- To? A, tak. Wspaniała, prawda?

Uniósł szczupłą dłoń, jakby chciał odpędzić diabła.

- Powinnaś zaakceptować się taką, jaką stworzył cię Bóg!

- Bóg nie stworzył mnie z bliźniami.

- Wola Boska przejawia się we wszystkim. - Wziął Biblię i trzymał ją przed sobą, jakby potrzebował osłony. - Czemu więc, po tej haniebnej transformacji, nie jesteś w Arradale ze swoim mężem, płasząc i tańcząc, pokazując ciało odziane w lubieżne jedwabne szaty?

- Z powodu zwykłego tchórzostwa. Nadal nie czuję się komfortowo w obecności obcych, więc wymówiłam się złym samopoczuciem. Chciałabym być odważniejsza. Aby płaszać i tańczyć w jedwabnych szatach.

Westchnął.

- Ciotko, wiem, że nie popierasz mej sprawy, lecz czy nie widzisz, jak grzeszny zrobił się ten świat, ile trzeba w nim zmienić? W Lancashire ludzie płakali, słuchając George'a Cottera, słuchając prostych rad z Biblii, które pomogą im prowadzić uczciwe życie w trzeźwości. Przecież nie brak ci rozsądku. Spójrz na Anglię! Rządzą nami królowie i arystokraci, którzy afiszują się ze swymi kochankami, co wieczór upijają się do nieprzytomności, przegrywają w karty swe dziedzictwo, nie myśląc wcale o mieszkańcach ziemi, o którą grają. Czy naprawdę myślisz, że dzika ekstrawagancja w Arradale, że ludzie tacy jak markiz Rothgar, maskarady, nieumiarkowanie w picciu, niegodziwość cudzołóstwa...

- Przestań! - przerwała mu, zanim zdążyła ugryźć się w język. Jakby mówił właśnie o niej. - Na Boga -

powiedziała drżącym głosem. - Szybko uczysz się profesji. Gwarantuję ci, że przemawiając z ambony wywołasz poruszenie wśród słuchaczy.

Wyprostował się dumnie.

- Tak, mam nadzieję, że słowa spływają do mnie prosto od Boga. Lecz nie z ambony. Za przykładem naszego przywódcy przemawiamy z poziomu ziemi do tych, którzy chcą nas słuchać. Na przykład w stodole, w sali, nawet w polu. - Zbliżył się o krok i ujął jej dłoń. - Czy mogę mieć nadzieję, że moje słowa trafiły do ciebie, ciotko? Że być może pewnego dnia ujrzysz nowe światło?

Na swój sposób pewnie był szczery.

- Zgadzam się, że nadmierne picie i hazard są złe. A także cudzołóstwo. Ktoś, kto przywraca ludzi do uczciwego życia w trzeźwości, czyni dobro. Ale wiesz, że nie mogę się zgodzić ze wszystkim, co dotyczy Nowego Państwa. Radość nie jest złem. Taniec to nie grzech. Powinniście być bardziej tolerancyjni.

- Słudzy Boży muszą być jak skała. Nie ma miejsca na półśrodki. My, członkowie Nowego Państwa, zmienimy Anglię w Jerozolimę, kawałek po kawałku. Kiedy zostanę tu panem...

Wyrwała rękę.

- Kiedy?

- Ciotko! Pewnego dnia wszyscy zmienimy się w proch, zapomnimy o doczesnych dobrach. Dlatego też pewnego dnia to będzie moje, i chyba niedługo. Twoje poświęcenie jest godne podziwu, szczególnie wobec starego człowieka, który niewątpliwie wzbudza twój wstręt...

- Jak śmiesz!

- Spokojnie. Powiedz prawdę. W sposób godny podziwu wypełniasz obowiązki, co należy ci policzyć

jako zasługę, lecz gdybyś przez własną głupotę nie zniszczyła swego wyglądu, nie wżeniłabyś się tutaj.

Wzdrygnęła się, słysząc gorzką prawdę.

- Kocham Digby'ego, zaś on nawet w najmniejszym stopniu nie wzbudza we mnie wstrętu. Za to ty wzbudzasz! Tyle gadasz o Bogu i grzechu, tak starannie studiujesz Biblię, ale zapomniałaś, że Chrystus nawoływał do miłosierdzia i pokory!

Z tymi słowy wyszła, lecz idąc do kuchni, by sprawdzić przygotowania do kolacji - i powiedzieć Polly, aby zsunęła górę sukienki o kilka cali w dół - zrozumiała, że powinna była się opanować. Jedynym sposobem na postępowanie z Edwardem pozostawała tolerancja, a następnie jak najszybsze wyprawienie go w dalszą drogę.

Nie mogła powstrzymać drżenia na myśl o jego reakcji, gdyby wyjawiała, że jest brzemienna. Bogu dzięki, że Digby będzie u jej boku.

Próbując zupy, Rosamunde nie umiała przestać myśleć o imprezie w Arradale. Przyjęcia u Diany zawsze były wspaniałe. Miała nadzieję, że Digby zachowa umiar w jedzeniu i picciu, chociaż pewnie nie przyjdzie mu to łatwo. Ciekawe, jakie wrażenie zrobi na nim lord Rothgar. Chętnie wysłucha jego opinii. Ciekawe, co pomyśli o Brandzie...

Nie! Nie będzie o nim myślała.

Brand siedział odprężony przy długim stole, popijając świetną brandy. Czuł się pełny, lecz nie było to niemiłe, gdyż jedzenie okazało się naprawdę znakomite. Kilka chwil temu damy przeszły do salonu na herbatę, zaś panowie wyjęli tabakę i fajki. Chociaż gliniane fajki nie były niespotykane, Brand chy-

ba nigdy nie widział aż tyłu w tak wspaniałym wnętrzu po wystawnym posiłku. Był zauroczony.

Towarzystwo również było przyjemne. Brand przyjął zaproszenie od sir Malcolma Bursetta, żeby obejrzeć jego owce, a także od lorda Fencotta, aby odwiedzić stadninę, której był właścicielem. A potem pewien entuzjastyczny, młody wicehrabia zaciągnął go na drugą stronę stołu do starszego mężczyzny o rumianej twarzy.

- Ponieważ interesuje się pan końmi do pług, mi lordzie, musi pan poznać sir Digby'ego Overtona, który stosuje w hodowli doskonały program...

Pociągający fajkę, sir Digby, był typowym ziemianinem. Miał siwe włosy, krzaczaste brwi, rumianą skórę. Był mocnej budowy, jak angielski buldog - o szerokiej piersi, mocnej szczęce, lecz zbyt obrosł tłuszczem. Czerwona twarz świadczyła o tym, że nie żałował sobie mocnych trunków; tryskał humorem. Brand przypuszczał, że ktoś taki jak on pewnego dnia przeniesie się na tamten świat, doznając śmiertelnego ataku, lecz tymczasem w pełni zażywa doczesnych przyjemności.

- Lord Brand - powiedział na powitanie. - Słyszałem, że mimo pańskiej pozycji, jest pan mocno związany z ziemią.

- Dziękuję, sir Digby. Co do pozycji zaś - zajął miejsce, które ktoś dla niego zwolnił - jestem młodszym z synów i przez to zmuszonym do wykonywania użytecznej pracy.

- Szkoda, że wszyscy nie są zmuszeni - rzucił bezceremonialnie starszy mężczyzna. - Z pańskich sfer wywodzi się wielu utracjuszy i nicponi.

- Właśnie dlatego mój brat przysposobił nas wszystkich do pracy. Rozumiem, że jest pan właścicielem ciekawej stadniny.

- A, o to chodzi.

Napełnił swój kielich i podsunął karafkę Brandowi, który przyjął propozycję dla towarzystwa.

- To takie małe hobby mojej żony - stwierdził baronet - ale okoliczni mieszkańcy wolą postrzegać je jako moją pracę. Proszę nie pomyśleć, że praca kobiet przy rozplodzie zwierząt jest czymś zwykłym. Oczywiście płodzenie dzieci to już zupełnie inna sprawa. - Zakaszał i jednym haustem opróżnił pół kielicha, najwyraźniej zmieszany. Brand z trudem opanował uśmiech. Tacy ludzie jak sir Digby mogli dyskutować bez zmrużenia oka o klaczach czy owcach, ale dławili się, gdy przyszło im mówić o swych żonach w serdeczny sposób.

- Widzi pan, milordzie, my prowadzimy spokojne życie - podjął szybko mężczyzna - więc moja żona ma czym się zająć. To wspaniała dziewczyna, moja Rosie. Lubi coś robić.

Brand z przyjemnością wyobraził sobie kobietę podobną do bezceremonialnych panien Gillsett.

- Rozumiem, że nie czuła się na tyle dobrze, by wziąć udział w tym przyjęciu.

- W rzeczy samej, milordzie. - Ściszył głos. - Kobiece sprawy, pan rozumie.

Brand zdumiał się. Zakładał, że lady Overton ma już za sobą wiek, gdy dokuczają „kobiece sprawy”. A może poza oczywistą dolegliwością było coś jeszcze.

- Miałem nadzieję odwiedzić pana stadninę, lecz nie chcę narażać lady Overton na niedogodności.

- Jakie niedogodności? Żadne takie, milordzie. Ona raczej niechętnie widuje obcych...

- No cóż, w takim razie...

- Ale ostatnio to się zmieniło. Wiem, że bardzo by pragnęła porozmawiać o swoich koniach z kimś zainteresowanym tematyką. Muszę przyznać - powie-

dział wstydliwie - że sam nie dostrzegam piękna w tych ogromnych bestiach. Oczywiście, są użyteczne, ale nie stanowią ładnego widoku. Tylko proszę jej tego nie powtarzać.

- Jeśli jest pan pewien, że nie miałyby obiekcji...

- Nie Rosie. Ona mówiłaby o swoich ukochanych koniach nawet leżąc na łożu śmierci!

Musiał zrobić dziwną minę, bo sir Digby roześmiał się i znowu napełnił mu kieliszek.

- To tylko taka metafora, milordzie, zapewniam pana. Jest zdrowa jak rydz, Bogu Najwyższemu dzięki! - Westchnął, odsuwając swój również pełny kieliszek. - Modłę się tylko, aby i dla mnie był tak łaskawy. Rosie dałaby mi porządną reprimendę, gdyby widziała, że tak dużo piję.

- Bardzo o pana dba, prawda?

- Tak, ma złote serce. - Wydawało się, że patrzy gdzieś daleko, po czym wyjął śnieżnobiałą chustkę, którą otarł oczy. - Dobra z niej żona. Oby i panu Bóg zesłał równie wspaniałą, milordzie.

- Także się o to modłę. - Branda najwyraźniej wzruszyło to pełne miłości małżeństwo.

Sir Digby energicznie wydmuchał nos.

- Proszę do nas wstąpić o dowolnej porze, milordzie. Kiedy tylko pan zechce. Prowadzimy spokojne życie, ale w Wenscote zawsze będzie pan mile widziany, zaś moja Rosie będzie uszczęśliwiona, gdy spotka podobnego sobie entuzjastę hodowli.

Brand najchętniej skorzystałby z tego zaproszenia już nazajutrz rano. Przynajmniej oderwałby się od tych wszystkich ludzi. Niczym melancholijny poeta, miał silne inklinacje do samotności, może nawet do spędzenia cikliwego wiersza.

Jednak przyjęcie przysłużyło się sprawie Beya. W typowy dla siebie sposób szukał w rozmowach

i plotkach wzmianek o Nowym Państwie, jakiegokolwiek aluzji, że ziemiaństwo w tajemnicy bierze udział w działalności sekty. Miał doskonałą pamięć, rzadko zapominał drobne szczegóły, co zyskało mu reputację wszechwiedzącego. Co było niemalże zgodne z prawdą, i co rodzina wielokrotnie miała sposobność stwierdzić.

Gdy mężczyźni wreszcie wstali, aby przejść - niezrządkiem chwiejnym krokiem - do salonu, by dołączyć do słabszej płci, Bey znalazł chwilę na dyskretną rozmowę z bratem.

- Dowiedziałeś się czegoś coś ciekawego o naszych świętych przyjaciołach?

- Jedynie historie, które potwierdzają to, co już wiemy. Jako głosiciele wiary, dorównują popularnością Wesleyowi. On też jest w tej okolicy, wiesz?

- Ma z nimi jakieś koneksje?

- Żadnych, ale przypuszczam, że na swój sposób wstrząśnie angielskim ludem. Zresztą ludowi przyda się porządny wstrząs. Ruch Wesleya to coś zupełnie innego niż Nowe Państwo. Nie ma tak fanatycznej kontroli nad członkami, nie ma żądzy ziemi. A sekta Cottera planuje odziedziczyć jakiś majątek w tej okolicy.

- Odziedziczyć? Poprzez testament?

- Nie za zgodą właściciela. Diedzic jest członkiem sekty, więc gdy obecny właściciel umrze, wszystko przejdzie na rzecz Nowego Państwa.

- Nie można zmienić testamentu?

- Majątek jest od dawna objęty zapisem. Nazywa się Wenscote.

- Wenscote? - Brand spojrział na sir Digby'ego, który ociężałe wchodził po schodach, najwyraźniej osłabiony wypitym trunkiem. Oddychał ciężko. - W tej sytuacji Nowe Państwo zapewne nie będzie



musiało czekać zbyt długo. To jest obecny właściciel. Sympatyczny dżentelmen, ale on jest na prostej drodze do ataku serca. Nie sądziłem, że ktoś taki może wychowywać syna na członka sekty.

- Nie chodzi o syna, lecz o bratanka. - Rothgar spoglądał na starszego mężczyznę. - Nic dziwnego, że oni wszyscy wydawali się pełni obaw.

- Szkoda, że jego żona jest za stara, żeby mieć dzieci.

- Czyżby? Ktoś powiedział, że może istnieje jeszcze promyk nadziei.

- „Nadzieja matką głupich”? Zrozumiałem, że ona jest prawie w jego wieku, lecz być może kobieca dolegliwość, która zatrzymała ją w domu, jest bardziej oczywistej natury.

- Wobec tego, niestety, nie jest brzemienna. A nawet jeśli istnieje mała szansa, po tylu bezdziejnych latach raczej należy z tym uważać. Wszyscy tutaj są mocno przeciwni Nowemu Państwu. - Zaczęli wchodzić po schodach. - Być może z wyjątkiem naszej gospodyni.

- Hrabiny? Nie wydaje się kandydatką...

- W krótkiej rozmowie wyraźnie wystąpiła za sprawą moralności, trzeźwością i pracowitością.

- Czyż my wszyscy nie uważamy podobnie?

- Chyba nie, jeśli myślimy o sobie samych. A jej stwierdzenie było skierowane wyraźnie w moją stronę.

Brand roześmiał się, lecz i zastanowił, czy nie powinien ostrzec hrabiny przed skrzyżowaniem mieczy z jego bratem. W szermierce na słowa rzadko można było mu dorównać. Wzruszył ramionami. Bey nie skrzywdziłby kobiety, zaś jeśli ona cokolwiek knuła, to zasługiwała na dobrą lekcję.

Następnego dnia Brand stwierdził, że hrabina przygotowała różne miłe atrakcje. Należało tego oczekiwać, lecz nie był zachwycony, gdy stanowczo skierowała go ku rzece Arra, gdzie goście próbowali łowić pstragi.

- Sądzi pani, lady Arradale, że wędkowanie jest moim ulubionym zajęciem?

Spojrzała spod uroczego kapelusza z płaskim rondem, ozdobionego nagietkami.

- A nie jest? Wszyscy dżentelmeni...

- Ja mógłbym powiedzieć, że wszystkie damy lubią wyszywać.

Obrzuciła go ostrym spojrzeniem, a on sam nie wiedział, po co z nią polemizuje.

- Umie szyc - powiedziała. - Nauczono mnie wszystkich niewieścich sztuk.

- Zaś ja potrafię łowić ryby. Jednak w tej chwili nie mam na to ochoty. Jeśli nie sprawi to pani kłopotu, wolałbym przejść się po pani wspaniałym parku.

Hmm, dlaczego teraz zmarszczyła czoło? Jednak nie mogła mu zabronić. Po chwili nieznacznym grymas ustąpił miejsca czarującemu uśmiechowi.

- Na pewno spodoba się panu. Są przyjemne trasy spacerowe w pobliżu rzeki - wskazała ręką w lewo.

Podziękował i poszedł w tamtym kierunku, lecz był zaintrygowany. Co też ona ukrywa? Czyżby obmyśliła jakiś plan w związku z jego bratem? Gdy tylko znalazł się poza zasięgiem jej wzroku, zmienił trasę i udał się w przeciwną stronę niż ta, którą ona mu wskazała. Ani przez chwilę nie pomyślał, że Bey może potrzebować pomocy, lecz jeśli śliczna hrabina chciała prowadzić z nim uwodzicielskie gierki, nie będzie miał nic przeciwko, jeśli ich spotka.

Jednak po pewnym czasie, gdy stanął na szczycie małego wzniesienia, podziwiając widok na położony niżej dom, ujrzał, jak hrabina opuszcza posiadłość w towarzystwie dwóch stajennych.

A więc nie miała żadnych uwodzicielskich zamiarów.

Wspaniały koń i znakomity jeździec. W dodatku jechała w męskim siodle. Patrząc na kasztanka i szkarłatną suknię, które szybko znikły z pola widzenia, pomyślał, że to wielka szkoda, iż ani jego brat, ani hrabina w najmniejszym stopniu nie są sobą nawzajem zainteresowani.

Rosamunde była w stajniach, gdy Diana podeszła do niej od tyłu.

- Rosa!

Mimo podnieconego głosu kuzynki, Rosamunde uniosła rękę.

- Cicho!

Nie spuszczała wzroku z rozgrywającej się przed nią sceny. Przez małe, pozbawione szyb okienko obserwowała zagrodę, w której jej najnowszy nabytek, flamandzki ogier o imieniu Dirk, robił podchody do klaczy.

- Co za życie! - szepnęła Diana, stając za nią. - Nic dziwnego, że ona chce uciec. Przecież on ją zabije-

Rosamunde zdała sobie sprawę, że Diana pewnie nigdy przedtem nie widziała takiego zdarzenia. Fakt, że ogier jest ogromny, zaś on i klacz są przytrzymywani - każde przez dwóch ludzi - nadał całej scenie dodatkową wymowę.

- Nie bądź głupia. Sinda flirtuje z nim już od wielu godzin jak najgorsza dziwka w całym Yorkshire.

- Nigdy nie widziałam dziwki w akcji, ty też nie. Ale chyba wiem, co masz na myśli. Ona praktycznie wpycha się na niego swoim zadem. Och!

Rosamunde wiedziała, że ten okrzyk był reakcją na to, że Sinda właśnie trysnęła strumieniem moczu. Nie robiło to wrażenia na ludziach, lecz zapewne ogier odczytał to jako „chodź, czekam”. Dirk parsknął i ruszył, by przyjąć zaproszenie.

- Sposób, w jaki zadarła ogon, wyraźnie świadczy o jej swawolnym nastroju - stwierdziła szeptem Diana w zamyśleniu. - Ciekawe, jak to wygląda u ludzi.

- Diano! - Rosamunde nie spuszczała wzroku z koni, lecz zarumieniła się, bynajmniej nie z ich powodu. - Myślałam, że masz te wszystkie książki.

- Nudno się je czyta bez... no właśnie, bez. - Diana opierała się na plecach Rosamunde, żeby mieć widok przez okienko. Jej podbródek spoczywał na ramieniu kuzynki. - Ten ogier ma całkiem dobre maniery, prawda?

- Zgadza się. Niechętna klacz mogłaby go wytrzebić jednym złośliwym kopnięciem.

- Gdyby mężczyźni byli równie dobrze wyszkoleni, albo kobiety równie hojnie obdarzone... O rany!

Dirk pokrył Sindę, chwytając ją zębami za szyję. Klacz zapiszczała, lecz przystąpiła do rzeczy równie entuzjastycznie, co jej partner. Rosamunde usłyszała zduszone chrząknięcie kuzynki i uśmiechnęła się. Sama również czuła podobne, pełne niedowierzania zawstydzenie, gdyż pierwszy raz widziała, jak ogon ogiera porusza się w harmonii z resztą jego ciała. W pewnym momencie koń znieruchomiał, a stajenni odciągnęli go od klaczy, którą natychmiast wyprowadzono z zagrody. Ogier stał niczym posąg, jakby oczekiwał owacji za swój wiekopomny czyn.

- Ach te samce - mruknęła Diana, wciąż lekko zduszonym głosem.

Rosamunde odwróciła się i spostrzegła, że twarz kuzynki poczerwieniała. Pomyślała, że pewnie sama też ma rumieniec na twarzy, chociaż z innych powodów. To było pierwsze pokrycie od nocy spędzonej z Brandem, które przywołało gorące wspomnienia, być może w jeszcze bardziej ognistej formie z powodu oparcia się Diany na jej plecach.

Niemal słyszała jego słowa. „Jeszcze? Poproszę”. Rozgrzana i drżąca, pragnęła wypowiedzieć te słowa. Do niego.

Diana wzięła ją za ramię.

- Nic ci nie jest?

- Wszystko w porządku! Dobrze im poszło, co? - spytała bez ceremonii. - To nowy ogier, więc wolałam się upewnić, że zachowa się jak należy. Są tak wielkie, że mam pewne obawy, chociaż Hextall twierdzi, że każdy koń jest wielki i niebezpieczny, więc kilka cali więcej nie ma już znaczenia.

Szczebiała bez sensu, czekając na ciekawskie pytania Diany. Ta jednak spoważniała.

- Mam dla ciebie ważną wiadomość, Rosa.

To od razu Rosamunde zmroziło.

- Jakieś kłopoty?

- W Arradale jest lord Brand.

To było mocne uderzenie.

- A tak się modliłam...

- Modlitwy nie zawsze przynoszą skutek. - Diana wyciągnęła Rosamunde na zewnątrz, koło padoku. - Prawdziwy kłopot polega na tym, że sir Digby zaprosił go tutaj, żeby obejrzał stadninę.

Rosa oparła się ciężko o drewniane bale.

- A więc już po mnie.

- Czy on cię rozpozna?

- Oczywiście! Mogłabym go oszukać w czasie przelotnego spotkania albo nawet w trakcie krótkiej rozmowy, lecz na pewno nie na dłuższą metę. Och, dlaczego nie pojedzie sobie na południe, tam, gdzie jego miejsce?

- Bo to mężczyzna. A mężczyźni nigdy nie zachowują się rozsądnie. - Diana zaczęła chodzić tam i z powrotem, uderzając szpicrutą kępy wysokiej trawy. - Będziesz musiała zostać w łóżku. To jedyna możliwość. Nic poważnego, ale wystarczająco niebezpieczne, abyś musiała to wyleżeć. Lord Brand przyjedzie tylko na parę godzin, ale przecież Digby sam może pokazać mu stadninę.

Rosamunde uspokoiła się nieco.

- To chyba mogłoby się udać. Będę musiała pozbyć się Millie na jakiś czas. Rozpoznałby ją w okamgnieniu.

Pod zewnętrznym spokojem kryła się wielka emocja. Tutaj. Tak blisko. Mogłabym go zobaczyć. Czy wytrzymam?

- A co z Digbym? - spytała, odsuwając na bok natarczywe myśli. - Jeśli udam chorą, bardzo się przestraszy, szczególnie teraz. A nigdy nie może się domyślić, kim on jest. Nigdy.

- Mówiłaś, że podobno nie miał nic przeciwko temu.

- Bo nie miał. Ale wierzy, że to się stało na maskaradzie. Anonimowo. Nie wiem, co by czuł, gdyby wiedział, kto to zrobił.

Diana objęła ją ramieniem.

- Nie dowie się. Damy sobie radę.

Jednak Rosamunde nie mogła dłużej powstrzymać pytania.

- Jak on się miewa? To znaczy Brand.

- Nie ma żadnych chorobowych objawów.
- Bogu dzięki. - Nagle poczuła inną obawę. - Ale z nas lekkoduchy! A domek wdowy?

Diana przewróciła oczami.

- Stoi jak beczułka prochu i tylko czeka na podpałkę. Nie ma powodu, żeby tam pojechał, ale jeśli to robi, na pewno rozpozna dom i otoczenie. Próbowalam pokierować go dziś w pobliże rzeki, aby połowił ryby, lecz wolał iść na spacer. Przynajmniej wskazałam mu zupełnie przeciwną stronę.

Brand stał na skraju pięknie zaaranżowanej roślinności, spoglądając na prostokątny, kamienny dom. Tak długo szukał czegoś znajomego, że aż nie wierzył własnym oczom. Oczywiście, nie miał najmniejszego pojęcia, jak dom jego tajemniczej damy wygląda z zewnątrz, ale rozkład terenu odpowiadał widokowi z tamtego okna.

Istniał tylko jeden sposób, aby się przekonać.

Poszedł ścieżką biegnącą wzdłuż drogi, przeciskając się koło krzaków jeżyn. Zerwał kilka owoców i skosztował, po czym pokręcił głową na własną głupotę. Przecież to śmieszne, by rozpoznał jeżyny na podstawie zapamiętanego smaku soku na palcach kobiety lub mocnej nalewki. W ogóle śmieszne było sądzić, że jeżyny mają jakiegokolwiek znaczenie. Przecież rosną przy każdej wiejskiej drodze.

Zdeterminowany, żeby wyjaśnić sprawę, poszedł zwawo skrótem przez trawnik w kierunku domu, szukając tylnego wejścia. Zanim jednak skrzył za rogiem, odwrócił się, aby rzucić okiem na otoczenie. Do diabła, wyglądało dokładnie tak samo.

Ale jak to możliwe? I dlaczego? Jedyłą młodą kobietą w okolicy jest hrabina, a przecież wiedział, że to nie ona była jego tajemniczą damą.

Zastukał energicznie w drzwi, które otworzyła młoda służąca. Dygnęła szybko, jednak nie okazała, że go poznaje.

- Słucham pana, sir?

- Czyj to jest dom?

- To domek wdowy, należący do majątku Arradale. Ale teraz nikt tu nie mieszka.

Wokół dziewczyny roznosił się aromat gotowanych i pieczonych potraw. Zapominając o zasadach dobrego wychowania, przepchnął się obok służącej i wszedł do wielkiej kuchni.

- Więc gotujesz dla dobrych wróżek?

Patrzyła na niego osłupiałym wzrokiem.

- Chciałam powiedzieć, że nie mieszka tu nikt wysokiego stanu, sir! Domem opiekują się pan i pani Yockenthwait.

W tym momencie do kuchni wkroczyła wysoka, szczupła kobieta, jednym spojrzeniem ogarniając całą sytuację. Czyżby w jej oczach pojawiła się chwilowa panika? Nie był pewien, czy potrafił oceniać takie rzeczy. Wszystkie jego zmysły były wyczulone na dźwięki, zapachy, przedmioty, cokolwiek, co mogłoby potwierdzić, że to właśnie jest dom, gdzie przebywał przez te krótkie, niezwykle dni.

- Tak, sir? - odezwała się, stając między nim a służącą. - Jak mogę panu pomóc?

- Pani zapewne nazywa się Yockenthwait.

- Tak jest, sir.

Taką kobietę dobrze było mieć u swego boku w razie jakiegokolwiek niebezpieczeństwa. Nie przyszło mu do głowy nic innego, jak tylko powiedzieć szczerą prawdę.



- Czy kilka tygodni temu opiekowała się pani tutaj chorym mężczyzną?

Jej twarz była jak wyrzeźbiona z kamienia.

- Tutaj, sir?

- Tak, tutaj.

Zerknął na pokojówkę, lecz ta stała z oczami wielkimi jak filiżanki. Żadnej pożądanej reakcji.

- Nie, sir - odparła pani Yockenthwait.

- Milordzie - rzucił ostro, aby przstraszyć ją swym niemającym znaczenia tytułem. - Jestem lord Brand Malloren.

Kobieta nieznacznie skrzywiła się, a nawet wzdrygnęła. Lecz odpowiedziała mu jedynie dworskim ukłonem.

- Tak jest, milordzie.

- Więc w ostatnich tygodniach nie mieliście tu żadnego gościa?

- Nie, milordzie. Jeśli opowie mi pan, co go trapi, może będę mogła jakoś pomóc.

Rozejrzał się dookoła, jakby wybielone wapnem ściany, kamienny zlew lub wiszące udźce mogły mu coś podpowiedzieć. Mimo przekonującego zaprzeczenia, jakie padło z ust gospodyni, instynkt podpowiadał Brandowi, że jest we właściwym miejscu. Kogo ona chroni? Oczywistą odpowiedzią była lady Aradale, ale to nie miało żadnego sensu, gdyż z pewnością nie była ona jego damą.

Istniał tylko jeden sposób, aby zyskać pewność. Znaleźć tamten pokój. Odsunął kobietę na bok, po czym ruszył ku drzwiom prowadzącym do pozostałej części budynku. Złapała go za rękaw ze zdumiewającą siłą i odciągnęła do tyłu. Po chwili zorientował się, że stanęła między nim i drzwiami, trzymając w dłoni ogromną żelazną patelnię.

- Co też pan sobie wyobraża, milordzie? O ile jest pan lordem, w co zaczynam poważnie wątpić! - Nie

zdążył odpowiedzieć, gdy dodała: - Jessie! Biegnij chyżo po pana Yockenthwaita, zawołaj też innych mężczyzn, jakich tylko zobaczysz.

Za wybiegającą służką trzasnęły drzwi. Brand jęknął cicho. Uniósłszy obie ręce, przemówił tak uspokajająco, jak tylko potrafił.

- Proszę wybaczyć, że panią przestraszyłem, ale chciałem po prostu obejrzeć sypialnię.

- A ja, jako gospodyni, powinnam wpuścić każdego obcego, który siłą wdziera się do środka, żeby spacerował sobie po całym domu wedle swego uznania?

- Jeśli taka pani wola, może mi pani towarzyszyć.

- A pan może udać się do dworu i poprosić moją panią o pozwolenie!

- Ponieważ jestem tam gościem, nie będzie to żadną przeszkodą.

Zauważył, że to mocno ją trafiło. Lecz po chwili zrozumiał, że reakcja mogła być spowodowana obawą o niezadowolenie jej pani na zachowanie gospodyni wobec gościa. Jednak nie było mu dane wyjaśnić tej kwestii, gdyż w tym momencie do kuchni wpadło dwóch mężczyzn.

- Co się dzieje? - spytał jeden z nich, żyłasty, nieco niższy od Branda, ale silny i potencjalnie niebezpieczny. Drugim był ogromnej postury parobek o przedramionach grubości świńskich udźców.

Brand w pokojowym geście uniósł ręce, bo nie chciał się wdawać w niepotrzebną bijatykę.

- Pani, panowie, proszę przyjąć moje szczerze przeprosiny. Rozumiem, że to nierozsądne oczekiwać od was pozwolenia na swobodne wędrowanie po tym domu, abym mógł zaspokoić swoją ciekawość. - Uśmiechnął się do Amazonki. - Poproszę lady Arradale o pozwolenie. W rzeczy samej, otrzymam je na piśmie. Czy to wystarczy?

Trzeba jej oddać sprawiedliwość, że zachowała opanowanie.

- Kiedy przyniesie pan pisemne polecenie od mojej pani, milordzie, dostanie pan wszystko, na co pani pozwoli.

Zabrzmiało to tak, jakby miała nadzieję, że nadejdzie polecenie wydania mu trucizny. A przecież już kiedyś otrzymał w tym domu truciznę, jeśli jego podejrzenia są słuszne.

Po raz ostatni rozejrzał się. Może rozpozna jakąś filiżankę lub dzbanek. Jednak takich rzeczy nie trzyma się na otwartych półkach, więc nie spuszczać oka ze skorych do bitki mężczyzn, postanowił salwować się ucieczką. Gdy znalazł się za drzwiami, zobaczył stojącą w pobliżu młodą służącą, która zakrywała sobie dłonią usta. Na widok Branda zapiszczała i cofnęła się o krok.

- Nazywasz się Jessie, prawda? - spytał z czarującym uśmiechem. - Wybacz, że cię przestraszyłem.

Patrzyła na niego w milczeniu.

- Czy jesteś pewna, że nigdy mnie nie widziałas?

Otworzyła szeroko oczy i pokręciła energicznie głową.

- Więc nie było tu żadnego mężczyzny?

- Nie, sir! - wydusiła z siebie w końcu. - W każdym razie od ostatniej zimy, gdy zaczęłam tu pracować.

- Jessie! - W drzwiach pojawiła się pani Yockenthwait, nadal uzbrojona w patelnię. - Wracaj tu i bierz się do roboty. - Obrzuciwszy Branda złowrogim spojrzeniem, zatrzęsnęła mu drzwi przed nosem.

Patrzył na nie przez chwilę, następnie podszedł do bocznej ściany budynku, gdzie -jak mu się wydawało - był jego pokój. Do diabła, musiał tu być! Tu jest ścieżka, na której widział swoją damę z towarzyszką...

Chwileczkę, przecież jedną z nich mogła być hrabina. Ta w jasnej sukni i wielkim kapeluszu. Chociaż, w głębi duszy zaczął się zastanawiać, czy jego tajemniczą damą mogła być lady Arradale. Jak bardzo mógł zaufać swej pamięci i instynktom w tej sprawie? Przecież ona ma podobny wzrost, figurę, jest w podobnym wieku...

Jednak nic do niej nie czuł, żadnego afektu, pożądania, uznania. Nie mógł uwierzyć, że to jego dama. Lecz z drugiej strony trudno mu było uwierzyć, że jego dama podstępnie namówiła go do wypicia mikstury, a nawet sama przełknęła parę łyków, aby dać wyraz swej miłości.

Ale był jeszcze list, który teraz zawsze nosił przy sobie w kieszeni. Napisany „Pod Trzema Beczkami”, gdy przebywała tam lady Richardson.

Zamarł w bezruchu, gdyż nagle coś drgnęło w jego pamięci. Czy Bey nie pytał o pierścionki, gdy rozmawiał o lady Richardson? Podobno miała ich dużo na palcach. I źle się czuła. Dodajmy do tego stojący tu domek wdowy i okaże się, że lady Arradale tkwi w tej intrydze aż po swoją śliczną szyję. Więc albo sama wykorzystuje to miejsce na schadzki, albo udostępnia je innym. Być może nawet regularnie. To wyjaśniałoby przekonujące kłamstwa służby. Częścią ich obowiązków było niewątpliwie utrzymanie wszystkiego w całkowitej tajemnicy.

Więc co mógł na podstawie tego rozumowania wynioskować o damie? Jeśli nie jest nią hrabina, jak podpowiadał mu instynkt, co dalej? Czy całe jej zmieszanie, nieśmiałość były udawane? Czy zabawiła się tak kilkanaście razy w roku, śmiejąc się z naiwniaków, którzy się w niej zakochiwali?

Ruszył energicznie ścieżką w drogę powrotną.

Niech ich wszystkich diabli! Bez wątpienia kobiety stojące za tą grą uzgadniały swoją wersję, zaś hrabina naśmiewała się z niego skrycie spoza ślicznych wachlarzy. Chyba dostałaby ataku śmiechu na wieść o tym, jak wtargnął do jej tajemnego gniazdka i został wypędzony przez służbę.

Wyjął list i podarł go na drobne kawałki, rozrzucając je na ścieżce. Gdyby nie wieczorny bal, wyjechałby stąd natychmiast.

Tak czy inaczej, z samego rana opuści ten dom, otrzepując z miejscowej ziemi swoje buty.

## Rozdział XIX

**D**iana wysłuchała wiadomości, którą Jessie wyszeptowała jej na ucho, i była gotowa się poddać. Brand Malloren odkrył domek wdowy! Służący zrobili wszystko, co tylko mogli, ale na pewno go rozpoznał. Po tym, gdy tak bardzo się starała odwieść go w przeciwnym kierunku.

Może powinna była zostać, aby mieć na niego oko, lecz musiała porozmawiać z Rosą osobiście. Nie miała zaufania do formy pisemnej, szczególnie gdy w pobliżu przebywał Edward Overton. Edward stwierdził, że skrzył nogę w kolanie. Kulał i lamentował, że nie może jechać konno, a więc musi zostać w Wenscote. Bardzo wiarygodna opowiadka. Sir Digby miał w Arradale swoją karecię, lecz Diana zasugerowała, żeby ją odprawić z powrotem, a wtedy mogłaby zabrać Edwarda w dalszą podróż. Jednak Rosamunde zdecydowała inaczej.

- On odbiera mi spokój, ale niech zostanie. Dopóki nie ma tu Digby'ego, którego mógłby jeszcze bardziej wzburzyć. Tak usilne zabiegi, żeby się go stąd pozbyć, mogłyby wzbudzić podejrzenia. Poza tym - dodała z posępnym uśmiechem - miło mi patrzeć, jak obrzuca władcym wzrokiem „swój” majątek, bo

wyobrażam sobie jego minę, gdy się dowie, że już nie jest dziedzicem.

Diana opuściła Wenscote z przekonaniem, że wszystko mają pod kontrolą, a tymczasem w domu czekała na nią Jessie z fatalną wiadomością.

Odesłała dziewczynę z powrotem do domku wdowy razem z pochwałą dla służby, która tak dzielnie się spisała. Następnie udała się do jedyne miejsce w pełnym ludzi budynku, gdzie mogła zaznać trochę spokoju: do swojej sypialni. Rzuciła kapelusz na podłogę i padła na łóżko, aby się zastanowić. Nie było już miejsca na dalsze manewry. To koniec. Czy jednak mogła jeszcze tak pokierować sprawą, by odsunąć niebezpieczeństwo od Rosy?

I co teraz zrobi lord Brand?

Pewnie poprosi o pozwolenie zwiedzenia domku wdowy. Jak z tego wybrnąć?

Co sobie pomyśli, kiedy dowie się prawdy? Co uczyni?

Czy potrafiłaby go przekonać, że domek został użyty bez wiedzy kogokolwiek z Arradale? Mogłaby oskarżyć o wszystko służbę, wynagradzając ich sowiec za oszczerstwo. Dzięki temu lord Brand nie posunąłby się naprzód w swoim śledztwie. Odgadłby jedynie, że jego kochanka pochodzi z tej części Yorkshire.

A co będzie, jeśli podzieli się swym odkryciem z bratem? Diana zadrżała. Nawet nie chciała myśleć, że markiz Rothgar zabiera się do rozwiązania zagadki, mając taką jasną wskazówkę.

Usiadła, przypominając sobie, że podobnie jak królowa Elżbieta I, „choć miała ciało słabej kobiety, biło w niej jednak serce monarchy”. A przynajmniej władcy szlacheckich dóbr. W jej żyłach płynie krew Żelaznej Ręki, więc na pewno się nie podda.

Jeśli Mallorenowie wiedzą o domku wdowy, to może mogłaby ich przekonać, by zrezygnowali z zemsty.

Przekonać diabolicznego markiza?

Tłumiąc dreszcz, wstała z łóżka i zadzwoniła na pokojówkę. Zdejmując suknię, pomyślała, że najlepiej będzie podjąć się przekonania Mallorenów z pozycji słabej kobiety. Na pewno zawahają się, zanim skrzywdzą damę. A więc będzie się zachowywała z całkowitą niewinnością, jakiej się oczekuje od lady Arradale.

Z pomocą służącej przebrała się w najbardziej dziewczęcą sukienkę, ozdobioną mnóstwem falbanek, wyszywanych różyczek i lamówek z bawełnianych koronek. Gdy Lucie zmieniała jej uczesanie na bardziej stonowane, Diana zastanawiała się, czy zawiadomić Rosamunde o rozwoju sytuacji. Jednak odrzuciła taki pomysł. Rosa i tak nie mogłaby nic zrobić, a w jej stanie powinna mieć jak najmniej powodów do niepokoju. Przecież Mallorenowie nadal nie mieli możliwości dowiedzieć się, kim była owa dama w domku wdowy.

Nieco przejęta mglistymi wizjami tortur - wcale by się nie zdziwiła, gdyby markiz był do nich zdolny - Diana nałożyła perły i trochę bladego pudru, po czym wyszła z pokoju. Niestety, lord Brand przebywał w swojej sypialni, zaś markiz zajmował się papierkową pracą. Po kilku godzinach grzecznościowych rozmów z gośćmi Diana zaczęła się modlić, aby obaj bracia w końcu się pojawili. Wtedy mogłaby stawić im czoło.

Zanim nadeszła pora przebrania się przed kolacją i bale, czuła się tak, jakby siedziała pod mieczem Damoklesa, słuchając, jak sznur powoli pęka z trzaskiem.



Brand miał właśnie zejść na kolację, gdy do jego pokoju wszedł brat. Wyglądał wspaniale, ubrany w piękną czarną, bogato zdobioną satynę, wyszywaną złotą nicią. Strój był zapięty na rubinowe guziki.

- Chcesz zrobić wrażenie na miejscowych? - spytał Brand, unosząc brwi.

- To tylko aluzja, że jestem dobrze uzbrojony.

- Uzbrojony? Nie wiedziałem, że jesteśmy w stanie wojny.

- Konflikty czają się w najmniej oczekiwanych miejscach. - Bey popatrzył na skądinąd bardzo stosowny strój Branda, uszyty z niebieskiego aksamitu. - Nie masz nic lepszego, by podtrzymać honor rodziny?

- Zazwyczaj staram się dostosować do innych, a nie oślepić ich swym bogactwem.

- A teraz patrzysz na mnie i myślisz, ile nowych pługów mógłbyś kupić za cenę samych tylko złotych nici na moim ubraniu.

Pomimo złego nastroju, Brand roześmiał się.

- Czasami tak myślę.

- To inwestycja, mój drogi. - Podeszedł i ujął podbródek brata. - Ani odrobiny pudru na twarzy? Żadnej ozdoby? Wyglądasz jak wieśniak, braciszku.

Bey też nie nosił apaszki, lecz wyglądał tak, jakby wybierał się do sądu - perukę i twarz pokrywała gruba warstwa pudru. Przecież arystokrata nie może wyglądać tak, jakby kiedykolwiek wychodził na dwór.

- Jakoś zniosłem puder na peruce - rzekł Brand.

- To musi wystarczyć. - Wstał. - Czy już czas zejść na dół?

- Czas na rozmowę.

Rothgar gestem kazał Kenyonowi opuścić pokój.

Brand nieufnie usiadł na ławie przy toalecie. Tra-  
wiony bolesną świadomością swojej wiedzy o domku  
wdowy, ostatnią rzeczą, której teraz pragnął, było  
śledztwo.

- Czy to możliwe, żeby twoją damą była lady Arra-  
dale? - spytał Bey.

Brand poczuł ostrzegawcze łomotanie serca.

- W przyszłości? Pewnie mogłaby nią zostać.

Bey spojrzał na niego ostro.

- Czy to możliwe, że właśnie przez nią przeszedłeś  
swoje piekło?

Zyskawszy chwilę, by zebrać myśli, Brand zdecy-  
dował się dać ostrożną odpowiedź.

- Możliwe. Ma zbliżony wzrost i figurę. Ale to ma-  
ło prawdopodobne, nie sądzisz?

- Chodzi o głos?

- Głos jest podobny. Ale głosy wielu kobiet brzmią  
niemal jednakowo. - Musiał w końcu skłamać. - Nie  
rozmawialiśmy dużo.

Jednak Bey przyglądał mu się zbyt uważnie.

- Więc rozumiem, że przebywając z hrabiną nie  
czujesz nic znajomego, niczego nie rozpoznajesz.

- Właśnie. - Mógł to powiedzieć z pełnym przeko-  
naniem. Dopiero po chwili zrozumiał, że zmiana to-  
nu nie była mądrym posunięciem. Niech to diabli!  
Nie był teraz w formie, by wdawać się w pojedynek  
na inteligencję. - Dlaczego w ogóle przyszło ci to  
do głowy? Czy taka wyniosła dama ryzykowałaby re-  
putację, angażując się w potajemny romans?

- Uważasz, że jest wyniosła?

- W twoich oczach zapewne jest zagubioną, trzęsącą się ze strachu masą nieszczęścia.

Bey skrzywił usta.

- Wcale nie. Jednakże wybrała trudną drogę. Ponieważ chce sama rządzić swoimi dobrami, ma naturalną inklinację, by nie wychodzić za mąż. W przeciwieństwie do mężczyzny podobnego stanu, nie jest jej dane otwarcie zaznawać miłosnych przygód. A więc sensownym rozwiązaniem wydaje się takie, że bierze sobie kochanków, ukrywając swoją tożsamość.

- I dla pewności odurza ich do nieprzytomności? - Największy ból sprawiała Brandowi świadomość, że być może to nie jego dama go ocaliła, lecz wcześniej sama podała mu truciznę. Nie wierzył w to, zanim ujrział domek wdowy, ale teraz...

- Ma wystarczająco silną wolę - rzekł Bey. - I nosi liczne pierścionki.

Więc Bey również to zauważył. Oczywiście. Brand musiał odbić ten cios.

- Podobnie jak wiele kobiet - stwierdził.

- Lecz niewiele z nich może sobie pozwolić na aż tyle błyskotek.

- Zauważyłem, że biżuteria lady Arradale nie jest dużo warta.

- Wybiera ją ze względu na blask. Dziwactwo. Jednakże lady Richardson nosiła w Thrisk jeden wspaniały rubin. Czy twoja dama również piła tę miksturę?

Brand zastanowił się przez moment, lecz w końcu powiedział prawdę.

-Tak.

- Lady Richardson źle się czuła. Być może z tego samego powodu.

- Zgadza się co do tego, że lady Richardson mogła być moim prześladowcą, ale ja nie widziałem

jej na oczy. W przeciwieństwie do ciebie. Czy to mogła być lady Arradale?

- Na pewno była znacznie młodsza, niż na to wyglądała. A więc owszem, to mogła być ona. Jednak mam poważne wątpliwości.

- Dlaczego?

- Gdyż nie sądzę, by mogła ukraść twoje serce.

- Moje serce jest nienaruszone - uciał Brand.

- Skoro tak twierdzisz...

- No więc lady Richardson to nie lady Arradale. Nie posunęliśmy się ani o krok naprzód. - Odczuwając śmieszną ulgę, Brand wstał i obciągnął kamizelkę. Chociaż został wystrychnięty na dudka, chociaż czuł wściekłość na swoją damę, nie chciał, aby była zdana na łaskę Beya. - Czemu wciąż to rozdrapujesz? - spytał nagle. - Prosiłem cię, żeby zostawić tę sprawę. Wycierpiałem się, chętnie widziałbym tę megierę w piekle, lecz nie chcę mieć z nią więcej do czynienia. Zdecydowałem, że jutro stąd wyjeżdżam. Duszę się w takim towarzystwie, poza tym mam dużo pracy.

Niewzruszony Bey także wstał.

- Myślałem, że chciałeś odwiedzić majątek sir Digby'ego.

- Być może odwiedzę. - Brand poprawił apaszkę, w pełni świadomy, że kłamie. Czuł się jak ryba, która usiłuje zerwać się z haczyka. - Sądząc po tym człowieku, jego posiadłość może być całkiem bezpretensjonalna.

- A według ciebie Arradale jest pretensjonalna? Ciekawe co sądzisz o Opactwie Rothgar.

Brand niegrzecznie machnął ręką. Jednak po chwili bracia wymienili uśmiechy. Starcie skończone.

- Wyjedź, jeśli chcesz - powiedział Bey. - Ale byłoby mi na rękę, gdybyś odwiedził Wenscote, bo majątek ten jest zagrożony przez sektę Cottera. Zawiadom mnie, jeśli zauważysz tam coś niezwykłego.

Ruszył pierwszy do drzwi.

Aby podtrzymać honor rodziny, Brand nałożył pierścień szafirem prócz sygnetu, który już miał na palcu.

- A ty porzucisz spekulacje o moich sprawach?

- Nie porzucę, jeśli będą zabawne. A muszę wyznać, że hrabina bardzo mnie bawi.

- Tak jak pstrąg bawi wędkarza.

Bey uśmiechnął się, otwierając drzwi.

- Być może. Ale zgodnie z twoim życzeniem, cokolwiek odkryję, zachowam to dla siebie.

Korytarzem szło dwóch innych gości, więc Brand zdusił protest. Zresztą Bey miał rację. Nie chciał nic więcej wiedzieć. Lecz gdyby jego damą była lady Arradale, czy chciałby, aby Bey poszedł jej tropem? Gdy podszedł, aby się z nią przywitać, niemal dorównując świetnością Beyowi, nic go nie poruszyło. Żadnego wspomnienia, pożądania, nienawiści.

To nie mogła być ona. Więc jego dama wciąż jest bezpieczna.

- Milordzie! - Spojrzała z lekką ironią na wystawny strój Beya. - Rozświetla pan tę pogrążoną w mrokach część Yorkshire.

Bey złożył jej pełny dworski ukłon.

- Lady Arradale, żadne miejsce nie będzie pogrążone w mrokach, gdy iluminuje je pani blask.

Z pewnością jej bogato zdobiona suknia z rubinowego jedwabiu - cudowna kompozycja czerwieni, czerni i złota - byłaby wystarczająca na bal u samego króla.

Rozłożyła złocony wachlarz.

- A więc istnieje niebezpieczeństwo, że razem moglibyśmy wręcz oślepić całe towarzystwo, milordzie.

- Znakomicie. Jak zauważył Edyp: „Ślepcy z muzyki czerpią jeszcze większą radość”. Czy zatańczy-

my pierwszego menueta, milady? Jakaż to znakomita okoliczność do zalotów.

Obrzuciła go spojrzaniem sponad wachlarza.

- Jakiż byłby sens balu, milordzie, gdyby nie wykorzystać go do niewielkiego flirtu?

Jednym palcem opuścił wachlarz, za którym się kryła.

- Może powinienem panią ostrzec, lady Arradale, że nigdy nie robię rzeczy na niewielką skalę.

Otworzyła szeroko oczy. Zapewne w końcu zdała sobie sprawę, że chociaż sama nosi czerwoną szatę, to jednak zaczęła igrać z ogniem. Brand mógłby nawet poczuć dla niej współczucie, gdyby nie uważał jej za intrygantkę, gdyby nie wiedział, że przyczyniła się do jego cierpień. Na jej prawej dłoni, pośród konstelacji skrzących się klejnotów, błyszczał wielki, piękny rubin.

Brand wycofał się w bezpieczniejsze miejsce. Pomimo wszystko było mu żal hrabiny. Jego podejrzliwy brat zamierzał sprawdzić swe domysły, poddając ją ciężkiej próbie w czasie uwodzicielskiej gry. Z pewnością sobie zasłużyła.

\*

Rosamunde wśliznęła się do Arradale House, świadoma tego, że popełnia szaleństwo. Próbowwała wmówić sobie, że chce sprawdzić, jak się czuje Digby, lecz przecież było to wierutne kłamstwo. Przybyła tu wbrew wszelkiej logice, aby ostatni raz spojrzeć na Branda.

Łatwo uniknęła spotkania ze służącymi, którzy byli zajęci balem, po czym znalazła drogę do opuszczonej galeryjki, znajdującej się naprzeciw większej, zajmowanej przez orkiestrę. Było to ulubione miejsce jej i Diany, z którego podglądały starszych w czasie ich spotkań.

Teraz była większa i skrepowana szeroką suknią, więc z niejakim trudem przecisnęła się w to zakurzone, ukryte za grubą kotarą miejsce. Kiedy już zajęła pozycję, przystawiła oko do jednej ze starannie wyciętych dziur, natychmiast ogarniając wzrokiem jasną scenę: kolorowe jedwabie, złoto i klejnoty, które połyskiwały pod mieniącymi się od świec żyrandolami. Przez chwilę zapragnęła być tam, na dole, zaznać tej magii. Ale zaraz zrezygnowała. Nie była częścią tego świata, zaś w swoim ukryciu na górze czuła się jak jedna z pulchnych bogiń, obserwujących bal z pomalowanego sufitu sali. Obserwujących ludzką głupotę. Zobaczyła, jak lord Fencott podszczypuje panią Macham, która wcale nie protestuje. Spozrzegła, jak lady Coverdale patrzy nienawistnym wzrokiem na swego odwiecznego wroga, panią Pyke-Herries.

Lecz gdzie jest Brand? Czy okaże się, że flirtuje z jakąś piękną damą? Niestety nie była w stanie go wyłowić spośród tego morza upudrowanych głów. A przecież powinna go rozpoznać od razu.

I wtedy ujrzała wysokiego mężczyznę, który właśnie wszedł do sali, odzianego we wspaniały strój z czarnego jedwabiu, bogato wyszywanego złotem. To markiz.

Po chwili u jego boku stanął Brand.

Uśmiechnęła się z ulgą i radością. Rozpoznałaby go wszędzie, uwielbiała tę jego prostotę. Miał eleganckie, lecz nie ekstrawaganckie ubranie, które nosił swobodnie, bez ostentacyjnej wyniosłości. Uśmiechał się do kogoś znajomego, a po chwili przeszedł, by porozmawiać z innymi gośćmi.

Rosamunde z powrotem przeniosła wzrok na markiza, który właśnie konwersował z Dianą. Z tego miejsca wyglądali na boską parę - on w czerni zdobionej bogato złotem i rubinami, ona zaś w rubinowej

czzerwieni z dodatkami w barwach czerni i złota. Rosamunde doskonale знаła ten ruch, gdy Diana przekrzywiła lekko podbródek, i sposób, w jaki poruszała wachlarzem. To była potyczka na miecze, mimo że odbywała się w miłej, salonowej atmosferze.

Och, Dinah. Nie rób tego. Nie walcz z markizem. Nagle przyszło jej do głowy, że być może Diana ściąga na siebie ogień przeciwnika. Przecież domek wdowy świadczył o związku z Arradale, nie zaś bezpośrednio z Rosamunde. Czy teraz może jej na to pozwolić? Musi, ze względu na Digby'ego i Wenscote. W końcu Mallorenowie i tak nie mogą niczego dowiedzieć, więc nie będą szukać zemsty na lady Arradale.

Powędrowała wzrokiem ku Brandowi, który chodził po sali, zaś obecni traktowali go z wyraźną życzliwością. To oczywiste, bo nie można go było nie lubić. Był miły i okazywał wszystkim uprzejme zainteresowanie. Udało mu się nawet wydobyć kilka ciepłych słów od pięknej, nieśmiałej panny Mifflyn.

Orkiestra zaczęła grać otwierającego bal menueta. Wszyscy usunęli się pod ściany, by zrobić miejsce na środku dla tańczących. Jako najwyższa rangą dama, Diana powinna zacząć bal z wybranym przez siebie partnerem. Dla Rosamunde było oczywiste, że wybierze markiza, choćby ze względu na jego pozycję. Oboje byli znakomicie przygotowani do swoich ról, tańczyli więc doskonale, lecz spoglądając na tę scenę z góry, Rosamunde odniosła wrażenie, że rozgrywa się między nimi niebezpieczny, szermierczy pojedynek. Nieprzerwanie patrzyli sobie w oczy, kroczyli dostojnie, ich dłonie nie traciły kontaktu ani na chwilę. Prawdziwa batalia. Na szczęście jej miejsce zajęła niebawem lady Fencott, a potem kolejne damy, według hierarchii, każda ze swoim partnerem.



Jednak Rosamunde doznała niemiłego szoku, gdy ujrzała Branda z panną Mifflyn. Natychmiast przywołała się do porządku. Przecież nie po to przyszedł na bal, żeby stać pod ścianą.

Wiedziała, że to jednak coś gorszego. Po prostu nie chciała, by tańczył z innymi kobietami. Z bólem patrzyła, jak w jego ramionach Celia Mifflyn uśmiecha się, a nawet coś mówi. Była znana z tego, że w obecności obcych ogarnia ją paralizująca trema.

Dosyć tego! Wpatrzona w niego, życzyła mu szczęścia z innymi damami. A nawet więcej. Zapragnęła, aby wkrótce znalazł idealną towarzyszkę życia i szczęśliwie się ożenił. Może nawet z Celią Mifflyn. To młoda kobieta o dobrym sercu, honorowa, miła i niegłupia. Tylko po prostu nieśmiała, a jeśli ktoś potrafiłby rozwinąć ten nieśmiały pąk w piękny kwiat, to z pewnością właśnie Brand Malloren.

Mimowolnie wróciła pamięcią do ich wspólnego dnia i nocy. Też była nieśmiała, a przy nim rozkwitła. Zaś Celia miała dodatkowe zalety. Mogła śmiać się razem z nim za dnia, zaś rozkwitać w tajemnych godzinach po zmierzchu.

Rosamunde cofnęła się, a cały ten magiczny świat zmienił się w zamazaną plamę światła na stęchłej kotarze. Niech więc tak będzie. Teraz mogła zrobić z miłości do Branda Mallorena największą rzecz: dać mu wolność.

\*

Po godzinie Brand miał już ochotę uciec z balu, lecz znał swoje obowiązki. Obecność markiza czyniła to wydarzenie jedynym w życiu, a jako brat wspomnianego markiza sam nosił część jego chwały. Tańce z nim będą cennym wspomnieniem, więc spełnia-

jąc swą powinność - tańczył po kolei wszystkie, każdy z inną damą. Gdy tylko było to możliwe, prosił na parkiet te nieśmiałe i podpierające ściany.

Z konieczności patrzył, jak Bey tańczy z damami dokładnie według starszeństwa ich pozycji, oczarowując każdą z nich, lecz był to urok nieco przerysowany i niebezpieczny. Ileż serduszek z Yorkshire zatrzepocze na wspomnienie, jak całował je w rękę, dostarczając wiernym żonom materiału na grzeszne fantazje.

Przygryzł wargi, by opanować uśmiech. Oczywiście było to aktorskie przedstawienie, ale tak często odtworzone stało się drugą naturą. Wiedział, że brat jest świadomy, jakie robi wrażenie i potrafi je kontrolować. Na swój sposób - niebezpieczny sposób - Bey był ujmujący i dobry. Zapewne również z poczucia obowiązku nie mógł roztaczać swych zabójczych uroków nad hrabiną, która czyniła honory pani domu, zabawiając gości. Cokolwiek wydarzyło się w domku wdowy było już historią. Nie należało się z tego powodu umartwiać. Przemówił rozsądek.

Znowu spojrzął na uśmiechniętą hrabinę. Ona wie. Wie na pewno. Poczuł wewnątrz palącą potrzebę, by wydusić z niej prawdę. Wie o wszystkim. Świadczyło o tym choćby milczenie na temat jego wizyty w domku wdowy.

A jednak, wbrew logice, musiał się o tym przekonać. Wykonując swe obowiązki podczas balu, szukał wzrokiem wśród obecnych swej tajemniczej kochanki. Nie było jej tutaj. A więc nie należała do miejscowych notabli. Kim więc jest?

U jego boku pojawił się Bey.

- Coś nie tak, braciszku?

- Nic takiego.

- Myślałem, że porzuciłeś śledztwo w swojej sprawie.

Nie było sensu zaprzeczać.

- No dobrze. Nie daje mi to spokoju, jak ukąszenie pchły. Chciałbym się dowiedzieć, żeby przestało mnie drażnić.

- Masz pewność, że to nie lady Arradale?

- Całkowitą.

- Rozpoznałbyś ją nawet na ślepo?

Brand spojrział uważnie na brata.

- A co to ma oznaczać?

Jednak Brand przypomniał sobie, jak mówił, że rozpoznałby ją w ciemności, po pocałunku...

- Samson, oślepiiony przez swoją miłość - rzekł Bey - ignorujący wyraźnie widoczne oszustwo ukochanej. Powinieneś jeszcze raz przeczytać Biblię.

- Po prostu będę unikał brzytwy.

- I napojów usypiających. - Tym zgrabnym ciosem Bey zakończył rozmowę i ruszył, by porozmawiać z hrabiną, która ciepło się doń uśmiechała.

Zdziwiony komentarzami brata, Brand przeszedł do biblioteki Arradale, aby zajrzeć do Biblii. Wyrażenie „rozdrażniony na śmierć” dobrze opisywało jego stan. Jednak Samsona oślepił Filistyni, nie zaś ukochana Dalila. Zamknąwszy księgę, zrozumiał, co Bey miał na myśli. Oszustwa Dalili były raczej prymitywne, i powinien je przejrzeć każdy widzący na oczy mężczyzna. A więc to miłość sprawiła, że Samson z własnej woli przestał widzieć na długo, zanim pozabawiono go oczu.

Zauważył jeszcze, że Pismo nie wspomina, czy Dalila była pośród Filistynów zabitych przez Samsona, gdy zburzył ich świątynię w Gazie.

Miłość. Gdyby Samson wiedział, że ona tam jest, nigdy nie mógłby tego uczynić.

## Rozdział XX

**R**osamunde odprowadziła konia do stajni w Wenscote, po czym weszła do pogrążonego w ciszy domu. Była zmęczona, lecz zarazem dziwnie spokojna. Wszystko skończone...

Nagle aż podskoczyła, bo w mroku zobaczyła jakąś postać. W świetle księżyca ukazała się poważna twarz Edwarda Overtona.

- Przestraszyłeś mnie!
- Gdzie byłaś, ciotko? Na schadzce z kochankiem?
- Jak na człowieka ściśle przestrzegającego zasad wiary, masz bardzo płytki umysł. Byłam w stajni. Jedna z klaczy miała boleści.

Było to prawdą, chociaż sprawa okazała się prosta i zajęła mało czasu, zaś stajnia znajdowała się na tyle blisko, że nie wypadało jeździć tam konno. Przy odrobinie szczęścia Edward niczego nie spostrzeże.

- Nie godzi się, by kobieta robiła takie rzeczy, ciotko, a także by wychodziła po zmroku sama z domu.
- Dla ciebie nie godzi się, by kobieta pokazywała swoje włosy, ramiona czy dekolt. Zdaje się, że wyznawcy Nowego Państwa łatwo ulegają pokusie.

Zacisnął usta.

- Wszyscy mężczyźni łatwo ulegają pokusie.  
- W takim razie to chyba właśnie mężczyznom nie powinno się pozwalać na wychodzenie po zmroku z domu - zauważyła, próbując go ominąć.

Zagroził jej drogę.

- Na niebiosa, ciotko, masz niewyparzony język i trzeba dać ci nauczkę!

- Może batem? - Spojrzała mu prosto w oczy. - Gardzę tobą, Edwardzie, twoją wiarą i tymi świętoszkowatymi...

Uderzył ją w twarz.

Na chwilę nastała zupełna cisza. Rosamunde przyłożyła dłoń do piekącego policzka.

- Precz! - wrzasnęła, wskazując drzwi. - Wynocha stąd!

- Nie masz prawa...

- Mam obudzić służących, żeby cię wyrzucili?

- Nie możesz...

- Precz! - powtórzyła, chwytając pogrzebacz. Ruszyła na niego, gotując się z wściekłości, której ogrom zaskoczył ją samą. - Won stąd! Won!

Cofnął się.

- Nie możesz mnie wyrzucić. Jestem dziedzicem...

- Jesteś niczym, dopóki Digby żyje, a z pomocą Boga do tej pory sam zdechniesz, bo zadławisz się swoją świętoszkowatą żółcią.

- On umrze w ciągu roku. A wtedy zobaczymy!

- Kiedy umrze, możesz tu wrócić, Edwardzie, ale ani chwili wcześniej!

Stał oparty plecami o drzwi, po omacku szukając klamki.

- Wuj Digby nigdy na to nie pozwoli.

- Pozwoli, gdy mu powiem, że mnie uderzyłeś. - Dźgnęła go pogrzebaczem. - Wynocha stąd!

Potykaçąc się, chwiejnym krokiem wyszedł na dwór.

- Jest ciemno. Dokąd według ciebie mam iść?  
- Jeśli o mnie chodzi, to najlepiej do piekła! -  
Trzasnęła mu drzwi prosto w nos, przekreśliła klucz i dla pewności założyła rzadko używaną antabę. Po-  
tem odwróciła się i oparła ciężko o dębowe deski.  
Och, jakże to było przyjemne. Powinna częściej tra-  
cić opanowanie!

Czy jednak postąpiła nierozważnie?

Wcale nie. Wyprostowała się, masując piekący po-  
liczek. Miała już powód, by nie wpuszczać go do Wens-  
cote, a dzięki temu zaoszczędzi Digby'emu angażo-  
wania się w konflikty. A teraz, ponieważ nosiła w so-  
bie dziecko - czego była już pewna - ta sprawa  
w ogóle przestanie mieć znaczenie.

Objęła się i zatańczyła na środku pograżonego  
w nocnej ciszy holu. Odpędziła złe, ponure myśli i te-  
raz wszystko było już cudowne.

Lokaj w Arradale z niejakim zdziwieniem otworzył  
drzwi, w które ktoś uderzał mocno z zewnątrz. Było  
już bardzo późno, więc nie oczekiwano więcej gości.  
Na widok prosto odzianego mężczyzny w szpiczastym  
kapeluszu zaczął szybko zamykać drzwi z powrotem.

Jednak tamten przepchnął się do środka.

- Jestem Edward Overton. Muszę porozmawiać  
z moim wujem, sir Digbym, w sprawie niecierpiącej  
zwłoki!

To zmieniało sytuację, nawet jeśli przybysz był ob-  
mierźłym członkiem sekty Cottera. James niechętnie  
zaprowadził pana Overtona do niewielkiej sali re-  
cepcyjnej.

- Sprawdź, czy uda mi się odnaleźć sir Digby'ego.

- A co, gubicie tu gości?

James oddalił się, tłumiąc szyderczy uśmiech. Ci bogobojni wyznawcy Nowego Państwa mieli obowiązek zachowywać spokój. To dobrze ze względu na osobę, która tak rozgniewała tego człowieka. Jednak kiedy James szedł na górę, by poszukać sir Digby'ego, poczuł niepokój. Lęk, nie złość. Może w Wenscote wynikły jakieś kłopoty. Z rodziny mieszkała tam jedynie lady Overton, a przecież nikt nie chciał, by tę biedaczkę spotkało jakieś nieszczęście.

Znalazł trochę podchmielonego sir Digby'ego w sali karcianej, gdzie śmiał się wesoło wraz z grupą starych znajomych. Przekazał mu szeptem wiadomość.

- Na Boga. Co robić? - spytał, nie kierując tych słów do konkretnego rozmówcy.

Wstał i ociężałym krokiem ruszył do drzwi, najwyraźniej zaniepokojony tak samo jak James.

Wszyscy wiedzieli, że sir Digby stoi pomiędzy Wenscote i Nowym Państwem. I bardzo go za to szanowali.

Gdy James dopilnował, by jego pan znalazł się bezpiecznie w sali recepcyjnej, odetchnął z ulgą i zamknął drzwi.

- Czy coś się stało?

James odwrócił się i wyprostował, ujrawszy, jak po schodach zbliża się hrabina. Prawdę mówiąc miewał pikantne fantazje z udziałem ślicznej hrabiny w jej pięknych jedwabiach, lecz rzadko miewał możliwość porozmawiać z nią osobiście.

- Nie wiem, milady. Z Wenscote przyjechał pan Overton z pilną wiadomością dla sir Digby'ego.

Hrabina zmarszczyła brwi, po czym ruszyła dalej, postukując obcasami na wyłożonej kamiennymi płytami podłodze. Pośpiesznie otworzył przed nią drzwi, lecz po chwili, gdy znikła we wnętrzu, musiał je niestety zamknąć.

- Lady Arradale?! - zaprotestował Edward Overton. - To prywatna sprawa.

Diana obserwowała go, starając się ukryć swoją niechęć.

- Przepraszam za to najście, panie Overton, ale jeśli coś stało się z moją drogą kuzynką... Sir Digby? Czy wydarzył się jakiś wypadek?

Sir Digby siedział w fotelu, opierając ręce na rozchyłonych nogach. Wyglądał na skołowanego.

- Wypadek? Niech mnie diabli, nie wiem! Mój bratanek mówi mi tutaj, że Rosie wyrzuciła go z domu w napadzie wściekłości.

Diana spojrzała na młodzieńca.

- Na moją duszę, dziwna to sprawa. A pan nie zrobił nic, by ją obrazić?

Mężczyzna poderwał się.

- Nie wątpię, że się obraziła. Odkryłem, jak chyłkiem wraca do domu po zmroku i poradziłem jej, by na przyszłość zachowywała się rozważniej.

- To jednak impertynencja, nie sądzi pan?

- Jestem mężczyzną, a ona kobietą. Co więcej, jestem teraz głóścicielem Nowego Państwa. W Lancashire moje słowa spotkały się z wdzięcznym przyjęciem. Wskazywanie drogi grzesznikom jest moim obowiązkiem.

- Myślę, że tylko należącym do waszego stada.

- Dla Nowego Państwa cała ludzkość jest naszym stadem.

Diana uniosła brwi.

- Chce pan powiedzieć, panie Overton, że próbowałyby pan udzielać porad również mnie?

Spojrzał na nią z góry.

- To byłby mój obowiązek, chociaż bez większych nadziei na powodzenie.



- Drogi panie, swoimi naukami zaraz pozbawi się pan kolejnego łóżka na dzisiejszą noc.

- Nie mam zamiaru tutaj zostać - odparł takim tonem, jakby zaproponowano mu nocleg w chlewie. - Oczekuję, że wuj wróci ze mną do Wenscote i ukarze swoją żonę.

- Ja zaś stanowczo tego zabraniam. Sir Digby nie może się tak nadwerężyć.

- Wuju? - Edward Overton odwrócił się od niej, by poszukać wsparcia.

Starszy mężczyzna pokręcił głową.

- Do ci dopiero ambaras. Ale powiem ci, chłopcze, że wcale nie mam teraz ochoty na podróż powrotną do Wenscote. Właśnie miałem udać się do sypialni.

- Czułbyś się o wiele lepiej, wuju, gdybyś wyrzekł się trunków.

Diana miała nadzieję, że sir Digby zareaguje na taką bezczelność, lecz on przybrał skruszony wyraz twarzy.

- Tak, masz rację, Edwardzie. Rosie też by się gniewała, gdyby zobaczyła, ile zjadłem i wypilem. Muszę się poprawić. Zwłaszcza...

- Zwłaszcza gdy trunki pogarszają panu samopoczucie, sir Digby - przerwała pośpiesznie Diana. Teraz nie był dobry moment, by powiadomić Edwarda Overtona o ciąży.

- Nie tyle trunki, co puddingi, moja droga - odparł, rozpinając guziki opiętej mocno kamizelki. - Postanowiłem się zmienić.

- Bardzo mnie to raduje, wuju - wtrącił się Edward.

- Ale ponieważ Rosie nic się nie stało - sir Digby wstał z fotela - nie zamierzam katować swego obolałego żołądka, jadąc w ciemnościach do Wenscote. Wyruszę rano, żeby to wszystko wyjaśnić. Zresztą pojedzie ze mną lord Brand Malloren, żeby obejrzyć

stadninę należącą do Rosie. Nie mogą wyjechać bez niego.

- I pan też musi zostać na noc, panie Overton - Diana ucięła dalszy protest. - Znajdziemy dla pana prosto umeblowany pokój, który nie obrazi pańskich zasad. Minęła północ, więc moja kuzynka na pewno poszła już spać.

- No dobrze - odparł sztywno. - Skoro wuj nie czuje się najlepiej...

- To bardzo ładnie z pańskiej strony. - Pierwsza ruszyła w stronę drzwi. - I całe szczęście, że pana kolanano już wyzdrowiało.

Zaczerwienił się lekko.

- Nadal mnie boli, ale nie miałem wyboru.

- Co za odwaga. Jutro może pan wrócić do Wenscote powozem, co na pewno przyniesie panu ulgę.

Diana zorganizowała dlań pokój, każąc jednemu ze starszych lokajów przenieść się na tę noc do innego pomieszczenia, zajmowanego przez służbę. Jamesowi zaś poleciła, aby bezpiecznie doprowadził sir Digby'ego do sypialni i położył go w łóżku.

Wtedy zaczęła się bać. Co mogło aż tak bardzo rozgniewać Rose? Czy miało to związek z Mallorenami? Ale jaki? I dlaczego po nocy chyłkiem wracała do domu? Nagle zrozumiała, że ona musiała tu być, co potwierdziło się, gdy wrócił goniec wysłany z zapytaniem do stajni.

Och, Rosa. Im wcześniej Brand Malloren stąd wyjedzie, tym lepiej. Diana desperacko próbowała wymyślić jakiś sposób, aby zapobiec jego jutrzejszej wizycie w Wenscote. Niepokoiło ją, że wcale nie zapytał o domek wdowy, lecz wynikało to pewnie z jego braku całkowitej pewności. Jeśli tak, i jeśli Rosa nie będzie się pokazywać mu na oczy, może uratują swoją skórę.

Brand w końcu uciekł z balu, gdy goście zaczęli wsiadać do oświetlonych lampkami powozów, aby wrócić do domu w księżycową noc. Kiedy znalazł się w swoim pokoju, stwierdził, że wcale nie chce spać. Tłumiąc chęć, by podejść do okna i pomarzyć, spoglądając na księżyc, zasiadł nad książką - nudnym poradnikiem. Jednak co chwilę jego myśli wracały do innej książki i pewnej tajemniczej damy.

Chciałby przeczytać resztę *Programów planowania hodowli*, lecz do tej pory zabrakło mu śmiałości, by kupić sobie egzemplarz. Z tą książką wiązało się zbyt wiele niebezpiecznych skojarzeń.

Nawet w łóżku nie mógł zasnąć. Może powinien się ubrać, chyłkiem przemknąć przez park i włamać się do domku wdowy. Tylko po co? Już i tak miał pewność, że tam jest jego pokój, a czego więcej mógłby się dowiedzieć? Czy sypialnia powie mu, kim była tajemnicza dama? Zaśmiał się z własnej głupoty. Mimo wszystko był ślepym więźniem w Gazie, który wciąż miał nadzieję, że jego Dalila nie zdradziła go, nawet gdy przypomniał sobie naczynie z trucizną, jakie przystawiła mu do ust.

Z nastaniem świtu stwierdził, że już nie będzie próbował zasnąć i wyszedł na przechadzkę po spowitej mgłą okolicy, słuchając pierwszych ptasich śpiewów. Jednak mimo silnej pokusy, trzymał się z daleka od domku wdowy. Miał nadzieję, że przy śniadaniu wyglądał normalnie, a także kiedy opuścił hrabinę i brata, który jednakowoż natychmiast coś wyczuł. Bey czytał w ludziach jak w otwartych księgach. Jednak powiedział tylko:

- Pamiętaj, miej oczy szeroko otwarte, gdy będziesz w Wenscote.

- Dlaczego? Przecież tam sytuacja jest zupełnie jasna. Dziedzicem jest członek sekty, który przejmie majątek po śmierci sir Digby'ego.

Bey pociągnął go na dół po schodach przed domem, w kierunku czekającej karety, aby ich nikt nie usłyszał.

- On został dziedzicem po śmierci drugiego bratanka, Wiliama Overtona.

- To chyba nic niezwykłego?

- A jeśli William Overton został zamordowany?

Brand spojrział uważnie na brata.

- To do ciebie niepodobne, Bey. Ty nie badasz takich nieprawdopodobnych teorii. Gdyby jego śmierć była podejrzana, z pewnością coś byśmy o tym słyszeli.

- William Overton był człowiekiem bardzo podobnym do sir Digby'ego i niewiele odeń młodszym. Jadł i popijał „beztrosko”, jak mawiali ludzie, a potem musiał ponieść konsekwencje. Nikt się bardzo nie zdziwił, gdy pewnego dnia zwałił się z nóg po obfitym posiłku.

- Ale ty podejrzewasz nieczystą grę?

- Dokładnie to samo przydarzyło się ostatniej zimy pewnemu panu nazwiskiem Josiah Crayke, dziedzicowi majątku niedaleko Northallerton.

- Northallerton? - powtórzył poruszony Brand.

- Owszem, w tamtej okolicy jest parę posiadłości - rzucił ostro Bey, najwyraźniej poirytowany rozkojarzeniem Branda.

- Tak, oczywiście. Kto jest teraz jego właścicielem?

- Niejaki Samuel Barlow, niedawno nawrócony członek Nowego Państwa, który dał się skusić obietnicami Boskiej nagrody. Pan Crayke osierocił dwie córki, więc dziedzic Barlow spłacił je oraz wdowę, lecz majątek został przekazany do dyspozycji sekty. Sam przyjął ich sposób życia, nawet dzieląc swój

dom z pewną liczbą wolnego stanu pracowników rolnych.

- A Crayke zmarł na apopleksję?

- Coś w tym rodzaju.

Brand zastanowił się nad tym wszystkim.

- Może to zbieg okoliczności?

- Ja zawsze podejrzliwie odnoszę się do takich zbiegów okoliczności. Bardzo przebiegłe. Wielu mężczyzn jest osłabionych nadmiernym piciem i obżarstwem. Gdyby sir Digby Overton pewnego dnia zasnął po obfitym posiłku, oczywiście w stosownym czasie po śmierci bratanka, czy ktokolwiek byłby zdziwiony? Naprawdę - dodał surowo Bey - zarówno on, jak i jego starszy bratanek powinni już wcześniej zadbać o sukcesję.

- W twoich ustach to brzmi śmiesznie - odparł Brand, lecz po chwili pożałował, że nie ugryzł się w język.

- Ja mam braci - rzekł nieporuszony Bey. - Niektórzy z nich w naturalny sposób z entuzjazmem podchodzą do kwestii małżeństwa i prokreacji. Mam nadzieję, że teraz rozumiesz, dlaczego chcę, abyś podczas pobytu w Wenscote zwracał uwagę nie tylko na konie pociągowe.

- Tak, oczywiście. Stałaby się ogromna krzywda, gdyby sir Digby przedwcześnie zmarł.

- Stałaby się krzywda, gdybyśmy nie przyłapali ich na gorącym uczynku. Prawdopodobnie odbędziesz tę podróż w towarzystwie dziedzica, który spędził tutaj noc.

Niewyspany Brand nie miał sił na umysłową gimnastykę.

- Wydawało mi się, że on nie uznaje balów.

- Podobno lady Overton wyrzuciła go z Wenscote, więc przyjechał tutaj, do swego wuja.

- Lordzie Bey, jak to jest, że ty zawsze wszystko wiesz?

- Gdybym wszystko wiedział, moje życie byłoby o wiele łatwiejsze. Dowiedz się, co wywołało taką reakcję lady Overton.

- Tak jest, sir!

- Brand - powiedział wyrozumiale brat - sam powiedziałeś, że nie chcesz nic więcej wiedzieć o swojej damie, a jednak ona draży twe myśli niczym rak. To niebezpieczne.

Brand na chwilę zamknął oczy. Powinien powiedzieć bratu o domku wdowy, lecz nie mógł. Nie wiedział, co jego brat by zrobił.

- Dowiedziałeś się czegoś od hrabiny w czasie balu?

- Jeśli lubi flirtować, to nie robi tego na oficjalnych przyjęciach.

- Sprawdziłeś ją?

- Zrobiłem, co mogłem, oczywiście w granicach przyzwoitości, by wprosić się do jej łóża.

- A niech mnie. I poszedłbyś?

- *Noblesse oblige*. Ma duże doświadczenie w tej grze, lecz wyraźnie opierała się pokusie. Tyle się domyśliłem. Jeśli instynkt mnie nie myli, jest dziewczyną, chociaż wcale nie taką naiwną.

- A więc to nie jest moja dama. Zresztą od początku tak myślałem. Może ona ją zna, ale pominawszy tortury, nie ma sposobu, by wydobyć z niej prawdę.

- Chyba mam gdzieś w bagażu śruby do łamania palców...

Brand roześmiał się, lecz myślał już o czymś innym.

- Ten zajazd, który pamiętam jako ostatnie miejsce, gdzie zapewne zostałem otruty, znajdował się w pobliżu Northallerton. Właśnie przypomniałem sobie, skąd znam nazwisko Barlow. Czy ten majątek nazywa się Rawston Glebe?

-Tak.

- Sasiaduje z posiadłością, która zainteresowała mnie z myślą o nas. Rozpytywałem o Rawston Glebe, gdyż sąsiedzi są często równie ważni, jak sama posiadłość. Chyba pytałem też o Nowe Państwo. Więc jeśli oni zamordowali pana Crayke'a...

- Zwłaszcza że wiedzieli, kim jesteś. A wiedzieli? Brand wzruszył ramionami.

- Podróżuję *incognito*, lecz nie zabiegam o to, by ukryć swe nazwisko.

- A ja nie mam wątpliwości, że na północne teryny dotarły już nowiny o zaniepokojeniu króla działalnością Nowego Państwa i o wyznaczeniu mnie do zbadania tej sprawy. Pewnie to ja jestem odpowiedzialny za twoje cierpienia.

- Chciałeś powiedzieć, że ludzie Cottera są za to odpowiedzialni. Będę cały szczęśliwy, jeśli doprowadzisz do ich upadku. A myślałem, że George Cotter wcale nie jest złym człowiekiem. - Przeniósł wzrok ponad głowę brata. - Nadchodzi sir Digby z bratanikiem. Muszę już iść.

Rothgar położył dłoń na jego ramieniu.

- Uważaj na siebie.

- Sądzisz, że mogą znowu zaatakować? Przecież ja ich nie ścigam.

- Ale oni tego nie wiedzą. Uważaj, co jesz i pijesz.

- Dostałem już nauczkę.

Brand poszedł do czekającego powozu, śmiejąc się w duchu z fali radosnego ciepła, która nagle nań spłynęła. Jeśli otruli go ludzie sekty, wobec tego owa dama nie porwała go dla własnej przyjemności. Tak naprawdę to ocaliła mu życie.

Przynajmniej w części postąpiła uczciwie.

A nawet całkowicie. Cały czas twierdziła, że jedynie odbiera dług za uratowanie mu życia.

Edward Overton siedział już w karecie, nadąsany i pełen dezaprobaty, lecz sir Digby dopiero wsiadał, by po chwili, dysząc ciężko, zająć miejsce.

- To straszne, naprawdę muszę zmienić tryb życia. Pulsuje mi w głowie, a dziś rano mogłem w siebie wmusić tylko kawałek grzanki. A tak lubię dobrze zjeść na śniadanie.

Wcześniej Brand zamierzał jechać wierzchem, ale wtedy zostawiłby biednego sir Digby'ego z tym oziębłym sekciarzem. Kazał więc przywiązać konia do powozu i wsiadł do środka, bez protestu zajmując miejsce tyłem do kierunku jazdy. Przez chwilę pomyślał, czy przypadkiem sir Digby'emu nie podano wczorajszego wieczoru czegoś trującego, lecz w końcu przypisał jego złe samopoczucie przejedzeniu.

- Umiarkowanie posiada cenne zalety - powiedział na poparcie dobrych intencji sir Digby'ego.

- Czy mamy przez to rozumieć - spytał Edward Overton - że członek rodziny Mallorenów prowadzi umiarkowany tryb życia?

- Tak, panie. Nikt nigdy nie zarzucił mi, że cokolwiek nadużywam.

- Więc jest pan dziewicą?

- Hej, bratanku! - wtrącił się sir Digby. - Tak się nie mówi!

- Nie - odparł nieco rozbawiony Brand. - Nie jestem dziewicą. Naprawdę uważa pan jakikolwiek seks za nieumiarkowanie?

- Poza prokreacją w małżeństwie, tak.

- Więc domniemywam, że pan jest dziewicą.

Na jego bladej twarzy pojawił się lekki rumieniec.

- Kiedyś byłem grzesznikiem...

- Zamknij się, Edwardzie - rzucił jękliwie sir Digby. - Pulsuje mi w głowie, a ty zachowujesz się im-



pertynencko wobec lorda Branda. A w ogóle jako skromny sługa powinieneś siedzieć tyłem do koni.

Edward Overton zacisnął usta i odwrócił się, żeby popatrzeć na okolicę. Brand i sir Digby wymienili nieznaczne uśmiechy. Podobał mu się ten starszy pan.

Chociaż nierówna droga wiała się przez całą dolinę, w niecałą godzinę dotarli do małej wioski nad rzeką i górującego nad nią domu z szarego kamienia. Powóz przejechał przez otwartą bramę, która stanowiła wyłom w wysokim murze.

- Prawdziwa forteca - zauważył Brand.

- Tak. Ta budowla ma trzysta lat - powiedział Digby. - Były czasy, gdy solidne mury miały duże znaczenie.

Powóz zatrzymał się między domem i urzekającym ogrodem. Nieco dalej, za drzewami Brand zobaczył stajnie, lecz nie tak duże, by nadawały się na całą stadninę.

- Stajnie Rosie są poza murami - odezwał się Digby, gdy opuszczono stopnie i jeden ze służących pomógł mu wysiąść. - Ciekawe, gdzie ona się podziała? Przysłałem umyślnego z wiadomością, że będziemy mieli gościa.

Brand pomyślał, że zapewne lady Overton żałowała wyrzucenia z domu pana Overtona - choć miał pewność, że czyn ten był całkowicie uzasadniony. Miał też nadzieję, że nie zostanie świadkiem żenujących scen rodzinnej kłótni.

Wysiadając z powozu, wciągnął powietrze przesycone aromatem wspaniałego ogrodu. Nie mógł oprzeć się pokusie i podszedł bliżej do rosnących w wielkiej obfitości kwiatów. Ktoś nie szczędził tu mozolnej pracy przez wiele lat. Może to po prostu świetny ogrodnik, lecz Brand podejrzewał, że miała w tym swój udział lady Overton. Ten ogród mówił

o bardzo osobistej miłości, sprawiał silne wrażenie sanktuarium.

Usłyszał, jak wola go sir Digby, więc wszedł do chłodnego domu.

- Podziwiałem ogród. Nigdy nie widziałem piękniejszego.

Sir Digby rozpromienił się.

- To oczywiście zasługa mojej żony. Ma świetną rękę do roślin. Zanim tu zamieszkała, mieliśmy jedynie ogród. Ale teraz jest to coś więcej.

Brand ujrzał zgryźliwą minę Edwarda Overtona.

- Pan nie lubi ogrodów?

- Nie uważamy za słuszne marnowanie dobrej ziemi i pracy na bezużyteczne rośliny. Oczywiście nie oznacza to, że całkowicie zabraniamy uprawy kwiatów - przyznał. - Wiele z nich ma praktyczne zastosowanie.

Rozmowa z Edwardem Overtonem nigdy nie mogła przynieść czegokolwiek miłego. Brand dziwił się, że lady Overton nie wyrzuciła go stąd kilka lat wcześniej. Sir Digby, otoczony przez uszczęśliwione psy, pomaszzerował do podnóża wykonanych z ciemnego dębu schodów.

- Rosie! - zakrzyknął. - Rosie, kochanie, mamy gości!

Z tylnej części domu wyłoniła się kobieta w średnim wieku, ubrana w fartuch i czepek. Przez moment Brand myślał, że to lady Overton, gdyż odpowiadała jego wyobrażeniu, lecz kobieta dygnęła szybko.

- Proszę o wybaczenie, sir Digby, ale lady Overton zaniemogła. Zjadła coś, co jej zaszkodziło.

Brand wzmógł czujność. Z pewnością Nowe Państwo nie miało potrzeby otruć żony właściciela.

- Wczoraj w nocy czuła się dostatecznie dobrze, aby wybrać się na przechadzkę - rzucił lodowatym głosem Edward Overton.

- Właśnie dlatego wyszła, sir - odpowiedziała gospodyni. - Nie czuła się dobrze już wcześniej, bo przecież pojechałaby na bal do Arradale. Czy mam coś podać?

Sir Digby westchnął ciężko i przeniósł wzrok na Branda.

- Przepraszam za to, milordzie. Zaraz do niej pójdę. Może później poczuje się lepiej. Ale oczywiście nic nie stoi na przeszkodzie, żeby obejrzał pan stajnie. Stajenni powiedzą panu wszystko, o co pan zapyta.

- Bardzo chętnie. I nie zostanę zbyt długo, bo pana żona niedomaga.

- Nie ma mowy! Nic z tych rzeczy! Stąd jest wszędzie daleko, chyba że chciałby pan wrócić do Arradale, a nie wydawał się pan w nastroju na tamte bzdury. Zostanie pan tu na noc, milordzie, tak jak ustaliliśmy. Czy chciałby pan najpierw coś zjeść, czy mam od razu posłać po Hextalla?

Brand podziękował za poczęstunek i już po chwili szedł w kierunku stajni z młodym człowiekiem, który doskonale znał się na rzeczy i wysoko cenił swoją panią. W sumie Brand był zadowolony, że dowie się czegoś na interesujące go tematy, a w dodatku nie przebywa w domu, podczas gdy mieszkańcy załatwiają swe rodzinne problemy.

W Wenscote przestrzegano typowych dla wsi pór posiłków, więc późnym popołudniem poproszono go do domu. Pożytecznie spędził czas, ale był już głodny. Gdy umywszy się w swoim pokoju wrócił na dół, nadal nie zastał tam lady Overton. Szkoda, bo chętnie poznałby jej opinie. Stajnie prowadzono według najnowszych zasad, przy pomocy dobranych pracowników, którzy mieli o niej jak najlepsze zdanie.

- Moja żona się dąsa - mruknął Digby z rezygnacją, ciągnąc do wyłożonego boazerią salonu. - Mówi,

że nie zejdzie, dopóki jest tu Edward. Twierdzi, że ją uderzył. A on odpowiada, że to wymyśli. Co mam zrobić?

- Może ufać żonie?

- Cały czas? - spytał Digby z powątpiewaniem. - Kobiety to dziwne stworzenia.

- W cudowny sposób. Ale jeśli mężczyzna się żeni, musi ufać. Bo inaczej, jakie czeka go życie?

Sir Digby wydawał się skołowany.

- Filozof z pana, milordzie. Ale pozwolę sobie za-uważać, że nie ma pan żony.

Brand musiał przyznać mu rację.

- Gdyby tylko William nie umarł - odezwał się gospodarz. - Mówię panu, milordzie, od tamtej pory nie ma spokoju.

- Czy majątku nie można zostawić komuś innemu?

- Nie, przechodzi na dzieci, najpierw w linii męskiej, potem żeńskiej. A potem podobnie w kolejności na boczne gałęzie rodziny. Jest tak od wielu pokoleń, ale nigdy nie było tylu kłopotów.

- Rozumiem. Ale mimo to, nie musi pan przecież spotykać się ani rozmawiać z bratankiem. Przecież widać, że zakłóca panu spokój.

- Zgadza się.

Sir Digby podszedł do wypełnionej po brzegi czary z ponczem, by nalać trunku w dwa kielichy. Jeden podał Brandowi. A gdzie się podziało życie w abstynencji?

- W głębi serca jestem bardzo rodzinny, milordzie - powiedział, pociągnawszy długi łyk. - Ja i Wiliam byliśmy niczym ojciec i syn. Wciąż mam nadzieję...

- Wątpię, że pan Edward Overton się zmieni.

- Tak - westchnął. - Patrząc wstecz, myślę sobie, jak mogłoby być, gdybym ożenił się wcześniej i miał swoje dzieci. Ale był Wiliam, świetny chłopak, a kobieta w domu to zawsze kłopot...

- Chyba wszyscy patrzymy wstecz i zastanawiamy się „co by było, gdyby”.

Sir Digby spojrział nań ukradkiem. Brand miał nadzieję, że nie usłyszy za chwilę osobistych zwierzeń.

- Kamień - powiedział gospodarz.

A jednak usłyszy.

- Kamień?

- Mam kamień w pęcherzu. Cierpiałem z tego powodu całe życie. Zanim poznałem Rosie, nawet nie myślałem o ożenku. Parę lat temu ze względu na nią dałem go sobie wyciąć, co przyniosło mi ogromną ulgę. Ale czasami operacja... wie pan, milordzie... chciałbym, aby pan wiedział, że sumiennie wykonywałem małżeńskie obowiązki.

- Nigdy o tym nie myślałem.

- Zaś William poślubił biedną dzierlatkę. - Sir Digby ponownie napełnił swój kieliszek. - Pięć poronień, dwa martwe noworodki. To dla mężczyzny ogromny cios. Kiedy umarła, nie naciskałem, żeby ponownie się ożenił. Cały czas miałem nadzieję, że głupota Edwarda w końcu go opuści. - Osuszył kieliszek i rozejrzał się dookoła. - A właśnie, gdzie on jest? Usiądźmy, zapraszam. Zaczniemy bez niego. Kolacja! - ryknął, co widocznie stanowiło w tym domu sygnał, by podać do stołu, gdyż gospodyni zjawiała się natychmiast z wazą zupy.

Brand zajął miejsce w nadziei, że posiłek położy kres zwierzeniom.

- Najbardziej martwię się o Wenscote. - Sir Digby wsunął sobie serwetę pod szyję. - Kiedy ta sprawa nabierze znaczenia, ja już nie będę o tym wiedział, zaś Rosie ma zabezpieczoną przyszłość. Ale gorzka jest myśl, że Wenscote dostanie się w ręce tych, którzy nękają szarych ludzi.

Brand wziął zupę od hojnie obdarzonej przez naturę służącej, która wyglądała tak, jakby jej piersi miały lada chwila wyskoczyć ze stanika.

- To dobrzy rolnicy.

- Tak, wiem. Ale tacy zimni z nich chrześcijanie. Chrystus nakarmił pięć tysięcy ludzi - powiedział Digby, łamiąc chleb i wrzucając kawałki do zupy - ale oni patrzą na dobre jedzenie w taki sposób, jakby było dziełem szatana. Przecież Chrystus też poszedł na wesele, prawda? I zmienił wodę w wino. Ale oni nie robią wesel i nie piją wina. Pytam więc: jak to się ma do nauk zawartych w Biblii?

Brand zajął się zupą, gdyż w tym momencie nie było nic do powiedzenia.

- W dodatku oni zaorzą ogród Rosie... A, jesteś, Edwardzie. Spóźniłeś się!

Edward Overton usiadł na swoim krześle.

- Wybacz, wuju. Czytałem moją Biblię.

- Z kłapkami na oczach. Jedz zupę, jeśli nie jest to dla ciebie zbyt ciężkim grzechem.

Brand zdumiał się, widząc, jak Overton przygląda się wnikliwie zupie, jakby ją oceniał, ale przynajmniej trochę spróbował. Potem okazało się, że nie zjadł nic więcej, chociaż wchłonął dwa talerze i kawałek chleba, które spożywał powoli, gdy tymczasem na stole pojawiały się kolejne dania. Wypił też małe piwo, rozcieńczone wodą.

Twarz sir Digby'ego jeszcze bardziej poczerwieniała. Brand przypuszczał, że stało się to bardziej na widok posiłku bratanka niż własnego przejedzenia. Brand zaczął żałować, że przyjął zaproszenie.

- A więc, wuju - rzekł Overton. Otarł usta i odłożył serwetę. - Ufam, że ciotka Rosamunde żałuje swojego postępu.

- Pomińmy to, Edwardzie.

- „Nie pozwalam kobiecie sprawować władzy nad mężczyzną!” - zacytował Overton. - Ryzykujesz swoje miejsce w niebie, wuju, jeśli pozwalasz kobiecie rządzić w domu. Będę składał wam wizyty.

Sir Digby zeskrobał z talerza ostatni ślad pasztetu.

- A, co do tego, może byłoby lepiej, gdybyś w najbliższym czasie nie przyjeżdżał tu tak często. Przecież i tak nie interesuje cię zarządzanie majątkiem.

- Będzie zarządzany zgodnie z zasadami Nowego Państwa.

Sir Digby spojrział na niego wilkiem.

- Jedyny cel twoich przyjazdów to zakłócanie spokoju mojej Rosie.

- Ależ to nie jest mój cel...

- Lecz to właśnie robisz! Więc przestań. Sam nie wiem, po co tu przyjeżdżasz. My ci nie odpowiadamy. Jedzenie ci nie odpowiada. Służące cię obrażają. Więc jedź stąd i wracaj do swojej modlitwy!

Edward Overton gwałtownie wstał.

- Ta młoda kobieta doprowadzi cię do śmierci, wuju! - Branda uderzyło słowo „młoda”.

Sir Digby wstał. Był czerwony na twarzy.

- Jak śmiesz sugerować...

- Przyłapałem ją! Wkradała się do domu, śmierdząc grzechem. A gdzie była, gdy odwiedziłem was kilka tygodni temu? Hulała w Harrogate, czyż nie?

- To nic złego! A poza tym wcale się tam dobrze nie bawiła...

- Tak twierdzi.

- Mówię ci, że wróciła wcześniej!

- A więc gdzie była, gdy przebywał tu George Cotter?

- Spędzała kilka dni u kuzynki, o czym dobrze wiedziałem, to wszystko! Nie pozwolę ci obrzucać kamieniami Rosie, Edwardzie. To najlepsza, najszczęśliwsza żona, jaką można mieć.

- Czasami myślę, wuju, że umyślnie wolisz być ślepy.

Brand oparł się wygodniej i wyobraził sobie, jak otwiera się dziura w ziemi, w którą mógłby wskoczyć i zamknąć pokrywę, podczas gdy nad nim wszystko strawi ogień.

- U kuzynki, myślałby kto! - ciągnął Edward. - Jakby grzeszna hrabina mogła stanowić towarzystwo dla przyzwoitej kobiety.

Rozmowa coraz bardziej przykuwała uwagę Branda.

- Grzeszna? - powtórzył Digby. - Nie wolno ci tak mówić!

- Mówię prawdę! Jest grzeszna z natury. Nie akceptuje miejsca kobiety w społeczności. Małpuje mężczyzn. Nosi bryczesy pod suknią i jeździ okrakiem na koniu.

- Zaglądałeś jej pod spódnicę, bratanku?

Edward Overton chwycił rękami krawędź stołu i nachylił się w kierunku wuja.

- Bóg raczy wiedzieć, co ona robi, ona i twoja żona, w tym domku wdowy. I mówię dosłownie, wuju. - Wstał, unosząc prawą rękę. - Bóg wie i skaże je za to na potępienie w piekle!

Gdy rozsierdzony Edward wyszedł z sali, sir Digby znowu napełnił kielich i wychylił zawartość jednym haustem.

Brand siedział oniemiały.

Lady Arradale i lady Overton. Domek wdowy. Były tam kilka tygodni temu, kiedy w okolicy przebywał George Cotter. Dobrze prowadzona stadnina. Siedział, trzymając się mocno krzesła, aby nie wstać i nie pobiec w poszukiwaniu pokoju, gdzie przyczaiła się Rosie Overton.

Z trudem przełknął ślinę. Miał nadzieję, że jego głos zabrzmie spokojnie.

- Rozumiem, sir, że pańska żona jest młoda.



- Tak, znacznie młodsza ode mnie. - Wydawał się nieco zakłopotany pytaniem.

- Więc nadal może mieć dzieci?

- Ależ tak. Moja Rosie nie ma jeszcze dwudziestu pięciu lat.

- Więc może Bóg okaże się łaskawy i obdarzy was alternatywą dla Edwarda Overtona?

Łzy załśniły w kącikach przekrwionych, pijanych oczu sir Digby'ego.

- Mamy nadzieję, lordzie Brand - wyszeptał, najwyraźniej zapominając, że już wcześniej przyznał się do impotencji. Znacząco dotknął palcem nosa. - Jeszcze nic nie mówimy, ale mamy nadzieję.

Dokładnie tak, jak Brand podejrzewał. Zmowa męża z żoną. Niewątpliwie brali w niej udział wszyscy mieszkańcy Wensleydale.

- Proszę mi teraz wybaczyć, sir.

Sir Digby skinął głową, zapewne zakładając, że Brand udaje się za potrzebą. Nie uciekając się do podstępów, Malloren wszedł po schodach i znalazł najbardziej prawdopodobne drzwi. Otworzył je, wszedł, zamknął za sobą, po czym chwycił za ramiona kobietę, która siedziała z dobrze mu znaną książką. Postawił ją na nogi i przycisnął do ściany.

- Może porozmawiamy o programach planowania hodowli, lady Overton?

Jej twarz gwałtownie zmieniła kolor - stała się białą jak prześcieradło.

Po czym Rosie zemdląta.

## Rozdział XXI

**C**hryste. - Brand wziął Rosamunde na ręce i położył na wielkim, starym łóżku. Jego serce waliło mocno ze strachu i poczucia winy.

Poklepał ją po policzku.

- Rosie? - z trudem wymówił to imię.

Ale to przecież była jego dama. To ciało, które doskonale znał. Twarz, którą wyczuwał pod maską.

Jego Dalila.

Kobieta, która go oszukała, odurzyła i wykorzystała. Jednak gorycz i złość szybko go opuszczały.

Dostrzegł coś na swoich palcach. Potarł dłonie. Tłuszcz?

Nagle zrozumiał, że prawa strona jej twarzy jest pokryta farbą. Przyjrzawszy się bliżej odniósł wrażenie, że pod spodem są jakieś ślady. Zatrzepotała powiekami, uniosła słabą dłoń.

- Nie...

Ignorując jej protest, startł większość farby, odsłaniając blizny. Cała pajęczyna nieregularnych, czerwonych blizn widniała koło oka, a jedna szrama biegła przez cały policzek. Dotknął jej. Gdy powstała, na pewno była bardzo bolesna i przerażająca.

Otworzyła oczy, a ujrawszy go, zacisnęła je mocno, jakby to mogło usunąć go z pokoju.

- Obudź się, lady Overton. Musimy porozmawiać.

Siłą woli trzymał nerwy na wodzy, lecz w głębi duszy zaczął odczuwać coś innego. Przypomniał sobie ich wspólny śmiech, zrozumienie, namiętne kochanie.

Była tak cudowna, jak sobie wyobrażał. Poznaczona bliznami, lecz cudowna, miała długie rzęsy i gładką skórę z piegami na nosie i zaokrąglonych policzkach. Zatrzymał wzrok na jej pełnych wargach, za którymi wciąż tęsknił.

Oddychając ciężko, odsunął się i wstał.

Otworzyła oczy. Zalękniona. Niepewna.

- A więc? Czy jesteś brzemienna? - spytał.

Usiadła z wysiłkiem.

- Dlaczego o to pytasz?

- Bierzesz mnie za głupca? Nietrudno zrozumieć tak oczywisty plan.

Jęknęła, jakby ją uderzył.

- Przepraszam.

- Jesteś brzemienna?

- Chyba tak.

- To moje dziecko.

Zesztywniała.

- Dziecko Digby'ego.

- Mógłbym udowodnić, że to nieprawda.

- Nie tak łatwo.

Niech ją diabli.

- Pewnie masz rację, skoro wszyscy służący uczestniczą w spisku. Mimo wszystko, udałoby mi się tego dokonać. Mógłbym cię stąd uprowadzić siłą.

Aż skurczyła się w sobie.

- Dlaczego?

- Bo kradniesz mi dziecko.

- Jest tak samo moje, jak twoje. A nawet bardziej!  
- Oboje mówili ściszym głosem, ale jej szept był podobny do krzyku.

Odwrócił się. Do diabła, przecież wcale nie chciał odebrać jej dziecka. Chciał mieć ją - prawdziwy Samson - ale właśnie jej mieć nie mógł. Była żoną innego. Mógł nawet zrozumieć pobudki, którymi się kierowała. Na jej miejscu sam zrobiłby niemal wszystko, aby ocalić to cudowne miejsce przed Nowym Państwem.

Ale czy między nimi nie narodziła się prawdziwa więź? Zdał sobie sprawę, że dlatego tutaj jest i tak agresywnie ją atakuje. Chciał uwierzyć, że pod tą zdradą, pod tym zrealizowanym z zimną krwią planem kryło się coś prawdziwego. Podszedł do łóżka. Zaczęła się niezdarnie cofać, walcząc z ograniczającymi ruchy fałdami sukni.

- Przestań! - syknęła. - To jest również pokój mojego męża. W każdej chwili może tu wejść.

- Odsypia sutą kolację. - Ale jedno spojrzenie wystarczyło, by potwierdzić to, na co wcześniej nie zwrócił uwagi. Nie było osobnych sypialni. Każdej nocy dzieliła z Digbym ten pokój i to łóżko. Znowu ogarnęła go furia. Złapał ją na stanik sukni i przyciągnął do siebie.

- Czy coś mi się nie należy za przysługę ogiera?

- Uratowałam ci życie!

Oczywiście, miała rację. W tym i wielu innych rzeczach. Wiedział o tym, nie był ślepcem. Objął ją. Po chwili przestała z nim walczyć.

- Opowiedz mi o bliznach - powiedział. - Jak to się stało?

Rozluźniła napięte mięśnie szyi.

- Wypadek w karecie. Jechałyśmy zbyt szybko o zmroku.

- Jechałyście? Czyli kto?

- Diana i ja. Lady Arradale. Jesteśmy kuzynkami. Niemal w tym samym wieku. Napytałyśmy sobie biedy.

- Ile miałaś lat?

- Szesnaście.

Więc wyszła za mąż jako szesnastolatka. Czyżby z powodu blizn?

- Co tam robiłyście?

- Namówiłyśmy stangreta, żeby zawiózł nas na wyścigi do Richmond, a rodzice nigdy by się na to nie zgodzili. W drodze powrotnej zdarzył się nieszczęśliwy wypadek, gdy karetka zjechała z drogi.

Powiódł palcem po długiej bliźnie.

- A twojej kuzynce nic się nie stało?

- Przez dwa dni leżała nieprzytomna. I zawsze czuła się winna, bo ta eskapada była jej pomysłem.

- Jestem pewien, że wszystkie wasze szalone pomysły wychodziły właśnie od niej.

Brand poczuł silną pokusę, by wziąć bat i wychłostać zwariowaną, nieodpowiedzialną hrabinę Arradale.

- Nie doceniasz mnie, mój panie. Sama co jakiś czas wymyślałam dla nas różne przygody. - Nagle posmutniała. - Do tamtego momentu.

- Do ślubu z sir Digbym. Ktoś cię zmusił?

- Nie! - Westchnęła. - Wtedy to wyglądało o wiele gorzej. Wszyscy mi nadskakiwali, żałowali mnie. Nie mogłam znieść ich cierpienia. Nie mogłam znieść bycia „biedną Rosie” i żyć w czterech ścianach bez nadziei na zamążpójście. Kiedy pojawił się taki pomysł, chwyciłam się go ze wszystkich sił. Wtedy wszyscy mogliby przestać się martwić, a ja zamieszkałabym bezpiecznie za murami Wenscote... Wiesz, on tak naprawdę wcale nie chciał się żenić. Wtedy tego nie rozumiałam.

- Ktoś powinien był ci doradzić, abyś zaczęła.  
- Wszyscy byli tak samo załamani jak ja. - Spojrzała mu w oczy spokojnym, dojrzałym wzrokiem. - To było dawno temu.

- Ale doprowadziło nas do chwili obecnej.

- Wtedy było błogosławieństwem. Nigdy byśmy się nie spotkali, ty i ja, gdyby nie twój wypadek.

- Dziwna logika, ale słuszna. Szkoda, że mi nie zaufałaś - dodał po chwili. - Czy byłem niegodny zaufania?

W oczach Rosamunde załśniły łzy.

- Nie mogłam podjąć ryzyka, gdyż tajemnica nie była tylko moja. Brand, proszę cię, nie psuj tego teraz. Nie chodzi tylko o mnie. Chodzi o...

- Ciii, wiem. - Otarł łzę z jej policzka. - Chodzi o twojego męża, o Wenscote, o Wensleydale.

- Edward nie może się domyślić.

- On już coś podejrzewa. Nie że jesteś brzemienna - dodał, widząc jej przerażone spojrzenie - ale wątpi w twą cnotę.

- On wątpiłby w cnotę pustelnika żyjącego w jaskini. Nigdy niczego nie udowodni, chyba że ty mu pomożesz.

Wiedział, że nie próbowała go kusić, ale niemniej robiła to, bo po prostu była sobą. Jego Dalila. Ukochana. Jedna jedyna. Lecz niedostępna, zakazana. Przez moment pomyślał, by ją uwieść, lecz gdyby nawet przełamał jej silną wolę, to przecież leży oto na męzowskim łożu, gdzie nawet pocałunek smakowałby gorzko.

Cofnął ramiona, opierając się pokusie.

- Nie zdradzę cię. Masz moje słowo. Tym razem mi zaufaj. Lecz nie wolno ci nie docenić Overtona i jego sekty. Dopilnuj, niech sir Digby nie odstąpi od swego postanowienia.

Położyła sobie dłoń na brzuchu.

- Edward mógłby próbować coś zrobić?

- Zapewne uznałby siebie za karzącą rękę Boga.

A ty dopuszczasz się czynu niezgodnego z prawem. Gdyby mógł to udowodnić przed sądem, na pewno spotkałaby cię jakaś kara.

- Bez ciebie niczego nie udowodni.

- Może więc spróbować wymierzyć ci sprawiedliwość za pomocą bardziej brutalnych środków. Nadal mam ochotę zabrać cię stąd, po prostu dla twojego bezpieczeństwa.

Dumnie podniosła podbródek.

- Jeśli zajdzie potrzeba, będę walczyć. Tu jest mój dom. Moje miejsce na ziemi. Tkwią tutaj tak samo mocno jak krzaki róż w moim ogrodzie.

Jego rozum przyjął to do wiadomości, lecz głupie serce nie chciało nawet słyszeć.

- Bez sir Digby'ego albo dziecka...

- Tak nie będzie.

Aż wstrzymał oddech, słysząc zdecydowanie w jej słowach. Nim się zorientował, chwycił ją mocno za ramiona.

- Moje milczenie ma jedną cenę.

Aż skurczyła się pod jego uściskiem.

- Jaka? - wyszeptała.

- Jeśli nie jesteś brzemienna, jeśli coś się stanie i zechcesz spróbować jeszcze raz, poślij po mnie. Obiecay mi. Oddam cię sir Digby'emu i Wenscote, moja damo, lecz nie pozwolę, żeby posiadał cię jakiś inny, przypadkowo spotkany kobieciarz.

Przygryzła wargę, zalewając się łzami. Jednak kiwnęła głową.

- Teraz już nie mogłabym tego zrobić z jakimkolwiek innym mężczyzną - wyszeptała.

Wtedy chciał ją spytać, czy Digby jeszcze oczekuje od niej spełniania małżeńskich obowiązków w jego wielkim łożu. Co prawda wspomniał mu, że nie jest do tego zdolny, lecz mógłby próbować. Mógłby... Jednak nie miał prawa o to pytać, zresztą nie chciałby usłyszeć innej odpowiedzi niż ta, której oczekiwał. W jego głowie niczym uwięziony w klatce ptak trzepotały się słowa: „Moja. Moja. ”

Lecz w rzeczywistości nie była jego i być nie mogła.

Rozum pokonał uczucia. Puścił ją i podszedł do drzwi. Tam jednak zatrzymał się, aby jeszcze raz na nią spojrzeć.

- Pomyśleć, że to jeszcze nie koniec, byłoby szaleństwem.

Mokra od łez, pokiwała głową.

- A więc żegnaj, Brandzie Mallorenie.

- Jak powinienem do ciebie mówić? Rosie?

- To zdrobnienie z dzieciństwa. Na imię mi Rosamunde, ale mów do mnie Rosa, tak jak Diana.

- A więc, niech Bóg i moja miłość zawsze będą z tobą, Roso Overton.

Otworzywszy drzwi, sprawdził, czy droga wolna, po czym wyszedł. Na dole zobaczył sir Digby'ego, który półyżał w wielkim fotelu, pochrapując. U jego stóp czuwały psy. Brand chciał go obudzić, powiedzieć, że by się ogarnął, że potrzebuje go żona. Lecz z drugiej strony odczuł gorzkie pragnienie, aby Digby teraz umarł, zanim znowu legnie w łożku z Rosamunde.

Zamiast tego zrobił jeszcze jedną, ostatnią przysługę dla swojej damy. Kazał przygotować swego konia i powóz sir Digby'ego, po czym udał się na poszukiwanie Edwarda Overtona. Znalazł go w pięknym ogrodzie - w ogrodzie Rosy. Siedział na ławce, czytając Biblię.



- Nawet bezużyteczne kwiaty są miłym towarzystwem, panie Overton?

Overton zamknął książkę.

- Świeże powietrze jest darem Bożym, który przynosi nam zdrowie, lordzie Brand.

- Wyjeżdżam, a pan jedzie ze mną.

Tamten znieruchomiał.

- Dlaczego pan tak mówi?

- Sir Digby prosił, żeby pan opuścił Wenscote. A ja proponuję panu eskortę.

- Nie mam zamiaru opuszczać miejsca, które uważam za swój dom.

Brand wyrwał mu z ręki Biblię, położył ją na ławce, po czym za ubranie uniósł Overtona w powietrze.

- Które uważa pan za swój przyszły dom. A teraz wyjeżdża pan razem ze mną, przytomny albo pozbawiony przytomności.

Overtonowi oczy wyszły z orbit. Zaczerwienił się na twarzy.

- Jak pan śmie? Co to pana w ogóle obchodzi? Na pomoc! Hej! Do mnie!

- Naprawdę myślisz, że ktoś z mieszkańców przybiegnie ci z pomocą? - Potrząsnął nim. - Ostrzegam cię. Z prawdziwą przyjemnością cię obję.

- Nie może pan... - wycharczał, lecz nie stawiał oporu, gdy Brand zaciągnął go do powozu. Uparł się jedynie, że chce zabrać swoją Biblię. Służący zachowywali się tak, jakby wrzucanie człowieka siłą do karety nie było niczym niezwykłym. Brand zatrzaskał drzwiczki, bo nie zamierzał godzinami znosić towarzystwa Overtona.

- Moje rzeczy! - zażądał Edward, wystawiając głowę przez okno.

- Są już spakowane. Ale przecież jako prawdziwy wyznawca Chrystusa nie zwracasz uwagi na takie drobiazgi.

Brand wskoczył na konia. Woźnica mrugnął doń z aprobatą, nie mogąc powstrzymać radosnego uśmiechu.

Chociaż przypuszczał, że jego dama - Rosa - może go obserwować z okna, stłumił pragnienie, by spojrzeć w tamtą stronę. Ostatnią rzeczą, jaką mógł jeszcze teraz dla niej zrobić, było niewzbudzanie niczych podejrzeń.

Z tego powodu nie obejrzał się, gdy opuszczał Wenscote i swoją damę, która już nie była tajemnicza.

\*

Nie zatrzymując się, minęli Arradale. Brand miałby ochotę rozmówić się z Beyem, aby się upewnić, że ten porzuci dalsze śledztwo i chęć zemsty. Jednak taka rozmowa bezpośrednio po wizycie w Wenscote stanowiłaby zbyt wyraźną wskazówkę, a przecież nie mógł mieć pewności, że brat postąpi zgodnie z jego życzeniem. Bey zawsze uważał, że sam wie, co jest najlepsze.

Jazda do Leyburn mijała w atmosferze dobrych i złych myśli. Rosa Overton. Rosamunde. Niczym odurzony miłością poeta, powtarzał cicho to jedno słowo. Rosa z tego świata. Dobra Rosamunde, zagubiona w labiryncie dla królewskiej przyjemności. Uwikłana...

Wspomniał jej słodkie ciało, gdy niósł ją na łóżko. Niech go diabli wezmą za to, że tak ją przestraszył! Nagle przypomniał sobie i natychmiast zapragnął dotknąć jej pięknych kształtów, poczuć jej oddech.

Nie uważał się w pełni za Mallorena. Miał skromne ambicje. Nie obrażał się z byle powodu. Nie oczekiwał, że zdobędzie wszystko, po co wyciągnie rękę. A teraz zastanawiał się, czy przedtem po pro-

stu nigdy niczego nie chciał. Nie tak, jak pragnął tej kobiety.

Jedynej, której nie mógł mieć.

Co Bey zrobiłby w tej sytuacji? Oczywiście trudno było to sobie wyobrazić, lecz Brand przypuszczał, że uciekłby razem z nią, przeświadczony o możliwości naprawienia sytuacji.

Jednak Brand nie mógł pogwałcić jej prawa do wyboru, zwłaszcza teraz, gdy zrozumiał jej plany i potrzeby. Razem z mężem znaleźli sposób na ominięcie prawa i dokonanie aktu sprawiedliwości, który ona bravurowo wykorzystwała. Wspomniał jej nieporadność, naiwność, desperacką obronę przed własnymi uczuciami. Wszystko to dowodziło jej ogromnej odwagi w krytycznej sytuacji. Teraz już nie wątpił w powstałą między nimi magiczną więź ani w cierpienie, którego podobnie jak on musiała zaznać, gdy się rozstali.

Była bohaterką. Najmniej, co mógł zrobić, to zostać godnym jej bohaterem.

Oraz usunąć cierni, tkwiący w jej boku.

W Leyburn spytał Overtona, dokąd chce jechać.

- Wszystko jedno. I tak zamierzam wrócić do domu wuja.

Siedzieli w gospodzie, spożywając posiłek - co jest nieco mylącym określeniem, zważywszy że Overton jadł gotowane jarzyny, popijając je rozcieńczonym wodą piwem. Brand opanował pokusę, by zaatakować go swoim grzesznym kotлетem wieprzowym.

- Nie wrócisz tam. Wydałem polecenie służbie, by poinformowali mnie, jeśli jeszcze raz zjawisz się nieproszony. - Nie dodał żadnej groźby, która w tym momencie nie była konieczna.

- Dlaczego? - spytał gwałtownie Overton, niemal tak czerwony na twarzy jak jego wuj. - Skąd to całe zainteresowanie?

- Lubię sir Digby'ego. A on kazał ci odjechać i trzymać się z daleka. Ja zaś pilnuję, żebyś się zachował tak, jak przystało na dobrego bratanka. Jestem pewien, że każdy zwolennik Cottera przyznałby mi rację.

- Wolimy, gdy mówi się do nas „święci”.

- Więc żyj w zgodzie z tym określeniem.

Overton zamilkł. Brand musiał przyznać, że chociaż nie lubił być autokratyczny, jednak teraz całkiem dobrze się bawił. Ciekawe, czy Beya także bawiło, gdy patrzył na swoją ofiarę, która wpada bezradnie w sieci i wije się niczym wyjęta z wody ryba.

- Proszę mnie zawieźć do Rawston Glebe - odezwał się Overton, gdy skończył mizerny posiłek.

- Co takiego?

- To majątek pod Northallerton.

- Wiem, gdzie to jest.

W oczach Overtona pojawił się jakiś podejrzący błysk.

- Jakiś czas temu byłem w tamtej okolicy - powiedział ostrożnie Brand. - Sąsiaduje z posiadłością, którą być może kupię. Zarządza nią Nowe Państwo, prawda?

Overton skinął głową. Miał zaciśnięte usta.

- Spotkałem tam w zajeździe George'a Cottera. Ciekawy człowiek.

- Prawdziwy święty.

Brand przytaknął.

- Pewnie masz rację. Jednak mam wątpliwości co do niektórych jego zwolenników.

Czytając z wyrazu twarzy Overtona, Brand postanowił jednak napisać raport dla brata. Jeśli Overton bawił się miksturami, mógł mieć coś wspólnego z zatruciem Branda, a także ze śmiercią swego kuzyna, Williama. Czy to stanowiło zagrożenie dla Rosy?

Nie, jeśli Overton i jego „święci” będą się trzymać z dala od Wenscote.

Wstał i rzucił na stół kilka monet za posiłek.

- Dopilnuję, żeby zawieziono cię do Rawston Gelbe. Sam jadę do Thrisk. A teraz posłuchaj, Overton. Jeśli jeszcze raz pokażesz się w Wenscote, to bardzo możliwe że dokona się w tobie transformacja ze świętego w męczennika.

Brand dał sute napiwki służącym z Wenscote, chociaż zapewne nie potrzebowali takiej zachęty, aby zawieźć Overtona do miejsca przeznaczenia. Wsiadłszy na konia, wyruszył do Thrisk, do swojego pokoju „Pod Trzema Beczkami” i do czekającej nań sterty zaległej pracy. Cieszył się na nią bardziej niż kiedykolwiek. Była to jego jedyna obrona przed nieustannym myśleniem o cudownym domu, wspaniałej kobiecie i rosnącemu w jej brzuchu dziecku.

Obrona bardzo mizerna, po przy każdej sposobności wracał do wspomnień. Od dziś jeszcze siedem miesięcy. Mimo najlepszych intencji, nie mógł zerwać kontaktu. Musiał się przekonać, czy ma syna, czy córkę, czy Rosa bezpiecznie urodziła. Jak mógłby się tego dowiedzieć, nie wzbudzając podejrzeń? Gdyby zainteresował się jej stadniną i składał regularne wizyty, czy komukolwiek wydałoby się to nie stosowne?

Chyba nie, ale byłoby zbyt niebezpieczne. Jego silna wola też ma swoje granice. Aż skręcało go na wspomnienie walki, jaką podjął z Rosą tamtej ostatniej nocy, gdy chciał, aby zdradziła wszystko, co kochała, by zdradziła swój honor. Mimo wszystko wcale nie był pewien, czy nie podejmie takiej próby w przyszłości.

A jeśli coś pójdzie nie tak? Jeśli straci dziecko... ?

Mimo całego egoizmu, nigdy by nie chciał, aby przeżywała taki koszmar. Mógł się jedynie modlić

o bezpieczny poród, o zdrowe dziecko i długie życie dla jej męża.

Mógł dla niej zrobić tylko jedno: trzymać się z daleka.

Na zawsze.

\*

Kiedy Rosamunde dowiedziała się, jak Brand usunął z Wenscote Edwarda, z trudem powstrzymała łzy. A więc jednak okazał się jej błędnym rycerzem, który przeganiał smoki z alkierza swej damy. Stal również na straży. Niebawem dowiedziała się od Potts'a, służącego Digby'ego, że Brand prosił, aby go poinformować, gdyby Edward wrócił.

Ta słaba, wciąż istniejąca nic, była niebezpieczna, lecz zarazem niezwykle cenna. Nie dopuściłaby, aby to stało między nią a Digby'm, więc zachowała rycerskość Branda dla siebie. Myśl o tym koiła ją podczas trawionych smutkiem nocy.

Jednak poza tymi chwilami wyrzucała go ze swoich myśli.

Wykorzystując wstyd Digby'ego, który chrapał całe popołudnie zamiast osobiście wyrzucić Edwarda, zmusiła go, by zadbał o swoje zdrowie. Zabroniła pani Monkton gotować mu ciężkie posiłki, które uwielbiał, zaś sama wydzielała mu brandy. Jeśli okazywał najmniejszy opór, podnosiła kwestię dziecka, a wtedy natychmiast przyrzekał prowadzić zdrowy tryb życia. Aby umocnić go w tym postanowieniu, cały czas opowiadała mu o zmianach w swoim ciele. Jak jej piersi urosły i stały się bardziej wrażliwe. Jak pogrubiała w talii. Jak zapach stajni zaczął wywoływać mdłości, chociaż na razie udało się jej uniknąć torsji.

- Wobec tego nie powinnaś tam chodzić - powiedział, gdy mijali stajnie w czasie przechadzki ku pobliskim pagórkom. Doktor Wallach powiedział, że powinna zażywać ruchu, a zwłaszcza spacerów na niewielkie wzniesienia.

- Ależ ja to lubię. - Rosamunde wdychała aromatyczne wieczorne powietrze i nagle zakręciła się, przepełniona radością dla życia, przyrody i piękna.

- Hej, Rosie, uważaj. Chyba nie dam rady cię złapać, jeśli zakręci ci się w głowie.

Zatrzymała się.

- Już niedługo będziesz mógł nosić mnie na rękach - odparła szelmowsko. - Tylko że wtedy będę już wielka jak słonica!

Roześmiali się, a jej śmiech był czystą radością. Wcale się nie oszukiwała. Digby wyglądał lepiej. I była pewna, że lepiej się czuje, bo wciąż narzekał na marne jedzenie i napitki.

- A może niedługo wskoczysz na konia? - dodała. Ryknął ze śmiechu.

- To by dopiero była bomba! Co nie znaczy, że w młodości nie ganiałem w siodle.

Gdy szli, zabawiał ją opowieściami o swych młodzińczych wyczynach. Żałowała, że nie знаła go wtedy, gdy był w sile wieku, ale i teraz życie było cudowne.

W każdym razie prawie cudowne.

Nie, nie będzie myślała o innych rzeczach.

Choć w pewien niewinny sposób Brand istniał w jej życiu.

Pierwszy kontakt stanowił grzeczny list do Digby'ego z podziękowaniem za gościnę. Oczywiście tego należało oczekiwać, lecz była w nim zawarta prośba o pozwolenie prowadzenia od czasu do czasu korespondencji z lady Overton w kwestii hodowli koni.

Rosamunde przeżywała wewnętrzną walkę, ale Digby okazał zadowolenie, więc wmówiła sobie, że nie ma w tym żadnego niebezpieczeństwa. Teraz już ufała Brandowi i wiedziała, że nie wykorzystałby korespondencji do pisania o tajemnicach. Po prostu pragnął zachować kontakt, ona zresztą również.

Przyszły dwa listy i odesłano dwie odpowiedzi. Listy przeczytała Digby'emu, zaś odpowiedzi pokazała mu na wypadek „gdyby chciał coś od siebie dopisać”. Chociaż nie uważała tego za konieczne, dopilnowała, aby Brand wiedział, że pokazywała listy mężowi.

Czasem zastanawiała się, czy powinna mu ufać tak bezwarunkowo, lecz w głębi duszy wiedziała, że może być go pewna. To zaufanie wynikało nie ze wspólnie spędzonego czasu w domku wdowy. Przekonała się do niego całkowicie w momencie, gdy jej nie pocałował w sypialni w Wenscote.

Strasznie tego pragnęli oboje, nawet bardziej niż wtedy, gdy spotkali się pierwszy raz. Lecz on nawet nie próbował, zaś ona wiedziała dlaczego. Tak więc była przekonana, że może mu ufać bezgranicznie. Na zawsze.

A więc cieszyła się z listów, choć każdy z nich otwierał stare rany. Oprócz samego kontaktu Brand miał prawo wiedzieć, co się dzieje z jego dzieckiem. Dowie się o jej zdrowiu, o porodzie, płci i imieniu dziecka. Jeśli korespondencja nie ustanie, będzie mógł śledzić rozwój potomka przez wiele lat.

Jego potomka.

Dziecka, którym tak hojnie ją obdarzył, nie w czasie grzesznych nocy w domku wdowy, lecz gdy odjechał z Wenscote bez sprzeciwu i bez ostatniego spojżenia przez ramię.



**D**wa tygodnie po wizycie w Wenscote Brand siedział w oberży z miejscowym farmerem, załatwiając zakup kilku pięknych baranów, gdy do środka wszedł Bey. Pierwszą tego oznaką była reakcja Billa Stallinga, który momentalnie znieruchomiał. Bey działał tak na wielu ludzi. Nie obawiali się go, nie czuli niechęci, po prostu ogarniało ich jakieś napięcie.

Kiedy podszedł bliżej, Stalling doprowadził rozmowę do końca i się oddalił. Na jego miejsce usiadł Bey, odsuwając na bok metalowy kufel.

- W przyszłym tygodniu wracam na południe.

- Więc skończyłeś śledztwo w sprawie Nowego Państwa?

Rothgar wziął z miski orzech i skruszył go palcami.

- To dobrze - powiedział Brand. - Masz dowody morderstwa?

- Dowody? Raczej nie, ale pewien obciążający wzór działania. Ujmując rzecz geograficznie, zgony miały miejsce na całej północy, dlatego nie tak łatwo znaleźć powiązanie.

- Chyba że podejmie się tego ktoś taki jak ty, mający możliwość zarzucenia ogromnej sieci w poszukiwaniu informacji.

- Właśnie. Bardzo pomocne okazały się także wiadomości o medykamentach zakupywanych przez sektę.

- Zbierałeś ich receptury?

- Jak dobrze mnie znasz. Lecz gdy cała sprawa stanie na wokandzie, materiał dowodowy będzie bardzo przekonujący. Zwłaszcza że przy ostatnim posiłku każdej z ofiar zawsze był obecny członek sekty Cottera.

- Czy jest w to zamieszany również Edward Overton?

- Aż po swoje świętoszkowate uszy. Jest pomocnikiem ich aptekarza w Rawston Gelbe, poza tym był obecny przy trzech zgonach, łącznie ze śmiercią swego kuzyna, Williama.

Brand za wszelką cenę starał się ukryć ulgę, jaka nań spłynęła. Nie miał wątpliwości, że w natłoku zajęć Bey znalazł również czas na poszukiwanie ludzi, którzy struli Branda, lecz niczego nie udało mu się odkryć. Teraz Rosa była już bezpieczna, nie groziło jej nic ani ze strony Edwarda Overtona, ani Beya.

- Jednak nie udało się nikogo zatrzymać - stwierdził. - Dlaczego?

- Starannie dobierali ofiary. Sami mężczyźni zagrożeni atakiem z przyczyn naturalnych. Ale zdrowy, wpływowy młody człowiek to zupełnie inna sprawa. Dla ciebie musieli sprokurować wypadek.

- Czego więc użyli?

- Zapewne mikstury, którą podają ogarniętym zwątpieniem członkom sekty. Opium i jeszcze parę składników. Powoduje to długotrwałą utratę przytomności, a potem jeszcze dotkliwie bóle. Zamroczenie pozwala czasowo usunąć malkontentów, zaś cierpienia wybijają im z głów buntownicze myśli.

- Ja na pewno zaniechałbym wszelkiego oporu.

- Kolejna pożyteczna receptura.

Brand się roześmiał.

- Ty wybijasz ludziom z głowy buntownicze myśli, nie uciekając się do tak prymitywnych sposobów.

- O dziwo, ludzie często nie postępują zgodnie z moimi oczekiwaniami. - Oparł się na krzesło. - To śledztwo stanowiło fascynujące studium niebezpieczeństw, jakie niesie ze sobą władza. O ile mi wiadomo, George Cotter zaczynał swoją krucjatę tak samo uczciwie jak Wesley.

- Według mnie wcale się nie zmienił. Nie kieruje się podstępem.

Po chwili Brand zastanowił się, czy przypadkiem Bey nie mówił również o sobie. Odpowiedzialność i pokusy związane z władzą są ogromne, mogą też prowadzić do demoralizacji.

- Całkiem możliwe, że Cotter o niczym nie wie - zgodził się Bey. - Ale bardziej prawdopodobne jest to, że jego zbożny cel wziął górę nad trzeźwą oceną sposobów dojścia do celu.

- A to byłaby wielka szkoda. Bo w wielu kwestiach ma rację.

- Masz bardzo hojne serce, co?

Brand wzruszył ramionami.

- Widzę, że dla ciebie to grzech.

- Złe uczynki należy ukarać.

- To bardzo zgodne z literą Starego Testamentu. A co powiesz o nadstawieniu drugiego policzka?

- To jedna z trudniejszych do wyjaśnienia nauk Chrystusa. Ale z drugiej strony, będąc bogatym, muszę się przeciskać przez ucho igielne, więc drobiazgi nie mają znaczenia. Może w księgach sekty zawierających receptury znajdę też eliksir małostkowości.

Brand pokręcił głową. Jego brat był w dziwnym nastroju.

Wrócił myślami do ataku na swoją osobę.

- No więc odurzili mnie, a potem dla pewności porzucili na pustkowiu. Gdybym przeleżał w tym bagnie całą noc, z pewnością zamieniłbym się w trupa.

- Wobec tego Mallorenowie mają dług wdzięczności wobec tego, kto cię uratował. Wobec twojej tajemniczej damy.

Brand pociągnął łyk piwa.

- Wyznaczyła cenę, którą zapłaciłem.

- Naprawdę? Zaiste, niezwykła transakcja. Nic więcej o niej nie wiesz?

- Bey, nie wracajmy do tego.

Milczał chwilę.

- Dobrze. A teraz, jeśli masz czas, chciałbym cię wciągnąć w sprawę Nowego Państwa.

- Chyba mówiłeś, że to już skończone.

- Moje śledztwo jest skończone. Jednak intryguje mnie udział w tym wszystkim George'a Cottera. Jest albo bardzo sprytny, dzięki czemu może mi się wymknąć, albo niewinny, a wtedy mógłby mi pomóc. Chciałbym, abys się tego dowiedział.

- Czego?

- Czy to święty, czy diabeł. Zamierzam sprowadzić wojsko pod pozorem akcji przeciwko przemytnikom na wybrzeżu. Za parę dni przejmemy posiadłości Nowego Państwa celem przeprowadzenia śledztwa, a w końcu przywódcy sekty zostaną postawieni przed sądem, zaś sama organizacja ulegnie likwidacji.

Brand zeszywniał.

- Nie możesz rozbić rolniczej społeczności przed zbliżającymi się żniwami.

- Tu właśnie potrzebna mi twoja pomoc. Będziesz to nadzorował.

Brand aż jęknął. Mógł się domyślić, że zostanie zaprzęgnięty do pracy niczym roboczy wół.

- Jednak na razie - podjął brat - zanim doprowadzę do ich upadku, chcę, abyś odszukał Cottera i go sprawdził. Jeśli stwierdzisz, że jest niewinny, namów go, aby pomógł w ukaraniu grzeszników w swoim stadzie.

- Nawet gdyby miało to zniszczyć jego sektę?

- Jeśli jest człowiekiem prawym, zrozumie, że wychodował drzewo poznania zła, a nie dobra. - Rothgar wstał. - Ja muszę się zająć osobiście pewną sprawą, ale wrócę za dwa dni. Uważaj na siebie.

- Ty również. Ci ludzie to szaleńcy.

- Niepokojąca jest myśl, że religia tak często prowadzi do szaleństwa. Jak to rozumieć? - Zadawszy to filozoficzne pytanie, wyszedł.

Brand zapłacił i poszedł jego śladem. Zastanawiał się, jakąż to sprawa jest na tyle delikatna, że Bey musi się nią zająć osobiście. Brat jest wszak mistrzem w powierzaniu zadań innym. Przecież nawet Brandowi zlecił sprawę zbadania majątków należących do Nowego Państwa. W tym tygodniu planował wyjazd na południe. W jego myślach nieustannie przewijała się Rosa i Wenscote, kusząc do popełnienia niosącego dyshonor szaleństwa. Codziennie po kilkanaście razy wymyślał różne powody, by ją odwiedzić. Nie potrafił zwalczyć w sobie tego pragnienia.

Jednakże teraz wzywały go obowiązki. Ktoś musiał dopilnować, by zajęto się ziemią Nowego Państwa, by zebrano plony. Tym kimś był właśnie on.

\*

Edward Overton otworzył list i usiadł ciężko na prostym krześle swojego niewielkiego pokoju w Rawston Gelbe. O, nie!

Jeszcze raz przeczytał wiadomość. Mimo chłodnego traktowania, z jakim spotykał się w Wenscote, znalazł jednego służącego, który za pewną opłatą zgodził się go informować o nowych wydarzeniach. Doskonale wiedział, że jego ciotka faktycznie jest nierządnicą, a teraz miał w ręku dowód. Szpieg donosił, że podsłuchiwał, jak wuj i ciotka Edwarda rozmawiali o tym, które pomieszczenie zostanie przeznaczone na pokój dziecienny. Wątpił, czy nawet sam wuj mógłby uwierzyć, że dziecko jest jego, lecz sir Digby przymknąłby oko na to oszustwo, aby pozbawić Edwarda przysługujących mu praw.

Zmiał kartkę, usiłując zachować spokój.

Wenscote było jego. Jego, aby mógł je zmienić w Jerozolimę. Ich czyn jest ciężkim grzechem, w rzeczy samej kradzieżą, do której nie można dopuścić. Co więcej, już wiedział, jak tego dokonać.

Wstał i zaczął chodzić po pokoju, przerażony własnym zamysłem.

Kiedy zdecydował się na pracę jako aptekarz, zamierzał jedynie leczyć i nieść ulgę. Potem poproszono go o pomoc innego rodzaju.

Głęboko wierzył, że było to dla dobra ogółu i Bożej chwały. Przecież tylu świętych wiodło prosty żywot w źle prowadzonych majątkach, a wszystko po to, by nieliczni mogli się pławić w luksusie. W posiadłości Nowego Państwa każdy święty miał swój własny, taki sam jak inni kawałek ziemi, gdzie mógł uprawiać warzywa i hodować mięso. Nie marnowano ani skrawka parceli na ozdobne ogrody, pastwiska dla jeleni czy inne głupoty.

Mógłby doprowadzić Wenscote do tak doskonałego stanu. I zrobi to. Dopuszczenie, aby to oszustwo uszło im na sucho, byłoby kradzieżą wobec Pana Boga! Dni wuja Digby'ego i tak były już policzone.

Więc teraz byłoby inaczej niż w przypadku Williama...

Przygryzł pięść, wspominając ostatnie chwile życia kuzyna. To był w całości jego własny plan, lecz wcale nie działał z egoistycznych pobudek. Zrobił to, by oczyścić drogę dla Bożej chwały.

Postąpił słusznie.

Był świętym.

To oni grzeszyli, a nie on.

Utwierdzony w swym postanowieniu, poszedł do spiżarki i ostrożnie napełnił małą buteleczkę płynem na stłuczenia, opatrzonym etykietą „Trucizna. Stosować tylko zewnątrz”. Mikstura, jako mało skuteczna, była używana dość rzadko. Potem zajrzał do księgi i znalazł to, czego szukał: recepturę zwaną dwuznacznie „środkiem na zachowanie menstruacji”. Zmieszał razem składniki i napełnił nową buteleczkę.

Z obiema miksturami w kieszeni poprosił grzecznie o pozwolenie na odwiedziny wuja, który zanie mógł. Wkrótce potem jechał do Wenscote na jednym z łagodnych koników, będących wspólną własnością świętych.

Niepokoił się trochę z powodu Branda Mallorena, który zabronił mu kolejnych wizyt i ostrzegł, że w wypadku naruszenia tego zakazu służba na pewno go o tym fakcie zawiadomi. Nie miał najmniejszej ochoty na jeszcze jedno spotkanie z tym połykaczem ognia. Jednak zanim wiadomość dotrze do lorda Branda, sir Digby będzie już pośród zmarłych, zaś dziecko nie-rządniczy zniknie z tego świata w kałuży krwi.

Zaś on, Edward Overton, w końcu będzie mógł poświęcić Wenscote Bogu.

Następnego dnia Rosamunde szykowała się, by dojechać konia na podwórze przed stajnią w majątku rodziców. Ponieważ służba i tak niedługo sama się domyśli, zebrała w sobie odwagę, aby przyjechać i zawiadomić rodziców o dziecku, zanim dojdą ich uszu plotki. Wcześniej bała się, co na to powiedzą, lecz ich radość i gratulacje były naprawdę szczerze. Jeśli nawet mieli jakieś podejrzenia, zatrzymali je dla siebie.

Wiedziała, że matka musiała rozpoznać Branda w Arradale, lecz nie wspomniała o tym ani słowem. Czy powiedziała coś ojcu Rosamunde? Wszystko to sprawiło, że ogarnął ją młodzieńczy dreszcz, ale teraz było już po wszystkim. Jej plan musiał się powieść.

Matka ucałowała ją, ojciec pomógł wejść na schodek, z którego ostrożnie zajęła miejsce w damskim siodle. Nie chciała ryzykować. Wyjeżdżała wcześniej, bo zamierzała pokonać stępem całą drogę do Wenscote. Drugiego wierzchowca dosiadł towarzyszący jej stajenny, do którego siodła przytroczono worki i kosze. Matka z pewnością sądziła, że w swoim domu Rosamunde źle się odżywia. Wiedziała, że to przejaw rodzicielskiej troski. Gdy wyjeżdżali na trakt prowadzący przez wzgórza do Wenscote, odwróciła się jeszcze, żeby im pomachać.

Mimo że na niebie widniały nieliczne chmury, dzień był piękny, przepełniał ją poczuciem szczęścia. Nie pozwoli, by jakieś przeciwności losu odebrały jej radość. Spoglądając na drogę wiodącą do domu, patrzyła w przyszłość, w lepsze życie.

Była już w ostatniej niecce przed Wenscote, gdy spomiędzy drzew wyjechało na koniach czterech mężczyzn. Otoczyli jej zaskoczonygo sługę, wyciągając pistolety.



Wyrwała się z odrętwienia i ruszyła z kopyta w kierunku domu, przeklinając swe damskie siodło. Zanim jej wystraszony koń wszedł w galop, dogonił go i zagroził mu drogę siwek, którego jeździec chwycił cugle Rosamunde.

- Lady Overton, jak sędzę.

- Markiz Rothgar!

Rosamunde znowu była bliska omdlenia.

- Sir, co pan robi?

Nie musiała udawać strachu. On wiedział! Wiedział i przyjechał dokonać aktu zemsty. W jej głowie kołatała się jedna myśl. Nie może mu pozwolić, by wyrządził krzywdę jej dziecku.

- Proszę się nie obawiać - rzekł z kamienną twarzą. - Chcę zabrać panią w bezpieczne miejsce.

- Mój dom jest niedaleko stąd. Tam będę bezpieczna.

- Może jednak nie...

Rosamunde chciała smagnąć go szpicrutą po trzymającej cugle ręce, lecz markiz złapał ją za nadgarstek i wyrwał groźne narzędzie. To jednak dało jej odrobinę swobody, co wykorzystała, rzucając się do ucieczki.

Do Wenscote.

Do Digby'ego.

Tam gdzie będzie bezpieczna.

Nabrała powietrza, by wrzasnąć, gdy znowu wyprzedził ją siwek, grzmiąc kopytami po ziemi, zagroził drogę i zmusił do gwałtownego zatrzymania, a nawet cofnięcia się o kilka kroków. Musiała użyć wszystkich jeździeckich umiejętności, by utrzymać się w siodle.

Jedno spojrzenie wystarczyło Rosamunde, by stwierdzić, że jej biedny stajenny leży związany na ziemi, pokonany i zawstydzony.

- To nie twoja wina, Ned - zawołała do niego. - Nikt nie oczekuje, że pokonasz czterech bandytów.

Siepacze lorda Rothgara wydawali się równie niezruszeni jej wzgardą, jak ich pan. Wsiedli znowu na konie i po chwili otoczyli ją kołem, uniemożliwiając kolejną próbę ucieczki.

- Czego ode mnie chcecie? - spytała trzęsącym się głosem.

To nie może się wydarzyć. Nie teraz.

- Pojedzie pani na południe, lady Overton, daleko od czyhającego niebezpieczeństwa. Na gościńcu czeka kareta.

Wskazał drogę, po czym ruszył stępą, pociągając również konia Rosamunde. Zupełnie jakby porwanie nie było niczym niezwykłym. Otoczona jego ludźmi nie miała wyboru, musiała się poddać.

- Poza panem nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo, sir. Kim pan jest?

- Dobrze pani wie, kim jestem, i musi pani także wiedzieć, że z mojej strony nic pani nie grozi. Brand nigdy by mi nie wybaczył.

O Boże. Czyżby Brand maczał w tym palce? Zaufała mu, a on ją zawiódł.

- Nic mi nie grozi? - rzuciła ze złością. - Przez pana niemal zrzucił mnie koń.

- Następnym razem na pewno panią docenię.

Był jak skała, lecz musiały istnieć słowa zdolne ją naruszyć.

- Dlaczego pan mnie uprowadza, lordzie Rothgar?

- Nowe Państwo chyli się ku upadkowi, lady Overton. Część członków została już aresztowana pod zarzutem morderstwa i napaści. Używali trucizn, by przywłaszczać sobie majątki, w tym, niestety, również Wenscote, co zamierzali osiągnąć po-

przez śmierć Williama Overtona. Dlatego wolę dopilnować, by nie groziło pani żadne niebezpieczeństwo.

Czyżby jednak był normalnym człowiekiem?

- Ale co z moim mężem?

- Moja troska dotyczy pani i dziecka.

- Dziecka? - powtórzyła, bo nic innego nie przyszło jej do głowy.

- Jako osoba zajmująca się hodowlą zwierząt, na pewno posiada pani pewną wiedzę o rozmnażaniu.

- Oczywiście, że posiadam. Po prostu trudno mi pojąć, z jakiego powodu interesuje się pan moim dzieckiem.

- „Trudno mi” jest zaiste interesującym określeniem, nie sądzi pani?

- Brand panu powiedział - rzekła z goryczą.

- Nie. Wiernie dochował tajemnicy, tak samo jak wszyscy w Arradale. Jednak nie było trudno się dowiedzieć, że lady Arradale ma kuzynkę, z którą jest bardzo blisko, a którą jest lady Overton, oddana, lecz młoda żona sir Digby'ego. Wszyscy wiedzą, że jeśli sir Digby nie będzie miał potomka, Nowe Państwo położy swe macki na Wensleydale. Obawiam się, że Brand nieostrożnie dołożył ostatni element do tej układanki. Otóż odwiedził majątek sir Digby'ego i nagle stracił całe zainteresowanie pani osobą.

Rosamunde z rezygnacją, a jednocześnie z szacunkiem pomyślała o jego detektywistycznych zdolnościach, lecz nie rozumiała jednego.

- A jakim sposobem powiązał pan lady Arradale z tą sprawą, milordzie?

- Dzięki pierścieniom, milady. Jako lady Richardson miała ich pani dużo na palcach. Podobnie jak lady Arradale.

- Przecież to nie jest nic niezwykłego.

- Ale niezwykle jest wspaniały rubin, który nosiła pani w Thrisk. Zaś hrabina miała go na palcu podczas balu.

- Teraz żałuję - powiedziała z goryczą - że wtedy na pana nie zwymiotowałam.

- Byłby to po prostu kolejny grzech na pani koncie.

Rosamunde zamilkła. Wiedział wszystko. Mimo zewnętrznego opanowania, lord Rothgar aż się gotował ze złości. Czuła to tak samo, jak zbliżającą się burzę.

Musiała uciekać. Po prostu musiała! Nawet jeśli markiz nie wyrządzi jej krzywdy, to i tak wszystko zepsuje.

Spróbowała być szczerą.

- Lordzie Rothgar, jest pan przeciwnikiem Nowego Państwa. Na pewno rozumie pan, jak ważne jest moje dziecko.

- Nowe Państwo zostało złamane, a wraz z nim Edward Overton. Zapewne zostanie powieszony. Wenscote nic już nie grozi.

- Ale moje dziecko nadal będzie dziedzicem Wenscote!

- Prawem krwi czy konieczności?

Dojechali do karety. Pozwoliła, by pomógł jej zsiąść z konia i nagle doznała kolejnego ciosu.

- Z tego, co wiem, jest jeszcze inny dziedzic - powiedział. - Niejaki doktor Nantwich, daleki kuzyn pani męża. Chce go pani oszukać?

Uderzona tą wiadomością, nie mogła zebrać myśli. Więc jej dziecko nie miało żadnych praw... ? I ona również? Czyli Wenscote było dla niej stracone?

Delikatnie dotknął jej ramienia.

- Proszę się nie martwić, lady Overton. Zaopiekujemy się panią i dzieckiem.

- Zaopiekujemy? To znaczy kto?

- Rosa!

Na ten okrzyk oboje odwrócili się i ujrzeli *jeźdźca*, pędzącego galopem po zboczach w kierunku karety. Spod końskich kopyt wlatywały w powietrze kępy trawy.

- Diana! - Rosamunde zamarła.

Kuzynka na pewno zaraz spadnie na ziemię.

Lord Rothgar mruknął coś pod nosem, zaciskając mocniej dłoń na ramieniu Rosamunde. Jednak koń ślizgając się, wpadł na gościniec, połyskując białkami oczu, zaś Diana zeskoczyła z siodła i ruszyła biegiem w ich stronę, gubiąc po drodze kapelusz.

- Rosa! Co się stało? Co tu się dzieje?

Markiz jakby instynktownie cofnął się, robiąc miejsce obu kuzynkom. Diana zatrzymała się w ostatniej chwili i znalazła się za nim.

- Ma pan pistolet przystawiony do pleców, lordzie Rothgar. Proszę więc robić, co każe.

Wszyscy zamarli. Rosamunde oparła się ciężko o powóz. Czy może się wydarzyć coś jeszcze dziwniejszego?

- Większość ludzi tak naprawdę wcale nie chce pociągnąć za spust - odezwał się markiz. - A pani, lady Arradale?

Rosamunde dostrzegła trzęsące się ręce kuzynki, którymi trzymała jednocześnie broń i konia. On musiał to wyczuć.

- Człowiek, który uczył mnie strzelać, stwierdził dokładnie to samo, milordzie. Powiedział, abym przygotowała się mentalnie do zabójstwa tak samo skutecznie, jak załadowałam pistolet. I zrobiłam to. Jeśli sądzi pan, że kieruję kulę z dala od ważnych dla życia organów, i czynię to z głupoty, to znowu nie docenia pan kobiety. Jeśli strzelę, to w miejsce, które da panu szansę przeżycia. Co prawda niewielką, ale zawsze szansę.

- Rozumiem. A więc, co dalej, milady?

- Po pierwsze, pańscy ludzie złożą broń i uwolnią służącego Rosy. W pobliżu mam mały oddział, który na razie pozostaje w ukryciu.

- Bardzo ciekawe. Czy mamy w to uwierzyć?

Mimo wszystko kazał swoim ludziom, by spełnili jej rozkaz.

- Do mnie! - zawołała Diana. Spoza pagórka wyłoniła się grupa ludzi. - Wybrałam ten sposób, aby uniknąć rozlewu krwi, milordzie. Lecz jeśli chce pan stawić nam czoło, przyjmujemy walkę.

Zszokowana Rosamunde miała ochotę parsknąć śmiechem. Oddział Diany składał się z uzbrojonych stajennych oraz wieśniaków. Niektórzy mieli broń palną, inni zaś tylko kije lub narzędzia do uprawy ziemi. Zeszli po zboczu i zatrzymali się w pewnej odległości, nieco zaniepokojeni, lecz wyraźnie gotowi do walki na śmierć i życie.

- Świetnie się spisałaś, Diana! - powiedziała Rosamunde.

- W rzeczy samej - stwierdził markiz, jakby wcale nie był pokonany.

- A więc - głos Diany nieco się uspokoił - będziemy walczyć, milordzie?

- Bynajmniej, hrabino. - Odwrócił się powoli. - Król byłby niezadowolony, gdyby dowiedział się, że jego szlachetni poddani walczą między sobą.

- Co pan chciał zrobić z Rosą? - Diana cofnęła się ostrożnie o kilka kroków.

- Zapewnić jej bezpieczeństwo.

-A cóż jej grozi?

- Różne rzeczy. Na pewno sama to pani wyjaśni.

- Jeśli nawet, to nie jest pańska sprawa.

- Jej dobro leży w kręgu mego zainteresowania.

- Żadne tutejsze sprawy nie leżą w kręgu pa-na zainteresowań, lordzie Rothgar. Proponuję, że-

by odjechał pan na południe, gdzie jest pańskie miejsce.

- Więc nie usłyszę podziękowania za rozbitcie Nowego Państwa?

Diana skłoniła głowę.

- Podziękowania należą się Jego Wysokości, którego pan jest sługą.

Cynicznie odpowiedział jej ukłonem.

- Tak jak my wszyscy.

Rozkazał gestem, by przyprowadzono mu konia. Już po chwili siedział w siodle.

- Hrabino, rości pani sobie prawo do ochrony lady Overton. Proszę się z tego wywiązać. Likwidacja Nowego Państwa dopiero się rozpoczęła, a Overton zapewne jeszcze nie wie, co go czeka. Jeśli dowie się o dziecku, może spróbować je zniszczyć. Proszę też wziąć pod uwagę legalne aspekty sytuacji, w jakiej znalazła się kuzynka. Powodowane egoizmem naruszenie właściwego porządku nikomu jeszcze nie wyszło na dobre.

Odwrócił się do Rosamunde i złożył jej głęboki ukłon.

- Pani uniżony sługa, milady. - Przeniósł wzrok na Dianę. - Do następnego spotkania, hrabino.

Końskie kopyta zatętniły na drodze. Rosamunde patrzyła, jak jeźdźcy i powóz coraz bardziej się oddalają. Członkowie oddziału z Wensleydale zakrzyknęli radośnie, potrząsając bronią. Pokonawszy mocarzy z południa, wydali stary wojenny okrzyk mieszkańców Arradale:

- Żelazna ręka!

Diana roześmiała się. Uniosła wysoko pistolet i strzeliła w powietrze.

- Żelazna ręka! - wrzasnęła.

Jednak po chwili usiadła ciężko na ziemi, pochylając głowę, jakby obawiała się, że zemdleje. Rosamunde przyklęła tuż obok.

- To było niesamowite. Miałam serce w gardle, gdy pędziłaś tu po zboczu.

Diana uniosła głowę i potrząsnęła nią lekko.

- Ja też miałam serce w gardle. Biedny Cyrus. Będę musiała się nim zająć po tak wyczerpującej jeździe. - Złapała Rosamunde za rękę. - Całe szczęście, że zjawiłam się w porę. Dokąd on chciał cię zabrać?

- Powiedział, że na południe. Nic nie rozumiem. Ale - usiadła koło kuzynki - on miał rację.

- Rację? Że chciał cię zawieźć na południe?

- Że jeśli Nowe Państwo upadnie, a Edward razem z nim, moje dziecko nie będzie miało żadnych praw do Wenscote.

- Bzdura. A kto je będzie miał?

- Jest jeszcze jeden dziedzic w górnej gałęzi rodzinnego drzewa. Zapomniałam o nim, ale Digby jest z nim w kontakcie. To medyk ze Scarborough.

- Który nigdy się o niczym nie dowie - zaprotestowała Diana, wstając i pomagając podnieść się kuzynce.

- Ale ja o tym wiem. I Digby też. Jeśli Edward zejdzie nam z drogi, Digby nie zechce kukułczego jajka w gnieździe Overtonów. - Położyła sobie dłoń na brzuchu. - Co się stanie z tym biednym maleństwem?

- To właśnie miał na myśli, mówiąc o naruszeniu właściwego porządku, niech go wszyscy diabli! Ja...

- Zamilkła, najwyraźniej tak samo zdezorientowana jak Rosamunde. - Chodź, kochana - objęła kuzynkę ramieniem w talii. - Pojedziemy do domu. Mamy jeszcze kilka miesięcy, żeby coś wymyślić.

- Nie mamy. Jeśli dziecko nie może być dziedzicem, nie może się urodzić.



- Rosa!

Teraz Rosamunde pokręciła głową. Nie chciała o tym rozmawiać. Musiała poukładać to wszystko w swoich myślach.

Pojechali do Wenscote w towarzystwie sześciu stajennych Diany, którzy stanowili eskortę na wypadek, gdyby markiz chciał odbić Rosamunde. Na widok wysokich, kamiennych murów pomyślała, że być może po raz pierwszy od wielu lat powinna kazać zamknąć na noc żelazną bramę.

I wtedy zobaczyła dwukółkę doktora Wallace'a, stojącą przed głównym wejściem. Serce w niej zamarło. Z głośnym hukiem zeskoczyła z konia i popędziła do domu.

- Co się stało? - spytała napotkaną Millie, która stała, popłakując.

- Och, milady! To sir Digby. Strasznie się rozchorował po kolacji!

Nie! Rosamunde zebrała fałdy sukni i pobiegła po schodach do ich sypialni. Zatrzymała się przed drzwiami, by odetchnąć i uspokoić się nieco, bo przecież nie mogła go zmartwić, po czym otworzyła drzwi. Może tym razem poważnie potraktuje ostrzeżenie, jakim jest kolejne niedomaganie.

Leżał w łóżku, miał półprzymknięte oczy i poszarzałą skórę. Poczowała zimny dreszcz.

- Digby?

Chciała podbiec do łóżka, lecz zatrzymała ją czyjaś ręka. Odwróciła się i ujrzała poważną twarz doktora Wallace'a.

- Przykro mi, lady Overton. Spóźniła się pani o kilka minut. Właśnie od nas odszedł.

Chwiejnym krokiem zbliżyła się do leżącego i upadła na kolana, ujmując jego wciąż ciepłą dłoń.

- Nie. Digby, wróć.

Po chwili poczuła, jak przytula ją Diana.

- Cicho, kochana. Już po wszystkim.

- Droga ciotko - na ramieniu Rosamunde spoczęła jeszcze inna dłoń. - Lady Arradale ma absolutną rację. Mój biedny wuj znalazł już oczekiwaną nagrodę w niebie, a my, jako chrześcijanie, musimy być z tego radzi.

Rosamunde podniosła wzrok na Edwarda Overtona.

- Co ty tutaj robisz? Kazano ci trzymać się z daleka!

- Ale nie na zawsze. Przecież wuj wcale nie to miał na myśli. Obawiałem się, że może cierpieć z powodu naszego rozstania.

- To twoja obecność przynosiła mu cierpienie!

Wstając, poczuła w oczach gorzkie łzy. A więc on wrócił. A Digby nie żyje. Markiz mówił coś o dziwnych morderstwach. Trucizna...

Spojrzała na medyka.

- Co było przyczyną śmierci?

Bezradnie poruszył ramionami.

- Czy naprawdę musi pani pytać, lady Overton? Od lat go ostrzegałem, lecz nie był w stanie zachować umiaru w jedzeniu i picciu.

- A więc umarł na serce? Jest pan pewien?

- Na tyle, na ile medyk może mieć taką pewność.

Załamana się. Wiedziała, że ta chwila nadchodzi, mimo wszelkich wysiłków, jakie podjęła, by poprawić stan jego zdrowia. To pewnie Edward go do tego namówił, lecz przecież trudno byłoby nazwać takie zachowanie morderstwem.

Delikatnie zamknęła powieki Digby'ego i położyła po otrzymanym od doktora pensie na każdej z nich. Potem splótła jego bezwładne dłonie na piersi. Kiedy się pochyliła, by pocałować go w czoło, łzy popłynęły na jego martwą skórę. Jakże szybko wyzionął ducha. Otarła je rogiem prześcieradła, którym następnie zakryła mu twarz.

Co teraz? Co powinna teraz zrobić?

Żal mieszał się z wielkim moralnym dylematem. Czy powinna stwierdzić, że jej dziecko jest dzieckiem Digby'ego, czy też zachować jego istnienie w tajemnicy? Chociaż niektórzy służący mieli pewne podejrzenia, jak dotąd powiedziała o dziecku tylko swoim rodzicom. Można ich poprosić o zachowanie dyskrecji. Mogłaby urodzić je w tajemnicy, gdzieś daleko...

Czego chciałby Digby? Gdyby tylko zdążyła go zapytać. Teraz nie była w stanie myśleć o tym wszystkim. Jednak musiała, właśnie ze względu na śmierć męża. Za kilka dni ruszą tryby maszyny prawa. Jeśli markiz miał rację, Edward nie mógł dziedziczyć, natomiast pojawił się doktor Nantwich. Zgodnie z prawem, Wescote należało teraz do niego.

Wystarczyło, by ogłosiła, że nosi w sobie dziecko, a Wescote przeszłoby na własność jej potomka oraz jej samej na wiele kolejnych lat. Niegodziwe, lecz jakże kuszące.

Rozejrzała się bezradnie po pokoju. Wśród obecnych była popłakująca w fartuch pani Monkton.

- Co teraz? - spytała Rosamunde.

- O nic się nie martw, ciotko - powiedział Edward.

- Ja zajmę się wszystkim. Zaopiekuję się tobą.

Nie ma mowy, pomyślała, lecz zatrzymała to dla siebie. Podziękowała mu za troskę i wyprowadziła z sypialni płaczącą gospodynię.

- Zaprowadzę panią do kuchni, pani Monkton. Muszę też porozmawiać ze służbą.

- To się stało szybko, milady - odezwała się gospodyni, gdy schodziły na dół. - Całe szczęście. Pan jadł kolację i nagle stracił przytomność.

Odżyły podejrzenia. Posiłek. Strata przytomności. Śmierć...

- Czy Edward zrobił coś, co mogło wzburzyć pana?

Kobieta pokręciła głową.

- Nie bardziej niż zwykle. A nawet starał się zachować umiar. Nawet powiedział panu, żeby nie jadł smażonych kotletów. - Znowu zaczęła płakać. - Przykro mi bardzo, milady, ale specjalnie o nie prosił! Czy to one go zabiły?

- Nie, na pewno nie - uspokoiła ją Rosamunde, chociaż sama była zdenerwowana.

Czy to możliwe, że Digby ukradkiem zjadał zabronione mu dania za każdym razem, gdy Rosamunde nie było w domu? Może właśnie kotlety przyniosły mu śmierć, lecz inne podejrzenia nie znikły. Musi je potwierdzić lub przekonać się, że są pozbawione podstaw.

W kuchni zobaczyła przygnębione, pełne niepokoju twarze.

- Sir Digby właśnie zmarł - powiedziała. Służące zaniosły się płaczem. - Wszyscy potrzebujemy czasu, aby pomyśleć o nim i pokonać wstrząs, jakiego doznaliśmy. Na razie nie musicie się martwić o pracę. Może teraz na pół godziny pospacerujecie po ogrodzie?

Zostawszy sama, pobiegła szybko do jadalni, gdzie wciąż leżały resztki po posiłku, których nie zdążyli posprzątać zaskoczeni złą wiadomością służący.

Do pomieszczenia weszła Diana.

- Co ty robisz?

- To nie będzie zupa - mruknęła Rosamunde. - Jadł ją Edward.

- Co takiego?

Rosamunde podniosła talerz Digby'ego, na którym leżało gotowane mięso królicze oraz kotlety.

- To jego druga porcja. Widać po tym, ile mu zostało na talerzu.

- Rosa, wiem, że jesteś dotknięta wielkim bólem, ale zostaw to. Nawet jeśli zjadł coś szkodliwego, teraz i tak nie ma to znaczenia.

- A właśnie że ma. Idź i znajdź Potts'a. Potrzebuję świadka. Nie zwariowałam, Diano. Proszę cię.

Diana wyszła zaniepokojona. Rosamunde zbadała wino, lecz odrobina, która została w kieliszku Digby'ego, wydawała się czysta. Mikstura nie dałaby się chyba dobrze ukryć w zwykłym trunku. A więc zostało gotowane mięso w mocno przyprawionej potrawce.

Może cierpienie faktycznie prowadziło ją do szaleństwa, lecz wcale tego nie czuła. Płonął w niej słuszny gniew. Markiz sugerował, że los Edwarda jest przypieczętowany, lecz jeśli zamordował Digby'ego, musiała być tego pewna.

Wróciła Diana, prowadząc służącego. Miał zaczerwienione oczy.

- Potts, chcę, żebyś się czemuś przyjrzał, ale również, abyś zachował w tajemnicy to, co zaraz zobaczysz. Rozumiesz?

-Tak, milady, ale...

- Po prostu patrz.

Psy Digby'ego znajdowały się na górze, skowycząc przed pokojem swego pana. Podeszła do jednego z nich, który został na dole, biednej i starej już suki imieniem Snap. Była okulała i nie mogła wspinać się po schodach. Rosamunde postawiła przed nią talerz. Suka podniosła smutny łeb, żeby powąchać, po czym skoczyła, kulejąc, by się najeść.

Rosamunde patrzyła, tymczasem suka wylizała talerz do czysta i znowu się położyła. Przez moment myślała, że jednak popełniła omyłkę, lecz oto nagle zwierzę wydało z siebie zduszony charkot i zeszywniało. Po kilku agonalnych skurczach suka zdechła.

Rosamunde przyklękła i pogłaskała ją po kościstym łbie.

- Mam nadzieję, że teraz biegasz za królikami w niebie, Snap. Albo bawisz się z Digbym.

- Aresztuję tego zbrodniarza! - krzyknęła Diana.

- Nie. - Rosamunde uniosła wzrok. - Markiz ma pewne plany. Nie będziemy mu przeszkadzać w ich realizacji.

- Nie będziemy?

Rosamunde pokręciła głową.

- Chcę także, aby dni do pogrzebu Digby'ego minęły w podniosłym nastroju. Kiedy zostanie pochowany, zastanowimy się, co dalej. W razie potrzeby oboje będziecie świadkami. A więc, Potts?

- Tak, milady?

- Czy będziesz udawała, że to nie miało miejsca?  
- zaprotestowała Diana.

- Tylko przez pewien czas. Będę miała sposób, aby go zniszczyć. Potts, możesz już iść. Pamiętaj, nic nikomu nie mów.

- Tak jest, milady. Ale trudno będzie wytrzymać, żeby go nie opluć.

Służący wyszedł, zaś Rosamunde odstawiła talerz z powrotem na stół, dla niepoznaki nakładając nań porcję potrawy. Nagle wpadła na pewien pomysł i przechyliła talerz, który spadł i rozbił się o podłogę.

- Po co to zrobiłaś? - spytała Diana.

- Żeby któryś ze służących nie próbował się posilić.

- Jeju. Po czymś takim chyba zatrudnię degustatora, który będzie sprawdzał posiłek, zanim tknę go sama. - Podeszła bliżej i objęła kuzynkę. Jesteś bardzo blada, kochana. I cała drżysz. Chodźmy, połóżysz się. Poproszę panią Monkton, żeby przygotowała ci ciepłe łóżko.

Nagle Rosamunde poczuła się bardzo zmęczona, więc pozwoliła Dianie, by ta zaprowadziła ją do wolnego pokoju, gdzie ściągnęła buty i położyła się na łóżku. Diana wyjęła z szuflady grubą pierzynę, którą otuliła kuzynkę, mimo że dzień był ciepły. Leżała tak, godząc się powoli z faktem, że Digby naprawdę umarł, a ona nie może zrobić nic, by przywrócić mu życie.

- Rosa - odezwała się Diana. - Nie chcę cię martwić, ale jeśli nie powiesz nic o tej potrawce, to co powstrzyma Edwarda Overtona przed dokonaniem tu w najbliższych dniach zupełnego spustoszenia?

- Poślę po pana Whitmore'a. Na pewno są jakieś prawne sposoby.

Lecz nagle jakby pękła skorupa i wszystko do niej dotarło. Śmierć. Dziecko. Morderstwo.

I Brand. Zakazany fakt istnienia Branda Mallorena.

- Brand. To także jego dziecko - szepnęła jedynej osobie, która była w stanie to zrozumieć. - Co ja mam zrobić?

Diana bezradnie rozłożyła ręce. Rosamunde zaniosła się delikatnym, pełnym żalu płaczem.

## Rozdział XXIII

Pani Monkton krzątała się, przygotowując swe ulubione *possett* z mąki owsianej dla milady, szczęśliwa, że może się czymś zająć. Och, gdyby tylko wtedy nie przygotowała tych smażonych kotletów!

Pozostała jedynie nadzieja, że ich przypuszczenia się sprawdzą i milady nosi pod sercem dziecko, bez względu na to, jak stała się brzemienna. W przeciwnym wypadku przyjdzie tu Edward Overton i jego poplecznicy z sekty. A gotowanie dla nich i im podobnych nie będzie już przyjemnością.

Dodała piwo, wino i cukier, po czym odstawiła do wystudzenia. Gdy odwróciła się od ognia, zobaczyła, że obserwuje ją Edward.

- Co pani robi? - spytał nawet dość miłym głosem. - W ramach mojej służby Bogu nauczyłem się sporządzać różne medykamenty, więc interesują mnie takie rzeczy.

- To tylko *possett* z owsianej mąki, sir. To uspokoi milady i doda jej sił.

Spytał o składniki i rzeczywiście okazało się, że posiadał niejaką wiedzę. Gdy postawiła danie na tacy, powiedział:

- Zaniosę to na górę. Na pewno ma pani dużo innych zajęć.



Przez chwilę kusiło ją, by przyjąć tę propozycję, lecz przypomniała sobie, jak bardzo milady go nie lubi. W takiej pełnej bólu godzinie nie potrzebowała kolejnych przykrości, więc pani Monkton podziękowała grzecznie i sama zabrała tacę.

\*

Pan Whitmore przybył, zanim jeszcze dotarł doń list od Rosamunde, gdyż wiadomość o śmierci jej męża rozniosła się lotem błyskawicy po okolicznych dolinach. Jako stary przyjaciel Digby'ego, boleśnie odczuł jego stratę. Rosamunde czuła się już trochę lepiej, gdyż wypłakawszy się, zjadła *possett*, miała więc siły, aby go pocieszyć. Zapropionowała mu kieliszek brandy.

Z wdzięcznością pociągnął łyk trunku.

- Jakiż ogromny wstrząs.

- Tak. Jest tu Edward.

- Tak szybko dotarła doń wiadomość?

- Nie, przybył dziś rano. - Kusiło ją, by podzielić się swoją wiedzą z zaufanym przyjacielem rodziny, lecz na razie lepiej było zachować milczenie. - Na pewno cieszy się, że miał sposobność jeszcze je-en, ostatni raz porozmawiać z wujem.

Notariusz pokiwał głową, jednak bez większego przekonania.

- Panie Whitmore, jaka jest teraz procedura? Chodzi mi o zarządzanie majątkiem, kwestie finansowe tym podobne.

Odstawił kieliszek i rzeczowo przeszedł do sprawy.

- Nie musi się pani o nic martwić. Ja i pani ojciec jesteśmy wykonawcami, więc możemy bezzwłocznie autoryzować wszelkie płaćności. Pani ma pełne zabezpieczenie poprzez dokonane zapisy.

- Kiedy będę musiała wyjechać?

Westchnął.

- To oczywiście zależy od sir Edwarda.

Rosamunde aż zadrżała. Zapomniała, że prawem dziedziczenia Edward został teraz baronetem. Nie mogła powstrzymać złości.

- Chyba nie będzie się cieszył nowym tytułem.

W oczach pana Whitmore'a pojawił się błysk.

- Wątpię, by pani chciała tu zostać, gdy majątek przejmie Nowe Państwo.

- Oczywiście, że nie. Więc kiedy?

Pomyślał chwilę.

- W takich sprawach nie można niczego ustalać, dopóki nie zostanie stwierdzone, że milady nie jest... no... brzemienna.

Rosamunde spojrzała mu prosto w oczy. Czyżby wiedział?

- Naturalnie, jest to mało prawdopodobne - dodał szybko - lecz zawsze należy domniemywać, że tak właśnie jest, zanim inny dziedzic otrzyma dostęp do majątku.

Czas. Czas potrzebny do zastanowienia.

- Jak długo to potrwa?

W tym momencie inny dziedzic wszedł do pomieszczenia. Miał ściągniętą twarz.

- Ciotko, dlaczego nie zostałem zawiadomiony o przybyciu pana Whitmore'a?

- Bo najpierw sama chciałam z nim porozmawiać, Edwardzie. O mojej obecnej sytuacji, o moim wdowim dożywociu i tym podobnych sprawach.

Odwrócił się do notariusza.

- Zapewnię lady Overton godziwe życie.

- Nie ma takiej potrzeby, sir...

- Proszę! - Edward wykonał obronny gest ręką. - My nie używamy takich tytułów.

- A więc dobrze, panie Overton. Jak pan na pewno wie, lady Overton jest dobrze zabezpieczona postanowieniami małżeńskiego kontraktu. I jeśli nie wyrazi innego życzenia, ma prawo tutaj mieszkać do chwili uprawomocnienia pańskich praw do spadku.

- To chyba nie zabierze zbyt wiele czasu.

- Zapewne około dwóch miesięcy.

- Dwóch miesięcy?!

- Gdy nie ma bezpośredniego dziedzica w prostej linii, czyniona jest supozycja, że wdowa nosi w sobie dziecko. Oczywiście do momentu, gdy już wiadomo, że jest inaczej. Musimy poczekać co najmniej dwa miesiące, zanim uzyska pan nieograniczony dostęp do posesji. Jednakże...

- A ponieważ nie ma mowy o żadnym dziecku... - Edward zwrócił się do Rosamunde i urwał. - Prawda?

- Nie będę mówić o sprawach tak intymnych, Edwardzie, ale stwierdzę, że nie jest to niemożliwe.

Pan Whitmore odchrząknął.

- No właśnie, właśnie. Dwa miesiące miną szybko, panie Overton, a w tym czasie będzie panu wolno pobierać pewną sumę z dochodów, jakie przynosi majątek. Jednak w chwili obecnej wszystko musi pozostać tak jak dotychczas. Żadna część majątku nie może zostać sprzedana, kupiona czy ulec jakimkolwiek drastycznym zmianom. Żadnych nowych zobowiązań ani zaciągania długów. - Wstał, zbierając się do wyjścia.

A więc dwa miesiące. Rosamunde także podniosła się z krzesła.

- Panie Whitmore... Edwardzie... - Spojrzała na niego, spuszcżając wzrok, aby niczego nie wyczytał z jej oczu. - Oczywiście dzisiaj zostaniesz tu na noc, ale ja... po prostu nie mogłabym się czuć komfortowo, mieszkając dłuższy czas pod jednym dachem z młodym, nieżonatym mężczyzną.

- Zatem może sama powinnaś stąd wyjechać, ciotko. Twoja rodzina z radością cię przyjmie.

- Ależ sir! - zaprotestował notariusz. - Lady Overton ma pełne prawo zostać w swoim domu do zakończenia sprawy, zaś pan musi respektować jej delikatne odczucia.

Było zupełnie jasne, co Edward myśli o jej delikatnych odczuciach, lecz został zapędzony w kozi róg.

- Oczywiście. Stanie się tak, jak sobie życzysz, ciotko.

Wyszedł, a Rosamunde cała się zatrzęsała. Co teraz? Czy ją również będzie próbował otruć? Dziś wieczorem musi być bardzo ostrożna, zanim cokolwiek zje.

Jednak po prawdzie Edward nie stanowił już zagrożenia. Było nim jej biedne, niewinne dziecko. Co ona ma teraz zrobić?

Gdy notariusz wyszedł, usiadła przy zwłokach Digby'ego i bardzo szybko zrozumiała, że nigdy nie będzie mogła ogłosić, że to jego dziecko. Po upadku Edwarda nowym właścicielem Wenscote zostanie doktor Nantwich.

Westchnęła. Gdyby urodziła dziecko, otwarcie mówiąc wszystkim, że ojcem nie jest Digby, nigdy nie zmażałyby hańby. Mogłaby żyć z takim ciężarem, lecz w okropny sposób splamiłaby pamięć Digby'ego, przyznając się do zdrady w ostatnich miesiącach jego życia. Dlatego też, przez wzgląd na zmarłego męża, musi ukryć ciążę i urodzić dziecko daleko stąd. Co potem? Natychmiast pomyślała o Brandzie, lecz tu nie mogła mieć żadnej nadziei. Nawet gdyby zechciał ją poślubić, nie mogliby cieszyć się tym dzieckiem jako swoim. Przychodząc na świat, nie mogło oszczędzić wstydu Digby'emu. Pozostawało jedyne honoro-

we rozwiązanie: oddać je komuś innemu na wychowanie.

Dziecko nie będzie cierpiało. Tylko ona. I to bardzo.

Był jeszcze Brand. Wiedział o dziecku. Miał prawo powiedzieć, co myśli, lecz czy zapragnie walczyć o swoje racje, podobnie jak wtedy, ostatniej nocy w domku wdowy? Cóż go obchodziła nieskazitelna pamięć po jednym z bardziej znanych mieszkańców Wensleydale?

Pograżona w rozpacz, zakryła dłońmi twarz. Dla Digby'ego próbowała dać z siebie wszystko, a teraz jej własne życie legło w gruzach...

Przez otwarte drzwi do pokoju wszedł Edward.

- Organizujemy całonocne czuwanie przy zmarłym, ciotko. Chcesz wziąć udział?

Rosamunde miała mu za złe, że zaczyna się szarogęścić, lecz w tym momencie nic jej to nie obchodziło.

- Oczywiście. Zapewne pani Monkton i Potts również zechcą uczestniczyć. Byli tu z nim najdłużej. Którą część nocy wolisz?

Uklonił się nieznacznie.

- Całkowicie dostosuję się do ciebie, ciotko.

Był zdecydowanie zbyt miły, ale teraz nie mogła zagłębiać się w jego motywy.

Wezwała dwójkę służących i po krótkiej debacie uzgodnili, że Rosamunde będzie czuwać jako pierwsza, po niej Edward, dalej Potts, a na końcu pani Monkton, która skończy o świcie.

Ze względu na mieszkańców domu, próbowała zachować spokój i skupienie, zając się wszystkimi najdrobniejszymi detalami. Lecz jej myśli krążyły w niszczycielskich spiralach strachu i nadziei, uświadamiając jej co chwilę, że Digby'ego już nie ma i nigdy nie będzie, że nie zjawi się uśmiechnięty, by ją wesprzeć. Ta część jej życia - w rzeczy samej całe jej

dorośle życie - dobiegła końca. Została sama i była tak samo wystraszona jak szesnastolatka sprzed lat.

Ach, Brand, wiem, że to oznaka mej słabości, lecz jakże bym chciała, abyś tutaj był.

Kiedy usłyszała dzwonki powozu swej matki, wybiegła, żeby ją przywitać, paść w jej ciepłe, niosące ukojenie ramiona. Pomimo strasznego położenia, w jakim się znalazła, czuła, że nic złego nie może się jej przydarzyć, gdy matka weźmie sprawy w swoje ręce.

\*

Gdy nadeszła godzina czuwania, Rosamunde w głębi duszy pogodziła się już ze swoją sytuacją. Matka i Diana zostały na noc, obie też zaproponowały, że dotrzymają jej towarzystwa, lecz to był czas tylko dla niej i Digby'ego. Ostatni raz mogli być ze sobą zupełnie sami.

Z początku chciała ściągnąć całun z jego twarzy, lecz to oblicze nie przypominało już jej męża, więc na powrót zakryła go i usiadła obok, wspominając jego osobę za życia.

W jej myślach przewijały się obrazy z przeszłości, wreszcie przybrały formę słów.

- Pewnie czasami byłam dla ciebie okropna. Szesnastoletnia, poznaczona bliznami złościca. Podarowałeś mi Wenscote, prawda? Abym mogła się nim bawić. Czy naprawdę podobał ci się ogród? Mam nadzieję, że tak. I stadnina. I owce. Zapewne nie pragnąłeś, aby jakaś zgorzkniała, niecierpliwa dzierlatka wyrzuciła twe wygodne życie do góry nogami. Ile czasu przebywałeś tu razem ze mną, mówiąc, że podoba ci się panujący w twym domu spokój, gdy tymczasem wolałeś być na wyścigach w Richmond lub targach owczych w Hawes i Masham? A ja, w swej

dziecięcej naiwności, wierzyłam każdemu twemu słowu.

Położyła dłoń na całunie w miejscu, gdzie przykrywał rękę zmarłego.

- Dziękuję ci. Mam nadzieję, że w końcu uczyniłam cię szczęśliwym. - Westchnęła, po czym wypowiedziała słowa, które musiały paść. - Pewnie teraz już wszystko wiesz. Mam nadzieję, że cię nie zraniłam. Nie spostrzegłam niebezpieczeństwa do chwili, gdy było już za późno. W przeciwnym razie mogłabym mu zapobiec. Widzisz, nie miałam pojęcia o istnieniu takiej miłości. Wiem, że to źle brzmi, bo kochałam ciebie. I nadal Kocham. - Otarła kilka łez. - Możesz to odczytać w moim sercu.

Zajrzała w nie i poczuła spokój. Naprawdę kochała Digby'ego. Wszystko, co zrobiła, wynikało z miłości do męża, może z wyjątkiem tej jednej grzesznej nocy. Uczucie do Branda niczego tu nie zmieniło.

- Szkoda, że cię tu nie ma, mógłbyś mi pomóc rozwiązać ten gordyjski węzeł - powiedziała. - Czy chciałbyś, abym zatrzymała Wenscote dla dziecka? Chyba nie. Tak samo jak mnie, męczyła cię świadomość, że będzie miało w sobie obcą krew. - Położyła drugą dłoń na swym łonie. - Ale to jest dziecko twego serca, Digby. Bądź dla niego aniołem stróżem. Będzie cię potrzebowało.

Spłynął na nią jeszcze cudowniejszy spokój, poczuła się tak, jakby zyskała jego błogosławieństwo. Łzy napłynęły do jej oczu. Zawsze sprawiał, że czuła się tak ciepło i bezpiecznie. Teraz wiedziała, że zrobiłby to samo dla każdego dziecka w potrzebie.

Uśmiechając się smutno, oparła głowę na materacu i odbyła w myślach podróż przez osiem lat tej niezwykłej miłości...

Gdy zegar wybił godzinę pierwszą, Edward wszedł na palcach do pokoju. Rosamunde była smutna, że musi ostatni raz pożegnać się z mężem. Jednak to już nie był on. On już odszedł. Pozostawienie Edwarda sam na sam z cielesną powłoką Digby'ego nie wydawało się już niewłaściwe.

Mijając go, skinęła głową.

Nagle poczuła dłoń, którą zakrył jej usta. Objął ją od tyłu mocnym ramieniem i przytrzymał.

Nigdy nie przypuszczała, że jest taki silny! Szarpała się, kopała, lecz nie mogła się oswobodzić. Przesunął ramię, które teraz zaciskał na szyi Rosamunde. Chciała je odciągnąć, krzyknąć, lecz przyduszał ją coraz mocniej.

- Spróbuj jeszcze raz krzyknąć, a zaduszę - szepnął. Potem poczuła na szyi coś zimnego. - Tak, to pistolet, ciotko. Należał do wuja. Jak to miło z jego strony, że nalegał, abym nauczył się strzelać.

Wolno puścił jej szyję. Zaczepnęła łapczywie powietrza, przykładając dłoń do bolącej szyi.

- Nie zastrzelisz mnie. Wszyscy by się dowiedzieli.

- Może uda mi się upozorować samobójstwo. Ale nie chcę cię zabijać. Tylko pozbyć się tego diabelskiego nasienia, które siedzi w twoim łonie. - Wyjął i podsunął jej przed oczy małą buteleczkę. - Wypij.

Zacisnęła mocno usta, rozpaczliwie kręcąc głową.

- To nie będzie bardzo nieprzyjemne, a poza tym oczyści cię z grzechów. - Mówił takim tonem, jakby wierzył, że ją przekona! - W przeciwnym razie zabiję cię, a wtedy twoje dziecko także umrze. No, wypij. Bez tego dziecka życie będzie dla ciebie o wiele łatwiejsze. Znajdziesz sobie młodego, przystojnego



męża. Może nawet tego, który zasiał w tobie swe bezbożne ziarno.

Rosamunde była w stanie jedynie pokręcić głową, wciąż zaciskając mocno usta. Bała się nawet krzyknąć, bo wtedy mógłby wlać jej miksturę do gardła.

Nagle przystawił pistolet do czaszki Rosamunde z taką siłą, że aż krzyknęła, lecz szybko zacisnęła usta, zanim zdążył cokolwiek zrobić.

- Otwórz usta! - warknął, przyciskając zimną butelkę do jej warg. - Połknij lekarstwo, wstrętne ladczenico. Oczyść się z tej ohydli!

Kopnął ją od tyłu w nogę, aż upadła na kolana. Potem uderzył mocno lufą pistoletu. Nie mogła powstrzymać okrzyku. Poczowała w ustach kilka kropli płynu.

Wypluła je, starając się uwolnić.

Wtedy złapał ją za włosy dłonią, w której trzymał broń, a następnie pociągnął do tyłu, starając się wcisnąć szyjkę butelki między jej wargi...

Diana nagle się obudziła. W domu panowała cisza, ale coś było nie tak. Razem z Rosą dzieliły to samo łóżko, lecz Rosa jeszcze nie wróciła, więc musiało być przed pierwszą. Po omacku poszukała na stole zegarka, przesunęła go w pasmo księżycowego światła i spojrzała. Dziesięć po pierwszej.

Wtem usłyszała coś. Uderzenie? Raczej nie w drzwi, lecz jakby ktoś potknął się w ciemności o mebel. Gdzieś na dole?

Z bijącym mocno sercem wstała, wyjęła z walizy pistolet i podkrađła się do drzwi. Bardziej niż realnego niebezpieczeństwa bała się, że zrobi z siebie idiotkę. Uchyliwszy drzwi, wyjrzała na korytarz. W tej

okolicy nie było rabusiów okradających domy, więc to musiał być ktoś ze służby. Tak, teraz wyraźnie usłyszała dobiegające z dołu czyjeś kroki. Uspokoiła się, lecz po chwili napięcie wróciło. Czyżby jakiś hałas w pokoju Digby'ego?

I gdzie jest Rosa?

Nagle, po chwili zupełnej ciszy, rozległ się głośny tupot na schodach, które pojaśniały w niespokojnym płomieniu świecy. Ujrzała mężczyznę, który ruszył w stronę głównej sypialni.

Brand Malloren!

Diana uniosła pistolet w obu dłoniach.

- Stać!

Wpadł przez drzwi, jakby był głuchy, zaś Diana w wytrenowany sposób pociągnęła spust. Płomień z lufy oślepił ją, detonacja ogłuszyła i odrzuciła do tyłu.

Wtedy usłyszała krzyki.

Stanęła nieruchomo, niczym lodowy blok. Nie, nie była przygotowana. Nie była przygotowana na odgłosy tak rozpaczliwej agonii...

Wokół otwierały się drzwi, zewsząd biegli ludzie, Diana upuściła broń i chwiejnym krokiem weszła do sypialni. Rosa leżała bezwładnie na podłodze. Czyba jej nie trafiła? Nad nią klęczał mężczyzna. Drugi zaś leżał wstrząsany konwulsjami, krzycząc głośno. Wokół niego coraz szerzej rozlewała się kałuża krwi.

Ale to nie był Brand Malloren.

Edward Overton!

Spojrzała znowu na nieprzytomną Rosę, którą podtrzymywał Brand.

Upadła na kolana tuż obok.

- Nie żyje?

- Zemdlała. - Przytulił ją mocniej. - Rosa, kochana. Już dobrze. Obudź się...

Do pokoju wbiegł Potts.

- Niech nas mają w opiece wszyscy święci!

Podszedł do Overtona, który słabym głosem o coś błagał. O pomoc, śmierć, litość...

Pojawiła się też pani Monkton, która rzuciła wzrokiem na obecnych i zaczęła strasznie wrzeszczeć wysokim, urywanym głosem.

Kiedy w drzwiach stanęła matka Rosamunde, uderzyła w policzek gospodynię i podeszła do Rosy, która tymczasem odzyskała przytomność. Po kilku chwilach zabrała córkę do siebie.

Diana wciąż klęczała. W jej uszach cały czas dźwięczał huk wystrzału, pomieszany z błagalnymi jękami. W drzwiach stała grupa pośpiesznie odzianych służących, którzy przerażonym wzrokiem ogarniali scenę. Gospodyni siedziała bez sił w fotelu. Na podłodze tworzyła się kałuża krwi. Głosy mieszały się w jeden, przyprawiający o zawrót głowy szum.

Ale Dianie było mało. Stanęła na słabych nogach.

- Może ktoś mi w końcu powie, co tu się dzieje? - powiedziała, dumna ze spokoju w swoim głosie.

Niestety, w tej właśnie chwili szum zagłuszył jej myśli i nastąpiła ciemność.

## Rozdział XXIV

**B**rand spojrział dookoła. Czuł się tak, jakby właśnie wyszedł z szalejącego pożaru. Dwie osoby leżały na podłodze - hrabina Arradale i Edward Overton. Wcześniej ktoś zawołał „stać!”, a potem wystrzelił z pistoletu. Zamiast niego, kula ugodziła Overtona, który wcześniej krzyczał, ale teraz leżał cicho.

Ktoś zabrał stąd Rose. I dobrze.

Stracił poczucie czasu między chwilą, gdy podjechał do domu i zobaczył przez okno walczącą Rosę, a terażniejszością.

Ale Rosa była już bezpieczna. Tylko to się liczyło.

Przyklęknął obok mężczyzny, leżącego w kałuży krwi. Służący pokręcił głową.

- Jeszcze żyje, sir, ale już niewiele życia mu zostało. Kula trafiła go gdzieś w bok i nadal tkwi w środku. Czy pan... ?

- Lepiej o tym nie mówić.

Wcześniej Potts wysłał wiadomość, że Edward Overton powrócił do Wenscote. Brand przyjechał tu co koń wyskoczy, pełen najgorszych przeczuć. Podniósł pistolet, który musiał wypaść Overtonowi z ręki. Jednak z tej broni nie strzelano. Obok leżała butelka. Jej zawartość rozlała się na podłogę.

- Trucizna? -jęknął Potts. - Znowu?

- Jak to: znowu?

Potts wskazał ręką łóżko. Dopiero teraz Brand zauważył przykryte całunem ciało.

- To sir Digby?

- Tak, milordzie. Ale proszono mnie, bym nie wspominał... - szepnął. - Cieszę się, milordzie, że strzelił pan do pana Edwarda. I cieszę się, że musiał cierpieć. Wiem, że to nie po chrześcijańsku, ale tak właśnie się czuję.

Brand nie zaprzeczył, chociaż sam nie miał pojęcia, kto wystrzelił. Na pewno nie Rosa. Więc kto jeszcze tam był?

Wstał, by podejść do zmarłego. Spojrzał na ciało człowieka, którego lubił, który stał między nim a pragnieniem jego serca. Poczował wyrzuty sumienia, bo go nie ostrzegł. Po prostu nie przyszło mu do głowy, że Overton posunie się tak daleko. Czyżby odezwał się jego egoizm? Mógł szczerze odpowiedzieć, że nie. Lecz dla swej damy robi teraz wszystko, co będzie w jego mocy. Po pierwsze musiał się pozbyć służących, którzy przyglądali się scenie wybałuszonymi oczami. Gospodyni powoli wracała do siebie.

- Może zrobi pani herbaty, pani Monkton? - zaproponował. - Dla wszystkich.

Kiwnęła głową i niepewnym krokiem wyszła, wyganiając z pokoju służbę.

Co dalej? Chciał pójść do Rosy, ale na podłodze leżała ta przeklęta hrabina. Musiała, głupia, zemdleć akurat teraz, gdy mogła się bardzo przydać. Wziął ją na ręce, obciągając dla przyzwoitości fałdy nocnej koszuli. Wtedy poczuł zapach prochu na jej dłoniach, zobaczył kopeć na białym jedwabiu.

A niech to! Więc ona strzeliła? Tej kobiecie przydałby się dobry pogromca. Wyniósł ją na korytarz,

przez chwilę nasłuchiwał, w końcu ruszył tam, skąd dobiegały głosy. Tak jak przypuszczał, znalazł tam Rosę, która siedziała na łóżku, szukając pocieszenia w towarzystwie matki.

- Diana! - zawołała Rosamunde, szybko robiąc miejsce obok siebie.

Położył tam hrabinę. Matka Rosy wyjęła sole trzeźwiące i przesunęła je szybko pod nosem Diany, która w końcu zaczęła charczeć i odzyskała przytomność.

- Nie cierpię tego! - wyrzuciła z siebie, by opaść z powrotem na łóżko, zakrywając sobie dłonią oczy.

- Przestań, Dianio - odezwała się żwawo starsza pani. - I to wszystko dlatego, że wstyd ci, iż zemdłałaś.

- Ja nigdy nie mdleję - powiedziała cicho lady Arradale. - Nigdy.

- Z pewnością nigdy pani nikogo nie zabiła - zauważył Brand. - Ale gdyby umiała pani lepiej celować, mogła pani zabić mnie!

Hrabina usiadła, patrząc na niego złowieszczo.

- Wdzierając się do cudzego domu, należy być przygotowanym na to, że zostanie się zastrzelonym.

- Wdarłem się, bo widziałem, co się dzieje.

A niech to, chyba był w dużym szoku, skoro sprzeciwał się jak kobieta. Spojrzał na swą bladą jak kreda ukochaną.

- Czy wszystko w porządku?

Oczywiście, że nie w porządku. Dlaczego nigdy nie mógł pocieszyć jej, gdy tego pragnął?

- O tyle, o ile - odparła, uśmiechając się z galanterią.

Zauważył, że tak samo jak on, nie miała pojęcia, jak zachować się w zaistniałej sytuacji. Postanowił postępować zgodnie z konwenansami.

- Bardzo mi przykro z powodu sir Digby'ego.

- Dziękuję. Czy miał pan już okazję poznać moją matkę, panią Ellington? Mamo, czy znasz lorda Mallorena?

- Spotkaliśmy się w Arradale - powiedziała pulchna, rozsądnie wyglądająca kobieta.

Była w nocnej koszuli, okryta szalem i w czepku na głowie.

Brand ukłonił się, jakby był w salonie. Czuł się nieswojo.

- Do usług, madame.

- Zapewne odbył pan długą drogę.

- Przyjechałem z Thrisk.

Do licha. Zaraz zaczną gadać o pogodzie. Przecież wszyscy muszą sobie zdawać sprawę z sytuacji. Stał w nogach łóżka swojej damy, ujął jej chłodną dłoń.

- Teraz jesteś już bezpieczna, kochana.

- Wiem. Jest już dobrze. - Lecz po chwili przeknęła ciężko, patrząc już tylko na niego. - On chciał, żeby... żeby... Brand. - Zaczęła się trząść i nagle opadła prosto na niego. Nareszcie mógł ją wziąć w ramiona jak najcenniejszy skarb.

Przez chwilę tkwili w uścisku, za którym oboje tak mocno tęsknili.

- On chciał zabić dziecko - wyszeptała w końcu. - Chciał mnie zmusić, żebym coś połknęła.

-Ciii.

- Ale zacisnęłam usta. Nie mogłam nawet krzyżeć.

Przytulił ją jeszcze mocniej.

- Ciii, kochana. Już po wszystkim. Jestem tu i zaopiekuję się tobą.

Gdyby tylko mógł. Chciał legnąć u jej boku, pocieszyć ją, ochronić, lecz to był dom jej męża, zaś sir Digby leżał martwy w jednej z sąsiednich sypialni.

Znowu będzie musiał wyjechać.

Nie mógł tego znieść.

W końcu hrabina zsunęła się z łóżka.

- Muszę napić się herbaty. Z brandy.

Matka Rosamunde wstała, kiwając głową.

- Świetny pomysł.

Mijając Branda, o dziwo, ścisnęła go lekko za ramię.

No cóż, czy mógł przeciwstawiać się woli matki? Gdy zamknęły się drzwi, położył się na łóżku, obejmując mocno swoją damę, która wreszcie była bezpieczna w jego ramionach. Zaczęła mu chaotycznie opowiadać, powtarzając po kilkakroć, co się wydarzyło, co powiedział Edward, jak z nim walczyła, a potem... szok, eksplozja, krzyki...

W końcu ucichła i zasnęła. Trzymając ją w ramionach, opiekował się swoją damą przez całą noc, jak przystało na prawdziwego bohatera.

Rosamunde się obudziła. W czyichś objęciach. Czy to Digby?

Nie, to nie on.

Otworzyła oczy. Prawie nie śmiała mieć nadziei, że jej ostatnie wspomnienia nie były snem. Obok leżał Brand. Patrzył na nią uważnie, chociaż miał już zmęczone oczy.

- Uratowałeś mnie. A raczej dziecko.

- Przecież każdy ojciec postąpiłby tak samo.

Zamknęła powieki.

- Brand...

- Ciii. - Delikatnie położył palce na jej ustach. - Miałem całą noc, by wyobrazić sobie wszystkie możliwe kłopoty. Ale możemy je przezwyciężyć. Nie wiem czy znasz nieoficjalne motto mojej rodziny.

- Spróbuję zgadnąć. „Jesteśmy bogami i robimy, co chcemy”.

Gdy się uśmiechnął, zobaczyła urocze zmarszczki wokół jego oczu.



- Prawie. „Z Mallorenem wszystko jest możliwe”.  
Spojrzała mu prosto w oczy.

- A co chciałbyś, aby stało się możliwe?

- Będzie mi przykro, jeśli tego nie wiesz.

- Chcę, żebyś powiedział.

- Chcę cię poślubić, Roso. Kochać cię i wielbić, bronić, a także dawać ci szczęście na wieki wieków. Amen.

Roześmiała się, wstrzymując łzy.

- Prawie ci uwierzyłam. - Dotknęła jego twarzy, znowu szorstkiej od zarostu. Po długiej podróży i następnych perypetiach był podobny do Branda, którego ocaliła. - Czy te napady stanowczości często ci się zdarzają? To nie ma sensu.

- Sens nie ma tu nic do rzeczy.

Z pewnym niepokojem oczekiwała pocałunku. Nie wiedziała, co ma zrobić, nie była pewna, czego pragnie w tej niezwykłej sytuacji.

- Brand, mam taki mętlik w głowie. To dziecko... Będę musiała...

- Znajdziemy jakiś sposób. Powiedz tylko, czy mnie poślubisz? Nie będę cię zmuszał.

Jakże mógł mieć wątpliwości?

- Jeśli będę na tyle głupia, by się opierać, wtedy mnie zmuś!

Zaśmiał się, przytulając głowę do jej policzka. Ale nic więcej. To była właśnie jedna z tych rzeczy, którą najbardziej w nim uwielbiała. Był człowiekiem honoru i potrafił wyczuć, co w danym momencie jest właściwe.

- Rosa - powiedział - teraz nie możemy jeszcze nic zrobić. Ale znajdę na to sposób. Zaufaj mi.

Głaskała go po włosach.

- Ufam ci. Możemy być razem, o ile zrezygnujemy z dziecka.

Spojrzał jej w oczy.

- Nie zechcesz go oddać.

- Nie zawsze możemy mieć to, czego pragniemy. Już pogodziłam się z tą stratą.

- Ale nie ja. „Z Mallorenem wszystko jest możliwe”. Jeśli nie uważasz mnie za wszechmocnego, to może masz więcej wiary w mojego brata.

Wiara nie była właściwym słowem na określenie jej odczuć.

Chyba nie będzie próbował zabronić mi ukrywania dziecka? Nigdy nie zgodzę się na pohańbienie pamięci Digby'ego - myślała gorączkowo.

Uśmiechnął się.

- Wyglądasz tak groźnie. Robisz wrażenie. Chyba zdajesz sobie sprawę, że lady Richardson i jej kostropata służąca przechytrzyły markiza Rothgara. A to zdarza się naprawdę rzadko.

Pomyślała o porwaniu. Ciekawe, czy on wie o tamtej porażce. Była pewna, że markiz planuje zemstę.

- On mnie przeraża, Brand. Nie pozwól mu ingerować.

- Do licha, kochana, nie da się tego uniknąć. Ale wszystko zrobimy zgodnie z planem, jaki zaakceptujesz. Tylko pozwól mi wymyślić taki, który pozwoli nam mieć wszystko, czego pragniemy. Wszystko.

Spojrzała na niego ze złością. Malloren czy nie, ale dlaczego nie chce zrozumieć, że pewne rzeczy po prostu nie mają racji bytu? Nie mogą wziąć ślubu bez narażenia na szwank reputacji jej i Digby'ego. Jednak gotowa była mu zaufać.

- Wobec tego, kochany, będę się modliła o cud.

Nastała cisza. Przytulili się, pragnąc połączyć swe usta w zakazanym pocałunku.

- Teraz jest czas żałoby - powiedział Brand. - Jeśli o tym zapomnimy, później oboje będziemy żałować. - Zsunął się z łóżka, przeciągnął i ziewnął, tak

jakby to zrobił każdego poranka. Miał zmierzwione włosy, zarost na twarzy, lecz był piękny. I honorowy. Przynajmniej to wszystko będzie kiedyś miała. Nie pozwoli, by strata pierwszego męża położyła się cieniem na jej szczęściu.

I to jej wystarczy.

- Muszę jechać. Dasz sobie radę?

Wolałaby go zatrzymać.

- Zbyt często się rozstajemy w czasie naszej krótkiej znajomości... - Jednak znalazła w sobie dość siły. - Jest tu ze mną mama i Diana, niedługo przyjdzie też moja rodzina, by oddać Digby'emu ostatnią posługę. Nie chcesz zostać na pogrzeb?

- Nie ma tu dla mnie miejsca. Jeszcze nie.

Wprawnymi ruchami doprowadzał się do porządku, stojąc przed małym lustrem.

- Gdzie odbędzie się ceremonia? - spytał.

- W Wensley.

- A więc na pewno w tamtejszym kościele. Zjawię się, aby pożegnać zmarłego. Jako ktoś, kto go znał.

- A potem? - Nie mogła pozostawić spraw w takim zawieszeniu. - Nie będę mogła poślubić cię od razu.

- Wiem.

Czy wiedział? Czy naprawdę rozumiał?

- Dopiero po urodzeniu dziecka. Po...

Znowu położył palce na jej ustach.

- Zaufaj mi.

Począł, aż skinęła głową, po czym mrugnął.

- Masz szczęście, Rosamunde Overton, że jestem takim cierpliwym człowiekiem. W przeciwnym razie wyruszyłbym na poszukiwanie innej kobiety, która uczyniłaby mnie swoim kochankiem-niewolnikiem.

Wywołałszy gorący rumieniec na jej twarzy, ruszył ku drzwiom. Jednak przy drzwiach zatrzymał się jeszcze na chwilę.

- Pamiętaj. Pamiętaj przez najbliższe miesiące, że cię kocham aż do śmierci i na całą wieczność. Będiesz miała wszystko, czego zapagniesz.

- Jak to? - spytała szeptem, ale na szczęście Brand już wyszedł.

Poczuła, jak do jej oczu napływają łzy, lecz opanowała się i przestała myśleć o wszystkich kłopotach związanych z przyszłością. Wydmuchawszy nos, wstała, by stawić czoło wyzwaniom nowego dnia, dnia żałoby po Digbym.

Gdy wyszła z sypialni, dowiedziała się, że Brand przyjął na siebie odpowiedzialność za śmierć Edwarda, którego ciało zabrał do sędziego pokoju, lorda Fencotta. Przed wyjazdem powiedział jeszcze, że Nowe Państwo jest pod lupą władz, gdyż na sekcie ciężą liczne zarzuty, łącznie ze stosowaniem trucizny w celu eliminowania niewygodnych osób.

W rezultacie ludzie zebrani, by towarzyszyć sir Digby'emu w ostatniej drodze, rozmawiali z ożywieniem, a zarazem uczuciem ogromnej ulgi, snując liczne spekulacje. Od czasu do czasu rozlegał się nawet śmiech. Ale Rosamunde pomyślała, że Digby nie miałby nic przeciwko temu. Bolesnie odczuwano jego brak, lecz on sam zawsze lubił humor i radosny śmiech.

Interwencja Branda nikomu nie wydała się podejrzana. Wszyscy wiedzieli, że poznał sir Digby'ego w Arradale, a potem zabrał ze sobą Edwarda, gdy opuszczał Wenscote. To była zbyt dobra wiadomość, żeby miała się nie roznieść po całej okolicy. Ale czy podejrzewali coś jeszcze? Rosamunde sądziła, że nie. Służba z domku wdowy trzymała języki za zębami, podobnie jak w Wenscote. A więc jej plan miał pewne szanse powodzenia - mogłaby urodzić dziecko w tajemnicy i znaleźć dla niego dobry dom.

A potem wyjdzie za Branda i będzie mieć następne dzieci.

I to wystarczy.

Przybyli mężczyźni z jej strony rodziny - wujowie, bracia, szwagrowie, a także ojciec. Czuła się dobrze, bezpiecznie, ale nie wiedziała, jak oni potraktują Branda w przyszłości. Ponieważ ojciec był wykonawcą testamentu, musiała mu powiedzieć, że to nie Digby jest ojcem dziecka. Nie potępił jej, była pewna, że ją rozumiał, lecz westchnął i pokręcił głową. Zapewne widział nadchodzące problemy równie dobrze jak ona.

Zaakceptował postępowanie Rosamunde, co jednak nie oznaczało, że podobnie potraktował Branda. Lecz ewentualna niechęć nie miała znaczenia. Po ślubie i tak zamieszka z mężem na południu. Spojrzała na okoliczne wzgórza i poczuła bolesny skurcz. Straci również to cudowne miejsce.

Ale będzie miała Branda. I to wystarczy.

Digby został złożony w trumnie, której wieko zabito gwoździami. Rosamunde położyła na wierzchu wianek z kwiatów, który sama uplotła, a ośmiu mężczyzn podniosło trumnę na pierwszy etap ostatniej drogi przez dolinę. W pierwszym powozie wraz z mężczyznami jechały Rosamunde i Diana, zaś matka przyjechała do swojej dwukółki panią Monkton. Jednak dziś kazała zdjąć z uprząży radośnie brzmiące dzwoneczki.

Na całej drodze ludzie wychodzili z chat i karczm, schodzili z pól, by skłonić głowy przed zmarłym, powszechnie lubianym mieszkańcem Wensleydale. Gdy popołudniem dotarli do Wensley, zaczął bić kościelny dzwon. W środku było pełno ludzi. Wiele osób płakało, lecz tak naprawdę nie były to łzy smutku. Było to jakby celebrowanie Digby'ego, jako uczciwego człowieka o dobrym sercu.

Ona także płakała trochę podczas mszy, i gdy patrzyła, jak spuszcza ją do ziemi, lecz przecież tak naprawdę on był już w innym, lepszym świecie. Była pewna, że spokój, jaki czuła wokół siebie, był darem właśnie od niego.

Pośród uczestników ceremonii z pewnością był również Brand, ale niespecjalnie szukała go wzrokiem. Lecz gdy żałobnicy podchodzili do niej, by złożyć kondolencje, zaczęła się trochę obawiać, bo wiedziała, że lada chwila go ujrzy. Jednak wszystko minęło spokojnie. Po prostu uklonił się i powiedział:

- Poczytuję sobie za zaszczyt, lady Overton, że mogłem być uniżonym sługą pani i sir Digby'ego.

Nie odprowadziła go wzrokiem. Ich czas jeszcze nadejdzie. Ale nie teraz.

Złożywszy wyrazy szacunku wdowie, Brand pozostał wśród uczestników ceremonii, rozmawiając z osobami, które poznał w Arradale. Lecz tak naprawdę był w pogotowiu na wypadek, gdyby coś zakłóciło spokój Rosy. Miał nadzieję, że swoim zachowaniem niczego nie zdradził. Nie było łatwo tak po prostu stać niczym zwykły znajomy, pozostawiając innym opiekę nad Rosamunde i udzielanie jej pociechy. Tak mało czasu spędzili razem, i był to czas pełen burzliwych wydarzeń.

A on chciał więcej.

Nie mógł mieć tego, czego pragnął, lecz - tak jak już powiedział Rosamunde - był człowiekiem cierpliwym. Przywykł do sytuacji, gdy zaczynał uprawiać ziemię bądź wdrażał programy hodowli ze świadomością, że na rezultaty trzeba będzie czekać latami. Kazał sadzić drzewa, którymi cieszyć się będą przyszłe pokolenia.

Jeden rok to niedługo.

Lecz teraz wydawało mu się, że to strasznie długi okres, zwłaszcza że przez większą jego część musieli skrywać swe uczucia. Przynajmniej mógł na nią patrzeć.

Po raz pierwszy obserwował ją wśród ludzi i w ogóle poza domem. Jakiż dziwny był ten ich związek. Widział, że jest trochę nieśmiała, nawet w rozmowach z sąsiadami. Zachowywała rezerwę. Od czasu do czasu chowała głowę w ramionach, zapewne zwyczajowo ukrywając swoje blizny, mimo że teraz były słabo widoczne pod warstwą maskującej farby. W przeszłości musiały być dla niej wielkim ciężarem. Żałował, że wtedy nie mógł wspierać jej swoją obecnością.

Mimo nieśmiałości, wobec wszystkich zachowywała się uprzejmie i grzecznie. Wszyscy też ją uwielbiali.

Obserwował również zgromadzoną wokół Rosamunde rodzinę. Z radością dostrzegał wyraźne oznaki bliskości. Trzej wysocy, silni mężczyźni to zapewne jej bracia. Pana i panią Ellington polubił jeszcze w Arradale. Solidni, rozsądni ludzie, którzy na pewno dobrze się nią zaopiekują. W ogóle podobali mu się mieszkańcy Wensleydale. Może małomówni, rzadko się uśmiechali, lecz byli solą tej ziemi, ludźmi zahartowanymi w jednym z najbardziej nieprzyjaznych klimatycznie regionów Anglii.

Nagle uderzyła go myśl, że właśnie to jest Rosy miejsce na ziemi. Powiedziała, że jej korzenie wrastają głęboko jak różanego drzewa. I miała rację. Sam nie wiedział, jakie to uczucie. Przywykł do wędrownego trybu życia, niemal bez ustanku podróżując między posiadłościami Beya. Ta myśl o korzeniach wydała mu się dziwnie przyjemna. A niech to, przecież Bey będzie miał kłopot, jeśli zmaterializują się plany, które zaczęły powstawać w głowie Branda! Zdawszy sobie sprawę, że zbyt długo patrzy na Rosa-

munde, poszedł w kierunku stajni. Zaczynał tracić samokontrolę, więc uznał, że lepiej będzie się oddalić. Właśnie zapłacił stajennemu i miał już wskoczyć na siodło, gdy usłyszał czyjś głos.

- Młody człowieku!

Brand odwrócił się i zobaczył ojca Rosy, który stał z rękami splecionymi na plecach. Jego ogorzała twarz nie wyrażała żadnych emocji.

- Słucham, panie Ellington.

Brand poczuł się nieswojo na myśl, że w pobliżu mogą się znajdować bracia Rosy.

- Chciałbym zamienić z panem słówko, milordzie, jeśli wolno.

Brand przywiązał konia na postronku. Przeszli w bardziej odosobnione miejsce.

- Tak?

Pan Ellington obejrzał go tak, jak się ogląda byka na targowisku. Albo raczej w rzeźni.

- Nie będę owijał w bawełnę, milordzie. Dowiedziałem się, że moja córka nosi pańskie dziecko.

Duma Mallorena kazała mu zareagować dość chłodno, lecz zamiast tego powiedział:

- Tak wyszło.

- A jednak pan, zdaje się, wyjeżdża?

Brand przypuszczał, że w pobliżu czają się jej odani bracia, zapewne uzbrojeni w pałki.

- Rosa woli, żebym wyjechał.

- Czasami kobiety nie wiedzą, co jest dla nich najlepsze.

- Naprawdę? Nie zauważyłem. Czy sugeruje pan, że teraz powinienem ożenić się z nią? Bardzo bym chciał, ale to nie byłoby roztropne.

- Ach tak.

- Panie Ellington, Rosa i ja weźmiemy ślub. Lecz sytuacja jest delikatna, co na pewno pan rozumie.



Proszę, żeby pan mi zaufał i powierzył załatwienie wszystkich związanych z tym spraw.

- Trudno przewidzieć, jak to się da załatwić. I taka jest prawda, milordzie. Może cichy ślub, a potem zabrałby pan ją gdzieś daleko stąd.

- Mam nadzieję, że uda się znaleźć lepsze rozwiązanie, sir. Proszę mi powiedzieć jedną rzecz. Niektórzy ludzie mogą podejrzewać, że jest brzemienna. Niewielu wie, że spędziłem z nią pewien czas. Gdyby podać inną wersję, pasującą do faktów, czy zatrzymają dla siebie tę wiedzę i podejrzewania?

Mężczyzna kiwnął głową.

- Dla kogoś ze swoich zrobią to.

Brand wyciągnął rękę.

- W takim razie mam nadzieję, że niedługo zostaną przyjęty do pańskiej rodziny, panie Ellington. Ja, Rosa i nasze dziecko.

Po chwili ojciec Rosamunde uściskał mu dłoń.

- No cóż, jeśli to się panu uda, milordzie, dokonana pan prawdziwego cudu. Ale miło, że chociaż pan próbuje.

Brand przyjechał do zajazdu „Pod Trzema Beczkami”, który był pogrążony w całkowitym chaosie z powodu wyjazdu jego brata. Oczywiście w pokojach Beya panował wzorowy porządek, mimo nieustannego ruchu i padających co chwila poleceń. Ludzie szykowali wszystko do podróży, zaś on sam wykonywał jeszcze ostatnie posunięcia w sprawie Nowego Państwa.

- Ukryłem Cottera - powiedział Brand, gdy przez chwilę byli sami. - Nie miał pojęcia, co wyrabiali jego zbyt fanatyczni poplecznicy. Sądził, że wszystkie

te zgony, które przynosiły korzyść sekcje, nastąpiły z woli Bożej.

Bey przeczytał jakąś kartkę, po czym umieścił ją wśród innych.

- Bez wątpienia nie wie również o tym, że niektórzy z tych przeklętych głupców planowali zdradę. Chcieli obalić monarchię.

- A niech to! Więc król miał rację.

- Na pewno powtórzę mu twoją pochwałę. Nigdy nie osiągnęliby celu, ale to stawia Cottera w sytuacji bez wyjścia. Będą mu postawione zarzuty oskarżenia o zdradę.

- Zostanie powieszony, utopiony, poćwiartowany? Bey, to dobry człowiek.

- Naiwny głupiec.

- Posłuchaj, on chce zawieźć swoje przesłanie do Ameryki. Możemy to zrobić? Niech wyjedzie tam razem ze swoją rodziną.

Brat zastanowił się.

- Nie potrzeba nam więcej uciętych głów. Czy pójdzie na kompromis, by nosić zwykłe ubranie?

- Myślę, że tak.

- Dobrze. Ale odpowiadasz głową, jeśli zacznie się zdradziecki ferment w koloniach. Tam jest i tak dość niespokojnie.

Bey sprawdził kolejny raport, wydał polecenia, w tym samym czasie zamieniając słowo z Fetterem na temat swojego bagażu.

- Zawieź Cottera z rodziną do Liverpoolu - powiedział, gdy znowu byli sami. - Brycht na pewno znajdzie jakiś bezpieczny statek. Na tej trasie żeglujecie wiele jednostek. Potem wrócisz tutaj i weźmiesz się za te wszystkie rolnicze sprawy.

Brand milczał, więc Bey podniósł głowę.

- Coś ci nie odpowiada?

- Nie zwróciłeś uwagi na moją ostatnią nieobecność? Mam własne zmartwienia. Sir Digby Overton nie żyje, a lady Arradale twierdzi, że został otruty przez swojego bratanka.

Bey znieruchomiał.

- Przykro mi to słyszeć. Nie sądziłem, że tak daleko się posunie. A co ma z tym wspólnego hrabina? - spytał dziwnie ostrym głosem.

- Widziała, jak lady Overton nakarmiła starego psa resztkami z talerza po ostatnim posiłku sir Digby'ego. Stworzenie zdechło.

- A więc w razie potrzeby mamy dowód.

- Potrzeby nie będzie. Edward Overton także nie żyje. Hrabina go zastrzeliła.

Tym razem Bey rzeczywiście osłupiał.

- Widzę, że bardzo ciekawie spędziłeś ten czas.

- Nie musisz jej tak podziwiać. Celowała we mnie.

- Przyznaje się do tego?

- Nie rozmawialiśmy o tym. Bey, moją tajemniczą damą jest lady Overton.

Tym razem brat wcale nie okazał zdziwienia.

- Sam poskładałem wszystkie elementy układanki. Co zamierzasz? Ona nie może zatrzymać Wenscote.

Nie powinno go dziwić, że Bey wszystko dokładnie rozpracował.

- I wcale tego nie chce.

- Co planuje dla swojego dziecka?

- Urodzić je potajemnie i znaleźć mu dobry dom.

Bey spojrzał na niego.

- I ty się na to zgadzasz?

- Nie, lecz przez wzgląd na pamięć męża nie chce, aby dziecko było uważane za jej potomka. Muszę się z tym zgodzić.

- Jeśli chcesz, wychowam je dla ciebie. To bękart, ale Malloren.

Brand pokiwał głową.

- Dziękuję ci, ale mam nadzieję, że będzie lepiej. W rzeczy samej właśnie podsunąłeś mi pewien pomysł. - Zastanowił się. - Ona planuje natychmiastową przeprowadzkę do Harrogate, żeby tam spędzić pierwszy okres żałoby. Jednak zanim brzuch stanie się widoczny, będzie musiała pojechać dalej. Ja nie mogę odgrywać oczywistej roli. Czy dopilnujesz, żeby dojechała stamtąd w jakieś bezpieczne i spokojne miejsce?

Bey nagle bardzo zainteresował się swoim rubinowym sygnetem.

- Wydaje się, że twoja dama jest bardzo dyskretna.

- Co to ma oznaczać?

Bey uniósł wzrok.

- Czy pewnego dnia opowiesz mi całą historię tego tajemniczego romansu? Spotkawszy lady Overton, co prawda na bardzo krótko, trudno mi wyobrazić sobie wszystkie szczegóły.

- Spotkałeś ją?

- Dlatego nazwałem ją dyskretną. Nic ci nie powiedziała, prawda?

Chociaż Brand powierzyłby bratu własne życie, teraz poczuł na plecach zimny dreszcz.

- Czego mi nie powiedziała?

- Chciałem ją zabrać siłą. Dla jej własnego bezpieczeństwa, chociaż muszę przyznać, że kusząca była myśl o poskromieniu kobiety, przez którą tyle wycierpiałeś.

- Ty... i nie udało ci się?

- Lady Arradale zebrała mały oddział i pokonała mnie. Wspominam o tym tylko dlatego, że lady Overton może nie zechcieć podróżować pod moją opieką.

Brand w pewnym stopniu umiał czytać myśli brata.

- Co jej zrobiłeś?

- Złapałem ją zgrabnie w pułapkę. Jednak mimo lekcji, których udzielała mi Elf, wciąż mam w zwyczaju nie doceniać z pozoru zwyczajnych młodych kobiet. Dokonała znakomitej próby ucieczki. Zatrzymałem ją i wtedy mogłem zrobić jej małą krzywdę. Powiniennem być ją puścić. - Wzruszył ramionami. - Byłem na nią zły w twoim imieniu.

Nic dziwnego, że Bey przerażał Rosę, ale Brand nie miał zwyczaju wymyślać komuś z powodu spraw, które już się definitywnie zakończyły.

- Gdyby coś jej się stało, z pewnością powstałaby między nami niezgoda. Ale w tej sytuacji jestem pewien, że o wszystkim zapomni, jeśli i ty to zrobisz.

- Tolerancyjna kobieta. Pasujecie do siebie.

Na pewien sposób było to błogosławieństwem. Brand nie był pewien, czy brat zaaprobowałby wszystkie jego plany, ale tę rozgrywkę postanowił zostawić na później. Szybko ustalili szczegóły, uzgadniając, że ich siostra Elf będzie najlepszą osobą, by zająć się sprawami Rosy. Nikt nie mógł się obawiać Elf. A przynajmniej żadna kobieta.

Po tym Brand opatrzył bratu małą ranę. Bey na swój sposób przyznał się, że źle rozegrał sytuację, a nawet przeprosił. Brand nalał z karafki wina i podał mu kieliszek.

- W ramach kary za to porwanie opowiedz mi ze szczegółami, jakim sposobem pokonała cię lady Aradale.

## Rozdział XXV

**P**o zakończeniu pogrzebu Rosamunde czuła się bardziej wstrząśnięta i wyczerpana, niż się spodziewała, być może z powodu odmiennego stanu. Opuściła Wenscote natychmiast, tłumiąc w sobie uczucie bolesnej straty. Po kilku dniach spędzonych z rodziną przeniosła się razem z Millie do Harrogate, gdzie nareszcie mogła zaznać odpoczynku i spokoju. Tęskniła za Brandem, za choćby jakimś słowem, listem, lecz wiedziała, że nie można ujawnić tego, co ich łączy. Jeszcze nie powiedziała, co obmyślił. Pewnie doszedł do wniosku, że jednak nie wszystko jest możliwe.

Jeszcze rok, a potem będą razem. Ten okres rozciągał się przed nią jak niekończąca się, pusta droga, na której została jeszcze do przebycia bolesna dolina, związana z utratą dziecka. Jednak przecież był gdzieś kres. A dalej czekał na nią Brand. I to wystarczy.

Pewnego dnia służąca przyniosła jej list. Otworzyła go. Był od Branda. To zbyt ryzykowne! Lecz służąca - kobieta w średnim wieku - porozumiewawczo przesunęła palcem po nosie.

- Z Mallorenem - powiedziała cicho - wszystko jest możliwe. Gdyby milady chciała odpisać, proszę dać list mnie. Nazywam się Dora.

Idąc pośpiesznie do swojego pokoju, by w zaciszu delektować się listem, Rosamunde uświadomiła sobie, że Mallorenem, który stoi za tym wszystkim, jest markiz. Nie wchodził jej w drogę, lecz wiedziała, że Brand miał rację. Nic nie było w stanie powstrzymać go przed ingerowaniem, które teraz okazało się błogosławieństwem.

Nie był to typowy list miłosny. Przeczytała opis żniw, siewu żyta i pszenicy ozimej. Współczuła mu w związku z kłopotami, jakie niosła ze sobą sprawa sekty Cottera, cieszyła się z jego sukcesów. Opisał nawet kilka śmiesznych historii, żeby ją rozbawić. Gdy tylko skończyła, usiadła przy biurku, by napisać długą odpowiedź, podobną w tonie do jego listu, lecz zawierającą opis osób mieszkających w Harrogate oraz swoich leniwie spędzanych dni.

Mijały tygodnie, w czasie których niemal codziennie dostawała jakże wyczekiwane listy, jednak z każdym dniem coraz bardziej cierpiała, wiedząc, że Brand jest tak blisko. Przecież tak łatwo byłoby pojechać do Thrisk. Dlaczego nie miałyby przypadkowo spotkać przyjaciela swego męża, lorda Branda Mallorena, i przynajmniej go zobaczyć... ?

Pocałować go.

Kochać.

I wtedy, pewnego dnia, Brand pojawił się na ulicy Harrogate. Ukłonił się jej i powiedział:

- Lady Overton. Miło mi widzieć panią w dobrym zdrowiu.

Rosamunde pośpiesznie kazała Millie usiąść na pobliskiej ławce, po czym razem z Brandem odsunęła się trochę na bok.

- Co ty tutaj robisz? To zbyt ryzykowne!

- Jedna wizyta nie wywoła skandalu. Dobrze wyglądasz.

- Bo dobrze się czuję.
- A dziecko?
- No cóż. Brand...
- Nie patrz na mnie w taki sposób, bo zaraz wybuchnie skandal. - Wsunął jej dłoń pod swoje ramię i ruszyli wolno na przechadzkę ulicą. - Przyjechałem, bo mam do omówienia z tobą ważną sprawę.
- Jakież kłopoty?
- Spojrzał na nią i pokręcił głową.
- Nie. Chodzi o plan. Chcę, żebyś wyjechała do Walii. Podobno masz tam ciotkę, w jakiejś odległej miejscowości. Zamieszkasz u niej.
- Mam tam urodzić?
- Nie. Jeszcze bardziej zatrzymamy ślady. Tylko udasz, że tam jedziesz. Naprawdę zamieszkasz w małej miejscowości w Herefordshire, jako żona kapitana.
- Oczekująca dziecka? Nikt nie uwierzy w tę starą bajkę.
- Ale będą udawać, że wierzą, jeśli damy im do zrozumienia, że faktycznie jesteś kochanką arystokraty i nosisz jego dziecko.
- Spojrzała na niego.
- Mam tam mieszkać jako grzesznica?
- Czy proszę o zbyt wiele?
- Po chwili się roześmiała.
- Nie. Po prostu będę myślała jak lady Gillsett.
- Może lepiej używaj nazwiska lady Richardson.
- Teraz zaśmiali się oboje.
- Czy to oznacza, że moglibyśmy zatrzymać dziecko?
- Ależ tak. Jak ci się wydaje, kim jest ów arystokrata? Na tym polega piękno naszego planu - powiedział z wyraźną satysfakcją. - Przyjmę odpowiedzialność za moje własne dziecko. Mam nadzieję - dodał z szelmowskim uśmiechem - że moja przyszła żona okaże się wyrozumiała i przyjmie maleństwo do wspólnego domu.



Rosamunde poczuła iskierkę nadziei.

- Czy to mogłoby się udać?

- Dlaczego nie? Po urodzeniu będziesz musiała na krótko oddać dziecko, ale gdy tylko lady Overton przybędzie do Opactwa Rothgar i zostanie moją oblubienicą, znowu będziecie razem. - Spoważniał. - To znaczy, że nie będziesz mogła otwarcie być matką dziecka, ale...

- Ale ja już pogodziłam się z tą myślą. Brand, to doskonałe rozwiązanie! Naprawdę wierzę w potęgę Mallorenów. Mamy wszystko.

- Być może będziemy mieć nawet więcej.

- A co więcej możemy mieć?

Jednak to pytanie pozostawił bez odpowiedzi. Zabrał ją na herbatę i ciastka, w zwykłej rozmowie wymienili między sobą najświeższe wiadomości, cały czas uważając, by się nie zdradzić ze swym szczęściem. Ale to wszystko działo się naprawdę. Nareszcie. Normalne życie. Ich przyszłość.

Teraz mogła powiedzieć, że to naprawdę jej wystarczy.

Brand zmusił się, by opuścić Harrogate, a ich cudowne wspólne godziny jeszcze bardziej pogłębiły ból rozstania. Ból, który nieco ustąpi dopiero wtedy, gdy Rosa wyjedzie i znajdzie się w odległości kilku dni jazdy - zamiast kilku godzin.

Wymiana listów też musi się skończyć. Trudno będzie ukryć przybywających codziennie posłańców w sennej wiosce. I nikt nie uwierzy, że arystokrata tak bardzo interesuje się byłą kochanką, nawet jeśli ta nosi jego dziecko. Jednak Bey znalazł woźnicę, który jeździł przez Waltham Greek, zatem mógł dostarczać

i odbierać listy. Z tego, co Brand wiedział, mężczyzna ten był już jednym z ludzi brata. Przemierzając okolicę jednocześnie zbierał informacje. Tym sposobem dowiedział się o wygodnym wiejskim domu, o pierwszych ruchach dziecka w brzuchu Rosamunde, do której z drugiej strony doszła wieść, iż sprawy absorbujące Branda mają się ku końcowi. Powodowany upodobaniem do płatania figli oraz świadom, że cała wioska wie o jej zgubnym położeniu, wysłał jej ogromny kosz owoców, pochodzących z cieplarni w Opactwie Rothgar, a także mnóstwo pięknych kwiatów. W następnym liście zbeształa go za tę ekstrawagancję, a wkrótce potem z zażenowaniem odbierał trzy wielkie palmy w donicach, dostarczone z Yorku. Były tak ogromne, że nie mieściły się na schodach „Pod Trzema Beczkami” i udekorowały hol przy wejściu. Śmiał się z nich do rozpuku, po czym zapędził swoich ludzi, by szybko kończyli wszystkie rozpoczęte prace.

Bez ryzyka mógł złożyć jedną wizytę. Musiał zobaczyć się z Rosą, która najwyraźniej lubiła żarty, i która nosiła w coraz większym brzuchu jego dziecko.

\*

Wjechał do Waltham Greek pewnego mokrego, zimowego dnia i spytał o dom Pate. Okazało się, że to prosta chata, zbudowana z szarego kamienia. W lecie ogród na pewno miał w sobie znacznie więcej życia.

Uśmiechnął się. Rosa nie chciała by pałacu. Wiedział, czego pragnęła, i robił, co mógł, by jej to zapewnić. Wszystko, o czym marzyła.

Wszystko.

Ściągając rękawice, poszedł ścieżką, żeby zapukać w drzwi, lecz wtedy usłyszał dobiegający z tyłu domu jej śmiech.

Czyżby miała towarzystwo?

Poczuł ukłucie zazdrości. Obszedł dom i zatrzymał się, by spojrzeć. Rosa, jego Rosa, pięknie zaokrąglona i roześmiana, bawiła się wstążką ze swawolnym, małym kociakiem. Była tak zajęta, że podkradł się niezauważenie i chwycił ją w objęcia.

Wrzasnęła, po czym wydała radosny okrzyk.

- Brand!

- Tylko znowu mi nie zemdlej! - powiedział szybko, przestraszony własną głupotą.

- Więc nie skacz na mnie znienacka! - Wyglądała zdrowo i radośnie. Objęła go za szyję. - Co tutaj robisz? Myślałam, że nie wolno nam...

Pocałował ją szybko i przytulił. Po chwili zdał sobie sprawę, że stoją w widocznym miejscu, więc cofnęli się pod sam dom, gdzie byli lepiej ukryci.

- Z jednej strony jest opanowanie, lecz z drugiej prawdziwa udręka. Jak się czujesz?

Ale dobrze widział. Wyglądała jak idealny owoc, teraz w pełni dojrzały.

- Dobrze. Bardzo dobrze. - W jej oczach zaśniły łzy. - Tyle czasu... Nie wiedziałam, że tak to będzie wyglądało, że tak się będzie dłużyć.

- Wiem. - Nie wypuszczał jej z objęć, rozkoszując się jej pięknem. - Brakuje mi twego portretu. Nawet tej przekłętej maski.

Wsunęła dłoń do kieszeni i coś wyjęła. Rozpoznał miniaturę ze swoją podobizną, wykonaną pięć lat temu.

- Dostałam to od lorda Rothgara. Był dla mnie bardzo miły, ale i tak czasem mnie przeraża. Nie, nic mi nie zrobił. Po prostu ma taki sposób bycia.

- Wiem, kochana. Ale to jest człowiek, którego w kłopotach zawsze warto mieć u swego boku.

- Nie on nim jest, lecz ty.

Uśmiechnął się.

- Prawda. - Odsunął ją nieco, by lepiej się przyrzyć. Miała na sobie ciemnozieloną suknię i brązowy szal, idealnie pasujące do jej zdrowej skóry i lśniących włosów. - Czuję się jak wygłodniały, który widzi suto zastawiony stół. Chciałbym jak najszybciej zaspokoić głód, lecz z drugiej strony pragnę, by ta uczta nigdy się nie skończyła.

- Będzie trwała całą wieczność. Jeśli tylko zechcemy.

Oczekiwał, że po tak długim czasie będzie miała wątpliwości. Dobrze, że przyjechał. Same listy to za mało.

- Ja chcę - powiedział, pocierając nosem o czubek jej nosa. - A dzidzius oddziela nas jak duża piłka.

- Miałam więcej czasu, żeby się przyzwyczaić. - Odsunęła się, ściskając jego dłonie. - Chodźmy do środka, bo tu zimno. Chyba że musisz oporządzić konia?

- Zostawiłem go przy gospodzie.

Trzymając się za ręce, weszli do domu, gdzie siedziała okutana w szale Millie, która jednak chętnie zaczęła parzyć dla nich herbatę. Czekali w małym, prosto urządzonej saloniku pełnym książek i ręcznych robótek. Wziął do ręki bawełniane ubranko.

- Czy naprawdę będzie takie maleńkie?

- Tak mówią. - Ze smutnym uśmiechem położyła sobie dłoń na brzuchu. - Ale już teraz wydaje się większe.

Dziwnie było tak siedzieć i rozmawiać, gdy pragnął po prostu zanieść ją do łóżka i całymi dniami kochać. Ale tak było lepiej. Nigdy o tym nie mówili, lecz chyba dobrze odczytał jej myśli. Zaczekają. Zaś teraz cieszył się, że może na nią patrzeć i nadrobić tym spotkaniem minione miesiące. A nawet całe życie. Tak niewiele czasu spędzili razem. Kiedy na kolana wskoczył mu czarno-biały kociak, domagając się pieszczot, też było

mu przyjemnie. Ale to za mało. Gdy tylko skończyli herbatę, zgonił kota i wyciągnął rękę do Rosy w nadziei, że się nie cofnie. Uśmiechnięta usiadła Brandowi na kolanach, objęła go za szyję i pocałowała.

Serca nie pękają, zwłaszcza z radości. Ich pierwszy prawdziwy pocałunek był tak cudowny, że aż chciało mu się zapłakać. Na chwilę obecną to było całkowicie wystarczające, zwłaszcza że ich usta wprost nie mogły się od siebie oderwać. Kiedy w końcu odsunęła się, położyła jego dłoń na swym brzuchu. Poczł nieznaczny ruch.

- Na Boga - uśmiechnął się. - To naprawdę jest cud. Ze śmiechem pokręciła głową.

- I to mówi hodowca.

- No więc dobrze, wiejska dziewczyno. Będę o tobie myślał jak o klaczy ze źrebkiem.

Zaśmiewając się, połączyli usta w kolejnym długim pocałunku, a potem siedzieli objęci, smakowali tę bliskość po całej wieczności rozstania.

Został tylko tę jedną noc, którą zresztą spędził w zajeździe, gdyż w ogóle nie powinno go tu być. W następnych miesiącach spotykali się niby przypadkowo w pobliskich miasteczkach. Cały czas wymieniali listy, których uzbierała się już pokaźna kolekcja.

Ich rok rozłąki mijał.

Czasami Brand, zajęty mozolną pracą, która przestała dawać mu przyjemność, miał ochotę rozerwać na strzępy cały świat, aby być przy niej. Zwalczał jednak ten impuls. Przecież musieli zapłacić jakąś cenę za wspaniałą przyszłość.

Za wszystko.

Narastała w nim nadzieja, że naprawdę potrafi dać jej wszystko, że wszystko może mieć. Oby tylko mijał ten wlokący się ospale czas.

Rzucił się w wir pracy, znajdując w nim ucieczkę, zarazem szykując się na zmiany, które niebawem nadejdą. W końcu otrzymał wiadomość, na którą czekał.

Rosamunde opadła na porodowy fotel. Brand objął ją od tyłu ramionami. Mimo protestów akuszerki nie chciał wyjść i zostawić kobietom kobiece sprawy.

Cieszyło ją to. Nawet znalazła siłę, by się uśmiechnąć, widząc jego nerwowość i niechlujny strój.

- Nie martw się - stęknęła. - Klacz i źrebię, pamiętasz?

- Bardzo się martwię o moje ulubione klacze. - Otarł jej twarz wilgotną ściereczką. Po chwili znowu zaczęła przeć.

Gdy odetchnęła, czując jak dziecko rośnie między jej nogami, spytała cicho:

- Więc jestem tylko jedną z „ulubionych”?

- Tylko.

Pocałował ją w policzek. Ten z bliźniami. Umiał to robić w taki sposób, że przez ostatnie miesiące bliźny stały się błogosławieństwem.

Poczuła kolejny mocny skurcz. Naprężyła ciało w ogromnym wysiłku.

- O! - zawołała akuszerka. Uśmiechnęła się do Rosy. - Jest wreszcie!

Rosamunde spuściła wzrok i ujrzała prawdziwy cud w postaci główki swego dziecka, ciemnej i mokrej. Kolejny skurcz. Oszołomiona i półprzytomna z wysiłku poczuła, jak dziecko wyslizguje się na zewnątrz. Wyciągnęła po nie ręce.

- Moje maleństwo!

- Córeczka - powiedziała radośnie akuszerka i położyła dziecko na piersi Rosamunde. Brand objął je obie, opierając głowę na jej ramieniu.

- Piękna jak mama - wyszeptał, dotykając delikatnych czarnych włosów, jednocześnie całując Rosamunde w policzek. - Czy to było tak straszne, na jakie wyglądało?

- Było cudowne - odparła cicho, patrząc z miłością na swoją córeczkę.

- Tylko się łudzisz, kochana.

- Nie. Biedni mężczyźni, wy nie możecie tego przeżyć.

Usłyszała, jak się zaśmiał. Na pewno nie uwierzył. Ale to była prawda. Niebezpieczna ekstaza, lecz jednak ekstaza. Rzecz z natury niezwykle potężna. Czowała, że ma w sobie ogromną siłę. Gdyby wpadli tu teraz napastnicy, mogłaby walczyć, uciekać, bronić swego maleństwa.

Akuszerka przypomniała jej, by przystawiła dziecko do piersi. Już po chwili Rosamunde przygryzała wargi w reakcji na nowe doznanie. Nie było do końca przyjemne, lecz przynosiło dużą satysfakcję. Maleństwo wyraźnie podzielało tę opinię, bo rozluźniło się z zadowoleniem.

Mijały kolejne minuty, wszystko toczyło się jak należy. Rosamunde ignorowała wszystkich, nawet Branda, gdy ją umyto i przeniesiono na łóżko. W końcu ułożyła się wygodnie i spojrzała na niego.

- Plan był taki, że miałeś zabrać dziecko zaraz po urodzeniu.

Siedział na materacu w rozmemłanej koszuli i z rozczochranymi włosami. Uśmiechnął się krzywo.

- Dobrze odgadłem. Na razie nie spuścisz maleństwa z oczu.

- Przepraszam, Brand. Nie mogę. W każdym razie - pogładziła córeczkę po kosmatych włoskach - chcę

ją karmić. Cały czas. Przepraszam. - Poczula łyzy w oczach. Czy nie spodziewała się wcześniej, że to będzie dla niej zbyt wielkie poświęcenie?

Nie rozgniewał się, lecz roześmiał.

- Przeżywszy poród razem z tobą, sam nie zostawiłbym jej u obcych. Wymyślę nowy plan. Zaufasz mi?

Wciąż nie widziała możliwości, jak to wszystko mogłoby się udać, ale odpowiedziała z pełnym przekonaniem:

- Zawsze. I we wszystkim.

Powoli zaczęła wierzyć w motto Mallorenów.

Tydzień później wrócił w towarzystwie mamki. Kiedy Rosamunde zaprotestowała, kazał młodej kobiecie zaczekać w kuchni.

- Chyba uda mi się to wszystko poukładać, lecz nie będziesz mogła być z Jenny cały czas, a przecież dziecko musi jeść. I tak nieraz mówiliśmy, że będzie nam potrzebna godna zaufania mamka, choćby tylko na pokaz. Nie może się roznieść, że Jenny jest twoją córką, więc ktoś musi ją karmić.

Małeństwo spało w kołysce koło okna. W pierwszym odruchu Rosamunde zapragnęła tam pobiec, by bronić dziecka. Nie chciała, by karmiła je obca kobieta.

- Zaufaj mi, Rosa.

Stoczyła wewnętrzną walkę i wygrała.

- Więc co teraz będzie?

Dopiero gdy się uśmiechnął, zrozumiała, że widział jej rozterkę. Wyciągnęła rękę. Podszedł do niej szybko.

- Pojedziemy przodem. Musimy się rozdzielić dopiero w ostatniej chwili, tak aby wyglądało, że Jenny przyjechała osobno. Takie przypadki się zdarzają.



- Można jej zaufać?

- To naprawdę dobra dziewczyna, którą porzucił kochanek. Zrobi wszystko, żeby zatrzymać swe dziecko i zarobić na życie. Według mnie jest uczciwa i niegłupia.

Przypomniała sobie o zaufaniu. Poprosiła go, żeby przyprowadził z powrotem mamkę, Edie Onslow. Biedactwo miała dopiero osiemnaście lat, była wystraszona, lecz żyła nadzieją, podobnie jak Rosamunde. Sprawiała wrażenie czystej i zdrowej. Tak jak powiedział Brand, była niegłupia i chyba uczciwa. Rosamunde instynktownie czuła, że musi zostać przy dziecku, chronić je przed obcymi, lecz z drugiej strony nie mogła nie spróbować tego rozwiązania.

Dla Branda. Dla siebie samej.

W imię wszystkiego.

Następnego dnia wyruszyli do Rothgar Towers jako anonimowa rodzina z mamką i niemowlęciem. Kilka mil przed celem podróży rozdzielili się: Edie z woźnicą i dwójką dzieci pojechali naprzód, zaś Brand z Rosamunde wybrali okrężną drogę.

Wbrew logice Rosamunde z obawą patrzyła za oddalającą się córką. Brand wziął ją w ramiona.

- Wiem, kochana, ale zaufaj mi. Za kilka godzin będziemy znowu razem.

Wszystko poszło idealnie. W wielkim, budzącym podziw opactwie łatwo było zorganizować karmienie. Spędzanie czasu z córką dało się zorganizować jeszcze prościej, gdyż teraz Rosamunde była narzeczoną lorda Branda Mallorena. Po prostu musiała bliżej poznać jego dziecko.

Teraz narzeczeni mogli oficjalnie spędzać ze sobą czas, choć za milczącym porozumieniem ograniczyli się do pocałunków. Gorących pocałunków. Dotyku. Lecz na razie nic więcej.

Rosamunde przechadzała się wolno tarasem w blasku księżycyca.

- Wszystko się uda, prawda? Dziękuję ci, Brand. Splótł palce z jej dłońią.

- Szykuję raj także dla siebie.

- Wszystko - zamruczała.

- A może chcesz jeszcze?

- Przestań! - przypomniała sobie ich namiętne chwile i roześmiała się.

- Nie chcesz niczego więcej?

Domu, pomyślała, lecz zdusiła to w sobie. Nie mogła mieć ani Wenscote ani innego miejsca w dolinach północy. Jej życie będzie toczyć się tutaj, razem z nim i ich dzieckiem. I tak było to więcej, niż kiedykolwiek mogła oczekiwać.

- Czy moglibyśmy wziąć ślub w domu moich rodziców? - zapytała nieśmiało.

- A gdzieżby indziej?

- Ależ Brand, to bardzo daleko. Trzy albo cztery dni drogi! I tylko po to, by wziąć tam ślub?

- Tylko? Jeśli chcesz, pobierzemy się na Księżycu! Popatrzyła na wielki srebrny glob.

- Nawet z Mallorenami nie jest to możliwe, głuptasie.

- Hm. Rzucasz mi wyzwanie?

- Kocham cię nawet bez Księżycyca. Chciałabym tylko poślubić cię w kościele w Wensley, w otoczeniu mojej rodziny.

To naprawdę byłoby spełnienie wszystkich pragnień. Odwiedzić tamto miejsce. Ujrzeć rodzinę. Przedstawić im Jenny. A potem wróci na południe, by wieść zupełnie inne życie.

Takie dziwne.

Napawające strachem.

Mała groźna chmurka na horyzoncie.

Pierwszą ciężką próbą był dla niej ich bal zaręczynowy. Brand powiedział, że wcale nie muszą robić takiej okazałej uroczystości, jeśli ona tego nie chce, lecz Rosamunde postanowiła stać się częścią jego życia. Pokryta warstwą kosmetyków, pudru i pięknych jedwabi odważnie wystąpiła na balu i przeżyła go, mając Branda u swego boku.

Z nim mogła stawić czoło wszystkiemu.

Teraz nastał okres mniejszych uroczystości z udziałem sąsiadów i mieszkańców, co pozwoliło Rosamunde uspokoić się. W sumie była bardzo zadowolona, że odważnie stanęła wobec nowych wyzwań. Mogła tego dokonać. Takie życie jej odpowiadało, zaś tutejsi mieszkańcy byli tacy sami jak wszędzie.

Lecz nazajutrz przenosili się do Londynu. Ponoć wynikała konieczność, aby Rosamunde została przedstawiona królewskiej parze w salonie królowej. Tym razem nie miała żadnego wyboru. Ten gest był niezbędny, skoro zaczęli prowadzić życie w wielkim świecie.

- Przecież król i tak nie zwróci na to uwagi - powiedziała z niechęcią tydzień później, dygocząc w absurdalnie wielkiej sukni. - I dlaczego muszę nosić ten szeroki na trzy jardy panier?

Brand, sam odziany w lśniące od przebogatych ozdób szaty, jeszcze podsycił jej niezadowolenie swą niesłabnącą tolerancją.

- Nigdy nie kwestionuj dworskiego protokołu. Tak musi być. Głowa do góry, Rosa. To przecież tylko król i królowa.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem, lecz nagle zrozumiała, że i tym razem sobie poradzi. Nie musi tego lubić, ale może zrobić. Podnosząc dumnie pod-

bródek, przeszła w towarzystwie Branda do wspaniałej sali, gdzie perfekcyjnie wykonała dworski ukłon.

I już po wszystkim. Lecz król, zamiast przejść do kolejnej osoby, zatrzymał się, aby porozmawiać z Brandem o kwestiach rolniczych. Co gorsza, następnie zaczął ją bombardować pytaniami na temat Yorkshire, jej stadniny, a nawet kuzynki. Już wcześniej słyszała, że król uwielbia słuchać nowin, lecz czuła się jak więzień w szponach inkwizycji. Rzuciła ostre spojrzenie markizowi, bo doskonale wiedziała, kto napomknął królowi o jej zainteresowaniach. W odpowiedzi markiz jedynie skłonił głowę. Odpowiadając na pytanie króla dotyczące klimatu, wspomniała pokojówkę Gertie i naraziła się na atak śmiechu.

On zna króla tak samo dobrze, jak ja znam rzeźnika, pana Bainesa!

Najwyraźniej taka właśnie była prawda. Młody król traktował lorda Rothgara jak najbardziej zaufanego powiernika, zaś Branda jak rodzinę.

Nie mogła tak żyć, rozmawiając z królem, przebywając godzinami w dusznych od perfum pomieszczeniach, ubierając się w absurdalnie wielkie suknie, a cały czas pod presją protokołu i nieszczerých oczekiwań.

Wtem zatroskana twarz króla zaczęła migotać przed jej oczami.

Odzyskała przytomność w przedpokoju.

Idiotyczne paniery sterczały na wszystkie strony. Leżała na szezlongu, wokół którego krążył Brand.

- Lepiej się czujesz? Nic się nie martw, omdlenie w tym okropnym stroju nie należy do rzadkości. Co się dzieje, Rosa? - Przykucnął tuż obok. Dziwnie wyglądał w tym stroju, kapiącym od klejnotów i brokatu.

- Chcę jechać do domu. Nie podoba mi się tutaj.

Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że wypowiedziała te myśli na głos.

- Do domu? - spytał ze zdumiewającym spokojem. - Na północ? Do Wenscote?

- Wenscote nie jest już moim domem.

Wziął ją za rękę.

- Ale może nim być. Mógłbym je wydzierżawić, gdybyś chciała.

Uniosła się z wysiłkiem.

- Wydzierżawić? Co? Dlaczego?

- Dlaczego? Bo tam jest pięknie. Doktor Nantwich bardzo długo podejmował decyzję. Chyba bardzo chciał zostać jaśnie panem dziedzicem. Lecz jego żona kategorycznie odmawia porzucenia rodziny i cywilizowanego życia w Scarborough. W końcu zamęczyła go. Dziś dostałem od niego list.

- Ale jaki pożytek dla ciebie z Wenscote? Tu na południu masz dwa wspaniałe majątki. Zamieszkamy w jednym z nich.

- Nie musimy, chyba że tego chcesz. Te dwie posiadłości zawsze traktowałem jako inwestycje. Prowadziłem cygańskie życie, podróżując z miejsca na miejsce. Byłbym szczęśliwy, mogąc osiedlić się w Wenscote i zapuścić tam korzenie.

Pokręciła głową.

- Nie! Nie chcę więcej poświęceń. Zamieszkamy tam, gdzie ty chcesz. To - zatoczyła ręką szeroki gest - to właśnie jest twój świat.

Wybuchnął śmiechem.

- Przepraszam, kochana, ale nawet Bey pokładałby się ze śmiechu, słysząc takie słowa. Nie lubię tego.

- Wziął ją za rękę. - Podoba mi się w Wensleydale. A Wenscote spodobało mi się od pierwszego wejrzenia. Może z czasem uda się nam zmienić istniejący układ i kupić ten majątek. W przeciwnym razie i tak możemy tam mieszkać przez wiele lat. Pragnę tego. Wierzysz mi?

Poczuła łyzy na policzkach. Musiała okropnie wyglądać.

- Nie wiem, czy w tej sprawie mogę ci wierzyć. Jesteś zbyt hojny. Przecież nie możesz pragnąć życia w zupełnej izolacji w dolinach dalekiej północy. A co z twoją pracą?

- Nająłem nowych ludzi. Będę tylko doglądał spraw i trochę podróżował, ale jestem już zmęczony takim życiem. Mówię ci prawdę. Chcę zapuścić korzenie. W Wenscote. Kiedyś wspominałaś o sile nagłego przyływu miłości. Tak było i ze mną, zanim jeszcze dowiedziałem się, że mieszkałaś w Wenscote. Przyjechaliśmy, rozejrzałem się i zakochałem.

- Rozumiem. - Próbowała doszukać się w tym jakiegoś sensu. - Chciałaś mnie tylko ze względu na mój ogród.

- I twoją stadninę, twoją ziemię, owce i zawsze ze względu na ciebie.

Wpatrywała się w jego twarz.

- To tak perfekcyjnie cudowne, że aż wydaje się niemożliwe.

- Więc w końcu masz wszystko, czego pragnęłaś?

Poczuła ucisk w sercu. Ze szczęścia.

- Tak, wszystko. - Położyła drżącą rękę na jego policzku. - Dziękuję ci.

Pocałował wewnętrzną stronę dłoni Rosamunde.

- Jeszcze nie wszystko. Ale to się stanie, kochana, w naszą noc poślubną.

**L**ord i Lady Malloren uciekli z weselnego przyjęcia i pojechali dolinami do Wenscote. Śmiali się, rozmawiając o przedziwnej mieszance gości: mieszkańcach Wensleydale o ogorzałych twarzach oraz wyperfumowanych przybyszach z południa, którzy jednak wspólnie dobrze się bawili.

Rosamunde była zdumiona, że wszystko idzie tak doskonale.

Przed uroczystością wszyscy Mallorenowie przyjechali na północ niezwykłą kawalkadą - dziesięć karet w towarzystwie konnych jeźdźców - gdyż cały klan, z wyjątkiem lorda Cynrica z żoną, obecnie przebywających w Kanadzie, zdecydował się przyjąć zaproszenie na ślub. Ponieważ łącznie z Jenny w grupie było sześcioro dzieci, sfera psów, a nawet dwa domowe króliczki, to zapewne w niektórych zajazdach bardzo cieszone się, gdy ruszali w dalszą drogę.

Chociaż z drugiej strony niekoniecznie. Markiz sowicie wynagradzał dobrą obsługę. Służący jechali nieco w przedzie, więc na każdym postoju i noclegu oczekiwali już swoich państwa w pełnej gotowości, łącznie z przygotowaniem łóżek i własnych poduch.

W pewnej chwili Rosamunde wybuchła śmiechem, wspominając swego niewolnika-kochanka, o którym sądziła, że jest zwykłym, prostym człowiekiem. Ten śmiech po części wynikał również z niepewności. Co o tym wszystkim pomyśla sobie mieszkańcy Wensleydale? W kontekście obecnej sytuacji poprzednie odwiedziny markiza wydawały się przelotną towarzyską wizytą.

Wensleydale, oczywiście, podeszło do sprawy spokojnie. W kościele w Wensley tego ranka wszyscy byli uśmiechnięci, podobnie jak po drodze w czasie ich triumfalnej jazdy przez okolicę, gdy rzucali pensy napotkanym dzieciom, podobnie też jak na weselnej zabawie, którą właśnie opuścili.

A teraz byli już na ostatnim etapie długiej podróży. Krótka jazda do Wenscote. Rosamunde miała łzy w oczach, gdy zobaczyła, że wokół domu prawie nic się nie zmieniło. Ogród nieco zdziczał, pnące rośliny zaczynały obrastać frontowe drzwi, lecz to było nadal Wenscote. Jej dom.

Zerknęła na Branda, zastanawiając się, czy on rzeczywiście właśnie tego pragnie. Przekonał ją uśmiech na ustach męża.

Mieli wszystko, czego pragnęli.

Lub prawie wszystko.

Reszta dopełni się najbliższej nocy.

Natychmiast poszli do dziecinnego pokoju, gdzie leżała Jenny, zafascynowana swoimi paluszkami u stóp i promieniami słońca, które wdzierały się przez okno. Na dźwięk ich głosów uśmiechnęła się i wyciągnęła rączki. Brand podniósł maleńką, która pisnęła zachwycona, po czym przekazał ją Rosamunde do karmienia, gdy tymczasem Edie dyskretnie opuściła pokój.



Wreszcie byli w domu.

- Śliczny pokój - powiedziała Rosamunde, po raz pierwszy spoglądając na białe ściany oraz jasne zasłony w żółte kwiatki.

- To dla ciebie i Jenny.

- Sam to zrobiłeś?

- Wydałem polecenia. A któżby inny?

Zauważyła już pewne subtelne zmiany w domu.

Brand był po prostu niesamowity.

Po karmieniu zabrali ze sobą córeczkę, by pokazać jej nowe miejsce. Potem wyszli na zewnątrz, żeby dokonać oględzin posiadłości. W stajniach znaleźli dwa nowe żrebaki, na polach dojrzewające zboże. Dziełąc wspólny entuzjazm dla spraw, które innym wydawały się nudne, razem analizowali, oglądali, czynili plany udoskonaleń i konserwacji.

Często zatrzymywali się przy ogrodzeniu czy żywopłocie, aby zewrzeć usta w pocałunku, lecz tylko delikatnym, ze względu na dziecko. Zresztą być może zabrali ją celowo, by poskromić swój apetyt. Tak jakby chcieli doprowadzić to oczekiwanie do granic wytrzymałości.

Albo też czuli treść.

Jednak Rosamunde nie odczuwała lęku. Wcześniej spędzili ze sobą tak niewiele czasu, no i było to dawno temu. Jej ciało wciąż było nieco opuchnięte i zwiotczałe po okresie ciąży. Z piersi czasami ulewało się mleko...

W końcu słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. Jenny zasnęła, więc Brand położył ją sobie ostrożnie na ramieniu i ruszyli w powrotną drogę do domu. Rosamunde pomyślała, że na swój sposób to właśnie jest pełnia szczęścia - Wenscote wieczorową porą, Brand i ich dzieciątko, bezpieczne pod jego opieką.

Przekazali Jenny w ręce Edie, by wreszcie znaleźć się w swojej sypialni. Bała się, że zbyt silne będą wspomnienia z przeszłości. Jednak łóżko było nowe, zaś na podłodze leżał gruby chiński dywan, którego żywe barwy pięknie wyglądały w blasku wieczornego słońca.

To jej wystarczyło.

- No cóż, milordzie - odezwała się, zebrawszy w sobie odwagę. Znowu przydałaby się maska. - W końcu masz mnie w swojej władzy. Co rozkażesz?

Wziął jej dłoń, którą ucałował tuż przy ślubnej obrączce, nałożonej przezeń ledwie kilka godzin wcześniej.

- Rozkażę oczywiście wszystko. - Przesunął palcami po jej bliznach. Musnął je ustami. - Dziękuję ci.

Przed ślubem poprosił, by wystąpiła na uroczystości bez maskującej farby. „Bez maski”, jak to określił. W końcu wcale nie okazało się to takie trudne. Przedtem ta farba pomagała jej nabrać pewności siebie, wyjść na świat, ale tamte problemy miała już za sobą.

Pocałował ją w usta. Opadli na szezlong i całowali się tak, jak w ostatnich dniach, jakby całowanie było wszystkim, jakby wymagało od nich całkowitego oddania.

Wszystkie obawy i wątpliwości odpłynęły.

Potrafił sprawnie pozbawiać kobietę ubrania, co teraz udowodnił. Ona zaś miała niewielkie doświadczenie z męskim strojem, lecz nadrabiała entuzjazmem, w czym przeszkadzało jej jedynie podniecenie na widok odsłanianego, pięknego męskiego torsu. Już po chwili oboje byli nadzy, stojąc naprzeciwko siebie, trzymając się za rękę.

Ciężko oddychała, owładnięta pożądaniem, które drżało w pokoju jak nagrzane powietrze.

- Czy mówiłem ci kiedyś - powiedział - jak bardzo jestem ci wdzięczny za uratowanie mi życia? - Nie

zdażyła odpowiedzieć. - Jeszcze nawet nie zacząłem spłacać mojego długu. Nie, nie... - Wziął ją w ramiona i pocałował obie piersi. - Nie zaprzeczaj, moja droga damo. Nalegam.

Położył ją na chłodnej pościeli o delikatnym kwiatowym zapachu.

- Nalegam na pełną spłatę mojego długu. Może to trwać całe życie, lecz mimo to nalegam.

- A czy ja się kłóczę? - Czując nacisk jego palców, chwyciła gwałtownie powietrze i poszukała go dłonią. - To jest wszystko, czego pragnę. Chodź do mnie.

Musnął wargami powieki Rosy, po chwili przywarł do jej ust, wreszcie rozchyliwszy jej nogi, wsunął się do środka. Zatrzymał się, by unieść głowę i spojrzeć jej prosto w oczy.

- Wszystko - powiedział. Lecz nagle uśmiechnął się łobuzersko. - A chcesz więcej?